

Cudze oczy patrzą na was.

Zawsze.

MAX  
CZORNYJ

# ŚLEPIEC

FILIA

MAX  
CZORNYJ

# ŚLEPIEC

FILIA

Copyright © by Max Czornyj, 2018  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Maria Bogdanova /Arcangel

Redakcja:  
Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki

Korekta:  
Kacper Kaczmarczyk / Słowne Babki

Skład i łamanie:  
TYPO Marek Ugorowski

eISBN: 978-83-8075-657-1

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

## Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat i dedykacja

### **DZIEŃ PIERWSZY**

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

### **DZIEŃ DRUGI**

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

### **DZIEŃ TRZECI**

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

### **DZIEŃ CZWARTY**

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

### **DZIEŃ PIĄTY**

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

## **DZIEŃ SZÓSTY**

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

## **EPILOG**

*Jak to na przykład stało się we współczesnej Europie:  
panuje dziś przesąd, który pojęcia „moralny”,  
„nieegoistyczny”, „desinteresse” za równowartościowe  
uważa, już z siłą idée fixe.*

Fryderyk Nietzsche, *Z genealogii moralności*  
(w przekładzie L. Staffa)

Pamięci Jerzego Reutera,  
pisarza, redaktora, dramaturga.  
Mężczyzny, który ożywił pasję chłopca



## DZIEŃ PIERWSZY

### 1.

– Ayahuasca w języku keczua znaczy tyle, co „pnące dusz”. Mogą mi państwo nie wierzyć, ale już po pierwszym łyku tego wywaru nazwa wyda się nam zupełnie oczywista... (śmiech)

Wystarczy rozmowa na temat ayahuasci i od razu robi się weselej. Ale do rzeczy, bo – niestety – narzucono nam barbarzyński limit czasu antenowego. Tego nie przeskoczymy, bez względu na zażyte substancje. Pytał pan redaktor, jak wyglądają indiańskie ceremonie plemienne związane z tym psychodelikiem. Dawniej większość z nich polegała na przepowiadaniu przyszłości i wróżbach. Coś jak nasze gusta. Teraz najczęściej ayahuascą po prostu się leczy. To znaczy nie do końca tak, jak antybiotykiem czy, powiedzmy, syropkiem. Ayahuascą

*leczy się tak, że pije ją i chory, i szaman, a potem obaj są zdrowi i zadowoleni. Piękne, prawda?*

*– No dobrze, ale czy są jakiegokolwiek naukowe przesłanki działania tego specyfiku? Wspomniał pan, że prowadzono badania nad wpływem...*

*– Tak, tak. Ayahuasca i jej wpływ na organizm zostały przebadane na wszystkie strony. Przez amerykańskie agencje rządowe, koncerny farmaceutyczne, Chińczyków, a kilka lat temu prywatną ekspedycję do dżungli wysłała nawet jakaś firma z Polski.*

*Co odkryto? Ano, nic nadzwyczajnego.*

*Do wywaru trafiają między innymi liście chacruny, zwanej też psychotrią. W tym wypadku nazwa mówi sama za siebie, chyba nie muszę tłumaczyć. (chichot) Znajduje się w nich substancja halucynogenna zwana DMT. Warto nadmienić, że również każdy z nas ma w sobie pewien jej zasób. Produkuje ją szyszynka, maleńki gruczoł ulokowany wśród płatów naszego mózgu.*

*Droży państwo, jest tu miejsce na pewną dygresję. Istnieje teoria, zgodnie z którą rozkład szyszynki następuje już w chwili umierania, w ostatnich sekundach życia. Efektem jest gwałtowne uwolnienie zmagazynowanych DMT, czym między innymi tłumaczy się fantastyczne wizje, o których opowiadają niektórzy odratowani pacjenci. Smutne, ale prawdziwe. Znaczyłoby to, że nie widzieli bram niebios ani...*

Dobra, dość tego. Żadnego znaku dającego nadzieję na stację benzynową, żadnej knajpy ani przydrożnego zajazdu. Szyszynka Michała Kasprzyckiego miała się dobrze, za to jego pęcherz buzował i groził eksplozją. W gównianej audycji zaczęli smęcić i przynudzać. Doświadczenia pośmiertne. Indiańskie eliksiry. Zaraz będą zapraszać na zorganizowane wycieczki. Tylko dokąd? Do dżungli czy do szpitala? A może wystarczyłaby Praga lub Amsterdam...

Mężczyzna rozglądał się za najmniejszym kawałkiem utwardzonego pobocza. Powinien kupić suva albo cokolwiek większego niż dwuosobowe bmw ze sztandarowym napędem na tylne koła. Byle błoto unieruchomiłoby go tu na dobre. Chociaż może to nie kwestia auta, a gównianego kierowcy? Raczej nie dopuszczał tej ewentualności.

W chwili, gdy o tym pomyślał, niebezpiecznie przyspieszył i zbyt optymistycznie obliczył kąt wejścia w zakręt. Samochodem zarzuciło, wciśnięty hamulec zablokował koła, a opony zapiszczały, trąc o szorstką nawierzchnię. Tylko cudem powstrzymał auto przed wypadnięciem z drogi. Było w tym zresztą więcej zasługi elektronicznych systemów niż jego umiejętności.

Musiał się wysikać.

Cholerny pęcherz dekoncentrował go bardziej, niż gdyby prowadził rozmowę konferencyjną. Nie zwracając

uwagi na żwir, zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Włączył światła awaryjne.

Nie wszedł nawet w głąb lasu, tylko stanął przy pierwszej linii drzew.

Ulga.

Zabawa hormonami naprawdę mogła przynieść odłot, skoro wystarczyło zwykłe opróżnienie pęcherza, by zrobiło się o niebo lepiej. Może nerki w trakcie sikania wydzielały DMT czy inne cuda. Kto wie?

Kiedy wracał do auta, poczuł intensywny zapach benzyny. W jednej chwili oblepił mu nozdrza i gardło, mieszając się z gęstą wonią opadłego igliwia oraz lasu. Musiał splunąć. Słodkawy posmak był nie do zniesienia.

Nachylił się i klnąc, zajrzał pod auto. Nie zauważył jednak żadnego wycieku. Naprawdę powinien kupić nowy wóz. Zdrowy rozsądek od dawna za tym przemawiał, lecz on wzbraniał się, zbierając grosz do grosza na przytulne gniazdko, w którym zamieszkaliby z Lizą.

Obszedł rupiecia jeszcze z drugiej strony. Maszerując przez wąski pas trawy, nieopatrznie trącił coś butem. Sześciennie tekturowe pudełko, przypominające te, jakich używa się do pakowania prezentów świątecznych, wydało z siebie ciche piśnięcie.

Bombowo. Naprawdę bombowo.

Pochylił się nad nim ze złym przeczuciem, co będzie w środku. Piśnięcia przypominały stłumiony, przerywany płacz dziecka. W jakiejś reklamie podobny odgłos

wydawała lalka, po naciśnięciu jej w zaokrąglony brzusek. Idiotyzm.

Stracił wieczko i wbił wzrok w splecione, drżące ciałka pięciu szczeniaków. One również z pewnością popatrzyłyby na niego, gdyby nie były jeszcze ślepe, bezradne i otumanione.

– Szlag!

Dlaczego wszystko waliło mu się na głowę właśnie wtedy, kiedy się spieszył? Liza marzyła o uroczym zwierzątku. Ratując zasrane szczeniaki, zostałby bohaterem dnia, a sprowadzając jednego do domu...

Nie było takiej cholernej opcji. Jeśli marzył o podpisaniu projektu, miał niecałe pół godziny na dojechanie do firmy. Prezesik Cienki-Kurczę-Krawat zachowywał się jak primadonna przed spektaklem i potrafił strzelić niemożliwego focha za minutę spóźnienia. Po dwóch przypominał furiata, a później Kim Dzong Un stawał się przy nim przykładem przewidywalności.

Wyjął komórkę i wyszukał numer pogotowia dla zwierząt. Nie mógł ich tu przecież zostawić. Rozkład dnia i zapchany terminarz nie przewidywały choćby pięciu minut na rozwożenie autostopowiczów po schroniskach, ale karma powinna mu zwrócić chwilę poświęconą na znalezienie numeru. Dlaczego matka natura dała mu wrażliwe serce, które litowało się nad każdym zwierzęciem?

– Cholera, ładuj się...

Jeden z łebków poruszył się, jakby mu przytakiwał. Strona wczytywała się w ślimaczym tempie. Wreszcie zamiast wyników wyświetliła się informacja o błędzie.

– Kurw... – syknął, minimalizując aplikację.

Jedna kreska to było za mało dla Internetu, ale połączenia powinny działać. Wybrał pierwszy domyślny numer. Oczywiście, był to kontakt do Lizy i, oczywiście, odebrała po pierwszym sygnale.

– Jesteś w domu? – Nie wiedział, jak przejść do sedna.

– Coś się stało?

– Chodzi mi o to, czy masz teraz chwilę.

– Jasne. – Jej głos zdradzał zaniepokojenie i – a być może przede wszystkim – podejrzliwość. – O co chodzi?

– Jestem dwadzieścia kilometrów od Gdańska. Dokładnie w... – Przystłonił dłonią oczy, starając się rozczytać majaczący w oddali znak. – Mam kilometr do Nadbrzeźnicy.

– Złapałeś gumę czy co się stało? Michał, do licha!

– Spokojnie... – Popatrzył na skłębione, kudłate ciałka. – Zatrzymałem się wysikać i prawie wlałem w pudełko ze szczeniakami. Jakiś gnój je tu wyrzucił. Potrzebuję numeru...

– Weź je do auta.

– Wiesz, że jestem umówiony na to cholerne spotkanie! Nie będę przecież paradował po biurze z pudełkiem pełnym szczeniaków.

– Chwila, zaczekaj...

– Posłuchaj, zaraz się spóźnię i będzie pozamiatane – przekonywał nie tylko Lizę, lecz także siebie. – Zadzwoń do schroniska i powiedz, że są w pudełku po prawej stronie krajowej siódemce w kierunku Gdańska. Jakieś sto metrów przed... Albo do diabła z tym, zaniosę je prosto pod znak, że został kilometr do choleryjnej Nadbrzeźnicy.

Przytrzymał telefon pomiędzy uchem a ramieniem i wziął pudełko. Nie było ciężkie. Pięć szczeniąt razem nie ważyło więcej niż kilogram.

– Michał?

– No?

– Ładne są?

– Raczej ślepe i brudne. I tak, owszem, z bezgraniczną chęcią wziąłbym jednego z nich, gdyby moja robota nie wisiała na włosku.

– Już mam numer. Zapiszę namiary tego schroniska. Może potem...

– Dzwoń do nich. Pudełko jest pod samym znakiem, nie wyleżą z niego. Ja muszę już pędzić.

– Jasne. Krajowa, znak, że za kilometr Nadbrzeźnica?

– Zgadza się. Do zobaczenia wieczorem.

Westchnięcie. Tak jak szczenięta rozkosznie piszczą, tak kobiety wymownie wzdychają.

– Gdybyś się jednak skusił na jednego...

– Liza. To kilkudniowe szczeniaki. Szczerze wątpię, czy dociągną do jutra. Niech ludzie ze schroniska się pospieszą i wezmą cholerne smoczki.

Wrócił do auta i uruchomił silnik. Jeszcze raz zerknął w stronę pudełka.

– Muszę kończyć. Naprawdę się spieszę.

– Przepraszam, już dzwonię. Daj znać, gdy tylko dojedziesz.

– Dam. Kocham cię.

Wiedział, że Liza powie „ja ciebie bardziej”, ale w tym momencie już odsunął telefon od ucha. Rozłączył się i wyjechał na drogę główną. Z szutrem auto poradziło sobie bez problemu. Może niepotrzebnie się na nie dąsał. Dawało przecież niesamowitą frajdę z jazdy, a poza tym w obecnej sytuacji nie było go stać na nic lepszego.

Skupił się na prowadzeniu i szybko zapomniał o szczeniętach. Po obu stronach drogi ciągnął się gęsty, intensywnie zielony las. Od kilku minut Michał nie minął żadnego auta, co ze względu na porę było co najmniej dziwne. Jeżeli trasę zablokował jakiś wypadek, mężczyzna był ugotowany. Włączył nawigację, aby sprawdzić najnowsze informacje, lecz urządzenie nie miało zasięgu. Z technicznego punktu widzenia nie było to prawdopodobne, a wręcz – było zupełnie niemożliwe.

*Connecting...*

Radio wydało z siebie szmer trzasków, oznajmiając, że znalazł się w samym środku pustkowia. Podgdański



trójką bermudzki, do kurwy nędzy.

*– Warto nadmienić, że również każdy z nas ma w sobie jej pewien zasób. Produkuje je szyszynka, maleńki gruczoł...*

Zaraz, co jest?! Przecież to już było. Czy te gnoje powtarzają audycję? Usłyszał za sobą piski szczeniąt. Tego było za wiele. Odwrócił się w stronę tylnej kanapy i wstrzymał oddech.

Zamrugął.

W ułamku sekundy świat się zassał, rozjaśnił i skurczył do innej rzeczywistości. Poczł się, jakby prosto w oczy zaświeciła mu latarnia morska. Zawrót głowy był tak silny, że zebrało mu się na wymioty.

Pisk szczeniąt okazał się piszczeniem metalowego odłamka, który zwisał z dachu. Chociaż nie do końca... Dach znajdował się pod jego nogami, lecz zdrtwiałe dłonie dotykały skórzanej podsufitki. Wokół palców skrzyły się czerwone krople. Jak sople krwistego lodu zastygły, by zaraz się rozpuścić i poznać materiał brudnymi smugami. Zrobiło się bardzo zimno.

Myśli Kasprzyckiego pędziły jak na obłądnym rollercoasterze, lecz kolejne wagoniki wypadały z trasy. Gubiły się i rozplwały. Chciał głęboko zaczerpnąć powietrza, ale z jego gardła dobiegło jedynie zduszone rżenie. Znowu poczuł intensywny zapach benzyny. Jej mdły posmak oblepił mu przełyk, jednak nie miał dość siły, by splunąć.

Radio trzeszczało z różną głośnością, jakby ktoś się nią bawił. Niewidoczna dłoń kręciła pokrętłem. Nagle sygnał się wyostrzył i kabinę pojazdu wypełnił czysty śpiew Edyty Geppert.

*A ostatni smutek jest o to,  
Że człowiek jedzie, a pies musi biec piechotą.  
Lecz wystarczy pieskowi dać mleczko  
I już nie ma smuteczków nad rzeczką...*

Ostatnie dźwięki porwał szum zakłóceń, ale mężczyzna znał ten fragment na pamięć. Gdyby nie krew zbierająca się w jego gardle, mógłby go nawet zanucić.

To byłyby jego ostatnie słowa. Audycja, której wysłuchał, wcale nie była do dupy. Rzeczywiście, w ostatnich chwilach życia uwalniają się rezerwy hormonów. Ułamek sekundy przed wybuchem zbiornika z benzyną Michał Kasprzycki uśmiechnął się. Być może zyskał nawet dar jasnowidzenia. Być może właśnie rozkładała się jego szyszynka. Ale nie było przy nim nikogo, komu mógłby o tym opowiedzieć.

Lęk jest zdrową reakcją organizmu. Wyostrza zmysły, przygotowuje do odparcia ataku lub do ucieczki. Pozwala przeżyć. Jednak przesadny lęk paraliżuje, tłamsi zdolność obrony, a w skrajnych przypadkach może doprowadzić nawet do zgonu. Psychiatryzy nazywają go lękiem napadowym. Pojawia się znikąd i oplata swoją zdobycz demonicznymi szponami. Nagły wzrost stężenia adrenaliny przyspiesza rytm serca i stanowi jasną zapowiedź rychłego zawału, którego najbardziej charakterystycznym objawem jest silny ból w klatce piersiowej, tuż za mostkiem. Zazwyczaj przypomina pieczenie lub ucisk, które trwają kilkadziesiąt minut, narastając z każdą chwilą. Zdarza się, że promieniuje aż do krtani, a czasem i dalej, przejmując we władanie całą lewą rękę ofiary.

Olgierd Lipta nie wiedział, czy Felczyńskiego zabił lęk. Nie wiedział nawet, jak Felczyński miał na imię. Właśnie stracił pacjenta. Jednego z kilkunastu tygodniowo i kilkuset rocznie. Pacjent, numerek, człowiek. Lipta walczył do końca, lecz musiał się poddać. Niemal godzinna reanimacja nie była w stanie przywrócić życia czterdziestoletniemu, niepalącemu adwokatowi. Tyle o nim wiedział. Personel lubił takie ciekawostki, zebrane podczas wywiadu. Prześcieradło zarzucono na postawną, wysportowaną sylwetkę człowieka, o którym kilka godzin wcześniej powiedziano by, że jest okazem zdrowia i uosobieniem sił witalnych. Pojawiał się

w mediach, przemieszczał nafaszerowanymi gadżetami mercedesem, regularnie chodził na basen, gdzie przepływał równy kilometr, a następnie wypacał brudy swojego fachu w leczniczej saunie. Gdyby zabił go strach, byłoby to bardziej humanitarne od poddania się zwykłej miążdźcy.

Godzina zgonu: czwarta sześć nad ranem.

Nocne wezwania zakończone podobnym lakonicznym stwierdzeniem niezmiennie napawały go przygnębieniem. Oto wyrwany telefonem w środku nocy jechał, aby stoczyć walkę, w której nie chodziło o pas mistrzowski. Sam stanowił jedynie tło, a po pojedynku to nie jego rękę podnoszono w tryumfalnym geście. Pacjent zmarł, a jego ponownie dopadło poczucie bezsensu. Tym bardziej że sam miał czterdzieści jeden lat, trzy razy w tygodniu przebiegał po osiem kilometrów i nie palił papierosów. Pił też umiarkowanie. Z rozsądkiem, jak powiedziałaaby jego babka. Dyżury pod telefonem potrafiły jednak wykończyć.

Parkingowy podniósł szlaban, ale w ostatniej chwili wyszedł ze swojej budki i machnął w jego stronę. Lipta opuścił szybę. Chciał jak najszybciej wrócić do domu.

– Nie ma pan flaka, doktorze?

Elektroniczny system pokazywał, że wszystko jest w porządku. Mimo tego Lipta wysiadł z auta i zerknął na oponę, którą wskazywał chudy jak szczapa stróż.

Rzeczywiście, w żółtym świetle latarni wydawało się, że wypełnia ją zbyt mało powietrza.

– Cholera... – Lipta przegładził palcami gumę, ale nie wyczuł nierówności. Nie było widać żadnych uszkodzeń.

– Może to tylko ciśnienie?

– Komputer pokazuje, że wszystko w porządku...

– Nafaszerują te auta techniką, a sam pan widzi. Jest kapeć.

W tonie podstarzałego chudzielca wyczuwał ironię. Gapił się na oponę, z której z całą pewnością uszło powietrze, a bredził o komputerze, jakby ten był nieomylną wyrocznią.

– Pojadę na stację i sprawdzę. Dzięki.

Zirytowany wrócił do auta i trzasnął drzwiami. Jeszcze raz przełączył systemowe ekrany podglądu. Nagle mrugnęła czerwona ikonka. Ciśnienie w przedniej, lewej oponie spadło do półtora bara. Graniczna wartość, jazda, przy której narażała felgę na odkształcenia. Ryzyko było niewielkie. Do stacji miał niespełna kilkaset metrów, a na założenie dojazdówki poświęciłby zbyt wiele czasu. Zabawa z zestawem naprawczym też mu się nie uśmiechała. O tej porze miał jeszcze szansę wrócić do domu i zdrzemnąć się chwilę przed powrotem na poranną zmianę.

Machnął do parkingowego i powoli wyjechał na główną ulicę. Kilka minut później, wzdychając, odnotował, że opona nie została uszkodzona.

Z niezrozumiałych względów zeszło z niej po prostu powietrze. Dwa razy odczekał, upewniając się, że ciśnienie pozostanie w normie, wreszcie odłożył gumowy przewód miernika i ruszył w stronę budynku stacji. Skoro stracił już kwadrans snu, strata kolejnych pięciu minut była bez znaczenia. Smak hot doga z sosem tysiąca wysp w pełni ją rekompensował, a co więcej, pozwalał zaoszczędzić czas przeznaczony na przyrządzenie i zjedzenie śniadania. Po solidnej porcji bułki z parówką z całą pewnością nie będzie miał na nie ochoty. A co do zdrowotności... No cóż. Nie należało być przesadnie drobiazgowym.

Dokładnie o czwartej trzydzieści dwie Olgierd Lipta wytarł umazane sosem palce w papierową serwetkę i wyrzucił ją do kosza. Dwanaście minut później zaparkował sportowe auto w podziemiach trzypiętrowego apartamentowca. Jeszcze raz zerknął na oponę, ale wszystko wydawało się być w porządku. Elektroniczny system również to potwierdzał.

– Pieprzyć systemy elektroniczne – syknął do siebie.

Obszedł auto, wyciągnął z bagażnika skórzaną teczkę i ruszył do windy. Na stałe zapalone były jedynie reflektory wzdłuż głównej alei parkingu, a światło przy bocznych stanowiskach uruchamiało się, gdy czujniki zarejestrowały ruch. W godzinach szczytu rozwiązanie wydawało się idiotyczne, bo co chwilę rozbłyskiwały inne fragmenty podziemi. W godzinach nocnych, kiedy

przemierzało się parking w pojedynkę, napawało niepokojem.

Cyk.

Zamigotały żarówki przed nim.

Klik.

Lampa z tyłu spełniła już swoje zadanie.

Ciągle zmiany kąta padania światła wywoływały przesuwanie się spazmatycznie po dziesiątkach aut cienie, które gięły się i wiły w obłych zakątkach karoserii. Wpełzały, chowając się pod ich podwoziami.

Echo niosło kroki Lipty, jakby podziemia przemierzała cała kompania wojska. Poza nim jedynym odgłosem był szum wody w zawieszonych pod stropem rurach. Ktoś już obudził się do życia. A może, tak jak on, właśnie wrócił do mieszkania i wziął prysznic przed wskoczeniem do nagrzanego przez żonę łóżka.

Lipta przywołał windę. Jej kabina zjechała bezszelestnie. Przez kilka sekund, kiedy stał nieruchomo, czujniki światła zdążyły o nim zapomnieć. Ostatnia lampa, zawieszona tuż nad jego głową, zgasła. Zniecierpliwiony, machnął ręką. W tej samej chwili rozsunęły się metalowe drzwi i brzęknął zapraszający do środka dzwonek.

W windzie pachniało mdłymi damskimi perfumami. Stara panna z ostatniego piętra liczyła na to, że wylewając na siebie cały ich flakonik, zdoła usidlić każdego napotkanego mężczyznę. Trwało to co najmniej

od trzech miesięcy, a jedynym efektem była permanentna woń wypełniająca korytarze budynku, włączająca w każdy zakamarek i nasączająca wykładziny.

Świństwo.

Winda ruszyła. Lipta przejrzał się w lustrze pokrywającym jedną z jej ścian. Miał podkrążone oczy, zmierzwił włosy i ciemną szczecinę zarostu, który zdążył urosnąć przez ostatnią dobę. W bladym świetle ledowej żarówki jego skóra przybrała kolor mleka zmieszanego z jogurtem jagodowym. Wyglądał na chorego. Winda zaczęła wyhamowywać. Wreszcie drzwi się rozsunęły, a dzwonek dał sygnał pożegnania. Taki sam jak ten, który przed chwilą zapraszał go do środka. Kwestia interpretacji.

Na piętrze znajdowały się cztery mieszkania, otaczające niewielki prostokąt wspólnego korytarza. Również tutaj światła uruchamiały się, kiedy czujniki wykryły zmianę temperatury. Właśnie tym był dla nich ruch.

Lipta wyciągnął z teczki klucze i nimi potrząsnął. Jak na złość ten właściwy wiecznie zahaczał się o resztę. Już dawno planował odłączyć go od całego pęku. Oczywiście, nigdy nie było na to czasu.

Przeszedł obok rzędu butów ustawionych przy wycieracze sąsiada i zdał sobie sprawę, że coś się nie zgadza. Nie chodziło o liczbę par ani bałagan. Dopiero po chwili jego umysł zarejestrował, w czym rzecz. Kolejne



drzwi, opatrzone mosiężną tabliczką z numerem siedemnaście, były uchylone. Mieszkanie, w którym od ponad roku nikt nie mieszkał, nie miało prawa być otwarte. Właściciele przeprowadzili się do stolicy, a lokal był ich inwestycją na przyszłość. Wynajem ich nie interesował. Poprosili Liptę, aby w miarę możliwości zwracał na nie uwagę, co właściwie ograniczało się do zerknięcia na drzwi, ewentualnie – z zewnątrz na balkon.

Zawsze mogli wrócić.

Światło w środku było jednak zgaszone.

Może nie domknęli drzwi i poszli spać.

Kiedy przed niespełna trzema godzinami wychodził na telefoniczne wezwanie, były zamknięte.

Śpieszył się. Mógł to przegapić.

Podciągnął rękaw płaszcza i sprawdził godzinę. Za trzy piąta. W sam raz, aby jeszcze chwilę się zdrzemnąć.

Zrobił krok do przodu i zastukał. Odpowiedziała mu cisza. Westchnął i zdenerwowany zapukał ponownie. Nie wiedział nawet, czy w mieszkaniu znajdowały się jakiegokolwiek sprzęty. Właściciele mogli wszystko zabrać ze sobą, co wydawało mu się najrozsądniejsze. Nasłuchiwał przez kilka sekund. Znowu nic.

Z irytacją pchnął drzwi. Przez niedomknięte żaluzje do środka wpadał poranny brzask, rozświetlając zupełnie pusty przedpokój. Naga czarno-biała terakota skrzyła się w subtelnym świetle. Z tej pozycji Lipta nie widział

niczego więcej. Bezwiednie napinając mięśnie, przestąpił próg i zerknął w głąb mieszkania.

Światło za nim ponownie się włączyło.

Klik.

Cyk.

Nie musiał wchodzić dalej.

– O kurwa...

Tym razem to na jego czterdziestoletnim sercu lęk zacisnął swoją morderczą dłoń.

### 3.

Deszczowy pies znowu dopadł ją w środku nocy i nie pozwoli się odgonić przez wiele następnych dni. Będzie warczał i skomlał, i nie odstąpi jej nawet na krok. Była tego pewna.

Z mnóstwa wizyt u lekarza terapeuty wyniosła umiejętność obrazowania nadciągającego przygnębienia, stos recept i w miarę głębokie przeświadczenie, że nie jest tak źle, aby za najlepsze lekarstwo uznała służbowego glocka. Kiedyś zresztą otarła się o tę myśl.

W ostatniej chwili zrozumiała, że deszczowego psa nie powinna się bać. Musi go tylko zobaczyć. Po raz pierwszy pojawił się w dniu, kiedy psycholog kazał jej przyrównać

samopoczucie do dowolnego przedmiotu lub sytuacji. Nie mówił, że będzie to proste. Nie mówił, że w jakikolwiek sposób poczuje się dzięki temu lepiej. Zmrużył jedynie mętne oczka i czekał. Kiedy nie odzywała się przez zbyt długą chwilę, złożył dłonie w piramidkę, a po kolejnych kilkudziesięciu sekundach pochylił się w fotelu. Był to ruch niemal niezauważalny. Terapeuta odchylił się ledwie o kilka stopni od skórzanego oparcia, lecz zrobił wszystko, by skupić na sobie pełną uwagę. Znała tę technikę, a jednak jak dziecko jej uległa. Musiała coś powiedzieć, a pierwsza myśl wiązała się z podświadomym, pierwotnym skojarzeniem. W żadnej innej sytuacji nie pozwoliłaby mu przedrzeć się do realnego świata.

Smutek był jak deszczowy pies.

Za każdym razem wskakiwał na nią, przewracał i stojąc łapami na jej piersiach, otrzepywał się, rozbryzgując wokół grudy błota i strzępy zmierzwionej sierści. Nie lizał jej radośnie po dłoniach ani nie merdał ogonem. Odsłaniając kły, warczał tuż przy jej twarzy. Wibracje wściekłego bulgotu roznosiły się po całym jej ciele. Skóra była membraną tego, co tkwiło w najbardziej ukrytym zakątku jej duszy. To właśnie ten warkot powodował wewnętrzne napięcie i przewlekłe rozdrażnienie. Strużki psiej śliny szpeciły jej twarz, zmuszając do odwracania się od ludzi. Nie mogła ich niczym zetrzeć.

Z pewnej perspektywy mogło się to wydawać śmieszne. Kiedyś z całą pewnością rozbawiłoby ją do łez. Obrazowanie problemu? Deszczowe psy? To była abstrakcja.

Terapia nie różniła się niczym od policyjnych przesłuchań. Pacjenta należało traktować jak podejrzanego. Główny cel stanowiło wyłuskanie z niego najpilniej skrywanych sekretów. Można by wręcz pomyśleć, że psycholodzy korzystali z instrukcji sporządzonych przez FBI lub CBS, choć robili to znacznie rozważniej niż ich funkcjonariusze.

Przesłuchiwany jest najważniejszy. Traktuj go jak partnera, a nie jak wroga. Zrób wszystko, aby czuł się bezpiecznie i swobodnie. Nigdy nie miej przy sobie widocznej broni. Jeżeli rozpoczynasz z pozycji siły, w ponad pięćdziesięciu procentach przypadków właśnie przegrałeś.

Również gabinet terapeutyczny miał wiele wspólnego z pokojem przesłuchań. Już po pierwszej wizycie mogła odtworzyć w pamięci każdy jego szczegół. Jasne ściany, wbrew telewizyjnym schematom niewiele sprzętów, opuszczone żaluzje. Został doskonale wyciszony, aby rozmowy nie mącił nawet najdrobniejszy odgłos z zewnątrz i aby nie opuściła go żadna tajemnica. Prawdziwa twierdza wyznań, gwarantująca, że zachowa w swych murach wszelkie sekrety.

Nie zgadzały się jedynie wymiary. FBI przeprowadziło tysiące eksperymentów, które pozwoliły ustalić doskonale proporcje pokojów przesłuchań. Jednoznacznie stwierdzono, że powinny mierzyć dokładnie dwa metry i siedemdziesiąt centymetrów na trzy i pół metra. Gabinet terapeutyczny był jednak sporo większy. Dwu-, może nawet niemal trzykrotnie. Mimo to siedziała naprawdę blisko terapeuty i nie dzielił ich żaden przedmiot. Otwarta przestrzeń pozwalała na obserwację gestów, drżenia nóg oraz mimiki.

Dokładnie o to samo chodziło podczas przesłuchań.

Nawet sposób prowadzenia terapii przypominał techniki opisane w podręcznikach dla śledczych. Okazuj zainteresowanie rozmówcy. Porozumiewawcze „mhm” jest doskonałą formą nakłonienia go do rozwinięcia myśli. Rób wszystko, aby przesłuchiwany się przed tobą otworzył. „Wiem, że trudno ci o tym mówić”, „Nie jestem pewny, czy dobrze zrozumiałem...”, te same schematy i chwytły. Eufemistyczne nazywanie śmierci „odejściem”, a wypadku – „zdarzeniem” lub „incydentem” stanowiło odbicie zakazu dosadnego traktowania popełnionych czynów. „Wziąłeś te pieniądze z kasy?” zamiast „Ukradłeś tę cholerną forszę?”.

Deszczowy pies nie był jednak eufemizmem. Był prawdziwy. Namacalny.

Stał na jej piersi i nie pozwalał zaczerpnąć tchu.

Liza Langer otworzyła oczy. Sięgnęła po leżący na szafce nocnej telefon i odblokowała ekran. Pięta dwadzieścia cztery. Za trzydzieści sześć minut martwą ciszę brutalnie przetnie wrzask budzika. Czy to w ogóle miało znaczenie? Miało. Codzienne funkcjonowanie utrzymywało ją przy zdrowych zmysłach. Zgodnie z zaleceniami terapeuty wtłoczyła się w sztywne ramy rytuałów, które wypełniały jej całą dobę. Ścisłe godziny posiłków, kaw, które były przerywnikami, krótkich gimnastyk, wypalanych papierosów...

O ile tylko praca jej na to pozwalała, żyła od rytuału do rytuału. Pomiedzy nimi mogła zapaść w odmęty katatonicznego otępienia, ale zawsze widziała przed sobą kolejny cel. Pora mycia zębów, odsłonięcia rolet, przekręcenia zamka w drzwiach była tak samo istotna jak wszystkie inne etapy życia. Poczucie i umieranie. Urodziny osiemnaste i dziewięćdziesiąte. Pozostałe do wrzasku budzika trzydzieści sześć minut powinna spędzić w łóżku, gorączkowo starając się zasnąć. Tym razem wiedziała, że to niemożliwe. Sen stracił ją do najgłębszego dołu, po którego krawędziach musiała się mozolnie wspinać, aby w ogóle rozpocząć dzień. Wstanie z łóżka okaże się cięższe niż kiedykolwiek. Ale później będzie tylko lepiej. W dni, gdy przychodził deszczowy pies, to właśnie poranki były najgorsze.

Liza spojrzała w stronę niewielkiego okna. Światło brzasku przeciekało już przez miodową roletę

i rozpraszało się po pomieszczeniu. Po raz pierwszy od prawie tygodnia dzień nie rozpoczynał się od wiosennej ulewy. Nie budził Lizy łomotem o cienki dach przyczepy kempingowej, a wiatr nie starał się zdmuchnąć tego prowizorycznego domu. Mieszkała tu od ponad pół roku. Wiedzioną potrzebą przewrócenia swojego życia do góry nogami, sprzedała dwa niewielkie pokoje na blokowisku Wrzeszcza i zakotwiczyła na Stogach. Być może ta podjęta spontanicznie decyzja uratowała jej życie.

Kątem oka zauważyła, że ekran telefonu zamrugał. Chwilę później pomieszczenie wypełnił upiorny kobiecy krzyk. Trwał niespełna trzy sekundy i powtórzył się, zapętłony w elektronicznych tonach dzwonka. Langer wciąż patrzyła w okno. Przez lufcik wpadały delikatne powiewy wiatru, które wprawiały w ruch roletę. Materiał szeleścił, ocierając się o ścianę.

Krzyk był jednak głośniejszy.

Nie odrywając wzroku od okna, sięgnęła po telefon. Odebrała połączenie, ale się nie odezwała.

– Langer, jesteś tam?

Inspektor Romuald Siwecki zawsze mówił podniesionym tonem. Nawet jeżeli opowiadał o wakacjach spędzonych z żoną w kurorcie nad Atlantykiem, niemalże krzyczał.

– Halo!

Liza odsunęła aparat od ucha na kilka centymetrów.

– Jeszcze nie ogłuchłam.

– To czemu się, do cholery, nie odzywasz? Mamy pieprzony pożar, potrzebuję cię natychmiast.

– A ponoć nie jesteśmy ze straży pożarnej...

– Nie filozofuj, tylko pakuj manatki i zasuważ do roboty. Naprawdę, nie musisz mi dziękować.

– A za co miałabym niby...

– Za swoje pierwsze zabójstwo. Chciałaś czegoś większego od pieprzonej wybitej szyby, to masz.

– Ale...

Siwecki rzucił jeszcze adres i się rozłączył. Langer odłożyła telefon, wciąż patrząc na falującą roletę. Zabójstwo? Deszczowy pies otrząsnął się w jej pokoju, jak zawsze sprowadzając kłopoty.

Choć chyba od dawna pakowała się w nie z premedytacją.

#### 4.

– Drzwi balkonowe były zamknięte.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Przecież...

– Świadczy tylko o tym, że sprawca nimi nie wyszedł.

A skoro na korytarzu ani w windzie nie ma kamer, nie robiło mu to żadnej różnicy.



Langer nie sądziła, żeby ktokolwiek dostał się do mieszkania na drugim piętrze przez balkon, lecz nie zamierzała odrzucać nawet najbardziej kuriozalnej teorii. Zbadanie zamka i zdjęcie śladów z balkonu nie wymagały zachodu wartego kilkuminutowej utarczki. Technicy najwyraźniej testowali jej zdolność do samodzielnego sprawowania nadzoru nad świeżo przydzieloną sprawą. Ich wątpliwości były zresztą uzasadnione, bo odkąd znalazła się na miejscu i zrozumiała, że musi dowodzić całym zespołem, miała gulę w gardle. Upierdliwość była jedną z metod, by rozładować stres, a utyskiwania podwładnych musiała traktować jak telepawkę dziecka z ADHD. Ubrany w kombinezon ochronny mężczyzna wzruszył ramionami. Miał co najwyżej trzydzieści pięć lat, ale od dawna spotykali się na miejscach przestępstw. Z tą różnicą, że nigdy dotąd nie wydawała mu rozkazów. Najbardziej polecenia, rzucane przez innych komisarzy, wykonywał zawsze bez zająknięcia. I z całą pewnością nie chodziło o ich wiek, bo niektórzy byli młodsi od Langer. W takim razie dlaczego? Nie była seksistką, ale z prawdziwą przyjemnością nakazała mu dokładne sprawdzenie balkonu. Milimetr po milimetrze. Drobnostka, która potrafiła ułagodzić nawet skowyt deszczowego psa.

I tak już od prawie godziny sterczała na korytarzu przed wejściem do feralnego mieszkania, żeby nie utrudniać pracy technikom. Inspektor Siwecki

wprowadził ją w sprawę, przedstawił reszcie zespołu, którego członków znała od lat, i po pocieszającym klepinięciu w ramię zostawił jako dowódcę na placu boju. Tym ukradkowym gestem została pasowana na rycerza. Albo raczej dostała solidnego kopniaka w tyłek, wypychającego ją na ring.

Od tego czasu gniotła w dłoni papierosa, którego powinna zapalić tuż po śniadaniu. Oba rytuały odeszły w zapomnienie. Aby zachować pozory opanowania, musiała posłużyć się ich namiastką. Z braku wyboru za substrat pierwszego posiłku musiały jej posłużyć truskawkowe tic taki. Prawdę mówiąc, po pochłonięciu połowy opakowania miała ich serdecznie dość.

– To doktor Lipta. – Z zamyślenia wyrwał ją nosowy głos jednego z sierżantów. – Jest już gotowy.

Obróciła się w stronę korytarza. Przed drzwiami sąsiedniego mieszkania stało dwóch mężczyzn. Smagły jak Cygan policjant niezgrabnym gestem wskazywał na przystojnego czterdziestolatka. Mimo że sprawiał on wrażenie, jakby właśnie ukończył bieg triatlonowy, zmusił się do uśmiechu.

– Przykro mi poznawać się w takich okolicznościach...  
– Langer schowała papierosa do kieszeni i przedstawiła się, podając mu rękę. – Obawiam się zresztą, że to nie będzie jedyne nasze spotkanie.

Lekarz zbył tę uwagę chrząknięciem.

– Słyszałam, że to pan... – Langer szukała odpowiedniego słowa – ...zanieczyścił ślady.

Wprawienie w zażenowanie z całą pewnością nie było zalecaną techniką śledczą. Jednak zażenowani ludzie starają się znaleźć usprawiedliwienie, a dzięki temu przypominają sobie rozmaite szczegóły. Przynajmniej Langer miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Sierżant popatrzył na nią z dezaprobatą, ale nie odważył się odezwać. Kurtuazyjnie usunął się na bok, korzystając z okazji przytrzymania drzwi wychodzącemu technikowi.

Lekarz natomiast wbił wzrok w wypolerowaną posadzkę.

– Zwymiotowałem...

– W pańskim zawodzie kontakt ze zwłokami to chyba nic nadzwyczajnego?

– W szpitalu. Nie w cholernym mieszkaniu za ścianą. Poza tym...

– Tak?

– Wcześniej zemdleł mnie smród perfum w windzie.

– Smród perfum?

– Sąsiadka z góry chyba się w nich kąpie. Wie pani, w ten sposób chce...

Mężczyzna przerwał. Langer nie zamierzała jednak zostawić tematu.

– Czego chce?

– Sam nie wiem. – Lipta wreszcie skierował na nią spojrzenie. – Chyba jechała pani windą, to...

– Nie. Weszłam po schodach. Windę musieliśmy chwilowo unieruchomić. W niej również zabezpieczamy ewentualne ślady.

– Aha.

„Aha” lekarza wcale nie było nastawione na podtrzymanie rozmowy.

– Czy poza ponownym zaserwowaniem ostatniego posiłku czegoś pan dotykał? Ruszał pan ciało? Może próbował reanimacji?

– Proszę nie żartować! – Lipta otarł dłońmi twarz. – Widziała pani w ogóle tego trupa?

– Nie.

– Nie? Zadaje pani pytania, a nie oglądała jeszcze ofiary?

– Na wszystko jest czas. – Langer o kilka centymetrów zmniejszyła dzielący ich dystans. – Dlaczego mówi pan o ofierze?

– A woli pani ładniejsze słowa? „Denat”? „Nieboszczyk”? Może „trupek”?

Lekarz podniósł głos, lecz zaraz się opanował. Odchylił głowę do tyłu i przeczesał palcami kruczoczarne, kręcone włosy. Langer dostrzegła kępki nierówno ogolonego zarostu na jego szyi.

– To nie są synonimy – mruknęła znacząco.

– Słucham?

– Jest różnica pomiędzy nieboszczykiem a ofiarą. Statystyczny nieboszczyk umiera na szpitalnym łóżku, otoczony rodziną. Chyba pan coś o tym wie.

– Obstawiam, że do takiego statystycznego nieboszczyka nie przyjeżdża też pół komendy.

– Trafnie. – Langer cmoknęła. – Naprawdę trafnie.

– Po co więc te cholerne dygresje?

– A po co zaraz nerwy?

– Bo...

Nie dała mu skończyć.

– Niech mi pan pozwoli wszystko sobie zobrazować.  
Scena po scenie.

Lipta zaczerpnął powietrza. Przez chwilę przytrzymał je w ustach, wydymając policzki. Najwyraźniej hamował się w ten sposób przed wyrzuceniem potoku przekleństw.

– A więc nie dotykał pan... ofiary? – Langer zmrużyła oczy. – Jeżeli pan sobie teraz wszystko przypomni, zaoszczędzimy sporo czasu.

– Na Boga, nie dotykałem!

– Ustalmy więc kolejność. Wszedł pan tylko do przedpokoju?

– Tak.

– Zobaczył pan trupa, zwymiotował i natychmiast zawiadomił policję?

– W zasadzie tak.

– W zasadzie?

– Jeżeli dba pani o każdy pieprzony szczegół, to zanim się porzygałem, zdążyłem jeszcze przysłonić dłonią usta.

Gdyby nie wzrok deszczowego psa, Langer uśmiechnęłaby się przynajmniej w duchu. Szczegóły. Rzeczywiście zaczęli mówić o pieprzonych szczegółach. Przesunęła się, robiąc miejsce dwóm mężczyznom wynoszącym z mieszkania rozkładane statywy i reflektory. Technicy kończyli robotę na miejscu zdarzenia. W pustych pomieszczeniach mieli ułatwione zadanie.

Odwróciła się do lekarza. Złożyła dłonie jak do modlitwy i przytknęła środkowe palce do nosa.

– Drzwi były otwarte na oścież czy tylko przymknięte?

– Uchylone.

– Na jaką szerokość?

– Wsunętej stopy, może nieco więcej. Tak mi się zdaje.

– Hmm...

– Co w tym dziwnego?

Liza wzruszyła ramionami.

– Zazwyczaj nie utrzymują się długo w takiej pozycji. Albo zamyka je przeciąg, albo opadają przez luzy w zawiasach.

– Mówię, co widziałem.

– A ja temu nie zaprzeczam.

– Tylko?

Langer opuściła dłonie i włożyła je do kieszeni. Zdała sobie sprawę, że złamała schowanego wcześniej papierosa.

– Cholera – warknęła, rozcierając w palcach tytoń. – Niech to szlag!

Kardiolog popatrzył na nią uważnie.

– Co się stało?

Nie zwróciła uwagi na jego pytanie.

– Na którym piętrze była winda, kiedy ją pan przywołał?

– Nie wiem. Po prostu nie pamiętam...

– Ale otworzyła się od razu czy musiał pan czekać?

Lipta przymknął na chwilę oczy. Nie był to jednak odruch człowieka, który się zastanawia. Z trudem opierał się senności.

– Czekałem – odparł po chwili. – Pamiętam, że zgasło światło. Czujka wykrywa ruch, więc musiałem tak stać co najmniej kilka sekund.

– A kiedy zjechała, poczuł pan w kabinie woń perfum?

– Raczej smród.

– Jest pan pewny, że właśnie tych, których używa pańska sąsiadka? Z całym szacunkiem, ale dla mężczyzny woda toaletowa to zazwyczaj to samo, co woda z toalety.

– Sąsiadka z góry – sprecyzował pośpiesznie Lipta. – Z trzeciego piętra. Kilka razy byliśmy razem w windzie i proszę mi wierzyć, to śmierdzi gorzej niż woda z toalety. Choć może właśnie tak walą feromony.

Langer otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, lecz z mieszkania wyszedł ostatni członek ekipy kryminalistycznej. Puciołowaty mężczyzna o ciemnych, przetłuszczonych włosach przypominał Napoleona z angielskich karykatur. Miał rozpięty kombinezon, a w ręce trzymał zmięte rękawiczki. Brakowało, żeby w triumfalnym geście wsunął je pod połę ochronnego ubrania i przyłożył do wypiętego brzucha.

– Skończone – oznajmił ponuro. – Zapraszam do środka.

Gula w przełyku Langer urosła do poziomu krytycznego. Musiała zwolnić i spłycić oddech, aby do płuc dostała się jakakolwiek dawka tlenu. Zaschło jej w ustach, a język zdrętwiał. Już wcześniej mogła chociażby zerknąć do mieszkania, ale uparcie odsuwała ten moment. Właściwie powinno być jej wszystko jedno. Deszczowy pies zobojętniał ją tak samo na radości, jak i na problemy. Jedyne stres Lizy dotyczył tego, że musi żyć.

Tym razem było jednak inaczej. Może bardziej racjonalnie?

Nie bała się, lecz wciąż czuła zdenerwowanie. Choć nie tylko o nie chodziło. Przede wszystkim przeszywała ją głęboka ekscytacja, o której istnieniu już dawno zapomniała. Wreszcie pobudzał ją dreszcz pozytywnej, motywującej emocji.



Jasne, nie chciała spieprzyć swojej pierwszej poważnej sprawy. Wolała też nie być za pierwszym razem wrzuconą na zbyt głęboką wodę. W końcu nigdy nie rozważała śmierci przez utonięcie. Jednak przede wszystkim chodziło o prawdziwą, nakręcającą ekscytację i zaciekawienie tym, co się wydarzy.

Bez słowa odwróciła się od lekarza. Z tylnej kieszeni jeansów wyjęła paczkę tic taców i wsypała do ust kilka pastylek. W asyście technika oraz smagłego sierżanta ruszyła do mieszkania.

– Brawo – szepnął ten ostatni, kiedy tylko przekroczyli próg. – Zrobiłaś sobie z głównego świadka wroga.

– Esempe.

– Co takiego?

– Esempe. – Langer nawet nie starała się zniżyć tonu. – A konkretnie SMP. Skurwysyńska metoda przesłuchań.

Pchnęła mocniej drzwi i zatrzymała się przy płamie wymiocin. Następnie spojrzała w głąb mieszkania. Stała w tym samym miejscu, w którym musiał się znajdować Lipta, kiedy jego mięśnie nie powstrzymały wyrzutu treści pokarmowych.

Nic dziwnego. Mimo że jej wrażliwość na bodźce pozostawała stłumiona, doskonale go rozumiała.

## 5.

Denat leżał na plecach, a strzępy ubrania to było wszystko, co przypominało, że był człowiekiem. Tylko dlatego, że papkowata miazga wieńczyła odgiętą szyję, można ją było nazwać głową. Połamane kości twarzoczaszki poprzebijały skórę, przypominając obtłuczoną skorupkę jajka. Mózg wylał się i skleił ze zmierzwionymi włosami, a krew rozpląnęła na kształt postrzępionej aureoli. Usta nieboszczyka stanowiły ciemną, rozwartą dziurę, przez którą można było zajrzeć w głąb jego zdewastowanych wnętrzności. Zęby nie stanowiły przeszkody. Kilka z nich leżało rozrzuconych na terakocie, reszta zmieszała się z kościsto-mięsną mielonką. Połamane oczodoły zionęły lepką pustką.

Koszula opinająca nieruchomą pierś przybrała kolor zakrzepniętej krwi. Została rozcięta razem z powłokami brzuszными, z których wydarto trzewia i rozciągnięto je pomiędzy podkulonymi nogami. Jelita zawinięto tak, jak zawija się kiszki wołowe w lodówkach chłodniczych sklepów mięsnych. Kilka metrów kwadratowych terakoty zostało upapranych krwią oraz płynami ustrojowymi. Rdzawe mazaje znaczyły również pobliską ścianę, pomalowaną na piekielnie nudne, lecz modne w ostatnich latach écru. Wyglądały jak chaotyczne paćki malarza testującego właściwy dobór kolorów. Jednak malarze,

szczególnie pokojowi, rzadko wpadają w taki trans, by podczas pracy rozedrzeć cienki tynk i o powstałą szczelinę wydrzeć paznokieć. Razem z kawałkiem mięsa i skóry.

Ten obraz towarzyszył Langer przez kolejne godziny. Widziała już ofiary wypadków komunikacyjnych, samobójcę, który pocałował się z pociągiem, i nielota usiłującego wzbić się w powietrze z dachu wieżowca. A raczej to, co z nich zostało. Jednak żadne z tych marnych szczątków nie obrzydziły Langer w podobnym stopniu, co nieboszczyk odnaleziony dzisiejszego poranka. Właściwie obrzydzenie nie wiązało się z samymi szczątkami, a z bezbrzeżnym okrucieństwem ludzkiego działania. Plugawości rozmyślnego, sadystycznego postępowania szaleńca. Oczywiście było, że ten człowiek nie zrobił sobie tego sam.

Poza tym w pomieszczeniu utrzymywał się już wyczuwalny zapach śmierci, płynów ustrojowych i krwi. W ciągu kilku godzin rozniósłby się po całym piętrze i zatrzał je, wgryzając się w draperie i wykładziny. Rozkład zmasakrowanych zwłok następował znacznie szybciej niż u statystycznego nieboszczyka.

\* \* \*

– I co o tym myślisz?

Inspektor Siwecki utkwiał w niej skupione spojrzenie. Swoim zwyczajem zsunął okulary na sam czubek nosa

i patrzył sponad ich fotochromowych szkieł. Miał okrągłą twarz, łysą czaszkę i zaróżowione od nadciśnienia policzki. Starannie zawiązany węzeł krawata był tak zaciśnięty, że znad kołnierza koszuli wypływały fałdki skóry. Siedział w skórzanym fotelu, masywnymi rękami oparty o dębowe biurko. Przed nim ułożony był laptop, sterta luźnych papierów i kilka teczek. Szczyt piramidy wieńczyło pióro Watermana, złożone na aksamitnej wyściółce w otwartym firmowym futerale. Langer splotła ręce na piersi. Popatrzyła na czubki swoich czarnych tenisówek i przeniosła wzrok na szefa. Była zirytowana, że wezwał ją, kiedy nie zdążyła jeszcze zebrać myśli.

– Czekam na raport laboratorium, dopiero wtedy będzie można wyciągnąć pierwsze wnioski. Również wyniki sekcji powinny być jeszcze dzisiaj...

Siwecki odchylił się w fotelu. Skórzane oparcie stęknęło.

– Nie pytałem o to, czy masz już sprawcę, tylko co o tym myślisz.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Afekt. To pierwsze, co mi przychodzi do głowy. Wtedy można się spotkać z podobną brutalnością.

– A porachunki przestępcze?

– W Polsce tylko kilkukrotnie zdarzyło się, aby gangsterzy robili z zabójstwa pokazówkę.

– Ale się zdarzyło. Właściciel mieszkania był notowany.

– Ciągłe nie wiemy, czy to jego zwłoki. Po identyfikacji będzie można wziąć pod uwagę taką możliwość. Teraz to zwykle strzelanie ślepakami...

– Liza, ja po prostu chcę zobaczyć, że masz otwarty umysł. – Inspektor wyciągnął z szuflady tabakę i nasypał ją w zagłębienie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. – Takie sprawy to bagno. Trafiają się raz na kilka lat, ale potrafią schrzanić człowiekowi kawał życia.

Wciągnął tabakę i otarł nos. Langer nie zamierzała dać się podpuścić moralizatorskim tekstom. Nie chciała dywagować ani snuć teorii opartych jedynie na domysłach. To do niczego nie prowadziło, a później musiałaby się z nich wycofywać. Siwecki lubił takie gierki. Ona nie.

– Dziękuję za zaufanie. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Słucham?

– Dziękuję za to, że pamiętał pan o mnie, szukając osoby, której można schrzanić kawał życia.

– Ostatnim razem sama o to prosiłaś.

– I uznał pan, że nie jestem jeszcze gotowa.

– A teraz jesteś?

Inspektor nasunął okulary wyżej. Jego niebieskie oczy lustrowały ją zza przyciemnionych szkieł.

– Poradzę sobie.

– Podoba mi się ten optymizm. – Pokręcił głową i powstrzymał kichnięcie. – Twój cyrk, twoje małpy. Mnie

interesuje finalne rozliczenie. Prokuraturę na razie również, ale czas przedstawienia nie powinien...

Nim zdążył rozwinąć metaforę, przerwało mu pukanie. Nie czekając na zaproszenie, ktoś nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu.

– O, wreszcie jest! – Siwecki podniósł się z fotela i wyciągnął dłoń w stronę wysokiego blondyna. Wymienili solidne uściski. – To doktor Rembert. A to komisarz Langer.

Langer lakonicznie skinęła głową. Mężczyzna na zaproszenie inspektora przyciągnął do biurka krzesło. Miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur i śnieżnobiałą koszulę z czerwonymi guzikami. Dwa najwyższe były rozpięte. Poruszał się z lekkością tancerza, lecz jego ruchy sprawiały wrażenie nieskoordynowanych, jakby każda część jego ciała funkcjonowała bez porozumienia z resztą. Roztaczał wokół siebie aurę chaosu. Najpierw postawił krzesło obok fotela, na którym siedziała Langer, lecz po chwili je odwrócił i usiadł na nim okrakiem, opierając dłoń na oparciu. Siwecki nie wyglądał na zaskoczonego.

– Pozwolisz, że dorzucę do twojego cyrku jeszcze jedną małpę – mruknął w stronę komisarz. – Przepraszam, doktorze, za sformułowanie, ale właśnie zabawialiśmy się przenośniami...

– Cudownie mieć takiego tresera. – Rembert posłał Lizie szeroki uśmiech. – Oczywiście, również mówiąc

w przenośni.

Langer całkowicie go zignorowała. Utkwiła w Siweckim pytające spojrzenie. Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Inspektor odwrócił wzrok. Wreszcie klasnął i zatarł dłonie.

– No, dobrze. Należy się kilka słów wyjaśnienia – powiedział rzeczowym tonem. – Doktor Rembert jest psychologiem i prowadzi zajęcia na uczelni dla potencjalnych profilerów. Nie mieliście chyba jeszcze okazji razem pracować...

– Niestety, nie. – Blondyn bez wahania wszedł mu w słowo. – Ale lepiej późno niż później, jak to się mówi. Prawda?

– Otóż to.

Langer była innego zdania. Z zażenowaniem patrzyła na wymianę uśmiechów sześćdziesięcioletniego inspektora i zadufanego w sobie podrostka, który mógłby być jego synem. Choć z całej trupy tej małpie było najbliżej do oryginału.

– Jak dotąd mamy same dobre wspomnienia. – Siwecki kontynuował peany. – Analizy doktora pomogły w poszukiwaniach dwóch zaginionych kobiet... – Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. – W każdym razie nie współpracowaliśmy jeszcze przy zabójstwie.

– W Gdańsku – podkreślił Rembert.

– Tak, w Gdańsku. Doktor udzielał konsultacji w innych miastach. Nie tylko w Polsce.

– Zdarzyło się kilka razy...

– A ja, w przeciwieństwie do niektórych moich kolegów, nie traktuję pracy profilerą jak wróżenia z fusów.

– Chwała panu za to...

Langer odchrząknęła. Traciła właśnie czas. Zdała sobie sprawę, że tępo gapi się w wahadło elektrycznego zegara i od kilku minut nie słucha wymiany nachalnych uprzejmości.

– Co pan o tym myśli? – zapytała, spoglądając na Remberta.

– Jaki pan! – zaprotestował psycholog. – Orest. Bez zdrobnienia.

– To imię?

– No tak. Jak Orest Lenczyk.

– Kto?

– Ten trener...

Langer westchnęła.

– Co więc o tym myślisz, Oreście?

– Chodzi ci ogólnie o sprawę?

– Tak.

Ton komisarz stawał się coraz bardziej napastliwy i Siwecki poczuł się zobowiązany zareagować. Przesunął stos kartek, po czym z plaśnięciem położył ręce na lśniącej łysinie.



– Zdążyłeś już przejrzeć to, co ci przesłałem?

Jego koncyliacyjny ton jeszcze bardziej zirytował Langer. Posłała obu mężczyznom kpiące spojrzenie. Rembert pozostał niewzruszony, nonszalancko opierając się o oparcie krzesła.

– Na podstawie wstępnego raportu z miejsca zdarzenia i udostępnionych mi fotografii wygląda to raczej kiepsko – powiedział na jednym wydechu. – A w zasadzie znacznie gorzej niż kiepsko. Jeśli chodzi o rys psychologiczny, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent możemy być pewni tylko jednego.

Siwecki znowu poprawił okulary, jakby tajemniczym przewodem były połączone z jego aparatem słuchowym. Langer spodziewała się teraz usłyszeć jakiś tandetny tekst. Błyskawicznie obstawiła dwie opcje: „Tego, że ten człowiek nie żyje” lub „Tego, że to nie samobójstwo”. Mogłaby się o to nawet założyć. Dlatego zdziwiło ją, że Rembert przez kilka kolejnych sekund zachował kamienną twarz. Wreszcie przełknął ślinę i otworzył usta.

– Jeżeli nie będziemy mieć fartu, na tym trupie się nie skończy. Jak bum-cyk-cyk trafił się nam seryjny.

„Jak bum-cyk-cyk”.

To było uwłaczające. Siwecki zachowywał się, jakby obecność psychologa gwarantowała rozwiązanie sprawy. A przede wszystkim, jakby tylko dzięki jego zbawiennej asyście Langer była w stanie poradzić sobie z jej prowadzeniem. Nakazał im ścisłą współpracę, przydzielił Rembertowi pełne prawo do korzystania z biura komisarz jako lokum i zakończył dyskusję. Od tej pory formalnie umywał ręce i czekał na rezultaty. Odprawa, która miała na celu jedynie zapoznanie dwójki członków zespołu, dobiegła końca.

Liza szybko zrozumiała, że psycholog zamierza się zachowywać jak jej upiorny cień. Powlókł się za nią do gabinetu i z przymilnym uśmiechem zapytał, którą część dwustronnego biurka może przeznaczyć na swoje szpargały. Kiedy bez słowa zrobiła mu miejsce tam, gdzie dotąd siedziała, wyglądał na zaskoczonego.

– Nie chciałbym się tak panoszyć... – mruknął, rozglądając się po pomieszczeniu. – Wystarczy mi jedna szafka. Stołeczek i kawałek podłogi. Dwie, trzy klepki. Nie jestem wybredny.

– Naprawdę?

– Słowo honoru.

Langer wyjęła z szuflady paczkę papierosów i rzuciła ją na blat biurka.

– Jeśli w ogóle mamy dzielić gabinet, niech będzie sprawiedliwie.

– Coś takiego jakieś sto lat temu nazwali socjalizmem.  
Ale się nie sprawdziło.

– Już zrobiłam ci miejsce. Zasada jest taka, że nie dotykasz moich rzeczy.

– Skoro nalegasz...

– Jedynie wykonuję rozkazy.

– I tak nie będę tu spędzał wiele czasu.

– Trzymam za słowo.

Liza ucięła rozmowę, podłączając laptopa do gniazdka przy swojej nowo zaaranżowanej części biurka.

– Swoją drogą od dawna miałam usiąść twarzą w stronę okna.

Rembert obszedł mebel i oparł się o parapet. Najwyraźniej tylko w tej pozie miał poczucie komfortowego ułożenia dłoni. Gwizdnął przeciągle.

– Widok niczego sobie.

Jak na Gdańsk widok był żałośnie smutny. Biskupia Górka. Linie kolejowe, blokowisko, a za nimi – ceglaste zabudowania dawnego schroniska młodzieżowego z pozostałościami wieży zegarowej i wznającym się w niebo drutem anteny. Gdyby znajdowali się dwa piętra wyżej...

– Jesteś z Gdańska? – Langer odpaliła papierosa.

– Chodzi ci o to, czy się tutaj urodziłem?

– *Ja, genau.*

– Nie. – Rembert machnął ręką, odganiając od siebie kłęb dymu. – Musisz tu kopcić te rakowe pałeczki?

– Nie muszę, ale lubię.

– Zrobisz z nas tytoniową wędzonkę.

– Lepsze to od zostania zabitym przez przeciąg. –

Langer obeszła biurko i ostentacyjnie zamknęła uchylone dotąd okno. – Jeszcze jakieś pytania? A może zaczniemy koncert życzeń?

Rembert wzruszył ramionami. Nie wydawał się zdenerwowany. Wręcz przeciwnie, w jego spojrzeniu, co rusz rzucanym komisarz, pojawiło się jeszcze większe zainteresowanie. Uśmiechnął się i ruszył w stronę wyjścia.

– Zaraz wracam. Nie tęsknij.

Swoim giętym, chaotycznym krokiem wypadł na korytarz i znowu zagwizdał. Zbyt mocno pociągnięte drzwi rąbnęły o futrynę. Langer odczekała chwilę, a kiedy upewniła się, że Rembert odszedł, zgasła papierosa w doniczce z rachitycznym kaktusem. Stała przez chwilę, patrząc przez okno. Widok od dawna nie przykuwał jej uwagi. Kiedyś lubiła obserwować przejeżdżające pociągi, lecz teraz ich świst notorycznie ją dekoncentrował. Poza tym wiosna nie przywdziała jeszcze szczypiorkowych szat, a krajobraz wciąż prześwitywał przez bezlistną szarość. W słoneczny dzień natura wydawała się jeszcze bardziej naga.

Deszczowy pies się otrząsał, ochlapując Lizę przygnębieniem. Wiedziała o tym i czuła jego obecność tuż obok. Terapeuta zaleciłby jej serię ćwiczeń albo

nakazał powrót do leków. Czy naprawdę już do końca życia miała się szprycować, by polepszyć sobie humor? A może właśnie teraz była sobą. Trochę zła, trochę obojętna, ani trochę szczęśliwa. Świadoma swojego stanu na tyle, żeby nie otworzyć okna i nie rzucić się te kilka pięter w dół.

– Szlag by to – szepnęła do swojego odbicia. – Szlag by cię, kundlu.

Kiedy po kilku minutach Rembert wrócił, starała się opanować narastającą złość. Psycholog w prawej dłoni trzymał poprzecieraną skórzaną lekarską torbę, a lewą przyciskał do piersi dwa kubki parującej kawy. Dopiero teraz Langer przyjrzała się uważnie jego twarzy. Żadnych zmarszczek, niewiele zarostu, prosty nos. Gładka, różowawa cera blondyna, który, muśnięty słońcem, w ułamku sekundy nabiera kolorów dojrzałego pomidora. Wyłupiaste oczy stanowiły jedyny niedoskonały element tego wizerunku. Przypominały rybnie ślepia, które pilnie obserwują otaczający je świat, gotowe w każdej chwili wychwycić sygnał do ucieczki.

Mężczyzna postawił przed nią kubek kawy. Swoją natychmiast wypił duszkiem i zmiął tekturowe opakowanie.

– Obstawiałem, że lubisz czarną, mocną, bez cukru – powiedział, otwierając torbę. – Jak siekiera.

– O tej porze najlepiej podwójną.

Langer upiła łyk. Chciałaby powiedzieć, że tego jej było trzeba, ale nic się nie zmieniło. Czarny płyn nie wypłucze z niej szarości.

– Nie wiem, czy automat przewiduje takie udogodnienia.

– Automat nie, ale mój zestaw już tak.

Skinęła głową w stronę szafki, na której stały ekspres, kilka puszek kaw i herbat. Rembert pokręcił głową.

– Zawsze przygotowana, co?

Wyciągnął z torby tablet i podkładkę pod mysz. Ustawił je obok siebie. Następnie do sprzętów dołączyło urządzenie składające się z dwóch chromowanych prostokątów, pomiędzy którymi rozwieszono były metalowe kulki. Rembert odchylił skrajną z nich i puścił. Kulka z metalicznym trzaskiem uderzyła o następną, która się nie poruszyła, podobnie jak dwie kolejne. Zareagowała jednak ostatnia z nich. Na biurku rozgrywał się automatyczny mecz ping ponga przy użyciu stalowej piłeczki.

Stuk-puk. Stuk-puk.

– Zgłupiałeś? – Langer odstawiła kubek kawy tak, że kilka kropli napoju spadło dookoła. – Chcesz, żebym oszalała?

Rembert nie odrywał wzroku od zabawki.

– To kołyska Newtona.

– Może być i cholerne perpetuum mobile, ale ma stąd zniknąć.

– Zawrzyjmy pakt.

– Co takiego?

– Rakowe pałeczki albo to będzie się tłukło przez cały czas. Sama wspomniałaś o sprawiedliwości.

Langer bez słowa sięgnęła po paczkę mińsków. Wyciągnęła z niej papierosa i odpaliła go, przymykając oczy. Wypuściła kłąb dymu w stronę psychologa.

– Sprawiedliwość? – zapytała ironicznie. – Od hałasu się nie umiera.

– Tak myślisz? – Rembert położył dłonie na biurku i oparł na nich głowę. – Chińczycy torturowali hałasem. Zresztą podobnie jak Amerykanie w Guantanamo. To dziwne, że ten sam dźwięk niektórych uspokaja, a innych doprowadza do szaleństwa. – Wymowne milczenie trwało jedynie kilka sekund. – A może ty jesteś szalona?

Langer strzepnęła popiół do doniczki. W jej głowie rozbłysła seria ostrzegawczych pytań. Czyżby nieopierzony psycholog już zdołał postawić jej diagnozę? Zaszufładował ją? Zdał sobie sprawę z ponurej obecności deszczowego psa?

Nie. To było mało prawdopodobne. Miał po prostu irytujący styl bycia chłopaczków z drogich klubów, którzy rzucają teksty, myśląc, że zaczepki są oznaką męskości. Albo naczytał się o tym w podręcznikach pisanych przez zbzikowanych profesorów dla chłonących jak gąbka wyznawców ich teorii. Wszyscy psycholodzy są tacy sami.

Chciała uchwycić jego spojrzenie, ale nadal wpatrywał się w swoją zabawkę. Regulował jej ustawienie, delikatnie trącając palcem stalowy postument. Na twarzy wciąż miał delikatny uśmiezek. Nie było w nim śladu złości. Raczej drażniące otoczenie naturalność kompletnie beztroskiej osoby.

Langer dopiła kawę i zgasiła w kubku papierosa. Iskierki żaru zawirowały w tekturowym zamknięciu.

– Dlaczego uważasz, że to seryjny zabójca? – zapytała, przerywając ciszę.

Rembert podniósł się znad metalowej konstrukcji. Wyraźnie tylko czekał na to pytanie.

– Raport jest lakoniczny, ale uważnie przejrzałem zdjęcia – odezwał się ożywionym tonem. – Zresztą jedno z drugim pozwala wyciągnąć kilka wniosków.

– A konkretniej?

Zatrzymał kulkę i podniósł pokrywę laptopa.

– Nie znam się na tym, ale to chyba świeży trup.

– To pytanie?

– Prośba o opinię.

Langer oparła się pośladkami o parapet. Wiosenne słońce muskało ją po karku.

– Wybacz, ale patrząc na tę breję mięsa, nie zwróciłam uwagi na plamy opadowe. Nie wsadziłam też trupowi termometru w dupę. Robotę lekarzy zostawiam lekarzom.



– Jeśli chcesz znać moje zdanie, proszę tylko, żebyś podzieliła się swoim.

Liza westchnęła.

– Ciało było ochłodzone, ale nie całkowicie zimne. Podczas transportu dostrzegłam wyraźne stężenie pośmiertne, lecz ani śladu procesów gnilnych. To wszystko.

– Nie musimy być precyzyjni. Przyjmijmy, że czas zgonu nastąpił od dwóch do dwunastu godzin wcześniej. Może tak być?

– Od trzech do siedmiu.

– Jeszcze lepiej. – Uśmiezek na dobre zniknął z twarzy Remberta. Teraz mężczyzna był całkowicie profesjonalny i poważny. – W takim razie tego człowieka zabito pomiędzy dwudziestą drugą wczoraj a drugą nad ranem dzisiaj.

– Tyle mówi matematyka.

– Jeżeli dobrze pamiętam, żaden z rozpytanych... tak to nazywacie? Rozpytanie?

– Tak.

Rembert mlasnął.

– Zawsze śmieszy mnie to słowo. A więc żaden z rozpytanych sąsiadów nie słyszał niczego podejrzanego.

– Nie dorwaliśmy jeszcze wszystkich.

– Nieważne. Bez dwóch zdań możemy być pewni, że w tym mieszkaniu nie urządzono filmowej masakry tasakami i piłą mechaniczną.

– Do czego zmierzasz? W filmach to właśnie ci z piłami mechanicznymi są największymi zwyrodnialcami.

Rembert splótł dłonie w piramidkę i przytknął palce do podbródka.

– Takiej rzezi można dokonać na dwa sposoby. – Odgiął oba kciuki. – Po pierwsze, wpadając w furję i siepiąc na prawo i lewo. Na oślep. Całkowicie bez opamiętania i z wyłączeniem mechanizmów autokontroli. Tłukąc głową napadniętego o ściany i podłogę, a przy tym demolując wszystko wokół.

– W tym przypadku nie było czego demolować – wtrąciła Langer. – Mieszkanie jest praktycznie puste.

– Tym większy pogłos daje każde uderzenie. Zresztą to nieważne. Chodzi mi o sposób zachowania. Sąsiedzi na pewno coś by usłyszeli.

– Ale nie słyszeli. A skoro ta scenka przypomina atak szaleńca...

– Nie. W ten sposób działają na przykład odrzuceni faceci. Albo ci, którzy się dowiedzieli, że partnerka ich zdradza.

– A druga opcja?

– Drugą opcją jest ciche, systematyczne dręczenie przez zabójcę swojej ofiary. Godzina po godzinie. Ewentualnie zamordowanie jej, a następnie długotrwałe pastwienie się nad zwłokami. Rozcinanie powłok brzusznych. Masakrowanie twarzy... Wyobraź sobie, ile

trudu trzeba włożyć, by z czyjejś głowy zrobić taką konfiturę. W dodatku po cichu. Bierzesz łom albo młotek, układasz zwłoki na miękkiej powierzchni i uderzasz. Trach! – Rembert wykonał ruch naśladujący uderzenie. – Właśnie pękła kość skroniowa. Trach! Teraz szlag trafił kość nosową. Ale czaszka składa się bodajże z prawie dwudziestu kości, a u tego trupa najwyraźniej żadna nie zachowała się w całości...

Langer odsunęła się od parapetu i zrobiła kilka kroków wzdłuż biurka. Wyobraziła sobie tę scenę. Znając finalny efekt, było to bardzo łatwe.

– Czym wersja druga różni się od pierwszej?

– Świadczy o tym, że niemal na pewno mamy do czynienia z działaniem celowym. Zaplanowanym i dokonanym z pełnym wyrachowaniem. Nie muszę chyba mówić, jaki jest kolejny wniosek.

– Sadysta?

– To pewne uproszczenie.

Langer machnęła lekceważąco ręką.

– Twoja teoria ma jeden zasadniczy błąd – mruknęła.

– Nie wyklucza tego, że sprawca chciał zabić tylko jedną osobę. Nie był psychopata, a urażonym kochasiem...

– Działałby głośniejszy i bardziej chaotycznie.

– To tylko teoria.

– Oczywiście.

– Poza tym nie pomyślałeś, w jakim celu miałyby to zrobić. W jakim celu psychol godzinami masakrowałby

trupa, starając się przy tym zachować ciszę?

– Nie wiem. Może na tym polega jego zboczenie.

Pokręciła głową.

– Mógł po prostu chcieć ukryć jego tożsamość.

– W dzisiejszych czasach? – Rembert głośno fuknął. – Przecież nie dokonujecie identyfikacji na podstawie zdjęcia...

– I tak, i nie. Nie widziałeś w gazetach portretów pamięciowych sprawców z prośbą o pomoc w ustaleniu tożsamości? Z trupami często jest podobnie.

Psycholog cmoknął z dezaprobatą.

– Wtedy sprawca działałby inaczej. Byłby bardziej zapobiegliwy. Skupiłby się na...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Langer niespiesznym krokiem przeszła przez pokój i sięgnęła po słuchawkę. Zamieniła kilka słów, po czym utkwiała wzrok w Rembercie.

– No i stało na moim – mruknęła, przysłaniając mikrofon. – Właśnie zidentyfikowano trupa.

## 7.

Jeżeli sprawca planował ukryć tożsamość swojej ofiary, powinien skupić się przede wszystkim na

pozbawieniu denata linii papilarnych. Zatarciu opuszek palców, obcięciu ich lub zmiżdżeniu. Metod było wiele, szczególnie biorąc pod uwagę czas, który poświęcił na uczynienie ze zwłok papki tkanek.

Odciski palców denata od pewnego czasu figurowały w Automatycznym Systemie Identyfikacji Daktyloskopijnej, zwanej w skrócie AFIS-em. Znajdowały się w nim blisko cztery miliony kart daktyloskopijnych, czyli odbitek linii papilarnych osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa, poszukiwanych lub już skazanych. Po wprowadzeniu danych system dokonywał ich porównania z wszelkimi zgromadzonymi próbkami. Wynik pozytywny oznaczał dziewięćdziesięćdziewięćprocentowe prawdopodobieństwo potwierdzenia tożsamości weryfikowanej osoby i zapisanego już śladu. Pozostały jeden procent dopuszczał wystąpienie sytuacji ekstremalnych. Wszak według szacunków istnieje szansa jedna na sześćdziesiąt miliardów, że odciski palców dwóch osób będą identyczne. A więc może raz na tysiąc lat...

Linie papilarne potrafią wiele powiedzieć o człowieku. Przynajmniej statystycznie. Występują ich trzy podstawowe typy: łuk, pętla oraz wir. Większość białej populacji świata ma pętlę, natomiast u Azjatów występuje przeważnie wzór wirowy, niemalże niepojawiający się wśród Czarnych. Istnieją również

teorie przypasowujące określony kształt linii papilarnych do charakteru. Ponoć jeżeli są nieregularne i miejscami się powiększają, ich posiadacz jest antypatyczny lub tylko nieśmiały, linie łagodnie rozszerzające się znamionują osoby wrażliwe, szpiczaste natomiast wskazują na niecierpliwość i agresję.

Aleksander Nowacki musiał być osobą wyjątkowo nieśmiałą. Gdyby nie fakt, że to jego zwłoki podlegały badaniu, należałoby uwierzyć statystyce łączącej typ odcisków z kolorem skóry ich posiadacza. Wynik byłby poprawny przynajmniej w tym zakresie. Czterdziestodwuletni właściciel mieszkania został umieszczony w AFIS-ie w związku z rozbojem, jakiego dokonał przed paru laty. System nie zapominał. Nic dziwnego, że lekarz, który odnalazł zwłoki, nie rozpoznał w nich sąsiada. Langer nakazała poruszyć niebo i ziemię w celu zdobycia jakichkolwiek informacji o zamordowanym. Interesował ją każdy ich strzępek. Znajomi, krewni, przyjaciele. Źródło dochodu i przyczyny powrotu do Polski. Kontakty, związki, a nawet poglądy polityczne. Z gorliwością ambitnego kujona chciała wiedzieć dosłownie wszystko.

Nadzór nad pracami powierzyła aspirantowi Walembie. Milczek i perfekcjonista, którego zachowania skłaniały ją do podejrzeń, że cierpi na zespół Aspergera, nadawał się doskonale do takiej roboty. W terenie zagubiony, niemal niezdarny, był jednocześnie świetnym

analitykiem i najbardziej upierdliwym człowiekiem, gdy chodziło o zbieranie wiadomości.

– To potrwa – mruknął, kiedy skończyła mówić. – Zajmę się przetrząsaniem sieci, ale będę musiał mieć kogoś do wykonania telefonów.

Walemba nie cierpiał rozmów telefonicznych. Ta jego niechęć była powszechnie znana i ocierała się o zaburzenie psychiczne. Z tej perspektywy każdy gliniarz ze stażem na coś się łapał. Langer nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

– Masz Różę Burzę. Już jej powiedziałam, że ma się do ciebie zgłosić.

Aspirant skrzywił się. Delikatnie mówiąc, traktował z przymrużeniem oka roztrzepaną posterunkową. Zresztą sam nadał jej ten pseudonim, który odsunął w niepamięć jej prawdziwe nazwisko.

– Nie dramatyzuj. – Langer nie zamierzała tracić czasu. – Nie ma lepszej osoby do wydzwaniania po ludziach. Ona jest jak call center parabanku.

– Jasne.

– Jeszcze coś?

– Na kiedy chcesz raport?

– Na wczoraj – odparła, idąc do wyjścia. – Od rana stoimy w miejscu, czekając, aż inni odwalą swoją robotę. Teraz musimy nadrobić zaległości. Wszystkimi danymi psychologicznymi zajmuje się... Powiedzmy, że mój współlokator. Przekazujcie mu je na bieżąco.

Zatrzymała się tuż przed drzwiami. Walemba dbał o utrzymanie w pokoju ascetycznej czystości. Jedynymi zadaniami sprzątaczkki były opróżnianie śmieci i sezonowe mycie okien.

– To nadaje sens tej robocie. I nie tylko robocie. – Położyła dłoń na klamce. – Prawda?

Aspirant jedynie skinął głową. Chyba nie był pewny, co Langer miała na myśli.

\* \* \*

Pół godziny później Liza Langer zanurzyła się w mdłym zaduchu zakładu medycyny sądowej. Przeszła głównym korytarzem i przez nikogo niezatrzymywana skierowała się prosto do sali sekcyjnej. Ku jej zdziwieniu drzwi były zamknięte. Spodziewała się zastać patologa przy pracy, tymczasem w budynku panowała cisza. Żadnego wycia pił tnących kości, żadnych plaśnięć rzuconych na wagę organów, nawet specyficzny zapaszek wydawał się stłumiony.

Langer zawróciła i wąskim łącznikiem przeszła do głównego holu. Nie czekając na windę, ruszyła po schodach na piętro. Stara klatka dla odmiany cuchnęła wilgocią i zgnilizną. Dopiero w tle wyczuwalny był zapach środków czyszczących, charakterystyczny dla szpitali i ośrodków zdrowia. Fakt, że zakład medycyny sądowej ze zdrowiem miał niewiele wspólnego.



Pierwszą osobą, którą spotkała, był nastolatek z wielkim tornistrem na plecach i kilkoma książkami pod pachą. Rzadko widywało się studentów bez cienia zarostu na twarzy. Choć Rembert też wyglądał na znacznie młodszego, niż ponoć był, chyba że zrobił doktorat, ledwie skończywszy dwudziestkę. Langer dopuszczała taką możliwość, lecz miała świadomość, że w pewnym wieku postrzeganie innych diametralnie się zmieniało. Nastolatkowie niewiele różnili się od wybiegających z podstawówki uczniów. Przed nimi było jeszcze całe życie. A przed nią? Każdego ranka zastanawiała się, jak długo będzie musiała jeszcze walczyć z kolejnym dniem. Do tego niezmiennie przydawała się statystyka. Gdyby wziąć pod uwagę średnią długość życia w Polsce, zbliżała się już do trzech piątych. Pasek wskazujący jej ziemską obecność był naładowany niemal do sześćdziesięciu procent.

Zatrzymała się przed drzwiami gabinetu i zmrużyła oczy. Kartkę z informacją wsunięto za plastikową tabliczkę, która odbijała światło lamp i utrudniała rozczytanie. Ostatnim razem była tu na tyle dawno, że musiała się upewnić. Pamiętała jednak prawidłowo. Uniosła dłoń, aby zapukać, lecz w tym samym momencie drzwi się otworzyły. Mężczyzna w białym kitlu niemalże ją staranował. W ostatniej chwili cofnęła się, unikając zderzenia.

– Dzień dobry, doktorze!

Doktor Zalewski zerknął na nią spode łba. Był przygarbionym sześćdziesięcioletkiem o wysuszonej twarzy i haczykowatym nosie. Nosił długie włosy, które zawsze starannie ukrywał pod czepkiem chirurgicznym. Nie zdejmował go nawet wtedy, gdy znajdował się z dala od stołu sekcyjnego. Langer zastanawiała się, czy nosi go również po domu. Wizja na tyle śmieszna, że pozwalała okpić na moment deszczowego psa.

– Pani sierżant? – Zalewski zachrypiął jak nienaoliwiony silnik.

– Komisarz Langer.

– Komisarz Langer – powtórzył z uznaniem, przymykając drzwi. – Z kryminalnego.

– Zgadza się. Przychodzę...

– Domyślam się, w jakiej sprawie.

Lekarz zrobił krok w głąb korytarza, ale Liza stanowczo zastąpiła mu drogę.

– Muszę wiedzieć, co już ustaliliście.

– Muszę, muszę... – Zalewski obszedł ją i ruszył w stronę wind. – Dopiero będę się za niego zabierał. Wy, w komendzie, wiecznie myślicie, że wpakujecie nam trupa, a ja zaraz będę go kroił.

– Wcale nie... – Langer próbowała coś powiedzieć, ale Zalewski rozpoczął swoją tyradę.

– Przed chwilą zdjęli z niego ciuchy, wcześniej pobrali materiał do badań i wysłali wszystko do laboratorium.

Przyjemność spotkania ze mną nieboszczyk ma w ostatniej kolejności.

– Wiem, jakie są procedury. Ale minęło już ponad sześć godzin!

– Jeżeli żałuje pani czasu zmarnowanego na dojazd, wystarczyło zadzwonić.

Langer szła tuż obok patologa. Znała jego opieszałość i właśnie dlatego tu przyjechała. Przez telefon zbyłaby ją jakaś znudzona sekretarka, a autopsja zaczęłaby się najwcześniej wieczorem. O ile Zalewskiemu nie udałoby się przełożyć jej na kolejny dzień. Zawsze zasłaniał się innymi procedurami.

– Ta sprawa ma absolutny priorytet. – Przyspieszyła kroku, nieco wyprzedzając lekarza. – Rozumie pan, doktorze? Musimy działać, zanim media zwęszą newsa, a ministerstwo zacznie grzebać w śledztwie. Wie pan, że oblizują się na myśl o każdym pretekście, żeby wsadzić tu kogoś z Warszawy.

– Coś niecoś.

– Poza tym nie chciałby pan, aby przed emeryturą zarzucono panu opieszałość. To gorsze niż służba w bezpieczeństwie.

Zalewski gwałtownie się zatrzymał. Jego twarz poczerwieniała, a powietrze zaświszczało, gdy wciągał je przez wąskie nozdrza.

– Ma pani jakiś cholerny problem? – Zacisnął pięści, jakby miał zamiar ich użyć. – Coś pani insynuuje?

– Absolutnie nie. – Langer pozostała całkowicie niewzruszona. – Po prostu nie chcę, żeby miał pan przeze mnie kłopoty.

– Zajmę się wszystkim w swoim czasie.

– Nalegam na pośpiech.

– Obecnie wybieram się na obiad. Trup, jak się pewnie pani domyśla, nie ucieknie.

Komisarz przygryzła usta i pokręciła głową.

– Chyba się nie rozumiemy.

Lekarz chciał się odezwać, ale tym razem nie dała sobie przerwać. Podniosła głos.

– Prawdopodobnie mamy w mieście popieprzonego psychopatę. Na razie zabił jedną osobę, może zabić więcej. Za kilka godzin zostanie zwołana konferencja prasowa, a jeżeli nie będę miała chociaż wstępnych wyników sekcji, nie omieszkam wspomnieć o tym, że czekamy na wieści właśnie od pana.

– Nie zrobiłaby tego pani...

– Nie? Proszę sobie przypomnieć, jaką aferę mieliśmy przy naszym polskim Hannibalu Lecterze. Pamięta pan? Poleciały wtedy głowy. Tu zanosi się na większe fajerwerki, a ja nie będę nadstawiała karku za pana.

– Jest pani bezwstydną gówniarą.

Wszystko zależy od perspektywy. Z punktu widzenia sześćdziesięciolatka rzeczywiście mogła nią być.

– Czekam na telefon. Mój numer znajdzie pan w rozpisce kontaktów zakładu. Odziedziczyłam go po

poprzedniku, więc nie będzie problemu. I proszę mieć na uwadze, że interesuje mnie każda bzdura. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów. – Smacznego obiadu – rzuciła przez ramię. – Smacznego, cholera, obiadu.

## 8.

Langer nienawidziła uczucia niepewności. Było tożsame z podświadomym lękiem przed deszczowym psem, którego wyzbycie się leżało poza jej możliwościami. Przynajmniej do tego sprowadzały je wyjaśnienia terapeuty. Nie miała jednak pojęcia, na ile jej podkoloryzowane groźby zmobilizują patomorfologa. O ile w ogóle do niego przemówiły. Chociaż kłamstwo o konferencji z pewnością odebrało mu nieco animuszu.

Siwecki, na szczęście, zawsze był ostrożny. Briefingi traktował jako zło konieczne i wolał odwlekać je jak najdłużej, aby nie wprowadzać zamętu w toczących się śledztwach. Zazwyczaj dopiero wtedy, gdy do prasy przedostawał się przeciek, podejmował niezbędną rozgrywkę. Na swojej ziemi i na swoich zasadach. Nie rzucając dziennikarzom rzecznika jako ochłapu mięsa do rozszarpania. Właśnie to w nim ceniła. Brak parcia na

szkło i niechęć do pajacowania, obce naczelnikom z wielu innych miast. Tym razem sprawa była jednak wyjątkowa. Tak brutalnego zabójstwa całe Pomorze nie pamiętało co najmniej od kilkunastu lat. Było więc pewne, że każdy policyjny kret mający kontakt z pismakami zwietrzy wspaniały interes. Langer spojrzała w górę, ponad bezlistne korony drzew. Słońce przyjemnie oświetliło jej twarz. Przymknęła oczy i głęboko wciągnęła wilgotne powietrze. Nie poczuła ulgi. Właściwie nie poczuła niczego, jakby pogoda przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Praca w policji dawała ten symboliczny komfort, że nie musiała się rozliczać z każdej sekundy. Nie tworzyła minutowych raportów, nie miała karty godzinowej, którą należało podbić przed wejściem do zakładu pracy i przy wyjściu z niego. Nie musiała ślęczeć w pokoju i bezproduktywnie czekać na informacje. Zresztą zamknięcie się z Rembertem w czterech ścianach bez wyraźnego planu działania nie wróżyło niczego dobrego. Skoro hałas kołyski Newtona mógł zabić, tym bardziej zabić mogła jej metalowa obudowa.

Cisza.

Potrzebowała ciszy.

Otworzyła oczy i spojrzała na grób.

**ŚP.**

**Michał Kasprzycki**

**Żył lat trzydzieści dziewięć**  
**Zmarły tragicznie**  
**Pokój jego duszy**

Przemknęła wzrokiem po lśniących literach i spuściła głowę. Przez wiele miesięcy przychodziła tu prawie codziennie. Znała każdą nierówność bruku i każdą kępkę trawy. Uczyła się ich na pamięć, tworząc wspomnienia nowego życia. Wspomnienia starego wciąż ją nawiedzały. Napływały zupełnie znikąd i paraliżowały jej duszę. Odbierały jej spokój.

Płynęli rowerem wodnym po Jeziorze Czorsztyńskim. Słońce paliło, lecz delikatny wiatr niósł ukojenie. Co chwilę schylali się do wody, aby nawilżyć ciała i opryskać siebie nawzajem. Wcześniej zastanawiali się, czy nie popłynąć w rejs stateczkiem wycieczkowym, ale zgodnie uznali to za idiotyczny pomysł. Na jego pokładzie były setki ludzi. Na rowerze znajdowali się tylko we dwoje. Sami. Nad taflą jeziora niesły się odgłosy bawiących się przy brzegu dzieci. Z odległości był to dźwięk przyjemny i usypiający.

Wspomnienia nawiedzały ją, nie przynosząc żadnej radości. Od dnia, w którym dostała tragiczną wiadomość, nie sięgnęła po żadne ze wspólnych zdjęć, aby...

Michał.

Nigdy nie wypowiedziała tej myśli na głos, ale teraz uformowała się ona nazbyt wyraźnie.

Michał.

Chciałaby o tym wszystkim zapomnieć. Wymazać z pamięci rysy jego twarzy, ton głosu, kąśliwe dowcipy.

Chciałaby, aby go nigdy nie było.

Wtedy deszczowy pies mógłby odejść na zawsze.

– Mąż?

Słaby, łamiący się głos wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się i obok siebie spostrzegła niską, przygiętą do ziemi staruszkę. Stała, wsparta o lasce, z reklamówką wystającą z kieszeni ubrudzonego błotem płaszcza. Miała bladą, pociągłą twarz poznaczoną głębokimi zmarszczkami. Wąskie, zapadnięte usta pokrywała nierówna warstwa tłustej pomadki, która skrzyła się również w zagłębieniu pomiędzy dolną wargą a szpiczastym podbródkiem. Langer w myślach odtworzyła postawione przez nią pytanie.

– Narzeczony. – To słowo wydało jej się dziwnie obce i brzydkie. – Prawie mąż.

Pospiesznie otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. Nie wiedziała, jak długo stała przed grobem. Nigdy się nie modliła. Pozwalała myślom płynąć i zatapiała się w nich, tracąc poczucie czasu.

– Minął prawie rok i nie jest lepiej, he?

Nie odpowiedziała. Chciała być sama, a poza tym słowa ugrzęzłyby jej teraz w gardle. Jednak staruszka najwyraźniej nie zamierzała odejść. Wyjęła z kieszeni reklamówkę, w którą miała zawiniętą brudną szmatkę



i dwa małe znicze. Jeden z nich postawiła na grobie Michała.

– Taki młody... – westchnęła, zapalając zapałkę. – Niech mu świeci na wieki.

Langer z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że gdyby się teraz odezwała, drżałby jej głos. Z dziką satysfakcją przeklęłaby wścibską staruchę, która nie miała do roboty niczego więcej poza łożeniem po cmentarzu i zagadywaniem obcych. Dewotka, wierząca, że kawałek szkiełka i trochę wosku zbawią czyjąś duszę.

– Mój zmarł w dziewięćdziesiątym trzecim. Rak. Trzy miesiące po diagnozie nie ma człowieka. Zamiast wielkiego chłopca chowałam obkurczonego biedaka. Mówię pani, był nie do poznania. Choroba jakby nałożyła mu maskę. – Starowina przyłożyła dłoń do twarzy. – Coś strasznego. Panie, świeć nad jego duszą...

Liza starała się nie słuchać. Jakaś myśl zakołatała jej w głowie. Proste skojarzenie, którego nie mogła od razu uchwycić. Coś związanego ze śledztwem. Wspomnienie zmasakrowanych zwłok. Rodzina zamordowanego miałaby z identyfikacją większy problem niż starowina ze swoim mężem. Ale nie to było najważniejsze. Musiała pozwolić biec myślom własnym torem, a wtedy ulotne skojarzenia same powrócą.

Kobięcy wrzask rozdarł spokój cmentarza. Przerwał potok słów przygiętej do ziemi staruszki i przyciągnął jej

uwagę. Nie patrzyła już na Langer ze współczuciem, lecz z niepokojem.

Liza wyciągnęła komórkę i zerknęła na wyświetlacz. Rząd cyfr nie był przypisany do żadnego z zapisanych kontaktów. Wypuściła powietrze i nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Zalewski. – Szorstki głos lekarza zaświszczał w słuchawce.

Jednak zmobilizowała go do pracy. Słabość uleciała z niej w jednym momencie.

– Słucham pana, doktorze.

– Nie wiem, o której ta konferencja...

– Godzina jeszcze nie została wyznaczona.

– W każdym razie chciała pani informacji na bieżąco.

Z przyjemnością pozawracam głowę.

Lekarz mówił szybko, akcentując pojedyncze słowa. Za nic nie chciał przyznać, że to on ustąpił.

– Proszę bardzo. – Langer nie dała mu nawet najmniejszej satysfakcji. – Mam czas.

Odeszła na bok i stanęła pomiędzy grobami. Kątem oka zauważyła, że staruszka ruszyła w przeciwną stronę.

– To może być nadinterpretacja... – Zalewski zawiesił głos i odchrząknął. – Ale może się przydać.

– Mhm.

– Pokroiliśmy go już i zająłem się głową. To nietypowe.

– Nietypowe, że zajął się pan głową?

– Nie, do jasnej cholery. Nietypowe jest to, w jakiej kolejności powstawały obrażenia.

– To znaczy?

– Tak jak powiedziałem, to może być moja nadinterpretacja, właściwie to wy jesteście od wyciągania wniosków, ale... Mam wrażenie, że człowiek, który go zabił, chciał ukryć pewien szczegół.

## 9.

Ślepiec szedł roześmiany. Od czasu do czasu podskakiwał, robił piruet i nie zważając na miny otaczających go ludzi, przyklaskiwał sam sobie. Był we wspaniałym humorze. Rozpierała go energia. Przy kolejnym podskoku przekrzywiły mu się okulary. Poprawił je i upewnił się, że końcówki sztywno wsunęły się za uszy. Nie mógł ich zgubić.

Właściwie wcale nie był ślepcem. Miał doskonały wzrok. Wśród jego rozlicznych dziwactw, fobii i manii dominował imperatyw poruszania się w okularach. Niektórzy chadzali tylko po określonych płytkach chodnikowych, inni unikali cienia, natomiast on nie wychodził z domu bez okularów. Obsesja pojawiła się już w dzieciństwie i stanowiła jeden z pierwszych sygnałów,

ze jest wyjątkowy. Specjalny. To słowo go określało. Specjalna szkoła, specjalni nauczyciele, specjalna terapia. Niespecjalne wielkie zdziwienie ojca, któremu notorycznie podkradał wysłużone okulary z nadzwyczaj grubymi, porysowanymi szklami.

Pan Kostek regularnie kontrolował stan jego natręctw. Czuwał nad tym, aby nie osunął się w swój świat. Pięć wizyt co tydzień raz na pół roku. W razie konieczności – więcej. Taki harmonogram opracowali już jedenaście lat temu. Sprawdzał się bez zarzutu. Dzisiaj mężczyzna pojawił się po raz drugi po sześciomiesięcznej przerwie. Do grona problemów ostatnio dołączyły zaniki pamięci. Dwu-, trzygodzinne czarne dziury, w których nie miał pojęcia, co się z nim działo. Pojawiały się wieczorem lub w nocy, po czym budził się w fotelu lub w trakcie spaceru po nieznannej części miasta. W ułamku sekundy odzyskiwał świadomość, jakby jego drugie ja opuszczało ciało i pozwalało mu się nim z powrotem nacieszyć. Nie podobało mu się to. Nie chciał mieć drugiego ja, które mogłoby mu zaszkodzić.

Pan Kostek kazał mu się nie martwić. Wszystko miało wrócić do normy po nowych lekach. Obiecał mu to! Jednocześnie robił wszystko, aby mężczyzna przypomniiał sobie, co się z nim działo w chwilach ciemności. Wyraźnie się czegoś obawiał. Ślepiec wiedział, że pan Kostek się martwi. W jego głosie wyczuwał niepokój i zakłopotanie. Pan Kostek wciąż wypytywał go, czy nie ma nowych

natrętnych myśli. Czy nic go nie złości, nie drażni i nie wywołuje w nim szczególnie złych emocji. Jego odpowiedzi szczegółowo notował w swoim śmiesznym, maleńkim zeszytku. Słowo po słowie i zdanie po zdaniu.

Ślepiec wyczuwał morze. Nie było niczego piękniejszego niż widok słońca odbijającego się w grzbietach załamujących się fal. Plaża Brzeźno to dziwna plaża. Można iść tuż obok niej i nie mieć o tym pojęcia. Linia drzew wzdłuż ulicy, a właściwie alei Jantarowej, nadaje przechadzce charakteru spaceru po lesie. Gdyby nie pojedyncze ścieżki odbijające ku połaciom piasku, o morzu przypominałyby tylko jego dziki szum i kwik mew. O tej porze roku z plaży nie dochodziły odgłosy zabaw, zjeżdżalnia wodna była zamknięta, a parawany nie wyznaczały granic ludzkiej suwerenności.

Mimo tego spacerowało tędy mnóstwo ludzi. Właśnie dla nich lubił tutaj przychodzić. Dla ukradkowych, przelotnych spojrzeń, dla niewinnych zerknięć i spotkań wzrokiem. Ludzie zazwyczaj odwracali oczy. Nie obchodził ich idący z naprzeciwka człowiek. To odbierało nieco przyjemności, utrudniało czerpanie radości ze spaceru. Kiedy jednak wesoło podskakiwał, chociaż na chwilę przykuwał ich uwagę.

Zwolnił kroku i spojrzał pod słońce. Przed oczami pojawiły mu się mroczki. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Obślinił dwa palce i wciąż patrząc pod światło, rozciągnął

plwocinę. Zawsze fascynowało go rozszczepienie kolorów. Jego własna tęcza.

Po chwili otarł palce i ruszył przed siebie. Już z daleka dostrzegł smukłą, elegancko ubraną brunetkę. Kiedy zbliżył się do niej na odległość kilku kroków, spojrzał jej prosto w oczy. Były szmaragdowe. To słowo określało ich barwę najdokładniej. Hipnotyzujący, magiczny odcień zieleni w tej części świata stanowił niemalże unikat. Ślepiec zastanowił się, czy jest jakieś państwo, w którym większość ludzi ma szmaragdowe oczy. Słyszał, że w Skandynawii trafiają się wszelkie odcienie błękitu. W Afryce przeważają różnego rodzaju brązy. A szmaragd?

Coś niezmiernie dziwnego.

Brunetka była już ledwie krok od niego. Wyczuwał zapach jej perfum, ale one nie miały żadnego znaczenia. Nie odrywał spojrzenia od jej wielkich, urzekających oczu. Uśmiech na jego twarzy zamienił się w grymas bólu. Chwycił się za klatkę piersiową, pochylając się ku ziemi. Kucnął, jęcząc pod nosem. Potem schował głowę pomiędzy kolanami i czekał...

– Proszę pana!

Poczuł dotyk na ramieniu, ale się nie poruszył.

– Wszystko w porządku?

Wciąż pochylał się, przyciskając dłonie do piersi. Nie mógł czekać zbyt długo. Dziesiątki razy opracowywał schemat zachowań, aby jak najpełniej delektować się

chwilą, która miała zaraz nastąpić. Ułamkami sekundy, przyprawiającymi go zawsze o dreszcze. Stał się w tym perfekcyjny.

Już. Teraz.

Wyczuł, że brunetka kucnęła tuż obok. Podniósł głowę i z najbliższej możliwej odległości spojrział jej prosto w oczy. Dzielilo ich kilkadziesiąt centymetrów. Zatopił wzrok w szmaragdowej toni. Czarna plamka źrenicy stanowiła przejście do innego świata. Pochłaniała go.

– Wszystko w porządku?

Kobieta szybko odwróciła wzrok. Spłoszona jego spojrzeniem, wyprostowała się. Przerwała więź, jaką przez chwilę nawiązali, i znowu stała się kimś nieznanym. Ten moment zawsze napawał go smutkiem. Intymność za każdym razem kończyła się tak samo.

– Źle się pan poczuł?

To było ostatnie pytanie, które mu zadała. Jakby jego los stał się jej nagle całkowicie obojętny. Wzruszyła ramionami. Odczekała jeszcze kilka sekund ze wzrokiem skierowanym gdzieś ponad jego ramię, a wreszcie poprawiła torebkę i odeszła. Po paru krokach się odwróciła. Wiedział, że to robi, i był na to przygotowany. Ich spojrzenia spotkały się raz jeszcze, lecz tylko na moment. Kobieta przyspieszyła, patrząc ponownie przed siebie.

Ślepiec podniósł się i rozprostował nogi. Z naprzeciwka szła grupka spacerowiczów, lecz wszyscy byli pochłonięci rozmową. Nawet nie spojrzeli w jego stronę. Nie przeszkadzało mu to.

Kiedy niespełna godzinę później wrócił do domu, znowu był szczęśliwy. Dawno nie widział tak pięknych oczu. Może nawet nigdy? Miał ochotę chwycić za pędzel i mieszając farby, odtworzyć ich kolor. Wątpił, by mu się udało, ale tak bardzo chciał chociaż spróbować. Byłe zostały przy nim jak najdłużej...

Szmaragd.

Przeszedł do salonu i usiadł przy stole. Wspomnienia kłębiły mu się w głowie. Ściągnął okulary, chuchnął na nie i przetaił je wyjętą z kieszeni szmatką. Czyścił je przez kilka minut. W końcu sprawdził, czy nie zostały na nich żadne smugi, i nasunął je na nos. Nieświadomie wciąż się uśmiechał.

Promienie słońca odbijały się w szklanej gablocie i rzucały refleksy na ścianę. Ten widok sprawiał mu niesamowitą przyjemność.

Nagle odwrócił się i przybrał surowy wyraz twarzy. Nie chciał być złośliwy ani niemiły. Po prostu musiał wyrzucić z siebie prawdę. Nie mógł jej dłużej w sobie tłamsić.

– Gdybyś ty miała takie oczy, Lidio... – westchnął.

Wyciągnął dłoń i pogłaskał zimną skórę.



## 10.

– Co to za szczegół? – Langer osłoniła telefon dłonią, aby stłumić szum wiatru.

– Praktycznie cała czaszka jest zmasakrowana, ale brakuje jednego elementu.

– Gramy w kalambury czy powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

Zalewski sapnął. Był zadowolony, że udało mu się przykuć jej uwagę.

– Naszemu nieboszczykowi wydłubano gałkę oczną.

– To znaczy, że... – Langer nerwowo odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. – Wspomniał pan o kolejności powstawania obrażeń.

– Bo właśnie to wydaje mi się warte, hmm... uwagi. Sprawca najpierw musiał mu rozwalić brzeg nadoczodołowy kości czołowej. To ta część potocznie zwana łukiem brwiowym. Zrobił to za pomocą uderzeń tępym narzędziem, od strony szczęki. Nadaża pani?

– Nie jestem upośledzona.

– Świetnie. Następnie precyzyjnie usunięto gałkę oczną, odrywając nerw wzrokowy.

– Jest pan pewny, że oko po prostu nie wypłynęło na skutek ciosów?

– Nie mówimy o jajku. Jestem więcej niż pewny.

– I to jest ten szczegół, który sprawca chciał, pańskim zdaniem, ukryć?

– Nie wiem. Ja wam tylko podrzucam teorię, co i tak nie należy do moich obowiązków. Widzę, co mam na stole, i dzwonię z dobrej woli. Co z tym zrobicie, to już wasza sprawa. Może pani nawet napisać o tym wierszyk.

Langer obeszła stary nagrobek i ruszyła w stronę głównej alei. Żwir chrząścił jej pod butami.

– Doceniam ten przejaw dobrej woli, doktorze – powiedziała z emfazą. – Ale dalej chyba nie do końca łapię pański tok rozumowania. Co z tą kolejnością ciosów?

Patolog głośno wypuścił powietrze.

– Czy pani w ogóle mnie słucha?

– Z całą uwagą. Po prostu chcę uniknąć nieporozumień.

– Tłumaczę przecież jak dziecku! Najpierw rozbita kość, potem wyjęte oko, na koniec zmasakrowana cała twarz i rozpruta jama brzuszna. Jednak najintensywniejsze obrażenia są skupione wokół oczodołu. Wydaje mi się, że to nie może być przypadek. I podkreślam jeszcze raz: wydaje mi się!

– Wydaje mi się, że rozumiem.

Langer starała się uporządkować informacje przekazane przez patologa. Współgrały one z myślą, która uleciała jej przed kilkunastoma minutami.

Rembert miał rację. Sprawca nie chciał utrudnić identyfikacji ofiary. W ogóle o to nie dbał. Zależało mu przede wszystkim na ukryciu swojej motywacji. Oko. Dlaczego usunął właśnie oko? Na to pytanie patolog na pewno nie znał odpowiedzi.

– Czy odkrył pan jeszcze coś ciekawego?

Od bocznego wyjścia dzieliło ją niespełna sto metrów. Podmurówka jednego z mijanych grobów była obsunięta i odsłaniała mroczne wnętrze. Ponure szczegóły zawsze przyciągały zaciekawiony wzrok przechodniów.

– Nie. Więcej powiem dopiero wtedy, gdy skończę.

– I tak dziękuję.

– A z tą konferencją prasową...

– Będę pamiętała o pańskiej skwapliwości.

Langer rozłączyła się bez pożegnania. Krótki komunikat informował, że gdy rozmawiała z Zalewskim, ktoś do niej dzwonił. Numer przynależał do komendy, lecz nie został przypisany do konkretnego kontaktu. Nacisnęła słuchawkę. Oczekała kilka sygnałów, po czym usłyszała kliknięcie wskazujące, że nawiązano połączenie.

– Pani komisarz, dzwoniłam, ale było zajęte. – Od razu poznała piskliwy głos Róży Burzy. – Stawiła się do nas pani Krzemińska, wszyscy się spodziewali, że będzie pani chciała ją osobiście przesłuchać. Aspirant Walemba kazał się kontaktować z panią komisarz, tylko że sierżant Wojtiuk...

Sierżant Wojtiuk, czyli smagły policjant, który przysłuchiwał się jej rozmowie z doktorem Liptą, nie miał nic do gadania. Jego zadanie ograniczało się do rozpytania mieszkańców. Miał skłonność do bycia nadgorliwym i mieszania się w nie swoje sprawy. Już dawno planowała pokazać mu, gdzie jego miejsce.

– Jeszcze raz powiedz mi, kto się stawił.

– Pani Krzemińska.

Nic jej to nie mówiło.

– Kto to?

– Ta sąsiadka z góry, którą koniecznie chciała pani komisarz przesłuchać. Rano nie zastaliśmy jej w mieszkaniu, ale ustaliliśmy, że jest pielęgniarką. To znaczy sierżant Wojtiuk to ustalił. Zgodnie z jego wytycznymi...

Langer musiała przerwać ten potok słów. Nie zmierzał w żadnym konkretnym kierunku.

– Niech czeka.

– O to ją poprosiliśmy. Pytała, jak długo musi zostać na komendzie. Niezbyt chętnie na to przystała, ma coś do załatwienia.

Liza, przytrzymując telefon ramieniem, odpaliła papierosa.

– Powiedzcie, że będę za kwadrans, maksymalnie dwadzieścia minut. Gdybym się spóźniała, zabawiajcie ją. Nie chcę mieć damuli w słabym humorze.

– Przekażę to.

– Możesz się zająć tym osobiście. – Zamilkła, starając się zebrać myśli. – Jest jeszcze jedna ważna sprawa.

– Tak?

– Błagajcie ją, żeby nie wyzaliła się wszystkim koleżankom, że była na komendzie. Chcę mieć jak najdłużej spokój.

Zakończyła rozmowę akurat w momencie, gdy podeszła do samochodu. Paliła papierosa, zaciągając się głęboko, jakby od obecności dymu w płucach zależało jej życie. Pomarańczowy słupek żaru groził załamaniem się w każdej chwili. Langer strzepnęła go, uważając na buty. Szarpnęła za klamkę i rzuciła się na skórzane siedzenie. Od razu wyciągnęła przepelnioną samochodową popielniczkę, z której wysypały się dwa pety. Chwyciła je i upchnęła z powrotem. Nie miała teraz czasu na szukanie śmietnika.

Starła się sobie wyobrazić, jak wygląda Krzemińska. Czyżby była samotną panną, która ma pięćdziesiąt lat, kilka centymetrów szpachli na twarzy i wargi opuchnięte od botoksu? A może to niespełna trzydziestolatka, z trądzikiem na czole i w rozciągniętym swetrze? Perfumami mogła maskować swoje kompleksy. Za małe piersi, zbyt wąskie biodra lub podwójny podbródek.

Wypachniona sąsiadka z góry... Ciekawe, co miała do powiedzenia. Jeżeli Lipta rzeczywiście wyczuł w windzie jej zapach, musiała być w niej niewiele wcześniej. Intensywna woń utrzymywała się maksymalnie

kilkadziesiąt minut. W niewielkim pomieszczeniu, takim jak winda, może nieco dłużej. Chyba że kardiolog miał nadzwyczajny węch, o co nie podejrzewałaby żadnego faceta. Choć w sumie, czemu nie? Powinna sama wejść do tej cholernej windy. To był pierwszy błąd, który popełniła.

\* \* \*

Na komendzie Liza zjawiała się zgodnie z planem, kilkanaście minut po zakończeniu rozmowy z Różą Burzą. Kurtkę zostawiła w aucie, przez co przebiegła przez parking, drżąc z zimna. Popołudniowe słońce wydłużyło cienie i wyzbyło się pozoru intensywności. Ochłodziło się. Wiosna wciąż nie mogła się zdecydować na przyjście. Langer minęła portiernię i rozcierając dłonie, weszła na piętro. Zanim zdążyła dojść do swojego gabinetu, dopadł ją Rembert. Przemierzał korytarz z kubkiem kawy w dłoni.

– Dzwonili z laboratorium – oznajmił zaskakująco poważnym tonem.

Langer zmierzyła go wzrokiem.

– Nie było mowy, że będziesz odbierał telefony.

Psycholog niedbale wzruszył ramionami.

– Wkurzał mnie dzwonek. To chyba nic złego? Oni tam mają robaki w dupach czy co?

– Nie zajmuj się ich dupami, tylko mów, czego chcieli.

– Zidentyfikowali jedną z substancji. Poza śladami biologicznymi w mieszkaniu znajdowały się plamy

roztworu formaldehydu.

– Ludzkim językiem: formaliny, tak?

– Tak. Kilka kropli, ale to bez wątpienia formaldehyd.

Co więcej, w stężeniu pięcioprocentowym.

– Jakie to ma znaczenie?

– W tym przypadku bardzo duże. Dwuprocentowe roztwory używane są jako środki odkażające, trzyprocentowe – do przechowywania tkanek roślinnych.

A pięcio...

Rembert zawiesił głos, aby upić łyk kawy.

– Ludzkich preparatów anatomicznych – przypomniała sobie Langer. – Gdzieś o tym czytałam...

## 11.

Wioletta Krzemińska nie odpowiadała żadnemu z wyobrażeń Langer. Właściwie stanowiła twór całkowicie pośredni. Miała trzydzieści dziewięć lat, blond włosy sięgające ramion i smukłą sylwetkę. Można by powiedzieć, że była ładna, w naturalny, niepodkreślony przesadnym makijażem sposób. Mówiła cicho, ale rzeczowo. Zachowywała się sympatycznie, lecz zarazem z dystansem. Nie dopuszczała do stworzenia przesadnie

przyjacielskiej atmosfery. Rzeczywiście była od niej intensywna woń perfum. Mdłych i raczej tanich.

– O której wyszła pani z domu?

Langer postanowiła prowadzić przesłuchanie, a znój protokołowania zwała na Wojtiuka. Zgodnie z ostatnimi badaniami obie czynności powinna wykonywać ta sama osoba. Wtedy obywatel sprowadzony na policyjną kozetkę miał czuć się bardziej swobodnie. W obecnej sytuacji przytłaczali przesłuchiwaną. Przynajmniej w kategoriach psychologicznych. Nowa reguła przeczyła jednak jakiegokolwiek wygodzie. Przesłuchanie przeciągnęłoby się, a jego klarowność – obniżyła.

– Około wpół do siódmej.

– O siódmej zaczynała pani dyżur?

– Tak.

Langer zastanawiała się, jak ugryźć temat. Wypalenie, że dwie godziny wcześniej sąsiad wyczuł w windzie zapach jej perfum, nie wchodziło w grę.

– Nie wychodziła pani wcześniej?

– Co ma pani na myśli?

Krzemińska sprawiała wrażenie zakłopotanej. Pochyliła się w krześle i delikatnie zmarszczyła brwi.

– Kiedy wcześniej opuszczała pani mieszkanie? – Langer starała się mówić jak najbardziej obojętnym tonem. – Wiemy, że pomiędzy czwartą a piątą ktoś korzystał z windy. Staramy się ustalić kto.

Blondynka spuściła wzrok.



– Ta... Tak. To mogłam być ja.

– Proszę mówić śmiało.

– Mniej więcej o tej porze wróciłam do mieszkania.

– Nie nocowała pani u siebie?

– Nie. – Krzemińska jeszcze mocniej się pochyliła, kuląc ramiona. – Byłam u koleżanki.

– Może pani powiedzieć u kogo? Musimy pewne kwestie weryfikować z urzędu... Wie pani, przepisy. – Langer lekceważąco machnęła dłonią, jakby odpowiedź zupełnie jej nie interesowała. Jednocześnie utkwiła w Wojtiuku spojrzenie nakazujące mu odnotować każde zajknięcie.

– Właściwie to mieszkanie kolegi, znajomego, ale...

– Wystarczy nam adres.

– Nie jestem pewna...

– Proszę się postarać sobie przypomnieć. Może się pani przyda plan miasta?

Blondynka skapitulowała. Zrezygnowana wydukała nazwę ulicy i numer domu. Langer wspaniałomyślnie nie zamierzała jej dłużej maltretować tym tematem. Wszystko mogła odtąd bez problemu zweryfikować.

– Czy kiedy wracała pani do mieszkania, coś zwróciło pani uwagę?

– Na przykład?

– Nie chciałabym niczego sugerować. Może coś było inaczej niż zwykle?

– Wydaje mi się, że nie.

Poznawanie szczegółów pobytu Krzemińskiej poza domem mogła sobie zostawić na później. Przez to, że wyciągnęła je na wierzch, kobieta przeszła do pozycji defensywnej. Być może zupełnie podświadomie, ale traktowała ją jak wroga. Pytania otwarte nie miały już sensu.

– Może pamięta pani, na którym piętrze znajdowała się winda w chwili, gdy ją pani przywoływała?

Podobnie jak Lipta, Krzemińska nie zwróciła na to w ogóle uwagi. Nie była nawet w stanie powiedzieć, jak długo czekała na przyjazd kabiny. Kiedy Langer zastanawiała się nad kolejnym pytaniem, rozległo się pukanie. Do pokoju przesłuchań nikt nie mógł wejść bez zezwolenia ze środka. W tej kwestii również całkowicie jednoznacznie wypowiedzieli się amerykańscy specjaliści.

Komisarz westchnęła i posłała blondynce przepaszające spojrzenie.

– Proszę!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Do pomieszczenia sztywnym krokiem wparadował Siwecki.

– Dzień dobry, ja tylko...

Krzemińska odruchowo odwróciła się w stronę wejścia. Ich spojrzenia się spotkały i Langer była pewna, że przez chwilę na twarzach obojga zagościł wyraz bezgranicznego zdumienia. Pierwszy opanował się inspektor. Wyprostował się, niedbale wsunął prawą dłoń

do kieszeni i przeniósł spojrzenie na Wojtiuka, a następnie na Langer.

– Pani komisarz – odezwał się formalnym tonem – czy można na słówko?

Liza wstała i posłusznie wyszła z nim na korytarz.

– Media zwietrzyły trupa – obwieścił, zamykając drzwi. – Były już pierwsze telefony. Zaraz zjadą się ekipy i będziemy mieli swój własny burdel.

– I tak trochę to trwało...

Siwecki sapnął.

– Słuchaj, to twoje śledztwo, ale musimy rzucić im jakiś ochłap.

– Nie. – Langer energicznie pokręciła głową. – Nie mam ani żadnego komunikatu, ani oświadczeń. Jeszcze jest za wcześnie.

– Chcesz ich olać? Wiesz, jak to się może skończyć.

– Weźcie Dagmarę. Od tego jest pieprzony rzecznik.

– Jedyne, co będzie mogła zrobić, to zasłonić się tajemnicą śledztwa.

– Tyle wystarczy. Z konkretnymi oświadczeniami wystąpimy, gdy tylko będziemy coś mieli. Inaczej zrobią z nas leniwych idiotów.

Siwecki cmoknął z niezadowoleniem.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł...

– Zaufał mi pan. Skopią moją dupę, zanim trafią na pańską.

– Oni nie będą kopać. – Uśmiechnął się nerwowo. – Będą się domagać linczu.

– W takim razie niech mnie zlinczują. Jeżeli coś spieprzę, wezmę na siebie całą winę. Ale teraz potrzebuję spokoju...

Inspektor zacisnął wargi. Kropla potu zebrała się przy nosku jego okularów. A może była tam już wcześniej?

– Niech będzie – zdecydował wreszcie. – Wyślę do nich Dagmarę.

– Serdecznie dziękuję.

Siwecki już miał się odwrócić, kiedy coś mu przyszło do głowy. Przez chwilę stał z półotwartymi ustami.

– Swoją drogą, co to za panienka? – zapytał niby mimochodem.

– Sąsiadka naszego trupa. Mieszka piętro wyżej.

– Ona pewnie też nie ma zbyt wiele do powiedzenia?

Oczekiwał odpowiedzi, ale Langer potraktowała jego pytanie jak stwierdzenie faktu. Coś było na rzeczy. Nie była ślepa, nie mogła tego nie zauważyć. Inspektor odezwał się prawie szeptem.

– Nie męcz ludzi. Jeśli niczego nie wiedzą, to należy przyjąć, że mówią prawdę. Nie potrzebujemy do tego łatki ubeków.

– Mam do niej jeszcze kilka rutynowych pytań...

– Odpuść. Widzę, że kobitka siedzi zestresowana, jakby była na torturach. Nie wyciśniesz z ludzi soku,

jeżeli są susi. Zrozum to, Liza. To twoja pierwsza taka sprawa i musisz utrzymać dystans.

– Naprawdę chciałabym...

Siwecki gwałtownie spochmurniał. Zrobił krok w stronę Langer i spojrzał na nią z góry. Mimo że była wysoka, przewyższał ją o ponad głowę. Pochylił się tak, jakby chciał ją pocałować w policzek.

– Posłuchaj... – Jego głos zaświszczał tuż koło jej ucha. – Może i małpy są twoje, ale ja jestem właścicielem tego pierdolonego cyrku. Albo ci się to podoba, albo znowu zajmiesz się gównianymi włamami i seksualnymi.

Inspektor na powrót wyprostował się i poprawił węzeł krawata. Nie mówiąc nic więcej, zostawił Langer samą. Komisarz przez chwilę patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę. Szedł szybkim, sprężystym krokiem. Wysłał jej jednoznaczny sygnał i każdym ruchem podkreślał jego wydźwięk.

Zrezygnowana położyła dłoń na klamce, ale jeszcze przez chwilę biła się z myślami. Siwecki nigdy nie zachowywał się tak apodyktycznie. A może nigdy nie miała z nim do czynienia jako prowadząca większą sprawę? Pchnęła drzwi i podeszła prosto do biurka, za którym siedział Wojtiuk. Nawet nie zerknęła na Krzemińską.

– Kończymy – oznajmiła krótko.

Sierżant ze zdziwioną miną odchylił wieko laptopa.

– Drukuj protokół, niech go pani sobie przeczyta i to będzie wsio. Można spadać do domu. Podpisz się za mnie.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Kilkadziesiąt sekund później jak burza wparowała do swojego gabinetu. Rembert siedział przy biurku, okno było uchylone, a kołyska Newtona spoczywała w bezruchu.

– Jak tam nasza stara panna? – zagaił psycholog.

Langer pchnęła fotel, który znalazł się jej na drodze. Oparcie zawirowało.

– Nie żadna stara panna, tylko zwykła kurwa.

Przez chwilę chciała się podzielić z Rembertem mglistymi spostrzeżeniami, ale uznała to za zły pomysł. Dziwnym trafem psycholog pojawił się w jej świecie tego samego dnia, w którym wylądował w nim również zmasakrowany trup. Mógł rzeczywiście współpracować z komendą przy podobnych śledztwach, jednak coś jej nie pasowało. Do tego umieszczenie ich w jednym pokoju nasuwało dodatkowe wątpliwości. Doskonale nadawał się na wtykę inspektora. A może po prostu widziała demony tam, gdzie ich wcale nie było?

Czy deszczowy pies ochlapał ją, poza przygnębieniem, strzępkami paranoi?

Sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała numer wewnętrzny. Róża Burza odebrała niemal natychmiast, jak zwykle ćwierkając irytująco radosnym tonem. Langer nakazała jej wezwać do siebie Walembę i Wojtiuka. Bezzwłocznie. Kiedy rzuciła słuchawkę na bazę, Rembert

poprawił się na fotelu i zastukał paznokciem w szkiełko zegarka.

– Dochodzi szesnasta – mruknął. – Ty niczego nie jesz?

– Szlugi i kawa.

Ostentacyjnie wyciągnęła papierosa, a potem go odpała.

– Posiedzimy dziś dłużej. Jeśli jesteś głodny, zamów pizzę albo skocz do sklepu. Obrzydza mnie, gdy komuś burczy w brzuchu.

Spojrzała za okno. Chmury na dobre zakryły już słońce i zbierało się na ulewę. Wiatr smagał korony drzew, a szybę oblepiły pierwsze krople. Kiedy się odwróciła, Rembert obracał w dłoniach swoją metalową zabawkę. Nie uruchomił jej jednak.

– Nie zapytasz, czy mam jakieś koncepcje?

Langer strzepnęła popiół na samotnego kaktusa.

– Masz jakieś koncepcje?

Rembert odstawił kołyskę Newtona na miejsce.

– Ślady formaldehydu potwierdzają, że sprawca był doskonale przygotowany – skonstatował. – Działał zgodnie ze szczegółowym planem. Nie wiemy tylko, po co była mu ta substancja. Co takiego chciał w niej zakonserwować...

– Być może wiemy.

Langer opowiedziała mu o teorii patologa. Rembert uważnie słuchał i co chwilę potrząsał ze zrozumieniem

głową. Kiedy zamilkła, głośno wypuścił powietrze. Machnął ręką, aby rozwiać kłęב dymu, który się wokół niego unosił.

– Jeżeli rzeczywiście chodziło o oko, mamy klasycznego sprawcę kolekcjonera – odezwał się zamyślony. – To jeden z typów seryjnych zabójców. Ta sytuacja miałaby pewne plusy...

– Co masz na myśli?

– To, że zazwyczaj seryjni mordercy działają w dość odległych interwałach czasowych. Zmienia się to przy kolejnych ofiarach, ale sądzę, że tym razem sprawca nie zaatakuje zbyt szybko.

Rembert nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo się myli.

Ułamek sekundy później do gabinetu nieśmiało zapukał aspirant Walemba.

## 12.

Raport Walemba był krótki i rzeczowy. Aleksander Nowacki nie należał do ludzi, którzy dzielą się całym swoim życiem z Internetem. Nie miał konta na żadnym portalu społecznościowym, nie uczestniczył w sieciowych platformach pośrednictwa pracy, nie prowadził też bloga



ani nie upubliczniał playlisty na YouTube. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent współczesnych nastolatków nie uwierzyłoby, że w ogóle istniał.

Walemba potrafił jednak szukać i miał do tego właściwe narzędzia. Ustalił, że Nowacki od niespełna roku pracował w londyńskiej firmie informatycznej. Wcześniej uczęszczał na specjalne kursy doszkalające, organizowane przez brytyjskie instytucje socjalne. Kilka miesięcy żył tylko z zasiłku. Przynajmniej formalnie. Incydent z rozbojem i powiązania z półświatkiem podpowiadały inny scenariusz. Nie było jednak żadnych dowodów, aby zmarły utrzymywał je przed śmiercią. Koncepcja o gangsterskich porachunkach wyglądała na naciąganą bardziej niż poselskie sprawozdania finansowe. Jego kontakty ograniczały się do drobnych oszustów, a nie poważnych mafiosów.

Jedyną zagadką było pochodzenie środków, za które mężczyzna nabył gdański apartament. Skarbowka swego czasu prowadziła nawet w tej sprawie dochodzenie, ale nie dostrzegła żadnych nieprawidłowości. Gotówka pochodząca ze sprzedaży mieszkania rodziców po zawyżonej cenie oraz deklarowane oszczędności spinały się w sam raz. Poza tym Aleksander Nowacki wydawał się bardzo nudnym człowiekiem. Zgodnie z danymi ubezpieczeniowymi nie spowodował żadnego wypadku samochodowego i sam nigdy nie był w żadnym poszkodowany. Na Wyspach nie miał niemal żadnego

majątku. Gdańskie mieszkanie było jego największą, a być może jedyną, lokatą kapitału.

Wojtiuk również odrobił swoje zadanie. Przeanalizował najbliższą okolicę budynku, w którym doszło do zabójstwa, i wytypował sześć kamer przemysłowych. Ich zapisy mogły być warte przejrzenia. Skontaktował się już z właściwymi dysponentami i zadbał o to, aby materiały nie zostały usunięte albo nadpisane. Ludzie z patrolu mieli wyświadczyć przyjacielską przysługę i je niezwłocznie odebrać. Langer poleciła, aby dyżurni od razu rozpoczęli ich przeglądanie. Nie wiedziała tylko, czego ani kogo mieliby na nich szukać.

To było właściwie wszystko. Zalewski wciąż nie przesłał całościowego raportu, sądząc zapewne, że wysnuta teoria zapewniła mu spokój przynajmniej do końca dnia. Poza informacją o formalinie laboratorium również uparcie milczało. Nadszedł ten moment, w którym Langer mogła z czystym sumieniem opuścić komisariat. Miała szczerą nadzieję, że Dagmara Łęczyńska, rzecznik komendy, nie dała się podejść dziennikarskim wilczkom.

– Niech ją szlag – rzuciła swoim zwyczajem w szybę auta. – Niech ją szlag.

Kiedy zatrzymała samochód przy kempingowym parkingu, zrobiło się już zupełnie ciemno. Okolica była niemal wymarła. Większość terenu pozostawała pusta,

czekając na letnie żniwa. Kilkanaście przyczep, których właściciele przez cały rok opłacali miejsca postojowe, spowijała cisza. Z drugiej części ośrodka, gdzie mieściły się domki letniskowe, dolatywały stłumione dźwięki muzyki. Wiatr niósł je i rozwiewał wśród nagich drzew. W powietrzu czuć było morze. Langer zatrzymała się przed wejściem do przyczepy i zerknęła na mrugającą pomarańczowym światłem latarnię. Od tygodnia zgłaszała zarządcy terenu, że trzeba z nią coś zrobić. Lampa wydawała z siebie nieprzyjemne brzęczenie, a w nocy potrafiła urządzać psychodeliczną dyskotekę rodem z praskich dzielnic rozpusty i z reflektorem skierowanym prosto w okno Lizy. Petycje najwidoczniej nie odnosiły żadnego skutku.

Weszła do środka i zawiesiła kurtkę na metalowym haczyku. Wnętrze przyczepy było ciasne, ale ergonomiczne. Langer miała w niej wszystko, czego potrzebowała: część sypialną, aneks kuchenny i namiastkę łazienki. Dzięki pieniądzom uzyskanym ze sprzedaży mieszkania mogła nabyć model wyposażony w natrysk przypominający połączenie prysznic i wychodka. To właśnie dogodne podłączenie mediów powstrzymywało ją przed wdaniem się w utarczkę z zarządcą kempingu.

Nie zdejmując butów, przeszła do szafki przy kanapie. Sięgnęła po pilota i wymierzyła nim w zawieszony na wysięgniku telewizor. Z racji niewielkiej przestrzeni

musiała się ograniczyć do dwudziestu pięciu cali. Bardziej przypominał monitor starego komputera niż nowoczesne, nie grubsze od monety, plazmy.

Na ekranie wyświetliła się stara polska telenowela. Drewniani aktorzy uśmiechali się do plastikowych aktorek. Kilkakrotnie przełączała stacje, aż wybrała pomorski kanał informacyjny. Niemal nigdy go nie oglądała. Polityka ją nudziła, a wiadomości – najczęściej przygnębiały. Z pewnością wolała drewnianych aktorów i plastikowe aktorki.

Wstrzymała dech, widząc na ekranie zbliżenie twarzy Dagmary Łęczyńskiej. Rzecznik skrzyła się w kamerze. Po chwili zoom oddalił się i obraz objął również część budynku komendy oraz kilkoro dziennikarzy mierzących w Łęczyńską kostkami mikrofonów. Wyfiokowana prezenterka, którą Langer widziała zbyt często, odpaliła petardę swoich rewelacji.

*– Czy to prawda, że ofiara przed śmiercią była torturowana?*

*– W tym momencie, niestety, nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie. Dopiero po zakończonej autopsji poznamy szczegółowe ustalenia.*

*– Grzegorz Warecki, Polska Agencja Medialna. Chciałbym zapytać o możliwe motywacje zabójcy. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, czy należy traktować tę zbrodnię jako odosobniony wypadek, porachunki*

*gangsterskie, czy, nie daj Boże, powinniśmy spodziewać się dalszych ofiar.*

*– Rozpatrujemy każdą ewentualność. Do sprawy został przydzielony doświadczony psycholog kryminalny, który analizuje okoliczności...*

*– Jak jest jego stanowisko?*

*– Wciąż zbieramy szczegółowe dane.*

*– Jak długo to potrwa?*

*– Prosimy o wyrozumiałość. Specjalna grupa śledcza rozpoczęła prace niespełna dwanaście godzin temu.*

*– W sprawie Cztery Iksa z Lublina od razu wytypowano podejrzanych...*

*– Oba przypadki mają całkowicie inne podłoże.*

*– Być może do śledztwa warto byłoby przydzielić komisarza Deryłę. Bez wątpienia ma wielkie doświadczenie...*

*– Proszę mi wierzyć, wiemy, co robić. Słucham, teraz pani.*

*– Magdalena Parysanowicz, Media Rodzina. Czy prokurator generalny objął nadzór nad tą sprawą? Mówi się o skierowaniu do Gdańska specjalnego zespołu, co prawda, nie z Lublina, ale z Warszawy.*

*– Powtórzę raz jeszcze: na razie nie ma takiej potrzeby. W naszej jednostce jest wystarczająca liczba najwyższej klasy specjalistów. Gdyby zaistniała taka konieczność, oczywiście, wystąpimy ze stosownym wnioskiem.*

*– Czyli obecnie śledztwo ogranicza się do terytorium Gdańska? Zamordowany mieszkał przecież na stałe w Wielkiej Brytanii...*

Langer z całej siły wcisnęła czerwony przycisk pilota. Wystawiła Łęczyńską na rozstrzelanie, nie fatygując się nawet, aby udzielić jej jakichkolwiek instrukcji. Chodziło jedynie o to, by jak najdłużej nie ujawnić szczegółów sprawy. Gdyby dziennikarze zwietrzyli wątek potencjalnego seryjnego mordercy, zlecieliby się pod komisariat jak sępy na widok padliny. Albo hieny. Hieny lepiej obrazowały ich fach. Hieny cmentarne. Szcherzące się w uśmiechu na samą myśl o dłubaninie przy trupach, psychopacie i potknięciach policji. Słupki popularności wystrzeliłyby w górę. Dopadliby swojego świętego Graala. Wyglądało na to, że i tak wyciekło do nich więcej informacji, niż Liza się spodziewała.

Szlag by...

Powtarzając te dwa słowa jak mantrę, zrobiła sobie kanapki z kremem czekoladowym i miodem. Pożywna mieszanka, która powinna poprawić jej humor. Oczywiście, zamiast tego jedynie uświadomiła jej, jak bardzo była głodna, i jeszcze mocniej wzmogła apetyt. Pospiesznie zaspokoiła go trzema wypalonymi pod rząd papierosami. Dwa z nich stanowiły odstępstwo od rytuału, lecz przekonywała się, że nie powinna

przykładać do tego wagi. Deszczowy pies wprowadzał chaos w jej pozornie uporządkowanym życiu. Deszczowy pies był już w przyczepie i patrzył na nią wyzywająco, w każdej chwili gotów rzucić się jej do gardła. Obezwładnić ją.

Langer starała się o nim nie myśleć. Wzięła gorący prysznic i z ręcznikiem na głowie wsunęła się pod kołdrę. Jednym z minusów mieszkania w przyczepie było panujące w niej zimno. Przez kilka miesięcy wewnątrz dogrzewała farelkami, ale odkąd na zewnątrz temperatury utrzymywały się powyżej zera, zdawała się jedynie na grube ubrania i ciepłą kołdrę.

Kolekcjoner oczu.

To hasło powracało do niej co chwilę. Dlaczego sprawca tak bardzo chciał ukryć to, co zrobił? Wstydził się tego? A może coś poszło nie po jego myśli?

Wydlubane oko na łyżeczce do herbaty.

Obraz, który mimowolnie pojawił się w jej głowie. Chciała go od siebie odsunąć, ale torturował ją różnymi konfiguracjami. Oko rozlewające się jak jajko na miękko. Oko nabiegające krwią. Martwe, matowe, nieodbijające światła. Przedsenny film atakujący ją serią klatek.

Gdyby tylko mogła teraz porozmawiać z Michałem... Usiąść przy lampce wina i po prostu mówić tak długo, aż poczułaby, że emocje całego dnia się rozplývają. Potem

kochaliby się i ułożyli do snu, a ona byłaby pewna, że nie dopadną jej koszmary.

Ale stało się inaczej. Koszmary już na nią czekały. Deszczowy pies marzył o tym, żeby wskoczyć na jej pierś i zasnąć razem z nią. Mogła się tylko z tym pogodzić.

Otworzyła szafkę nocną i wyjęła z niej nadpoczętą butelkę calvadosa. Smak wspomnień, ale również smak zabijający wspomnienia. Zdjęła założony na zakrętkę kieliszek i napełniła go złotym płynem. Wokół rozniósł się przyjemny aromat wyjętej z piekarnika szarlotki.

Wypiła wszystko jednym haustem.

Tylko dzięki temu mogła zasnąć. Tego wieczoru alkohol był jedynym lekarstwem na strach przed koszmarami. Nie tabletki ani rozmowy z terapeutą. Nie kubek gorącego mleka. Radykalny smutek wymagał radykalnego działania. Bez względu na to, czy kolejnego ranka będzie gorzej.

Zapaliła papierosa i podeszła do okna. Wypuściła dym w stronę uchylonego lufcika, ale ciąg powietrza ponownie wtłoczył go do pomieszczenia.

Nagle dobiegł ją stłumiony odgłos. Coś z plaśnięciem poruszyło się tuż obok przyczepy. Langer miała wrażenie, że otarło się o jej cienkie ściany i pomknęło dalej.

Przyłożyła dłoń do szyby, aby wyjrzeć na zewnątrz. Kemping tonął w ciemności. Mrugająca latarnia zgasła. Przebiegł ją zimny dreszcz niepewności. Nerwowo zamknęła lufcik, skazując się na spanie w kłębach dymu.



Mimo tego wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Szarpnęła za sznurek i zasłoniła bursztynową roletę.

Ucięła czyjeś mordercze spojrzenie.

Obsuwała się w sen bez snów. Kręciło się jej w głowie, a jej pierś z trudem się unosiła, by zaczerpnąć potrzebną porcję powietrza.

Ostatnie myśli były postrzępione i pełne chaosu. Pies, oko, dziecko... Kiedyś marzyła o dziecku. Jeszcze nie było za późno. Poród to zaplanowane morderstwo. Pierwszy krok, aby wydać na ziemię istotę z góry skazaną na śmierć.

A jednak żałowała.

Teraz nie byłaby sama.

## DZIEŃ DRUGI

### 13.

Langer uciskała palcami skronie. Jej mózg na zmianę kurczył się i puchnął w rytmie uderzeń serca. Czowała mdłości. Budzik zdołał wyrwać ją ze snu dopiero przy trzecim podejściu. Pojawiła się przez to na komendzie prawie pół godziny po czasie.

Niedopuszczalne odstępstwo od rytuału. I zapewne zły znak.

Siedziała przy biurku, a Rembert odczytywał na głos raport patologa. Ze zrozumieniem dla jej nazbyt oczywistego stanu robił to przyciszonym głosem.

– Zgon nastąpił na skutek dwukrotnego uderzenia w tył głowy narzędziem o młotkowatym kształcie, które zostało owinięte w materiał przypominający gazę. Stosowne próbki zostaną przekazane do laboratorium. Uderzenia spowodowały powstanie krwiaków

pourazowych i stłuczenia mózgu, co doprowadziło do wzrostu ciasnoty wewnątrzczaszkowej i ucisku na pień mózgu, a w jego następstwie – do śmierci. Słuchasz mnie?

Rembert oderwał wzrok od kartek i zerknął na komisarz. Była blada, włosy miała zebrane w kitkę, a jej oczy skrzyły się, jakby trawiła ją gorączka. Skinęła mechanicznie głową.

– Mhm... Czytaj dalej.

– Chcesz może kawy?

– Żadnej kawy. Nie słyszałeś, że to czarna śmierć?

– A wody?

Langer odsunęła palce od skroni i oparła się o biurko. Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie i zruga psychologa, ale wreszcie odezwała się zrezygnowanym głosem.

– Niech będzie kawa. Mocna.

Rembert rzucił kartki na biurko i podszedł do ekspresu. Z perfidnym uśmieszkiem zastukał łyżeczką o brzeg filiżanki. Kiedy Langer odwróciła się w jego stronę, przybrał niewinną pozę.

– Kac czy migrena? – zapytał bez ogródek.

– Co takiego?

– Co cię męczy?

– A dlaczego cię to interesuje?

– Ciekawość. Kreślę portrety psychologiczne poznawanych osób. Wczoraj obstawiałbym, że jesteś osobą niepijącą. A przynajmniej – nieupijającą się.

– Więc główniany z ciebie psycholog.

Rembert zrezygnował z dalszej polemiki. Cierpliwie odczekał, aż ekspres przetrawi ziarna i wydusi z siebie gęsty płyn. Kiedy kawa była gotowa, zamieszał ją, ponownie brzęcząc łyżeczką o filiżankę. Następnie postawił ją przed komisarz.

– W tył głowy. – Langer mruknęła zamiast podziękowania. – Sprawca za wszelką cenę nie chciał uszkodzić oczu.

Zaciągnęła się intensywnym aromatem kawy. Nie była pewna, czy podwójne espresso jest dobrym pomysłem, ale nie mogła się powstrzymać. Rembert wrócił na swoje miejsce i sięgnął po plik kartek.

– Tak naprawdę nie powinniśmy przykładać do tego szczególnej wagi.

– Sam mówiłeś, że to psychopata.

– Nie mówiłem o psychopacie, tylko o sprawcy seryjnym. A to różnica. Jednak czytając ten raport, mam pewne wątpliwości.

– Tak samo słuszne, jak sugestia o mojej abstynencji?

– Po prostu coś mi nie pasuje. Ale...

– Ale co?

– Zarazem trafiłem na coś ciekawego.

Komisarz westchnęła. Rembert miał zadatki na aktora dramatycznego. Napila się kawy i z zadowoleniem uświadomiła sobie, że właśnie tego potrzebowała. Od razu poczuła się lepiej.

Odczekała jeszcze chwilę, upiła kolejny łyk i wreszcie zadała wyczekiwane przez psychologa pytanie.

– Co takiego?

Rembert ostentacyjnie odsunął od siebie plik kartek i otworzył laptopa.

– Paweł Tuchlin, słyszałaś?

– Nie. Kto to?

– Skorpion.

– Mówisz o tym mordercy? Coś pamiętam ze szkoleń...

– Brawo ty! – Rembert uśmiechnął się znad ekranu. – Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zamordował dziewięć kobiet. Wszystkie masakrował młotkiem owiniętym w bandaż. Używał go po to, aby metalowy obuch, schowany za paskiem spodni, nie ziębił go w brzuch.

Langer dopiła kawę i założyła dłonie za głowę. Przeciągnęła się.

– Mogę cię o coś zapytać? Od której jesteś na komisariacie?

– Przyszedłem jakąś godzinę przed tobą.

– I już znalazłeś tę sprawę?

– Po prostu skojarzyłem pewne informacje.

– Dobra, mów dalej. Chociaż czekaj, czekaj... – Ponownie przyłożyła palce do skroni. – Nie wiem, do czego zmierzasz, ale zdaje się, że Skorpion nie wydlubywał oczu, a poza tym został skazany na karę śmierci. I stracony.

Rembert skinął głową.

– Konkretnie: powieszony.

– Więc?

– Przed sądem odwołał wszystkie dotychczasowe wyjaśnienia. Twierdził, że podczas przesłuchania, na którym rzekomo się przyznał do winy, był torturowany i zmuszony do podpisania protokołu, a potem...

Langer weszła mu w słowo.

– Nic dziwnego. Takie były wtedy metody. Ścieżka zdrowia, kubeł zimnej wody, dzień z uwodzającym śpiewem Krawczyka...

– Podobieństwo nie może być przypadkowe. Niemal zawsze ma jakieś znaczenie.

– Wystarczy, że inny facet z małym fiutkiem chciał kogoś zaciukać młotkiem.

– Jest wiele sposobów, żeby nie dotykał ciała.

– Ale bandaż doskonale tłumi odgłos uderzenia. I znowu wraca temat oczu. Mógłbyś wyjść poza psychologiczne farmazony i pomyśleć o jego cholernej motywacji. Poza tym dopiero mówiłeś, że masz wątpliwości co do psychopatyczności sprawcy...

Rembert głośno wypuścił powietrze.

– Nie słuchasz mnie. Rozmowa z tobą jest gorsza niż walenie głową w mur.

– Nie mówiłeś o tym?

– Psychopatyczność? Co to w ogóle za słowo?

Langer wyciągnęła papierosa. W tej samej chwili Rembert, nie odrywając wzroku od monitora, sięgnął ku kołysce Newtona.

– Okej – poddała się Liza. – Nie rób tego.

– Dziękuję.

Komisarz jak najszybciej chciała zamaskować akt bezwarunkowej kapitulacji.

– Podsumujmy to, o czym mówiłeś – odezwała się głośniej niż dotychczas. – Twierdzisz, że sprawcą może być seryjny morderca sprzed trzydziestu paru lat?

– Głośno o tym myślałem.

– To jest trzydzieści lat! – Podniosła obie dłonie, podkreślając wydźwięk swoich słów. – Twój rodzice nie mieli cię pewnie jeszcze w planach...

– Dziękuję za komplement, ale już raczkowałem.

– Nieważne. Czy to w ogóle możliwe?

– Z psychologicznego punktu widzenia: jak najbardziej. Zdarzali się sprawcy, którzy mieli jeszcze dłuższe okresy wyciszenia. Zbrodnie popełniali w wieku dwudziestu, dwudziestu kilku lat, a potem przez półwieku byli przykładnymi obywatelami...

– Zabójca siedemdziesięciolatek?

– A czemu nie? Mój ojciec był niewiele młodszy, gdy zmajstrował mi przyrodniego brata. Morderstwo jest chyba łatwiejsze.

– Masz dobre geny, Orest. Przekaż staruszkowi wyrazy szacunku.

Nieodpalony papieros kusił. Langer zastukała filtrem o blat biurka i przełożyła fajkę między palcami. To jednak ani trochę jej nie uspokoiło.

– Potrzebuję konkretów – stwierdziła ostrym tonem. – Nie dywagacji ani wspominek. Daj mi coś, co pozwoli nam ruszyć z miejsca. Wytypuj wiek tego człowieka, status społeczny, cholerne miejsce zamieszkania, cokolwiek! Są jakieś psychologiczne sztuczki określające, czy lubi być na górze, na dole, a może na co dzień to uroczy gej...

Rembert pozostał niewzruszony.

– Daj mi chwilę – odparł wpatrzony w monitor. – Chcę coś doczytać...

– Co takiego?

– Sprawdzam protokół ostatniego przesłuchania Skorpiona.

– Masz hasło dostępu do elektronicznego archiwum? – zdziwiła się Langer. – Przecież dostają je tylko niektórzy funkcjonariusze...

– Już kiedyś z niego korzystałem.

Odsunęła od siebie filiżankę kawy. Jej zbawcze działanie minęło, zastąpione przyływem mdłości. Psycholog najwidoczniej miał spore fory.

– Czytaj zdrów.

Rembert pochylił głowę, niemalże uderzając o ekran laptopa.

– O cholera! – Gwizdnął pod nosem. – Nieźle!



– Czym się tak podniecasz?

– Sama zobacz...

Skinął w stronę komisarz, dając znak, by do niego podeszła. Zmarszczył brwi i nerwowo skubnął podbródek, jakby szukał na nim śladu zarostu. Langer otarła z czoła krople potu. Było jej niedobrze.

– Opowiedz mi te rewelacje...

– Naprawdę, lepiej, żebyś podeszła.

– Wiesz, że jesteś upierdliwy bardziej niż straż miejska? Zaszantażuj mnie jeszcze tymi lasującymi mózg kulkami.

Mimo wszystko wstała i przytrzymując się blatu, obeszła biurko. Zapobiegliwie wstrzymała oddech, po czym zerknęła nad ramieniem Remberta. Na ekranie laptopa jaśniał zaznaczony fragment tekstu. Zeskanowany dokument był pożółkły, a na rogach znajdowały się charakterystyczne zagięcia, które powstały dlatego, że urządzenie przerzucało automatycznie zbyt wiele kartek.

– O co chodzi? – zapytała, mrużąc oczy.

– Zobacz, kto się tutaj podpisał...

Langer pochyliła się jeszcze bardziej. Pod tłustymi literami, wystukany na maszynie, znajdował się zamaszysty odręczny podpis.

*Osoba prowadząca czynność:*

*chor. Romuald Siwecki*

## 14.

Langer niemal biegła przez korytarze komendy. Zapomniała o mdłościach, ciężarze w żołądku i bólu głowy. W kobiecie kipiała złość. Zbyt wiele się nie zgadzało. Statystycznie w ciągu doby nie powinno wyniknąć tyle niedomówień. Aberracja była na tyle znacząca, że wychyliła się ponad linię dopuszczającą zbieg okoliczności, przebiła poziom wątpliwości i zahaczyła już o wiarę w spiskową teorię dziejów. Tak Liza mogłaby zobrazować wykres wzrostu wkurwienia. Prawda biła po oczach. Najpierw Langer dostała głównianą sprawę jako debiut w roli prowadzącej. Okej, kiedyś musiała zacząć, a lepsze są początki z grubej rury niż zaliczenie niewypału. To reguła, której się trzymała tak w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Jednak kilka godzin po tym w pakiecie ze sprawą dołączono dupkowatego Remberta. Gówniarza, który dostał w posagu nie tylko połowę jej gabinetu, lecz także swobodę działania równą oficerom śledczym. Co więcej, z upodobaniem notorycznie analizował jej zachowanie, czego nie robił w odniesieniu do działania zabójcy.

Trzeci alarm zapalił się przy przesłuchaniu Krzemińskiej. Siwecki ewidentnie chciał, aby je

zakończyła, nie drażyła tematu, a najlepiej przeprosiła blondyneczkę za zawracanie głowy. Gdyby tego było mało, na koniec trafiła na jego podpis pod protokołem przesłuchania podejrzanego o zabójstwa podobne do tego, które popełniono poprzedniego dnia. Podświadomie wyczuwała, że alarmów jest jeszcze więcej, ale część z nich dopiero zapalała się w jej podświadomości.

Karuzela wariactwa ruszyła. Deszczowy pies ocierał się o jej nogi, lecz trącała go w nos.

Analizowała każdy szczegół. Kiedy wyparowała z gabinetu, Rembert nawet się nie poruszył. Pewnie rozszyfrował jej zamiar i albo go poparł, albo uznał, że drobna konfrontacja wyjdzie wszystkim na dobre.

Czy mogła mu zaufać? Nie powiedziała mu przecież o reprimendzie, której poprzedniego dnia udzielił jej Siwecki. Poza tym gdyby nie odnalazł jego podpisu, nie byłoby całej sprawy... Może to wszystko stanowiło przemyślany plan usmażenia komuś tyłka, w którym to planie ona odgrywała rolę frajera? A może nie było żadnego cholernego planu? Myśli szalały jej w głowie z prędkością cząsteczek emitowanych przez zderzacz hadronów.

Nie zamierzała czekać na windę. Kiedy Langer była w ruchu, burza myśli w jej głowie się uciszała. Dzięki szybkiemu marszowi Liza unikała nawałnicy. Lekko sapiąc, wdrapała się na ostatnie piętro. Panoramiczny widok z okien nie przykuł jej uwagi choćby na ułamek

sekundy. Nie zatrzymała się nawet przed gabinetem inspektora. Niedbale zapukała, pchnęła drzwi i bezpardonowo wparowała do środka.

Siwecki jak zwykle tkwił w fotelu za biurkiem, a na krześle przy metalowej szafie siedział nadkomisarz Chojecki. Szpakowaty mięśniak, od lat typowany na następcę inspektora, zresztą prywatnie jego przydupas oraz przyjaciel. Przyjacielska musiała być również ich rozmowa, toczona przy kawie i ciasteczkach czekoladowych, których okruchy poniewierały się wokół leżącego na biurku talerzyka. Kiedy Langer wpadła do gabinetu, obaj mężczyźni utkwili w niej czujne spojrzenia.

– Liza! – Siwecki nerwowo poruszył się w fotelu. – Jakieś nowe informacje?

Langer przez chwilę milczała. Z kłębowiska myśli nie mogła wyłowić tych najistotniejszych, ale miała względnie przygotowany plan działania. Zerknęła wymownie na Chojeckiego.

– Chciałam porozmawiać z inspektorem na osobności.

Jej słowa zlały się w jedną całość. Siwecki udał, że nie zrozumiał.

– Proszę?

– Chcę z panem porozmawiać w cztery oczy.

– Nadkomisarz chętnie posłucha o postępach w twoim śledztwie... Właśnie o nim mówiliśmy.

– Co takiego?

Ostry ton jej głosu wprowadził Chojeckiego w zakłopotanie. Podniósł się z krzesła, ale inspektor gestem nakazał mu pozostanie.

– W nocy spłynął do nas raport brytyjskiej policji. W ramach pomocy przesłaliśmy im twoje pytania do osób, które utrzymywały jakiegokolwiek relacje z Nowackim. Zadziałali wyjątkowo sprawnie...

Langer czuła się, jakby ktoś zdzielił ją w twarz. Pięścią i z siłą rozpędzonego pociągu.

– Dlaczego nie dostałam tego raportu? – wycedziła.

Siwecki zmarszczył łysinę. Jego brwi zlały się niemal w równą linię.

– Skoro ja występowałem z wnioskiem, ja otrzymałem odpowiedź. To normalna procedura. Miałem ci lada chwila wszystko przesłać... Domyślam się, że zapoznałaś się już z analizą laboratorium?

Nie sprawdzała maila, ale równie dobrze inspektor mógł blefować. Zamiast postawić go pod ścianą, sama musiała się bronić.

– Czego dowiedzieli się Brytyjczycy? – odparowała pytaniem.

– Właściwie to tak mało, że szkoda zawracać sobie głowę. – Siwecki pociągnął nosem. – Lepiej skupić się na laboratorium. Poza śladem formaliny, o którym już chyba wiesz, oraz resztkami flaków denata mieszkanie było sterylnie czyste. To dość niezwykle, prawda?

Skąd wiedział, że ona wie? Poinformował go albo Rembert, albo ktoś z laboratorium. Deszczowy pies polizał ją po dłoni.

– Przypuszczam, że sprawca miał przygotowany strój, kombinezon czy coś podobnego. – Inspektor ciągnął bez zająknięcia. – Po wszystkim spakował manatki i wyszedł.

Chojecki kiwał głową, jakby potwierdzał każde słowo. Langer słuchała tego wyводу z narastającą irytacją.

– Utwierdza pan moje wrażenie, że jestem tylko dla picu – syknęła, nim Siwecki skończył. Ton jej głosu był zimny, lecz doskonale opanowany. – Spodobało się panu, że w razie czego to ja dostanę po dupie. Nawet wczoraj. To pan kazał Łęczyńskiej, żeby tak chętnie pieprzyła o specjalnej grupie śledczej?

Siwecki oparł łokcie o biurko i wymienił spojrzenie z nadkomisarzem.

– O tym chciałaś porozmawiać? – zapytał zaczepnie. – Coś ci nie odpowiada?

– Na przykład Rembert! Ma czuwać, żebym nie zrobiła czegoś głupiego?

– O czym ty mówisz?

– A może tylko patrzeć mi na ręce?

– Liza...

Langer nie dała sobie przerwać.

– Dlaczego właściwie ja? – Podeszła do biurka i oparła się o jego krawędź. Czuła, że zostawia na lśniącej powierzchni tłuste odciski dłoni. Zachowała taki dystans,

by inspektor nie mógł wyczuć od niej alkoholu. – Chcę znać prawdę.

– Chyba nie rozumiem...

– Dlaczego to ja dostałam tę sprawę? Bo będę potulna, ciesząc się, że wreszcie robię coś poważniejszego? Tak było?

– Nikt cię nie wystawia, jeśli o to ci chodzi.

– W dupie mam wystawianie.

– Więc?

– Więc dlaczego wczoraj kazał mi pan skończyć przesłuchanie? Istnieje na to jakiś punkt regulaminu? Czy to tylko pańska podkładka na przyszłość? Komisarz, która nie potrafiła przesłuchać świadka!

Siwecki po raz kolejny skierował wzrok w stronę Chojeckiego. Nie wyglądał już na tak zadowolonego z jego obecności.

– Liza... – odezwał się, po czym odchrząknął. – Wiemy o twojej stracie i o tym, jak bardzo to wszystko przeżyłaś. Jeżeli to wraca, powiedz... Dostaniesz kilka dni wolnego, zregenerujesz się.

– Zrzucanie winy na moje prywatne sprawy niczego nie zmieni.

– Wiesz, że zawsze cię wspierałem. Może tego nie doceniasz, ale ta sprawa to wyraz zaufania.

– Tak samo, jak wtrącanie się do przesłuchania i blond wtyka w pokoju?

– Doktor Rembert nie jest wtyką, ale specjalistą.

– Który twierdzi, że szukamy seryjnego mordercy, a pięć minut później ma już inne zdanie?

Siwecki lekceważąco machnął ręką.

– Rzeczywiście, zbyt często snuje na głos domysły. Ale uwierz mi, że zmierza do właściwych konkluzji.

– Wprowadza chaos.

– Gdzie?

– W mojej pieprzonej głowie!

To nie miało sensu. Zdała sobie sprawę, że atakując, niczego nie osiągnie. Prędzej straci sprawę lub stanowisko. Przynajmniej nie odkryła wszystkich kart. Nie zdradziła swoich podejrzeń i pokazała, że nie da sobą sterować.

Albo jedynie zrobiła z siebie idiotkę... Zacisnęła palce na lepkim nosie deszczowego psa.

Postanowiła chwilowo odpuścić, dając Siweckiemu poczucie, że udało mu się załagodzić sprawę.

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego miałam przerwać przesłuchanie – powiedziała ugodowo.

Inspektor wyraźnie się odprężył. Opadł z powrotem na oparcie fotela i poprawił okulary. Nie patrzył już w ogóle w stronę nadkomisarza. A ten milczał z kpiącym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Czasem trzeba powiedzieć stop – mruknął Siwecki.  
– Szczególnie przy tak delikatnych sprawach.

– To nie jest odpowiedź.

– Wolisz bardziej klarownie?



– Wręcz o to błagam.

Siwecki wydał wargi.

– Pierwsza zasada to żadnych skarg. Żadnych niezadowolonych klientów i haków dla dziennikarzy.

Dalej to samo. Tym razem Langer powstrzymała się od komentarza. Do głowy przyszedł jej pewien pomysł, w jaki sposób mogłaby ugryźć sprawę. Przynajmniej tę sprzed trzydziestu lat. A może za jednym zamachem – i sprawę zabójstwa z wczoraj? Słyszała Siweckiego jak przez mgłę. Jednak nie była to już kwestia kaca. Ten błyskawicznie rozwiął się w jeszcze smętniejszej rzeczywistości.

– Musisz być bardzo ostrożna. Jeżeli czujesz, że zadrży ci ręka, powiedz to teraz. Nie chcę, żeby nasz domek z kart legł w gruzach.

## 15.

Jak zawsze w czasach ustroju słusznie minionego, forma przeważała nad procedurami. Przynajmniej jeśli wierzyć Skorpionowi. Protokół z rozprawy, na której zmienił swoje wyjaśnienia, również znajdował się w elektronicznym systemie. Był rozpisany w formie dialogu, który prowadzono na sali sądowej,

w przeciwieństwie do współczesnych protokołów, które często stanowiły jedynie luźne streszczenie stanowisk stron.

– *W jaki sposób policjanci mieli wymusić od pana te wyjaśnienia? Na komisariacie w trakcie przesłuchania?*

– *Nie, nie...*

– *No więc gdzie?*

– *Podczas wizji lokalnej.*

– *Proszę mówić o konkretach, a nie za każdym razem czekać na moje pytania.*

– *Aha. Dobrze. To było w Skowarczu. Chcieli, bym pokazał, w jaki sposób niby zamordowałem jedną z tych kobiet. Nie miałem o tym, oczywiście, żadnego pojęcia. Jak miałem im to pokazać?*

– *Co się wtedy stało?*

– *Pamiętam, że zatrzymaliśmy się na cepeenie. Wszędzie drogi były tak namoknięte, że bali się wjeżdżać na nie wozem. Wysoki Sądzie, opony im się ślizgały już przy samym podjeździe, a co by to było, gdyby się wpakowali na te dalsze ścieżki? Pogoda pod psem wtedy była.*

– *Te szczegóły oskarżony może odpuścić... To nieistotne.*

– *Mówiąc do sedna. Przeszliśmy błotnistą polną drogą, aż wokół nie było już żadnych domów. To właśnie wtedy mnie zmusili.*

– *Zmusili do przyznania się?*

– *Tak.*

– *W jaki sposób?*

– *Dokładnie pamiętam, co mówili. Powiedzieli, że jesteśmy wśród dzikich pól, że tu panuje pierdo... przepraszam, bezprawie i nikt nie będzie im przeszkadzał. Kazali mi pokazać, w którym miejscu niby napadłem na jakąś kobietę. Kiedy znowu odmówiłem i tłumaczyłem, że nie mam pojęcia, o co im chodzi, powalili mnie na ziemię. Jeden z nich od razu przydusił mi głowę butem. Miałem skute ręce i nie mogłem się nijak osłonić. Zerwali mi buty, a potem kilka razy uderzyli mnie pałką w te ścięgna za kostkami i w pięty. Milicyjny standard. Cały czas pytali, czy sobie już przypominam. Zaprzeczałem, więc przekręcili mnie na plecy i zaczęli kopać w... ten... krocze. Grozili, że mam już załatwioną fuchę cwela na Kurkowej.*

– *Mieli na myśli areszt śledczy?*

– *Tak.*

– *Właśnie wtedy oskarżony się przyznał?*

– *Jeszcze przez chwilę starałem się opierać, ale nie miałem szans. Co rusz wymyślali kolejne groźby i przypominali sobie wzajemnie, żeby tak mnie bić, by nie było za dużo śladów. W końcu zrozumiałem, że to już nie ma sensu. Dalsze stawianie się im tylko ich nakręcało.*

– *Czy milicjanci mówili, co będzie dalej?*

– *Powiedzieli, że jeśli cokolwiek odwołam przed prokuratorem, takie... przestuchania... się powtórzą.*

*– Obawiał się oskarżony, że tak mogłoby się stać?*

*– A jakżeby nie?*

*– Proszę o odpowiedź: tak lub nie.*

*– Tak.*

*– Rozpoznaje oskarżony któregoś z policjantów, którzy was bili, wśród tych znajdujących się na sali?*

*(Oskarżony rozgląda się).*

*– Nie.*

Dalej nie było już nic ciekawego. Po chwilowym zainteresowaniu sąd całkowicie zignorował wersję oskarżonego i Langer nie znalazła choćby śladu próby ponownego zbadania sprawy. Dowody były zbyt mocne. Skorpion został skazany na karę śmierci i powieszony dwa lata później w gdańskim areszcie śledczym przy ulicy Kurkowej. Pochowano go w nieoznaczonej kwaterze.

Przez kolejną godzinę komisarz przeglądała raport laboratorium i informacje przesłane przez policję brytyjską. Poza tym, co już wiedziała, nie znalazła żadnych wartościowych wskazówek. Stali w miejscu. Nie miała żadnego punktu zaczepienia poza niemal starożytną historią. Zrezygnowana zadzwoniła na numer wewnętrzny Wojtiuka i już po sposobie, w jaki przywitał ją funkcjonariusz, wiedziała, że nie trafił na nic nowego. Od rana przeglądał zapisy kamer, ale był ledwie w połowie materiału. Nagrania analizował razem

z dwójgim podległych sobie ludzi, aby nie przegapić żadnego szczegółu.

Szczyście uśmiechnęło się do Langer tuż po południu. Dokładnie o dwunastej sześć dostała informację, na którą czekała, odkąd opuściła gabinet Siweckiego. Walemba zdołał ustalić, że kapral, który protokołował prowadzone przez niego przesłuchanie, został wydany ze służby w osiemdziesiątym siódmym roku. Dziwny zbieg okoliczności. Mężczyzna spadł na cztery łapy i obecnie był współwłaścicielem jednej z gdańskich strzelnic sportowych. Forma znów przeważała nad procedurami.

Langer natychmiast wyszukała adres ośrodka.

– Wychodzę – rzuciła do Remberta, wkładając kurtkę.  
– Jakby co, jestem pod telefonem.

Przez ostatnie godziny siedzieli w zupełnym milczeniu. Psycholog zawzięcie notował, ale nie zamierzała się o nic dopytywać. Równie dobrze mógł rysować jej portret. Nawet słowem nie skomentował jej wybuchu złości ani wizyty u inspektora.

– Dokąd idziesz?

– To przesłuchanie?

– Po prostu pytam. – Rembert odłożył na biurko długopis ze skuwką w kształcie wielkiej zapałki. – Każde spotkanie mające związek ze sprawą mogłoby mi pomóc w kreśleniu...

– Portretu psychologicznego – dokończyli razem. Langer wydała z siebie odgłos przypominający rechot

żaby.

– Czyjego? – zapytała, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodała: – Zajmij się tym, co masz. Jeśli się nudzisz, to chłopaki przeglądający nagrania z kamer chętnie cię przygarną.

– Nie nudzę się...

– I przestań się do mnie odzywać tym skomlącym głosem.

Rembert gwałtownie poderwał się od biurka. Po raz pierwszy z jego twarzy znikła maska pogody i serdeczności. Wystarczyło, że zrobił dwa kroki na swych patykowatych nogach, i znalazł się tuż przy komisarz.

– Od początku masz mnie za wroga. – Wzruszył ramionami. – Jesteś zamknięta w świecie swoich uprzedzeń i swojej nieufności. Z takim podejściem nigdy nie poprowadzisz właściwie śledztwa, a tym bardziej nie złapiesz kogoś sprytniejszego od menela z mózgiem wyżartym przez borygo.

– Coś jeszcze?

– Jesteś bystra, ale boisz się kontaktów z ludźmi. Zamiast skupiać się na tym, co istotne, analizujesz każde wydarzenie i każdą informację pod kątem własnych emocji. Widzisz wszystko w czarnych barwach, bo tylko dzięki temu twój świat nabiera kolorów. Nie ma w tym mechanizmie niczego wyjątkowego, raczej pojawia się on u większości osób, które walczyły z depresją. Albo wciąż walczą.

Langer patrzyła psychologowi prosto w oczy. Wydawało się, że splunie mu w twarz, lecz po chwili odezwała się zupełnie łagodnym tonem.

– Dziękuję za bezpłatne konsultacje. Kiedyś za podobną litanię zapłaciłam dwie stówki.

Ruszyła w stronę drzwi i nacisnęła klamkę.

– Chciałem ci uświadomić coś całkiem innego.

– Niby co?

– To, że nie potrzebuję już cię analizować. I że jesteśmy zespołem. Czy tego chcesz, czy nie.

Komisarz zatrzymała się w progu. Przeciągnęła dłonią po futrynie, jakby sprawdzała, czy jest na niej kurz.

– Jeśli naprawdę chcesz się do czegoś przydać, daj mi chociaż strzęp informacji. Takiej, która powie mi więcej niż to, że sprawcą jest kawał skurwysyna.

## 16.

Nie wiedziała, dlaczego to robi. Działała wiedzona jedynie instynktem i wewnętrznym głosem, nakazującym pozbyć się jakichkolwiek wątpliwości. Deszczowy pies czasem nie był wrogiem, ale zachętą do działania. Po wielu miesiącach nauczyła się postrzegać go właśnie w ten sposób.

Rembert miał rację. Widziała wszystko w czarnych barwach, bo dzięki temu jej świat nabierał kolorów. Potrzebowała trochę bieli.

Zgodnie z przewidywaniami alkomat nie wykazał w wydmuchiwanym przez nią powietrzu nawet setnej części promila. Kac również cudownie minął. Ostateczny cios wymierzyła mu zimnym powietrzem wpadającym przez nisko opuszczoną szybę służbowego auta. Umyślnie wybrała dłuższą, lecz mniej zakorkowaną trasę. Ruch wyhamował dopiero na przebudowywanym odcinku przy Galerii Morena. Langer natychmiast zasunęła szybę i włączyła klimatyzację. Podjeżdżała po kilka metrów, utkwiwszy wzrok w klockowatych budynkach sądu rejonowego. Przypominały raczej koszary albo hotele robotnicze, a nie obiekty użytku publicznego. Słaba wizytówka Gdańska. Chociaż wizyta w sali sądowej raczej u nikogo nie powodowała turystycznych uniesień.

Po kwadransie była na miejscu. Strzelnica prowadzona przez ekskaprała Waldemara vel Waldka Janickiego znajdowała się na wolnym powietrzu poza obrębem miasta. Mieszkańcy Wrzeszcza i Moreny od lat domagali się rewitalizacji tej okolicy. Zamiast wymuskanego parku, podobnego do kilku innych, uporządkowanych w ostatnich latach, mieli pod nosami mieszaninę lasu i śmietniska. Inwestycja może nie do końca odpowiadała ich planom, ale została połączona z zagospodarowaniem rozległego terenu. Poza tym



powodów do narzekań nie było. Wysokie drzewa tłumiły huki wystrzałów, co stanowiło główny temat dyskusji sprzed lat. Langer, przemierzając odgradzony teren, odpaliła papierosa. Pomieszczenia służbowe mieściły się pod tą samą wiatą, pod którą rozstawiono stanowiska strzeleckie. Prowizoryczna budowla przypominała leśniczówkę pozbawioną części ścian. Po jej drugiej stronie rozciągał się kilkusetmetrowy pas wybranej ziemi, zakończony masywem kulomiotów. Tarcze na kolejnych torach ustawione zostały w różnych odległościach.

– Tu nie wolno palić.

Czyjś charczący głos dobiegł ją, nim doszła do wejścia. Niski mężczyzna w kowbojskim kapeluszu wyrósł dosłownie spod ziemi. W dłoniach trzymał sportową lornetkę, a do pasa miał doczepioną kaburę starego typu. Nie dostrzegła w niej broni. Starła się ocenić jego wiek. Zadanie było utrudnione przez nakrycie głowy, które rzucało na jego twarz cień. Mógł mieć zarówno około siedemdziesięciu, jak i około pięćdziesięciu lat.

– Pan Janicki? – zapytała, wciąż trzymając odpalonego papierosa.

– Nie. Waldek teraz strzela.

Nieznajomy wskazał na siwego, tęgiego mężczyznę przy jednym ze stanowisk.

– Powtarzam, na tym terenie jest zakaz palenia.

– Słyszałam.

– Proszę więc...

Langer rzuciła niedopałek na ścieżkę i przydeptała go.

– Można tu wypożyczyć armatę, a przeszkadza byle papieros? Trąci mi to przepisem unijnym.

Nie zatrzymując się, minęła mężczyznę w kapeluszu i skierowała się w stronę stanowisk strzeleckich. Poza Janickim znajdowało się tam jedynie dwóch innych dziwaków w kowbojskich kapeluszach. Poczowała kwaśny zapach spalonego czarnego prochu. Najwyraźniej trafiła na fanów rekonstrukcji wojny secesyjnej. Również Janicki opróżniał bębenek potężnego rewolweru sprzed półtora wieku.

Odczekała, aż huk wystrzałów przestanie świdrować jej w uszach, i ruszyła w stronę mężczyzny. Zbliżyła się na odległość kroku.

– Halo!

Krzyknęła na tyle głośno, by przedrzeć się przez zasłone słuchawek, które były milicjant miał ciasno nasunięte na uszy. Odwrócił się w stronę Lizy. Jego okrągłą twarz dodatkowo poszerzały prostokątne okulary ochronne z żółtego szkła. Ściągnął słuchawki i obrzucił ją pytającym spojrzeniem. Langer jednym tchem wyrzuciła swoje nazwisko, stopień oraz przydział do komendy. Janicki nie wyglądał na zaskoczonego.

– O co chodzi?

– Chciałam zadać kilka pytań. Na osobności...

– A czego to ja bym nie chciał?

Były milicjant przełożył rewolwer do lewej dłoni i przepisowo skierował go lufą ku ziemi. Uśmiechnął się drapieżnie.

– Znowu ktoś was wezwał? Wszystkie papiery są w biurze. Proszę wejść i czuć się jak u siebie w domu.

– Nikt mnie nie wezwał. – Langer rozejrzała się wokół. – Jestem tu całkowicie nieoficjalnie. Chyba wie pan, o czym mówię?

– Być może.

– Chodzi mi o sprawę Skorpiona. Muszę się dowiedzieć, czy...

Mężczyzna przerwał jej głośnym chrząknięciem. Zebrał ślinę i splunął za ogrodzenie boksu.

– Kiedyś uczono nas, aby śledczy przepraszała za poruszanie przykrych wspomnień.

Langer wzruszyła ramionami.

– Jak widać, nie tylko poziom szkolnictwa zszedł na psy.

– W tej sytuacji „psy” to kurewsko niefortunne słowo.

Janicki uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ponownie przełożył rewolwer i wierzchem dłoni dotknął bębienka.

– Wyszło mi raczej na dobre – powiedział, rechocząc. – Przynajmniej nie zabrali mi emerytury za pracę dla służb.

– Został pan odsunięty? A może zwolnienie było nagrodą?

– Jakże to ma znaczenie?

– Nie działał pan sam. – Langer znacząco pokręciła głową. – Ale tylko pan odszedł ze służby.

– Pisze pani moją biografię?

– Nie znam się na pisaniu. Ale wiem, że łatwiej jest wylecieć w kosmos niż z naszej firmy trzydzieści lat temu. I dopuszczam opcję, że skatowaliście niewłaściwego człowieka.

Janicki ponownie splunął. Wyjął z za pasa mosiężny dozownik i nasypał prochu do jednej z komór bębena. Następnie umieścił w niej filcową przybitkę, a na nią wtłoczył ołowianą kulę.

– Zamiast filcu dobrze jest stosować kaszę manną – odezwał się, powtarzając czynności z kolejną komorą. – Doskonale uszczelnia. Na koniec niektórzy smarują kule woskiem albo innym gównem. Boją się załapać na chain fire. Wie pani, co to jest?

– Może się pan pochwalić. Byle nie trwało to wieczność...

– Przez nieuszczelnienie i przeniesienie iskry następuje jednoczesny zapłon w kilku komorach. Tyle że kule bez lufy to dziecięca zabawka. Jak ptaszek bez jajek, jeśli rozumie pani, o czym mówię... Ale fajerwerki są całkiem ładne, więc dużo przy tym krzyku i bajek.

Langer nerwowo parsknęła.

– To metafora? Mam sobie pomyśleć, że pan był jak kula, Siwecki jak przybitka, a wasz szef jak lufa i wydymał was bez smaru?

Janicki podniósł głowę i powiódł po Langer rozbawionym spojrzeniem. Kąciki jego ust zadrżały, gdy hamował wybuch śmiechu.

– Żadna metafora – powiedział, wyciągając z okrągłego pudełka miedziane kapiszony. – Po prostu lubię tę zabawę i lubię o niej opowiadać.

– W takim razie dziękuję za garść ciekawostek i proszę pobawić się ze mną w przesłuchanie.

– Tekst o skatowaniu nie był zbyt dobrym wstępem.

– Ale zwrócił pańską uwagę. A co najważniejsze, wie pan, o czym mówię, więc coś było na rzeczy.

– Bzdury...

Langer podziwiała zręczność, z jaką właściciel strzelnicy nakładał kapiszony na kominki. Wymagało to niemal zegarmistrzowskiej precyzji, a jego pulchne palce wręcz zonglowały kilkumilimetroowymi spłonkami.

Oparła się o filar i wsunęła ręce do kieszeni. Strzelnica była osłonięta od wiatru, ale nie chroniła od chłodu. Nie miała zamiaru tkwić tu bez sensu kolejnych kilkanaście minut.

– To Siwecki kazał panu w tym uczestniczyć? – zapytała wprost. – Czy ktoś inny?

Tym razem Janicki nie zbył jej półsłówkiem.

– Romek nie miał nic do gadania – powiedział, zniżając głos. – Kim my wtedy byliśmy? On nie miał chyba nawet oficera?

– Był chorążym.

– No właśnie. Nic nieznaczące gówno. Z góry chcieli, żebyśmy jak najszybciej skończyli sprawę. Obstawiam, że do tej pory to się nie zmieniło.

– To nie. Ale realizacja wytycznych – już tak.

– Żyje pani w utopii.

Janicki złożył się do strzału i wyciągnął przed siebie rewolwer. Tym razem nie nasunął słuchawek. Opróżnił bębenek, opuścił broń i nie interesując się rezultatem na tarczy, odwrócił się do Langer. W jej uszach wciąż świdrował pogłos wystrzałów.

– Żadnych tortur nie było – powiedział kategorycznie.

– Może lekka perswazja.

– Rozmawiamy całkowicie prywatnie...

– Całkowicie prywatnie mówię, że musieliśmy to zrobić. Swoją drogą, co to panią obchodzi po trzydziestu latach?

– Sprawdzam pewne tropy...

– To, że nie złapaliśmy Skorpiona?

– Chociażby.

– Może to pani włożyć między bajki.

– Nasłuchałam się wielu bajek, które później okazały się cholernie prawdziwe.

– Nie obchodzi mnie, co pani o tym myśli. – Janicki starł z dłoni czarną smugę prochu. – Jestem po prostu pewny jak swojego platfusa, że to był on. Skazano właściwego człowieka.

Langer nie była przekonana. Nie uzyskała ani konkretów, ani domysłów. Były milicjant nie ukrywał, że przyznanie się do winy zostało zdobyte w niezbyt humanitarny sposób, i nie wstydził się tego. Sprawiał przy tym wrażenie osoby mającej czyste sumienie.

– Nie było innej metody? – zapytała. – Nie mogliście z niego tego wydusić w inny sposób?

– Prośbą? Obietnicą niższej kary?

– Przecież mieliście inne dowody. To na ich podstawie sąd mógł go skazać na stryczek.

– To by było nie fair. – Janicki prychnął oburzony. – Kiedy jest się przekonany, że facet przed tobą zamordował dziesięć kobiet, nie myśli się o prawach człowieka i innych banialukach. W tamtych czasach procesy nie ciągnęły się po kilkanaście lat, bo mieliśmy na to sposoby. Teraz słyszy się o pobitych policjantach, którzy boją się wyciągnąć broń z kabury... Nie żeby strzelać, ale chociaż postraszyć! To absurd, nie sądzi pani?

– Niech pan powie wprost. Te sposoby to tortury?

– Tortury i tortury... – Janicki westchnął. – Żadnych tortur. Przyjacielska rada, że lepiej zrobi, przyznając się, niż matacząc. Rodziny ofiar też chciały znać prawdę. Chodziło przede wszystkim o ich dobro. Nie o mnie, nie o Siweckiego czy jakiegoś zafajdanego ministra. W tamtych czasach państwo naprawdę dbało o obywatela.

– Okłamując go?

– Powiem raz jeszcze. On po prostu był winny. Rozumie pani?

Langer nie odpowiedziała. Dzwonek jej komórki złał się z salwą wystrzałów ze stanowisk za jej plecami. Odebrała niemal natychmiast, ale dalsza kanonada zagłuszyła głos sierżanta Wojtiuka. Pospiesznie wyszła z boksów i skierowała się za drewnianą przesłonę.

– Powtórz, co powiedziałeś – rzuciła, zatykając drugie ucho.

Tym razem usłyszała już całkiem wyraźnie.

– Chyba na coś trafiliśmy.

## 17.

Langer ogarnęło przytłaczające poczucie bezsensu. Wszystko nagle stało się jeszcze bardziej szare i ponure. Informacja, że jedna z przeglądanych kamer coś uchwyciła, powinna wprawić ją w przyjemne pobudzenie, ale w rzeczywistości jedynie ją zdeprimowała. Twarz sprawcy? To by znaczyło, że są na ostatniej prostej. Liza mogłaby zamknąć swoją pierwszą większą sprawę i odtrąbić sukces. Co wtedy? Życie nie oferowało niczego



więcej poza czekaniem na bezwzględnie zbliżającą się przyszłość. Zrozumiała to przez ostatnie miesiące.

Człowiek z wytęsknieniem chwyta kolejne chwile, nie dostrzegając, że na ich końcu znajduje się czarna dziura nicości. Oblewanie zdanej matury, skończonych studiów, pierwszego mieszkania, celebrowanie domku letniskowego, urodzin dzieci, wnuków, ciągle doszukiwanie się perspektywy.

Życie nie ma perspektyw. Perspektywą życia jest śmierć.

W głowie kołatała się jej dawno zasłyszana myśl. *Skup się na każdym oddechu, bo ulatuje bezpowrotnie.* Skoro ulatywał bezpowrotnie, to nie miał również żadnego znaczenia.

Przeżyć życie. Tylko o to chodziło.

Nie spieszyła się na komendę. Schwytanie kolejnej chwili niebezpiecznie przybliżyłoby ją do końca. Deszczowy pies otarł się o jej kark, stawiając dęba włoski na całym ciele. To przez niego pojawiały się te absurdalne myśli. To strzępy jego futra zbierały się jej w gardle i przyprawiały ją o mdłości. Deszczowy pies nakłaniał do pragmatyzmu.

Zajechała na stację benzynową i zmusiła się do zjedzenia gorącego hot doga z mieszanką kolorowych sosów. Parówka smakowała dokładnie tak, jak powinna: rozmokniętą tekturą, skórą i woskiem. Liza miała wrażenie, że nie do końca zmielone dzioby oraz pazury

chroboczą jej między zębami. Nigdy więcej hot dogów. Nawet w najbardziej ponure dni.

Wsiadła do auta i przy otwartych drzwiach zapaliła mińska. Papieros zawsze stanowił najlepszą grę na zwłokę. Odkładał w czasie to, co nieuchronne.

Langer zerknęła na zegarek i potrząsnęła dłonią, jakby była pewna, że się zatrzymał. Wskazówki jednak poruszały się regularnie. Trzynasta trzydzieści siedem. Od telefonu Wojtiuka minęło niespełna pół godziny. Powinna się cieszyć, że zyskała kilka chwil życia. Człowiek na łożu śmierci z pewnością przeklina się za wszystkie momenty, kiedy chciał przyspieszyć bieg czasu. Chyba że i wtedy wciąż doszukuje się ostatniej z perspektyw.

Skąd o tym wiedziała, skoro nigdy nie była na łożu śmierci?

\* \* \*

Kwadrans później Langer wpadła do pokoju sierżantów, jednego z największych pomieszczeń na pierwszym piętrze komendy. Przypominało nieco biura znane z amerykańskich filmów kryminalnych, gdzie cały sztab FBI lub lokalnej policji tłoczy się na rozległej hali podzielonej wysepkami sprzętów elektronicznych i stanowisk. Boksy były równie małe i równie odsłonięte na spójrzanie szefa jak w banku lub najplugawszej korporacji.

Całe życie skupiło się przy jednym z komputerów. Walemba i Wojtiuk siedzieli przy nim na fotelach, a za ich plecami stali Rembert oraz dwóch innych policjantów, najwyraźniej przydzielonych do przeglądania zapisów z kamer. Na odgłos otwieranych drzwi wszyscy odwrócili się w stronę komisarza.

Psycholog natychmiast odsunął się, robiąc jej miejsce.

– Gdzieś ty była? Czekamy prawie godzinę.

– A co to ja, straż pożarna?

– Nie, ale myślałem, że...

Zamilkł, widząc jej rozdrażnione spojrzenie. Langer niespiesznie podeszła do biurka i wyciągnęła z kieszeni opakowanie tic taców. Wyssała z niego kilka drażetek.

– Macie tam jakieś porno, że się tak zaśliniliście?

– Lepiej. – Wojtiuk chciał ustąpić jej miejsca, ale skinieniem dłoni nakazała mu siedzieć. – Walemba odrobił pracę domową.

– To się okaże...

Aspirant bez słowa uruchomił czarno-białe nagranie. Na monitorze wyświetlił się obraz ze sklepu. Oko kamery łypało pod dość ostrym kątem i obejmowało część regałów oraz ladę i kasę. Był to prawdopodobnie jeden z tych małych punktów, rozsianych po całej Polsce na zasadach franczyzy.

Ekspedientka zeskanowała towar i wydawała resztę mężczyźnie ubranemu w długi, rozpięty płaszcz oraz

czapkę z daszkiem. Poza tym nie działo się nic nadzwyczajnego.

– Współczesna scenka rodzajowa? – zagaіła ironicznie Langer. – Nie widzę tu niczego ciekawego...

– Cierpliwości – uspokoił ją Wojtiuk. – Chwileczkę.

– Mieliście czas, żeby nastawić to na właściwy moment.

– To jest ten moment.

– Chyba oślepiam, bo dalej nic mnie nie poruszyło.

– Patrz teraz. – Walemba zatrzymał nagranie i przyłożył palec do monitora. – Tutaj.

– Jeśli będziesz dalej tak trzymał, to niczego nie zobaczę.

Aspirant zabrał rękę. W miejscu, w którym na ekranie został tłusty ślad, Liza dostrzegła jedynie zbiór pikseli układających się w rękaw płaszcza.

– No i...

Walemba puścił jeszcze kilka sekund nagrania. Widząc coraz bardziej zniecierpliwioną minę komisarz, chwycił myszkę i klikając epileptycznie, wykonał parę operacji. Obraz przybliżył się, jednocześnie nie tracąc zbyt wiele na i tak wątpliwej ostrości.

– Widzisz?

Langer dopiero po chwili zrozumiała, co miała zobaczyć. Mężczyzna robiący zakupy dwukrotnie niezgrabnie wyciągał rękę. Przy każdym ruchu trzymał ją

niemal zupełnie wyprostowaną. Materiał płaszcza pozostawał opięty i sztywny.

– Może ma protezę? – zasugerowała.

– Nie – odparł Wojtiuk stanowczo. – Na sto procent widać jego dłoń.

– No to gips? Sporo ludzi się połamało, gdy ostatnio nad ranem złapał mróz.

– Wtedy starałby się płacić drugą dłonią.

– Niby dlaczego?

– Miałaś kiedyś coś złamanego? – Walemba nie czekał, aż komisarz odpowie. – Wyraźnie zachowuje się, jakby trzymał coś wsuniętego do rękawa. I jakby mu to wyjątkowo przeszkadzało.

Miał rację. Mężczyzna bez problemu odbierał od ekspedientki drobne monety, ale nie mógł zgiąć ręki, aby schować je do kieszeni. Musiał zapłacić wcześniej przygotowanym banknotem.

– Myślicie, że chowa tam narzędzie, którym później zrobił tę rozpierduchę?

– To bardzo możliwe – odezwał się Rembert. – Przyjmując, że mężczyzna ma około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i proporcjonalne ręce, mógłby schować w rękawie płaszcza przedmiot o długości do około trzydziestu centymetrów. Skoro mu przeszkadzał, musiał być nieco dłuższy. Jednak niewiele, bo wtedy ramię byłoby zupełnie usztywnione.

– Domyślam się, że odpowiada to wymiarowi młotka?

– Jednymi z popularniejszych długości trzonków są trzydzieści dwa i trzydzieści sześć centymetrów. Sprawdziliśmy to w sklepach internetowych. Wielkość obucha jest taka, że obrażenia pasowałyby do tych z naszej sprawy. Zresztą zakład medycyny sądowej potwierdził taką możliwość.

Langer rozgryzła resztki owocowych drażetek i ze smakiem je połknęła. Myśl, że sprawa nie przybrała bez jej udziału decydującego obrotu, rozwiała nieco poczucie beznadziejności. Nie wszystko było skończone. Nie stała się jeszcze całkowicie zbędna i ciągle trzymała śledztwo we własnych rękach.

– Jeżeli rzeczywiście schował młotek w rękawie, to nie działał jak Skorpion – mruknęła. – Siedemdziesięciolatek możemy skreślić z listy.

– Kogo? – Wojtiuk złapał jej spojrzenie w wygaszonym ekranie monitora.

– Nieważne. – Nie miała ochoty tłumaczyć rozwiewających się podejrzeń. Wszystkie dotychczasowe spostrzeżenia zostawiła dla siebie. – Widać gdzieś jego twarz?

– Niestety. To jest tym bardziej dziwne, bo zachowuje się, jakby umyślnie chował się pod daszkiem czapki...

– Nie znam się na modzie, ale ona chyba nie bardzo pasuje do tego płaszcza.

– Bingo! – Rembert głośno klasnął. – Ale dzięki temu być może ktoś go zapamiętał.

Langer wsunęła dłoń do kieszeni i dotknęła paczki papierosów. Na komisariacie paliła tylko w swoim gabinecie, lecz głód nikotynowy upominał się o swoją porcję. Rytualna pora również.

– Nie wątpię, Oreście, że potrafisz dać wykład z psychologii ubioru... – parsknęła ironicznie. – Wydamy komunikat, że poszukujemy modowego dyletanta. Już słyszę te telefony! Widziałam pana w sandałach i białych skarpetkach z logo znanej marki!

Rembert skwitował jej sarkazm głośnym westchnięciem. Przez chwilę nikt się nie odezwał. Wszyscy skupili spojrzenia na Langer. Komisarz odwróciła się, odeszła od biurka i uchyliła okno. Było jej duszno. Zaczerpnęła świeżego powietrza i zatrzymała je w płucach.

– Gdzie się znajduje ten sklep? – zapytała w końcu.

Wojtiuk jak na zawołanie otworzył szufladę i wyjął z niej starą mapę samochodową. Zastukał palcem w zakreślony już wcześniej punkt. Langer pomyślała, że faceci mają manierę dotykania wszystkiego, co popadnie.

– Mieliliśmy fart. – Tym razem sierżant wygładził mapę. – Gdyby to była inna okolica, w życiu nie wpadłbym na pomysł analizowania nagrań sklepowych w promieniu dobrych pięciuset metrów. W tym przypadku nie naliczyłem zbyt wielu punktów. Galeria Bałtycka wykosiła drobną konkurencję, a nocna pora dopełniła sprawy.

– A pozostałe kamery?

– Ani śladu. Oszacowaliśmy trasę, którą musiał przejść, aby nie ujął go żaden monitoring. Właściwie miał sporo możliwości.

– Zamówcie nagrania z komunikacji. Są tam chyba jakieś przystanki?

– Cztery linie. Niestety, o tej porze nie jeździło zbyt wiele pojazdów. Jeszcze dzisiaj przejrzę to, co dostaliśmy...

– Świetnie. – Langer starała się brzmieć entuzjastycznie. – W takim razie do roboty! Dajcie to nagranie do analizy. Może znajdą jeszcze jakiś ważny szczegół. I zajmijcie się pozostałym monitoringiem.

Wiedziała, jak niewiele mają. Zaledwie domysł, trupioblady cień podejrzenia, ale za to niosący nadzieję. Tyle wystarczyło, aby dać się zwieść perspektywom.

Zamknęła z trzaskiem okno i ruszyła w stronę wyjścia.

– Dajcie mi adres tego sklepu – powiedziała, kiwając palcem w stronę Remberta. – A ty, Orest, przypomnij sobie psychologiczne sztuczki do odświeżania ludzkiej pamięci. Idziemy na spacer.



Rembert prowadził jak szalony. Nie przeszkadzało mu to, że nie był formalnie upoważniony do kierowania radiowozem. Przyzwolenie komisarz uznał za święte. Wciskając gaz do dechy, cieszył się niczym dziecko. Langer nie zwracała na to większej uwagi. Sama chciała zebrać myśli, a to szło jej lepiej, gdy opierała głowę o szybę, niż gdy prowadziła. Najważniejsze, że auto nie było oznakowane, więc żaden społecznik nie powinien ich nagrać i podzielić się filmikiem z mediami. Telewizja miała pożywkę, gdy nadawała relacje o radiowozie zaparkowanym na zakazie, przekraczającym prędkość bez sygnału albo przeciwnie, zatrzymującym się z włączonymi stroboskopami prosto pod drzwiami lodziarni. Sensacyjne zapychacze programu.

Wkurzało ją to roztrząsanie zwykłych bzdur.

– Dowiedziałaś się czegoś, gdy cię nie było? – zagaił psycholog, wchodząc ostro w kolejny zakręt. – Wyglądasz na przygaszoną.

– A ty? – odparła zaczepnie Langer.

– Pytasz, czy dowiedziałem się czegoś, czy wyglądam na przygaszonego?

– Nie interesuje mnie twoje samopoczucie.

– Znowu ranisz moje uczucia. – Rembert teatralnie pociągnął nosem. – Myślałem, że jesteśmy jak praworządni Bonnie i Clyde, wspierający się i troszczący o siebie nawzajem.

– Obudź się z tego snu, Oreście.

– Dlaczego ciągle używasz mojego imienia? Aż tak ci się spodobało?

– Po prostu tylko w ten sposób go nie zapomnę. To jak powtarzanie obcych słówek. – Langer potarła twarz dłońmi. – Ciągle nie dowiedziałam się, czy coś ustaliłeś.

Rembert zwolnił, dojeżdżając do skrzyżowania. Na czerwonym świetle stał sznur samochodów. Ruch zgęstniał, co wyraźnie odebrało mu przyjemność jazdy.

– Zastanawiałem się, dlaczego zabrał ze sobą właśnie oko.

– I do czego doprowadziły cię te przemyślenia?

– W różnych kulturach przedstawienie oka ma odmienne znaczenia. – Psycholog zabębnił palcami o kierownicę. – Symbolizuje lub symbolizowało Boga, ducha, miłość, ale też czary, czujność czy niebezpieczeństwo. Nawet śmierć.

– Wspaniale. Morderca bawi się w Saurona.

– Obstawiałbym dosadniejszą motywację.

– Nie pamiętam, kogo on miał nad sobą.

Rembert nie zwrócił uwagi na jej żartobliwy ton.

– Ludzie robią sobie tatuaże z motywem oka – ciągnął monotonicznie, dopasowując ton do warunków na drodze. – Naznaczają się nim, wyrażając uduchowienie, tajemniczość, co im tylko przyjdzie do głowy. Sami tworzą interpretację. Dopóki się ich o nią nie zapytamy, niemalże nie mamy szans na jej poznanie.

– Brzmisz coraz bardziej optymistycznie. – Langer z powrotem oparła głowę o szybę. – Ustal mi adres tego gościa, to wyślę do niego list z serią pytań. Może nawet załatwię ci wywiad.

– Od tego jest właśnie profilowanie. Ma zastąpić jego arkusz odpowiedzi.

– Na razie słyszę od ciebie tylko domysły lub pytania.

Rembert zerknął na wyświetlacz nawigacji. Do celu pozostały im już niespełna dwa kilometry.

– To nie jest wróżenie z fusów ani szarlatanstwo – wyjaśnił profesorskim tonem. – Chodzi o zimną analizę. Dwa ciosy zadane w tył głowy podważają teorię o okrucieństwie sprawcy. Nie delectował się cierpieniem ofiary, nie katował jej dziesiątkami uderzeń, właściwie do chwili jej zgonu nie zrobił nic nadzwyczajnego. Nóż, młotek, sprzęty domowe to najpopularniejsze narzędzia zbrodni.

– Czyli szary przeciętniak po zamordowaniu człowieka wpadł na pomysł zrobienia z jego ciała konserwy. Zapomniał tylko, że nie zabrał ze sobą wystarczająco dużej puszki. Naprawdę klasyka.

– Właśnie dzięki takiemu zachowaniu możemy wyodrębnić jego cechy.

Langer smętnie wpatrywała się w mijane budynki.

– Może to nekrofil? Miał za mało ciepłego mięska, więc dobrał się do środka. Mmmm, mózg, taki lepki.

– Mówiłem ci, że bywasz obrzydliwa?

– Nic, co ludzkie, nie jest mi obce. – Liza wzruszyła ramionami. – Taka praca. Ty również powinieneś dopuszczać wszelkie scenariusze. A teraz śmiało, Oreście, snuj dalej swoje wywody.

Rembert dla odmiany wystukał na wajsze skoczną melodię.

– Siła, z jaką zadano ciosy, nie wskazuje na kulturystę. Na nagraniu z kamery mamy podejrzanego mężczyznę, ale równie dobrze mogła to być sprawna fizycznie kobieta.

– Kolejne pytania bez odpowiedzi.

– Ma plan, nie jest – jak sądziłem wcześniej – szaleńcem, dla którego liczy się tylko zadawanie cierpienia. Statystycznie to mężczyzna pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, wykształcony. Możemy raczej wykluczyć środowisko patologiczne. Wtedy charakter działania bywa zupełnie inny.

– Czyli, biorąc pod uwagę tylko mieszkańców Gdańska, mamy pewnie jedynie kilkanaście tysięcy podejrzanych.

– Obstawiam, że znał ofiarę.

– Ślepa uliczka – Langer zbiła jego kolejny pomysł. – W Polsce Nowacki nie miał zbyt wielu kontaktów. Brytyjczycy też niczego nie ustalili.

– To o niczym nie świadczy. W mieszkaniu sprawca nie pozostawił po sobie żadnych śladów, ale musiał jakoś

tam wejść i się zadomowić. Poza tym Nowacki po coś wrócił do kraju...

– To faktycznie będziemy musieli ustalić.

Rembert zwolnił i rozglądał się za wolnym miejscem parkingowym. Wszystkie były jednak zajęte.

– Mógł coś wiedzieć albo być szantażowany – powiedział, zatrzymując się na kopercie dla niepełnosprawnych. – Gdyby nie szybka śmierć, sugerowałbym, że sprawca chciał coś z niego wydusić.

– Chyba że mu nie wyszło i obiekt jego tortur za szybko wyciągnął kopyta.

– Taka możliwość również istnieje. Jednak ciosy wydają się zbyt precyzyjne.

Psycholog pchnął drzwi i energicznie wysiadł z auta. Langer ogarnęło nagle przygnębienie. W ułamku sekundy sparaliżowało całe jej ciało.

„No, rusz się – poleciała w duchu. – Weź się w garść i rób, co masz robić. Potrzebujesz solidnego kopa w dupę. To minie. Zawsze mija”.

Tym razem mijało jednak wyjątkowo powoli. Wysunęła się z samochodu dopiero, kiedy Rembert zastukał w szybę. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem, ale się nie odezwał. Ruszył w stronę sklepu upchniętego w podcieniach nowoczesnego bloku. Langer powlokła się za nim, starając się wykrzesać z siebie odrobinę energii. Przypominało to wchodzenie na himalajski szczyt na kolanach po pionowej grani. Nie miała nawet ochoty na

papierosa. Marzyła o tym, aby rzucić się na łóżko i zasnąć.

– Niech cię szlag – szepnęła w stronę chodnika. Obok niej znowu podążył deszczowy pies.

Przyspieszyła kroku i dogoniła Remberta. Po chwili weszli do ciasnego, dusznego sklepu. Ekspedientka, zajęta układaniem towaru, nawet się nie odwróciła. Minimarket miał powierzchnię niewiele większą niż salon w przeciętnym mieszkaniu i oferował cały możliwy asortyment. Pomędzy regałami było akurat tyle miejsca, aby precyzyjnie się z koszykiem. Idąca z naprzeciwka osoba musiałaby się jednak strategicznie wycofać.

– Dzień dobry – odezwała się Langer, akcentując kolejne sylaby.

Ekspedientka burknęła coś pod nosem. W zamyśleniu przestawiała ceny na półce z promocjami.

– Policja.

Na to magiczne hasło kobieta wreszcie się odwróciła. Langer przedstawiła się, a po niej zrobił to Rembert, nie dodając jednak, jak niewiele ma z policją wspólnego. Komisarz przeszła do rzeczy bez zbędnych wstępów.

– Czy pracowała pani wczoraj w nocy?

– Wczoraj? W sensie, że wczoraj wieczorem?

Ekspedientka miała długie czarne włosy i przesadnie wymalowane oczy. Nie sprawiała wrażenia zbyt lotnej, a do tego mówiła piskliwym, dziewczęcym tonem. A może było to wschodnie, ukraińskie zaciągnięcie?

– Nie – odparła ostro Langer. – Wczoraj w nocy. Dokładnie jakieś trzydzieści siedem godzin temu.

Sprzedawczyni zamyśliła się.

– Chodzi o zmianę po północy? – zapytała po chwili, jakby doznała objawienia.

– Dokładnie tak. Druga z minutami.

– To pracowałam. Dlatego dzisiaj jestem na popołudnie. Zmieniamy się, żeby nie ciągnąć kilku nocek z rzędu. To chyba niezgodne z prawem.

– Czyli była pani na zmianie sama?

– Tak. Jest nas tu tylko trzy.

Pokraczność językowa ugruntowywała całościowy odbiór ekspedientki. Langer wyciągnęła z kieszeni kurtki złożoną na pół fotografię. Przedstawiała najlepsze ujęcie zaobserwowanego na nagraniu mężczyzny. Niemalże rzuciła ją na ladę, zmuszając sprzedawczynię do podejścia. Apatyczność Langer łatwo przeradzała się w napastliwość. Przynajmniej w sklepie nie było innych osób.

– Pamięta pani tego mężczyznę?

Brunetka ledwie rzuciła okiem na zdjęcie.

– Nie.

– Nic a nic?

– Raczej nie. Mamy tu sporo klientów.

– Nawet w środku nocy?

– Wtedy jesteśmy jedynym otwartym sklepem w okolicy. Nie obsługujemy przez okienko, tylko

wpuszczamy klientów do środka. Taka jest polityka naszej sieci.

Te słowa zabrzmiały jak marny slogan reklamowy. Langer zastanowiła się, czy personel „sieci” nie miał nakazanego wtrącania podobnych zdań w każdej rozmowie. Uznała jednak, że ekspedientka jest zbyt głupia, aby zapamiętać choć kilka banalnych formułek.

– Niech pani spojrzy jeszcze raz – powiedziała ostrzejszym tonem. – Przyjrzy się i zastanowi.

– Już powiedziałam, że...

– Zwracam uwagę, że za mówienie nieprawdy grozi pani kara pozbawienia wolności. Nawet do ośmiu lat.

– Tylko na to stać policję? Zastraszanie więzieniem?

– Niech to pani interpretuje, jak pani sobie życzy.

Rembert szturchnął komisarz w ramię. Zbliżył się do kasy i stanął nieco przed nią, a bliżej brunetki. Podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Koleżanka jest mało precyzyjna – zwrócił się wprost do ekspedientki, jakby przeproszał za zachowanie Langer. – Po prostu wszystko, co pani sobie przypomni, będzie niezmiernie przydatne. Dlatego, że to takie cholernie ważne, nas wszystkich ponoszą emocje.

– Ale ja...

– Ze swojej strony zapewniam, że to rozmowa całkowicie anonimowa.

Langer chciała zaprotestować, lecz domyśliła się intencji psychologa. Cel uświęcał środki.



– Wszystko pozostaje między nami – ciągnął Rembert, akcentując ostatnie słowo. – Nie będzie pani ciągnana po komisariatach, przesłuchaniach ani w żaden sposób niepokojona. W aktach nie będzie nawet wzmianki... Proszę mi wierzyć.

– Naprawdę nie pamiętam...

– Nie chcielibyśmy pani kłopotać. Jeżeli sobie pani niczego nie przypomni, będziemy zmuszeni pobrać ślady z całego sklepu, być może nawet zamknąć go na dzień czy dwa... Szukamy istotnego dowodu. Rysopis tego mężczyzny wiele by zmienił.

Rembert przeczesał ręką blond czuprynę i zamilkł, dając ekspedientce chwilę do namysłu. Odsunął się, aby nie czuła natarczywej presji. Ukradkiem podsunął w jej stronę zdjęcie i wykonał ruch, jakby szykował się do jego zabrania. Kobieta jeszcze raz spojrzała na fotografię. Tym razem zdecydowanie uważniej.

– Kiedy się dłużej przyglądam, to coś mi się przypomina – szepnęła. – Zdaje się, że to ten mężczyzna zwrócił moją uwagę.

Langer wyszła z pokoju przesłuchań doszczętnie zlaną potem. Irena Skalczykowska, bo tak nazywała się ekspedientka, zarzekała się, że wniesie skargę na „mężczyznę, który dał słowo, że nie będzie ciągnana po policjach”. Jej współpraca z grafikiem obrabiającym portrety pamięciowe zapowiadała się na niezbyt przyjemną. Tonem zawodzącym tak, że aż świat drżał w posadach, przeklinała obłudę i podstępność służb państwowych. Nie można jej było odmówić racji.

– Po cholere zapewniałeś ją o anonimowości? – rzuciła do Remberta, który czekał pod drzwiami. – Chciałeś sobie nabzykać kłopotu?

– Nabzykać kłopotu? Tego jeszcze nie znałem.

– To lepiej dobrze zapamiętaj. Ona naprawdę złoży skargę.

– Jesteś chyba ostatnią osobą, którą podejrzewałbym o przejmowanie się skargami.

– A ty wręcz przeciwnie.

Rembert podązał za komisarz głównym korytarzem komendy. Nie wiedział, dokąd idą.

– Gdybym tego nie zrobił, nawet nie spojrzałyby na fotografię.

– Wystarczyło, że wspomniałam o paragrafie za fałszywe zeznanie.

– To było tak samo naciągane, jak mój tekst o anonimowości. A poza tym tylko ją tym wkurwiłaś. Już

nie pamiętasz gadania, że policja potrafi jedynie zastraszać?

– Zastanów się lepiej, jak się wytłumaczysz Siweckiemu. – Langer nieco zwolniła kroku i odwróciła się do psychologa. Chciała zobaczyć jego reakcję. Czy w ogóle był zakłopotany sytuacją? A może wszystko po nim spływało jak woda po kaczce, bo wiedział, że naczelnik rozłożył nad nim parasol ochronny? Cokolwiek by mówić, zachowaniem w sklepie zdobył jej uznanie, ale na prawdziwe zaufanie musiał jeszcze zapracować.

– Ty masz obowiązek znać procedury, ja – niekoniecznie – mruknął. – Byłem przekonany, że nawet jeżeli coś sobie przypomni, nie będziemy jej zawracać głowy. Wystarczy ustna notatka i spadamy.

– Nie jesteś idiotą.

– Chciałaś, żebym sobie wymyślił wytłumaczenie. Takie wystarczy. A dzięki temu za godzinę czy dwie, gdy grafik skończy...

Langer weszła mu w słowo.

– Gównno to da.

– Skąd ten pesymizm?

– Jeżeli chcesz się ukryć, pokaż się.

– O czym ty mówisz?

– Rozgoniona blizna na policzku? Siniak pod okiem i widoczny szew na podbródku? – Langer odebrała kluczyki do służbowego auta, po czym kontynuowała swój wywód. – Kilka takich gadżetów wystarczy, aby stać się

zupełnie anonimowym. Gwarantuję ci, że ta paniusia nie zapamiętałaby już nawet, czy obsługiwała Murzyna. W dzisiejszym świecie blizna wyróżnia bardziej niż kolor skóry.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć.

– No więc masz jeszcze jakieś wątpliwości?

Rembert w jednej chwili spochmurniał. Wiedział, że komisarz ma rację. Po ekspedientce nie należało się spodziewać żadnych rewelacji. Wyszli na parking i podążył za nią prosto do nieoznakowanego opla.

– Mogłaś mi powiedzieć, że gdzieś jedziemy. Zostawiłem kurtkę.

Langer otworzyła drzwi.

– Dokądś się wybierasz? – zapytała, wsiadając do auta. – Ja na dzisiaj skończyłam. Teraz na głowie mam już tylko sprawy prywatne.

– Służbowym wozem?

– O ile na mnie nie doniesiesz, nie będę się musiała tłumaczyć. Potem go odstawię.

Zatrzasnęła drzwi i uruchomiła silnik. Wyjeżdżając z parkingu, zobaczyła w lusterku, że Rembert nadal stoi w tym samym miejscu. Pomachał jej smutno, a zaraz zastąpił go widok sunących niemrawo aut.

Niespełna pół godziny później zatrzymała się przy długim, dwupiętrowym budynku wyrwanym prosto z epoki Gierka. Odnowioną fasadę pomalowano na wszystkie kolory tęczy. Za każdym razem, kiedy tu

przyjeżdżała, zastanawiała się, dlaczego dom opieki pomalowano w tak wariackie barwy. Terapia psychodelą dla pensjonariuszy cierpiących na wszelkie pokrewne demencji nie miała uzasadnienia. Większość z nich opuszczała ośrodek jedynie w drodze do szpitala lub do kostnicy.

Wystrojem wewnątrz zajął się ktoś o mniejszej inwencji. Na korytarzach i salach użyto stonowanych, pastelowych kolorów. W świetle jarzeniówek sprawiały uspokajające wrażenie, a przy tym dopełniały obraz panującego tu porządku i czystości. Langer, niezatrzymywana przez nikogo, przeszła obok recepcji w głąb budynku. Z zewnątrz nie sprawiał on wrażenia tak rozległego, jakim był w rzeczywistości. Plątanina zaułków, holi i korytarzy mogła przyprawić o zawrót głowy zdrowego człowieka. Dla pensjonariuszy być może stanowiła rozmyślnie zaplanowaną barierę bezpieczeństwa.

Barbara Kasprzycka zajmowała dwuosobowy pokój na parterze. Od kilku miesięcy jej współlokatorka przebywała w szpitalu, ale, zgodnie z procedurami, póki dychała, nie można było na jej miejsca zakwaterować innej osoby. Dzięki temu starsza pani korzystała z dogodności hotelowej jedyńki. Nie było wiadomo, czy jest z tego powodu zadowolona. Od ponad roku komentowała rzeczywistość na swój pokręcony spokój, nie wyrażając przy tym ani specjalnych skarg, ani

przesadnego entuzjazmu. Być może dlatego była wyjątkowo lubiana przez personel.

Kiedy Langer poznała matkę swojego przyszłego narzeczonego, ta była jeszcze rezolutną kobietą. Nikt nie spodziewał się, że wylew zmieni wszystko dosłownie z dnia na dzień. Co prawda, miała swoje lata, dawno przekroczyła siedemdziesiątkę, ale aż do tamtego dnia była okazem zdrowia. Nie stanowiła medycznego cudu, lecz namacalny dowód, że późne macierzyństwo może mieć dobre strony. Myśl, która od pewnego czasu była dla Langer żalonym pocieszeniem.

Drzwi do pokoju staruszki były otwarte. Kasprzycka siedziała na skraju łóżka i spoglądała przed siebie. Była drobną, wręcz maleńką kobietą, na której choroba odcisnęła głębokie piętno. Jej twarz miała papierowoszary odcień, włosy stanowiły przerzedzone kępki, a skóra przeraźliwie chudych rąk i stóp była pomarszczona jak u starca. Langer zapukała i zatrzymała się na chwilę w progu. Nie spodziewała się żadnej reakcji, ale czułaby się nieswojo, gdyby po prostu wmaszerowała do pokoju. Musiała przełamać barierę jednego świata, aby włączyć się do krainy wspomnień.

– Mamusiu...

Nigdy nie zapytała, czy może się do niej zwracać w ten sposób. Zrobiła to, bo wiedziała, że Kasprzycka nie zaprotestuje. Po śmierci Michała stało się to jedyną namiastką ich niedoszłej rodziny.

Staruszka nadal się nie poruszyła. Langer starannie wytarła buty o symboliczną wycieraczkę i weszła do pokoju. Było w nim duszno, ale przyjemnie pachniało środkiem czyszczącym.

Wyciągnęła spod łóżka metalowy stołek i usiadła na nim. Jakiś zasuszony mężczyzna na wózku inwalidzkim zatrzymał się przy drzwiach. Przez chwilę przyglądał się im pustym wzrokiem, wreszcie – spłoszony spojrzeniem komisarz – odjechał. Za nim poniosło się zaś echo suchego kaszlu. Langer odwróciła się do Kasprzyckiej i złapała jej pomarszczoną dłoń. Kobieta drgnęła, jakby chciała ją cofnąć, lecz nie starczyło jej na to sił. Przez kilka minut siedziały w milczeniu. Kaszel ucichł. Odgłosy ośrodka dobiegały z oddali, stłumione plątaniną korytarzy. Pojedyncze krzyki, śmiechy, zawodzący śpiew starczych głosów. Liza wiedziała, że ta kakofonia przyciszonych dźwięków wkrótce stanie się nieznośna i ją przytłoczy. Pracownicy domu opieki zabraniali zamykania drzwi, nawet w trakcie odwiedzin. Każdy, kto wszedł do budynku, musiał uczestniczyć w symfonii zgromadzonych w nim żyć. Tak to określiła jedna z pielęgniarek i tak było naprawdę.

– Brakuje mi go. – Langer musnęła palcem szorstką skórę dłoni staruszki. – Wiem, że powtarzam to za każdym razem, kiedy tu przychodzę, ale tak bardzo mi go brakuje...

– Popatrz na choinki.

Langer westchnęła. Powiodła wzrokiem za spojrzeniem starowiny i zdała sobie sprawę, że ta patrzy za okno. Nie było tam jednak drzew. W szarówce wieczoru żarzyły się światła zapalone w bloku naprzeciwko. Kadr zamykały betonowe słupy latarni.

– Tam nie ma choinek.

– Choinki. Popatrz na nie. Ludzie przybrali choinki na święta, a tu tylko sprzątanie i sprzątanie.

Rzeczywiście, zbliżały się święta. Tyle że wielkanocne. Langer nie zamierzała wyprowadzać staruszki z błędu.

– Kiedyś ludzie dbali o tradycję – mówiła dalej Kasprzycka. – A teraz o... Nawet życzeń nikt nikomu nie złoży. Tekturowa lalka i to wszystko.

– Tekturowa lalka?

Dopytywanie, oczywiście, nie miało żadnego sensu, ale stanowiło chociaż próbę przywrócenia rozmowie pozorów normalności.

– Pacynki, pacynki, a potem marionetki. W wielkich pudełkach.

– Mówi mamusia o prezentach?

– Tacy są ludzie. Tylko w trumny ich wepchnąć, spuścić do dołów i zakopać. Ubić ziemię i zaorać. A potem następny, następny, następny!

Najwyraźniej nie chodziło jej o prezenty. Kobieta podniosła głos i zaczęła się rytmicznie kiwać w przód i w tył. Nie patrzyła już za okno, a prosto na Langer. Jednak jej spojrzenie pozostało nieobecne. Prawie



martwe, lecz zarazem kurczowo trzymające się jakiegoś strzępku życia.

Komisarz puściła rękę kobiety i uspokajająco położyła dłoń na szpiczastym kolanie. Wiedziała, że w jej towarzystwie zachowuje się jak nigdzie indziej.

– Proszę nie mówić w ten sposób. Lepiej porozmawiać o czymś weselszym.

– Jak pacynki są powywieszani wszyscy, każdy jeden, wtedy patrzę na nich i wiem, jacy są. Po prostu wiem.

– Jaki kto jest?

– Nie ukryją się przede mną. Widzę wszystko. Wszystko!

Strużka śliny pociekła po brodzie staruszki, ale ta zaraz otarła ją chusteczką. Nie była całkowicie zdemenciała. Trafiła jedynie do swojego zamkniętego świata i nie opuszczała go nawet na chwilę. Kilka miesięcy temu Langer zdołała nawiązać z nią nic porozumienia. Z perspektywy czasu zastanawiała się nawet, czy parę logicznie brzmiących zdań nie było jedynie przypadkiem. Miały być dobrym zwiastunem, lecz okazały się złudną nadzieją.

Wyprostowała się na stołku i oparła bokiem o brzeg łóżka. Jej łokieć zapadł się w materacu. Nie zwracała już uwagi na odgłosy budynku.

– Nie zdążyliśmy nigdy porozmawiać – odezwała się smutno. – Chciałabym zadać tyle pytań... Jakim Michał

był dzieckiem? Co mówił o mnie, gdy zaczęliśmy się spotykać? Chyba się zwierzał, prawda?

Staruszka, jak zwykle, nie odpowiedziała. Jej spojrzenie powędrowało z powrotem w stronę okna, a potem gdzieś wyżej, ku sufitowi. Wreszcie podkuliła nogi, poprawiła wielką poduszkę i położyła się na niej. Przymknęła oczy. Langer wiedziała, że zaraz zaśnie. Odczekała jeszcze kilka minut, otuliła starowinę kołdrą i wyszła na korytarz. Dopiero teraz zauważyła, że na regale wzdłuż ściany usadowiono kolorowe pacynki.

Rozejrzała się za deszczowym psem.

## 20.

Butelka po calvadosie była pusta. Langer znalazła ją odstawioną przy koszu na śmieci. Nie miała żadnego innego alkoholu, a pokonanie drogi do sklepu wydawało się morderczym wysiłkiem. Wolała nie spać niż gdziekolwiek wychodzić. Otworzyła szafkę nad zlewem i wyjęła z niej koszyczek z lekami. Opakowanie z gazą przewróciło się i cała jego zawartość rozsypała się na szafkę.

Gniewnym ruchem zagarnęła wszystko pod ścianę. Sięgnęła po tekturowe pudełeczko i wyciągnęła z niego

ulotkę oraz listek. Przez chwilę obracała go w dłoni. Pozostało w nim już tylko kilka biało-czerwonych tabletek. Przed pół roku sama zdecydowała o przerwaniu terapii i odstawieniu codziennego zestawu medykamentów. Zazwyczaj trzymała się całkiem nieźle.

Mirtor był cudownym lekiem blokującym wybrane receptory adrenergiczne i serotoninerгіczne. Cokolwiek to by znaczyło, po kilkunastu dniach regularnego brania poprawiał nastrój. Jedna tabletką być może pomogłaby zasnąć. Choć Liza miała na to lepsze metody. Przejrzała koszyk i wyjęła z niego opakowanie hydroksyzyny. Środek dla dzieci, do którego jej organizm szybko się przyzwyczaił i traktował go na równi z miętą albo melisą. Nerwowo szukała dalej, wyjmując rozmaite fiołki, strzykawkę i zwoje bandaży. Potrzebowała nitrazepamu lub lorazepamu. To one kiedyś przynosiły jej ukojenie i pozwalały podnieść się rano do pracy. Nie znalazła ani jednego, ani drugiego. Ze złością upchnęła wszystko z powrotem do pojemnika i odstawiła go do szafki.

Przez godzinę nie mogła znaleźć sobie miejsca. Co chwilę zerknęła na zegarek, zastanawiając się, czy już nadeszła właściwa pora, by się położyć. Spaliła kilka nadprogramowych papierosów i obserwowała migającą za oknem latarnię. W końcu uznała, że najlepsze, co może zrobić, to krótki, szybki spacer. Ubrała się i wyszła z przyczepy. Noc była zimna, od morza wiał silny wiatr, a niebo zasłoniły chmury. Prędko dopadło ją

zniechęcenie. Z każdym krokiem narastała w niej chęć powrotu i rzucenia się na łóżko. Nawet jeżeli miała nie zasnąć, włóczenie się po terenie ośrodka było pełnym bezsenssem.

Zmusiła się do spaceru okrężną drogą przez plażę. Jej buty zapadały się w wilgotnym piasku, a mięśnie łydek pulsowały. Poza deszczowym psem wokół nie było nikogo. Kilkaset metrów dalej migotały światełka urządzeń portowych. Fale z łoskotem załamywały się i obmywały brzeg. Langer zdjęła buty, wzięła je do ręki i rzuciła się biegiem w stronę okalających plażę wydm. Ciężko dyszała, a serce łomotało jej w piersi, jakby miało zaraz wybuchnąć. Poczowała, że jej kark oblepia pot. Nie zatrzymując się, wypadła na asfaltowy chodnik i skręciła w stronę pola kempingowego. Drobne kamyczki wbijały się jej w stopy, ale nie zwracała na to uwagi.

Kiedy wróciła do przyczepy, z trudem chwyciła dech. Paliło ją w gardle, krew pulsowała w skroniach. Kolejna fala potu oblała jej piersi i plecy. Chciała wziąć długi prysznic, ale po tym, jak ledwie się opłukała, kran zacharczał i woda przestała lecieć.

– Kurwa! – wrzasnęła, uderzając dłonią o baterię. – Niech cię szlag!

To się zdarzało zbyt często. Przeprowadzając się na kemping, do tortur psychicznych dorzuciła udrękę fizyczną. Być może właśnie o to jej wtedy chodziło. Przyływ emocji, którego zaczynała żałować.

Wytarła się i całkowicie nago przeszła przez część kuchenną do łóżka. Było lodowato. Dygocąc z zimna, wsunęła się pod grubą kołdrę i zarzuciła na nią koc. Zostawiła zapalone światło, ale nakryła głowę poduszką. Gdy tylko przymknęła oczy, zadzwonił telefon. Krzyk kobiety zwiastował nadejście złych wieści.

\* \* \*

W tej samej chwili Ślepiec ocknął się w autobusie miejskim. Siedział przy oknie z okularami bezpiecznie ułożonymi w dłoni. Były całe pokryte odciskami jego tłustych palców. Aż zadygotał z obrzydzenia. Co gorsza, nigdzie nie mógł znaleźć szmatki. Chuchnął na szkła i zaczął je nerwowo wycierać o spodnie. O wszystko inne mógłby je porysować. Nienawidził rys na szkle. Szkło musiało być doskonałe. Bez skazy. Jak brylant.

Rezultat jego wysiłków był jednak daleki od ideału. Postanowił zająć się tym zaraz po powrocie do domu. Ale wszystko po kolei.

Nasunął okulary na nos i się rozejrzał. W autobusie nie było wielu ludzi. Dwie roznegliżowane kobiety, wyglądające jakby właśnie jechały do klubu nocnego, elegancki mężczyzna i grupka nastolatków, głośno rechoczących na tyle pojazdu. Niczyje oczy nie przykuły jego uwagi. Nikt nie był wart jego spojrzenia.

Odwrócił się w stronę kabiny kierowcy. Czerwone cyfry wyświetlacza wskazywały dwudziestą pierwszą

czterdzieści. Zmrużył oczy, ale widział całkiem wyraźnie. Zabrudzenia szkieł nie mogły wypaczyć rzeczywistości.

Jeszcze nigdy zanik pamięci nie trwał tak długo. Nie miał pojęcia, co robił przez ostatnie sześć, może nawet siedem godzin. Starał się przypomnieć sobie ostatnie wspomnienie. Uporządkowanie myśli nie było łatwe. Urywki dnia mieszały mu się i przeplatały ze sobą, nie pozwalając ułożyć się w chronologicznej kolejności. Pobudka, śniadanie, kawa – tego się bardziej domyślał, niż pamiętał. Obiad. Musiał zjeść coś na obiad. Lidia siedziała przy stole, patrzyła na niego przez cały posiłek. Jakies pomyje. Nie dało się tego nazwać inaczej. Przygotował sobie obrzydliwe pomyje. A potem szykował się do wizyty u pana Kostka. Tak, na pewno. To nie mogło być wczoraj ani przedwczoraj. Chyba że... Pojedyncza myśl wryła się w jego umysł i przeszła całe ciało przerażeniem.

Poderwał się z kanapy i podszedł do siedzących przy wyjściu kobiet. W sztucznym, żółtym świetle ich wymalowane oczy sprawiały wrażenie martwych. Nie podobały mu się. Napawały go szczerą odrazą. Głębokie wycięcia opiętych na piersiach kurtek nie przykuwały jego uwagi. Ledwie zaszczyił spojrzeniem krótkie spódniczki, odsłaniające niezbyt zgrabne nogi.

– Jaki mamy dzień? – zapytał, przerywając im rozmowę.

– Już noc. – Blondynka z odrostem zarechotała do swojej rudej towarzyszki.

– Jaki jest dzień tygodnia? – dopytywał się nerwowo.

Blondynka odchyliła się na siedzeniu.

– Środa, człowieku. Jutro jest czwartek, a wczoraj był wtorek.

– Środa – powtórzył z ulgą. – Dziękuję.

Całe szczęście był nieświadomy tylko przez siedem godzin. Nie przez trzydzieści jeden albo pięćdziesiąt pięć. Siedem. Szczęśliwa liczba.

Teraz musiał się tylko zorientować, gdzie jest. Podszedł do okna i wyjrzał, starając się przeniknąć przez odbicie wnętrza pojazdu. Dostrzegł słup z logiem McDonaldsa. Z tyłu ciągnęły się szeregowce, za którymi, na niewielkim wzniesieniu, rozsiadły się niewielkie bloki.

Cholera. Nie znał tej okolicy. Podbiegł do okna po drugiej stronie pojazdu. Stacja Shella. Coś mu to mówiło. Kiedy autobus szarpnął, a mechaniczny głos odczytał nazwę przystanku, olśniło go. Jak tu, do diabła, trafił? Co robił przez ostatnie godziny?

Zauważył nad sobą oko kamery. Nie lubił kamer. Ich okrągłe soczewki wypaczały obraz świata i odbijały go w zdeformowanej postaci. Mógłby zdobyć nagranie i dowiedzieć się, kiedy wsiadł do autobusu, ale było oczywiste, że nigdy się na to nie odważy. W rzeczywistości nie chciał wiedzieć, co się z nim działo.

W ostatniej chwili wyskoczył z autobusu, ku zdziwieniu dwóch klubowiczek i eleganckiego mężczyzny. Grupka nastolatków zaś nawet przez ułamek sekundy nie zerknęła w jego stronę.

Światło latarni rozpraszało się w delikatnej mżawce. Gdyby nie podniósł wzroku na ich wielkie lampy, nawet by nie poczuł deszczu. Było po prostu chłodno i przeraźliwie wilgotno. Wilgoć rozpadła się na miliardy cząsteczek, objawiając się jako mikrometrowe kropelki.

W taką pogodę nocna gra świateł była najpiękniejsza. Mógłby delektować się jej widokiem, włóczęc się ulicami aż do samego rana. Pewnie właśnie to robił przez ostatnie godziny. Wsiadł do przypadkowego autobusu, bo skusił go jakiś rozbłysk lub refleks, któremu chciał przyjrzeć się z bliska. Żałował, że tego nie pamięta.

Teraz musiał już wracać. Lidia czekała w domu.

A ona nigdy nie zasypia.

## 21.

– Na starość będziesz wyglądała jak jedna wielka rakowa pałeczka. Wysuszona tyczka z plastikowym filtrem zamiast gardła.



Rembert teatralnie zakaszał, kiedy omiół go kłąb dymu wypuszczonego przez Langer.

– Szczęście, że jeszcze tak nie wyglądam.

Komisarz strzepnęła popiół i wyrzuciła papierosa. Przydeptała go nogą, starając się zapamiętać, żeby później zabrać peta. Możliwość zapalenia bezpośrednio przed oględzinami była zasługą zabójcy. Tego nie mogła mu odmówić. Trup spoczął w jednej z bocznych, zapuszczonych alejek Parku Brzeźnieńskiego. Natrafiła na niego przypadkowa para podczas romantycznej schadzki. Motyle w brzuchu zamieniły się w histeryczny płacz dwudziestokilkuletniej dziewczyny i szok u jej niewiele starszego partnera.

Zaczęło padać. Wokół wystrzeliły czasze parasoli. Technicy przezornie rozłożyli nad okolicą białą płachtę namiotu i niezwłocznie wzięli się do roboty. Langer swoim zwyczajem pozwoliła im działać w całkowitym spokoju. Pojawiła się niemal godzinę po telefonie Wojtiuka i prawie półtorej po otrzymaniu zgłoszenia przez centrum alarmowe. Na miejscu czekał już na nią Rembert. Obecność innych uznała za zbędną i kazała wszystkim wypocząć i stawić się z samego rana. Nie było powodu, by działać histerycznie. Najpierw ślady kryminalistyczne, potem kroki operacyjne.

– Jakież szczegóły? – zapytała, stając obok przenośnego reflektora.

– Znowu bez oka. – Rembert bezradnie rozłożył dłonie.  
– Tylko tyle się dowiedziałem.

– Tak łatwo udało im się to stwierdzić? Twarz nie została zmasakrowana?

– Mówię, że tylko tyle wiem. Nie mam pojęcia, czy było im łatwo, czy trudno.

– Oho, Orest jest nie w humorze.

– Jestem zły. – Psycholog zarzucił kurtkę na głowę. – Nie spodziewałem się, że to stanie się tak szybko.

– Nie podchodzić, bo ugryzę!

– Przestań. Szlag trafił wszystkie moje dotychczasowe przemyślenia. To tak, jakby twoja robota nagle przestała mieć jakikolwiek sens. W jednej chwili okazuje się czystą stratą czasu, a ty – autystą, który zamiast zrobić coś pożytecznego, uczy się na pamięć nazwisk z książki telefonicznej.

– Znam to uczucie. Aż za dobrze.

Langer uświadomiła sobie, że tak naprawdę niczego nie wie o swoim przymusowym współlokatorze. Czy informacja o zwłokach wyrwała go z łóżka, w którym baraszkował z dziewczyną, czy właśnie sięgał po piwo w jakiejś śmierdzącej spelunie? A może, jak na psychologa przystało, siedział w poważnie urządzonej gabinecie i wertował grube księgi? Do tej pory wszystkie ich rozmowy poza tematem śledztwa sprowadzały się do przeciągania liny nad sadzawką pełną piranii. Ciszę przerwał smukły policjant. zaproponował Langer

parasolkę, lecz komisarz odmówiła. Deszcz jej nie przeszkadzał. Przeciwnie, pobudzał ją i osadzał w rzeczywistości. Działał jak sznyty, które zagubieni nacinają na nadgarstkach. Speszony policjant próbował jeszcze wcisnąć parasol Rembertowi, ale ten również podziękował. O jego motywacji Liza nie miała żadnego pojęcia.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – odezwała się po chwili. – Nie jesteś wróżbitą.

Psycholog pokręcił głową.

– Nie chodzi o przewidzenie. To jest nauka.

– I, jak każda nauka, ma swoje słabe strony. Odstępstwa od normy, aberracje, dewiacje itepe, itede, co nie? Nie zachowuj się jak zbity pies, bo pomyślę, że to jakaś sztuczka psychologiczna.

– Żadna sztuczka. Niestety.

– Użalasz się nad sobą.

– Nie. Po prostu jestem zły.

Langer zamilkła. Dalsza dyskusja nie miała sensu. Od początku nie spodziewała się, by profilerkie zagrywki mogły pchnąć śledztwo do przodu, więc Orest nie mógł jej rozczarować. Wobec większości podwładnych była wymagająca, ale w tym przypadku nie wiedziała, czego mogłaby oczekiwać. Prawda okazała się naprawdę bolesna. Rembert na razie stanowił piąte koło u wozu, które podrzucił jej inspektor. Wciąż dopuszczała ewentualność, że jest jedynie jego pluskwą. Palcem

trzymanym na pulsie w jej debiutanckim wielkim śledztwie.

Z zamyślenia wyrwał ją szelest płachty namiotu. Ze środka wyszedł jeden z techników i nie zdejmując ekwipunku, ruszył w ich stronę. Był to ten sam przypominający karykaturę Napoleona mężczyzna, który kierował oględzinami w mieszkaniu Nowackiego. W zapiętym kombinezonie wyglądał na jeszcze niższego i bardziej krępego.

– Dalej będziemy mogli działać po zabraniu zwłok – odezwał się, podchodząc. – Pani komisarz, warunki pogodowe są takie, że...

– Karawan już czeka – przerwała mu Langer. – Możemy zerknąć? Zajmie to tylko chwilę.

– Jasne.

Technik zatrzymał się i gestem nakazał im iść przed sobą.

– Pan doktor pamięta zasady? – rzucił w stronę Remberta.

– Oczywiście.

– W takim razie zapraszam.

Stąpając po mokrej trawie, przeszli do namiotu. Był pusty. Dwóch pozostałych techników stało po jego przeciwnej stronie i paliło papierosy. Langer czekała na jakąś uwagę Remberta, lecz ten w milczeniu wszedł do środka. Ściągnął narzuconą na głowę kurtkę i zatarł dłonie. Nie wiedząc, czego się spodziewać, komisarz

podążyła za nim. Wyciągnęła paczkę tic taców i wysssała z niej ostatnią pastylkę. Puste opakowanie schowała z powrotem do kieszeni. W tym samym momencie stanęła jak wryta.

– Nie powiedziałeś mi, że to kobieta...

– Bo nie wiedziałem.

Zwłoki leżały na boku, pośród nierównej, podeptanej trawy. Długie, brązowe włosy zakrywały część twarzy i opadały na wystający korzeń pobliskiego drzewa. Rembert zrobił kilka kroków, omijając porozstawiane wokół tabliczki z numerami. Obiektyw ustawionego na statywie aparatu został wycelowany prosto w denatkę, jakby całe miejsce zaaranżowano na sesję fotograficzną kółka teatralnego. Langer kucnęła niespełna metr od ciała. W ostrym świetle reflektorów zadane kobiecie obrażenia były doskonale widoczne. Odgięta do tyłu szyja została głęboko rozcięta i ukazywała pustkę tchawicy. Obklejała ją krew, która wsiąkła w biały kołnierz kurtki. Strzępki chrząstek przypominały zęby rozsypane w zastygłej ranie.

– W porównaniu z Nowackim wygląda prawie, jakby spała – sapnęła komisarz, pochylając się ku ziemi. Z tej perspektywy mogła lepiej przyjrzeć się twarzy. – Jedyne, co widzę, to uszkodzony oczodół. Żadnych śladów uderzeń młotką, żadnych rozcięć jamy brzusznej.

– Mógł je zakryć kurtką.

– A wcześniej namówił ją, żeby paradowała bez niej? Zmasakrował ją i ubrał z powrotem?

Rembert tylko pokręcił głową. Nie wyglądał najlepiej. Trzymał się na bezpieczny dystans od ciała, jakby obawiał się, że kobieta nagle ożyje i rzuci się na niego. Krew odpłynęła mu z twarzy, której odcień niemal się zlał z jasnymi jak słoma włosami. Granatowe żyłki na czole i skroniach nabrzmiały. Langer podniosła się z klęczek i zaczęła powoli obchodzić zwłoki. Zatrzymała się na skraju chodnika, w którego stronę skierowana była jedna z rąk zamordowanej dziewczyny. Zmrużyła oczy, starając się wyostrzyć spojrzenie.

– Popatrz na te tatuaże. – Przywołała do siebie Remberta. – Nie wygląda na grzeczną dziewczynkę.

– Teraz dziewczynki w zerówce robią sobie dziary...

– Nie takie.

Na wierzchu dłoni, tuż pod kłykciami, widniały nieudolnie stylizowane litery. CHWDP. Na palczkach palców wygrawerowano ich anglojęzyczny odpowiednik. ACAB. Oba tatuaże wykonano mętnym, słabej jakości tuszem. W zamierzeniu miał być czarny, po upływie czasu wypłowieł jednak i zrobił się ciemnoniebieski. Oba dzieła były wątpliwej jakości. Od razu przywodziły na myśl wesołą twórczość artystyczną pensjonariuszy zakładów karnych i aresztów śledczych.

– Melina, recydywa albo patola – momentalnie zawyrokował Rembert. – Może nawet dawna grypsera.

Langer była daleka od rzucania tak szybkich osądów. Rozglądała się, starając dostrzec każdy szczegół, który mógł powiedzieć jej cokolwiek o zamordowanej. Analizowała ją i jej otoczenie. Wycinała poszczególne fragmenty, a potem składała je w całość, przywracając rzeczywistości. Pozornie wszystko się zgadzało. Czarne, niepozdzierane adidas na pewno nie służyły do biegania. Dopasowane granatowe rurki z dziurami na udach były zgodne z nawracającym od lat trendem, natomiast obcisła kurtka z białym kołnierzykiem pasowała zarówno do dziewczyny kibola, jak i do cichodajki z blokowiska. Na drugiej dłoni denatki również znalazła tatuaż. Przedstawiał chaotyczny wzór, który skojarzył się jej z logo jakiegoś skinheadowskiego zespołu. Nie widziała go w całości, bo dłoń była lekko zaciśnięta i obrócona.

Starła się ocenić wiek zamordowanej. Gdyby sędzić po ubiorze i kształtach, można by uznać, że ledwie przekroczyła dwudziestkę, ale rysy twarzy zdradzały, że jest co najmniej o dziesięć lat starsza. Napięte pośmiertnie mięśnie mogły, co prawda, potęgować to wrażenie, ale efekt równoważył bardzo delikatny makijaż. Brak ostrych kresek i cieni nie pasował do reszty wizerunku. Langer raczej spodziewałaby się kilkumilimetrowej tapety, powiększającej szminki i sztucznych rzęs o długości wywołującej przy mrugnięciach porywy wiatru. Jediną widoczną biżuterią był wielki, tandetny kolczyk, który Liza dostrzegła

w odsłoniętym uchu. Kobieta na swój ostatni spacer wyszła całkowicie nieprzygotowana.

Do namiotu wsunął się szef techników. Razem z nim wpadł powiew zimnego, wilgotnego powietrza. Zapalone reflektory zdążyły solidnie ocieplić osłonięte wnętrze.

– Możemy kończyć? – zapytał zniecierpliwionym tonem. – I tak mamy noc z głowy.

Langer go zlekceważyła. Jeszcze przez chwilę lustrowała trupa, wreszcie odwróciła się w stronę Remberta.

– Obejrzałeś już wszystko? – zapytała.

Nim psycholog zdołał odpowiedzieć, technik zaklął pod nosem.

– Jutro będziecie mieć cały album zdjęciowy – powiedział głośniej. – Bogatszy niż z sesji ślubnej.

– Zdjęcia są wtórne i statyczne.

– Następnym razem zorganizuję kogoś z kamerą. Nakręcę wam film i każę go obrobić w najcieplejszych, romantycznych kolorach, tak żeby...

– Już dobrze, dobrze. – Rembert nabrał tchu. – Możemy spadać.

Langer machnęła do nieudolnej namiastki Napoleona i wyszła z namiotu. Nie zatrzymując się, ruszyła w stronę bramy, przy której zostawiła samochód. Przestało padać, lecz w powietrzu wciąż unosił się zapach mokrej ziemi i roślin.



Rembert dogonił ją na utwardzanej alejce. Podeszwy ich butów rozcierały drobny żwir, wydając nieprzyjemne plaśnięcia. Wokół było niemal zupełnie ciemno i Liza zastanawiała się, czy nie użyć telefonu jako latarki. W końcu uznała, że da sobie radę bez tego.

– Siwecki będzie wniebowzięty – odezwała się, ponownie próbując rzucić psychologowi przynętę. – Dziwne, że jeszcze do mnie nie wydzwania.

– Zwisa mu to – skwitował Rembert.

– Jemu zwisa wszystko, ale nie kolejne zabójstwo.

– Naprawdę masz go za takiego tyrana?

– Tyrana? Seryjny zabójca to waga ciężka. Jeżeli pojawi się w ringu, to zaraz zlecą się sępy z Warszawy, a wtedy nawet sekundanci będą musieli się napuszyć.

– Powinnaś zacząć pisać poezje.

– Skąd wiesz, że już tego nie robię?

– Stąd, skąd wiem, że nie miałaś styczności z żadnym seryjnym mordercą.

Langer skręciła w stronę, z której przebijały światła latarni. Drzewa zaczęły się przeredzać, a alejka była tu znacznie szersza. Komentarz Remberta, jakkolwiek zgodny z prawdą i wypowiedziany serdecznym tonem, odebrała jako przytyk.

– Oglądanie nieboszczyka wyraźnie poprawiło ci humor – prychnęła.

– Wszystko ma swoje zady i walety, skoro już jesteśmy w świecie poezji. Nawet nieboszczycy.

– Nie wiem, czy chcę, żebyś rozwijał tę myśl.

– Owszem, chcesz.

– W takim razie mam o to błagać?

Rembert przyspieszył kroku i nieco ją wyprzedził.

– Wystarczy, że mnie podwiesz. Przyjechałem taksówką.

– Przemyślę to, jeśli usłyszę twoje rewelacje.

– To żadne rewelacje.

Psycholog zaśmiał się nerwowo. Langer była przekonana, że za sprawą przekomarzenia stara się pozbyć nagromadzonego napięcia. Widok zwłok na każdego działał inaczej, ale z pewnością nikogo nie pozostawiał obojętnym. Ich oglądanie i analizowanie odciskały jeszcze mocniejsze piętno. Bez względu na to, czy było się psychologiem, śledczym, czy zimnym chirurgiem. Z biegiem lat pewne bodźce powodowały słabszą reakcję, lecz dawały o sobie znać w innej formie. Alkoholizmu, przymusu uprawiania ryzykownych sportów albo odreagowania z kochanką.

– Jest jeden plus. – Rembert zatrzymał się kilka kroków przed nią. – Dwa trupy to dwa razy więcej wiadomości o sprawcy.

## DZIEŃ TRZECI

### 22.

Langer rozpoczęła dzień na komendzie od podwójnej kawy. Rembert jeszcze się nie pojawił, więc mogła zapalić papierosa bez ryzyka, że zostanie skatowana kołyską Newtona. Przecież to ustrojstwo nawet nazywało się jak narzędzie tortur.

Minęła siódma trzydzieści, słońce za oknem zwiastowało przyjemny dzień, niebo było bezchmurne.

Gdyby nie całokształt okoliczności, być może udałoby się jej na dobre odgonić deszczowego psa. Choć przez całą noc nie dał jej spać, jego obecność nie była już tak dokuczliwa. Obryzgał ją bezsennością, ale nie przydusił jej piersi. Każdy kij miał jednak dwa końce. Wyciszenie mogło zostać spowodowane tym, że bestia opadała z sił. To była ta lepsza opcja. Jednak zazwyczaj deszczowy pies w trakcie wyciszenia regenerował się i szykował do

skoku. Kwestią czasu było, kiedy znów stanie się dość silny, by ją powalić.

Liza strzepnęła papierosa i zaciągnęła się, żar dosięgnął filtra. Sprzątaczką regularnie usuwała pety z doniczki, więc komisarz bez problemu znalazła miejsce, aby go zgasić. Wbrew przesądom kaktus nawożony popiołem nie rósł ani szybciej, ani zdrowiej.

Otworzyła pocztę, przejrzała raport i obróciła się kilka razy w fotelu. Zastanawiała się, od czego powinna zacząć. Czekanie na wyniki sekcji było stratą czasu. Raport laboratorium również mógł się okazać ślepą uliczką...

Ciągnąc za kabel, Langer przysunęła do siebie telefon. Był to stary, kilkunastoletni aparat z szeregiem przełączników i mrugającymi czerwonymi lampkami. Estetyką odstawał od nowoczesnych sprzętów, ale przez całą służbę ani razu nie odmówił jej posłuszeństwa. Przyzwyczała się do niego.

Zdjęła słuchawkę z widełek i sięgnęła po spis kontaktów. Odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów, który ją połaskotał. Wciąż był lekko wilgotny. Rano w złączach przyczepy znów zaszumiała woda, ale po umyciu się Langer nie miała czasu zajmować się modelowaniem fryzury. I tak zarówno z przetłuszczonymi, jak i z czystymi włosami chodziła w kitce. Różnica była tylko taka, że teraz sprężynujące kosmyki wymykały się spod ucisku gumki.

Nim wybrała odnaleziony numer, jej wzrok po raz kolejny przyciągnęła kołyska Newtona. Cholerne narzędzie tortur, jakimi w ramach przyjacielskiej współpracy i zapłaty za gościnę raczył ją Rembert. Przez chwilę walczyła z pokusą jej wyrzucenia. Nie miała pojęcia, ile mogła być warta. Trzydzieści złotych? Pięćdziesiąt? Tyle kosztowała pewnie na rynku, ale psycholog mógł ją dostać od matki, żony lub kochanki. Wtedy wzrastała jej wartość sentymentalna. Tak jak jej kaktusa. Zasadziła go sama, wiele lat temu. Od początku uprawiała go w oparach dymu i w ziemi zmieszanej z popiołem i – mimo że w sklepie kosztował parę złotych – wybiłaby zęby każdemu, kto nadłamałby mu choć jeden kolec. Podjęcie decyzji co do losów kołyski odłożyła na później. Spodziewała się wielu okazji. Dopiła kawę, wybrała numer i odczekała kilka sygnałów.

– Tak, słucham? – odezwał się zaspany mężczyzna.

– Dlaczego nie dostałam jeszcze portretu?

Chwila ciszy. Młaśnięcie. Może nawet ziewnięcie.

– Bo go nie ma. Przepraszam, pani komisarz, ale...

– Jak to nie ma?

– Ta kobieta nie potrafiła sobie niczego przypomnieć. Pasowała jej szeroka szczeka, chwilę potem twarz robiła się owalna, później trójkątna... Wszystkie modele były podobne, byle umieścić na nich bliznę czy ranę. Równie dobrze mogłem wkleić dowolne zdjęcie i je przerobić.

Grafik się rozbudził. Każde kolejne słowo wypowiadał coraz szybciej. Mówił jak natchniony artysta, którego zmysł estetyczny został głęboko obrażony. Ciekawe, ile czasu spędził na projektowaniu, nim zdał sobie sprawę, że to bezsens.

– Okej, nie było tematu. Właśnie tego się spodziewałam. – Langer ucięła wylewane żale. – Miłych snów.

Odłożyła słuchawkę dokładnie w momencie, kiedy do gabinetu wparował Siwecki. Nie słyszała pukania, ale być może zagłuszył je podniesiony głos grafika. Obróciła się w stronę inspektora i mruknęła coś na przywitanie.

Siwecki delikatnie zamknął za sobą drzwi. Był ubrany w dwurzędową beżową marynarkę, błękitną koszulę i spodnie w barwie kawy z odrobiną mleka. Bez wątplenia poczuł już wiosnę. Delikatne, mdławe kolory kontrastowały z jego zaczerwienioną twarzą i ciemnymi oprawkami okularów.

– Dziennikarze już jadą – oznajmił bez zbędnych wstępów.

– Co takiego? – Langer pchnęła fotel odjechała od biurka. – Dlaczego mówi mi pan o tym dopiero teraz?

Siwecki zaczerpnął tchu, jakby szykował się do długiej opowieści.

– Od rana Dagmara nie daje mi żyć, co jest całkiem zrozumiałe, bo te gnidy nie dają żyć jej. Więc łańcuszek, jak się domyślasz...

– Przyszedł czas, żeby mnie w to wmieszać?

– Wiedziałem, że się domyślisz.

– Po co?

– Dostałem instrukcje z Warszawy. Transparentność, ale nie sianie paniki. To chyba ich nowa dewiza, bo usłyszałem to z dziesięć razy.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego mam się produkować w zastępstwie Łęczyńskiej.

Siwecki wzruszył ramionami, jakby również nie rozumiał.

– Przykro mi, Liza, ale oni chcą usłyszeć prowadzącą śledztwo. – Ani trochę nie wyglądał, jakby naprawdę było mu przykro. – Umizgi rzeczniczki już im nie wystarczą. Pewnie o to chodzi.

– Czyli to nie jest pański rozkaz?

– Może o tym nie pamiętasz, ale nie jestem niepodzielnym panem i władcą.

Langer miała wrażenie, że jest pod ścianą... Nie lubiła kontaktu z większym gronem ludzi, a wystąpienia publiczne wciąż ją krępowały. Nie po to zamiast szkoły teatralnej wybrała pracę w policji.

– A zignorowanie tego nie wchodzi w grę? Mogło mi przecież wyskoczyć coś w terenie. Akcja, przesłuchanie, potencjalny trup, cokolwiek, byle...

– Przestań. – Siwecki upewnił się, że szczelnie zamknął drzwi. – Między nami mówiąc, też uważam to za

idiotyzm, ale musimy zatańczyć, jak nam grają. Dlatego proszę cię, nie wykręć mi żadnego numeru.

– Wie pan, że tego nie znoszę.

– Wiem. Dlatego muszę cię ostrzec, że jeśli coś odwalisz, to wyciągnę najpoważniejsze konsekwencje.

To nie pasowało do Siweckiego. Lizę zastanowiło to ogłoszone z pełną powagą ostrzeżenie. Miała być dziewczynką do bicia, w razie gdyby śledztwo trafił szlag? Myśl o spotkaniu z dziennikarzami przysłoniła te wątpliwości.

– I niby co mam im powiedzieć? – zapytała, szukając paczki papierosów. – Może znowu ma pan jakieś nowinki szybciej ode mnie?

Inspektor nerwowo pokręcił głową.

– Nie – zapewnił. – Kazałem wszystko kierować prosto do ciebie.

– Więc nie wie pan, na czym stoimy?

– Nie raczyłaś mi jeszcze przekazać raportu.

– To powiem bardzo klarownie. – Komisarz odnalazła na dnie szuflady papierosa i go wyszarpnęła. – Mamy dwa trupy, podejrzanego o zamazanej twarzy i psychola, którego motywy są dla nas mniej jasne niż wersety Koranu.

Siwecki wciąż stał w tym samym miejscu z miną zakłopotanego dziecka.

– Doktor Rembert nie sporządził jeszcze profilu?



– Doktor Rembert chyba się jeszcze nie obudził. A gdy się obudzi, zacznie się zastanawiać, czy jest już dzień, czy noc.

– Jeszcze się do niego przekonasz. – Przynajmniej w tej sprawie inspektora nie opuszczała pewnośc siebie. – A na konferencji zwróc się z apelem o wszelką pomoc. Może ktoś coś widział, może ktoś coś podejrzewa.

– A później spędzimy cały dzień na wysłuchiowaniu osiemdziesięciolatek donoszących na sąsiadów słuchających szatańskiej muzyki?

– Ryzyko zawodowe.

Siwecki uśmiechnął się blado. Ruszył się wreszcie spod drzwi, podszedł do biurka i przyjrzał się kołysce Newtona. Odciągnął jedną z kulek i puścił ją, czym wprowadził w ruch także drugą z nich.

– Fajna zabawka – mruknął. – Kiedyś chciałem taką kupić.

Langer posłała mu niedowierzające spojrzenie.

## 23.

Sala konferencyjna wypełniła się jeszcze przed wyznaczoną godziną. Zebrało się w niej co najmniej dwa razy więcej osób, niż przewidywały najbardziej liberalne

przepisy przeciwpożarowe. Panowały ścisk i harmider. Atmosfera gęstniała z minuty na minutę, jakby szykowano się na informację o pędzącej w stronę Ziemi asteroidzie. Logotypy stacji telewizyjnych i radiowych wskazywały na zainteresowanie tematem całej Polski. Langer wydało się nawet, że przybyli dziennikarze zza zachodniej granicy, ale mogło to być złudzenie spowodowane jej krótkowzrocznością. Niemcy zawsze w wyjątkowy sposób interesowali się Gdańskiem.

Pociła się. Wypaliła kilka papierosów z rzędu i miała wrażenie, że wszyscy wokół czują od niej woń nikotyny. Układała teksty przemówień, stawiała sobie hipotetyczne pytania, ale nie znajdowała na nie odpowiedzi. Co chwilę zerknęła na zegarek. Wmawiała sobie, że nie jest aktorką i nikt jej nie będzie oceniał. Nadaremno. Wszystko, co robiła, musiała robić perfekcyjnie. Nawet jeżeli miałyby improwizować. Świadomość, że ta improwizacja będzie relacjonowana na żywo, podnosiła jej włoski na karku.

Jako pierwsza głos zabrała Dagmara Łęczyńska. Nie można jej było odmówić wdzięku i zdolności przykucia uwagi publiki. Była rozluźniona, ale zarazem poważna. Surowa, lecz jednocześnie współczująca. Kiedy oddała mikrofon Langer, pod komisarz ugięły się nogi. Kilukrotnie chrząknęła, starając się cofnąć gulę w gardle, wreszcie głośno przełknęła ślinę.

W tłumie przed sobą widziała przemykającego deszczowego psa. Był obity, miał podkulony ogon, ale co

chwilę szczyrzył oblepione śliną kły. Drwił z niej. Nie mogła dłużej przeciągać milczenia. Przymknęła oczy i zaczęła mówić.

Zreferowanie sprawy zajęło jej kilka minut. Jednostajnym głosem plotła ogólniki, okrągłymi zdaniami opisywała poświęcenie całego zespołu i ogrom włożonej pracy. Zgodnie z wytycznymi, aby nie wzbudzać paniki, ani słowem nie wspomniała o seryjnym charakterze zbrodni. Nie powstrzymała się jednak od poinformowania całej Polski o usuwanych gałkach ocznych. Nie zamierzała tego ukrywać, a skoro góra chciała transparentności... Drastyczna uwaga wzbudziła szmer komentarzy. Langer chciała przywołać ciszę, ale w tym samym momencie dostrzegła Remberta. Stał w rogu pomieszczenia z założonymi na piersi rękoma i słuchał jej uważnie. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, ukradkiem uniósł kciuk. Straciła na chwilę wątek. Szum rozmów pozwolił jej zebrać myśli, lecz zobaczyła, że deszczowy pies przemyka obok psychologa.

Dość tego. Nagle postanowiła działać.

– Wspominałam państwu, że zespół pracujący nad sprawą liczy wiele osób. – Z satysfakcją odnotowała, że zyskała uwagę zebranych. – Są to nie tylko policjanci, lecz także specjaliści opracowujący portret psychologiczny sprawcy. Korzystamy ze wszelkich metod i jesteśmy otwarci na każdą pomoc. Na pewno słyszeli państwo o profilowaniu. Na sali jest z nami jeden ze

specjalistów w tej dziedzinie, który odniesie się do sprawy właśnie z punktu widzenia psychologii. Doktorze Rembert, proszę tutaj.

Mina Remberta była bezcenna. Wbrew jej oczekiwaniom nie speszył się jednak. Przeciwnie, bez wahania, giętkim krokiem ruszył w stronę podwyższenia. Wyprostowany, lekko uśmiechnięty, pewny siebie. Gwiazdor maszerujący po Oscara.

Nim oddała mikrofon, przypomniała sobie o ostatniej wytycznej Siweckiego. Wyciągnęła kartkę i odczytała z niej numer telefonu, na który mieli dzwonić wszyscy, którzy chcieli pomóc w śledztwie. O każdej porze dnia i nocy. Jeszcze raz przedstawiła Remberta, po czym chyłkiem opuściła salę. Pomyślała, że robi to w stylu aktoreczki uciekającej przed wścibskimi paparazzi chcącymi obwieścić, że dostała Złotą Malinę. Wypadła fatalnie. Kierowane w jej stronę mikrofony przypominały wuwuzele odprawiające piłkarzy po przegranym z kretesem meczu. Brakowało tylko buczenia.

Niemal biegiem wróciła do gabinetu i rzuciła się na fotel. Sprężyny jęknęły pod niespodziewanym ciężarem. Była zła, że wysłużyła się Rembertem, ale przynajmniej on wyglądał na zadowolonego. Uruchomiła komputer i sprawdziła pocztę. Tym razem Zalewski zadziałał błyskawicznie. Zapewne był to skutek zapowiadanej konferencji prasowej.

Tak jak poprzednio doktor przesłał zeskanowany protokół sekcji. Został wypełniony komputerowo, co wprawiło Langer w zdumienie. Najwyraźniej lekarz nie był obeznany z techniką korespondencji elektronicznej.

Pobieżnie przebiegła wzrokiem po formularzu i zatrzymała się dopiero na rubryce „przyczyna zgonu”.

*Głęboka rana cięta przedniej powierzchni szyi o długości 18 cm, z przecięciem tkanki podskórnej, mięśni, obu płatów tarczycy, przedniej ściany gardła, wyrostków stawowych kręgów szyjnych C4 i C5 po stronie prawej, więzadła podłużnego przedniego kręgosłupa, ponadto z całkowitym przecięciem tętnicy szyjnej wspólnej lewej i żyły szyjnej wewnętrznej lewej – co doprowadziło do wykrwawienia się oraz zachłyśnięciem krwią i w konsekwencji do zgonu N.N.*

Medyczny opis podejrzenia gardła brzmiał jak notka w *Podręczniku do astrofizyki*. Poza lakoniczną wzmianką, która jak sądziła, opisywała usunięcie gałki ocznej, nie znalazła żadnych innych informacji o obrażeniach zadanych denatce.

Wyłączyła maila i odchyliła głowę na oparcie fotela. Konferencja powinna się już kończyć. Spodziewała się, że w każdej chwili Rembert wpadnie do gabinetu i obrzuci ją pretensjami. Postanowiła wykorzystać okazję, aby w spokoju zapalić jeszcze jednego papierosa. Kiedy wyciągnęła paczkę, zauważyła, że mruga czerwone światelko telefonu. Po chwili rozległ się dzwonek.

– Halo? – rzuciła, podniósłszy słuchawkę.

– Posterunkowa Adamska. Nie przeszkadzam?

Róża Burza. Przynajmniej w takich chwilach przypominała o swoim nazwisku. I oczywiście przeszkadzała – jak zwykle.

– Nie. Słucham?

– Dzwoni do nas mężczyzna, który twierdzi, że ma jakieś szalenie ważne informacje. Chce rozmawiać bezpośrednio z panią.

– Mówił, co to za informacje?

– Nie. Tylko tyle, że właśnie oglądał konferencję...

– I zamierzasz mi tak każdego przełączać?

– On naprawdę... Ja... Wydaje mi się, że można... – Róża Burza zaplątała się w próbie tłumaczeń.

– Daj mi go.

Liza niemal natychmiast usłyszała kliknięcie, a po chwili rozległ się szum oznaczający, że ma kogoś na linii. Nabrała tchu, szykując się na historyczne doniesienia społecznika.

– Komisarz Langer, słucham?

– Dzień dobry. – Łagodny, dość młody głos nie pasował do jej wyobrażenia. – Mówi Konstanty Frydrych. Mam zacząć od początku czy przekazano pani, z czym dzwonię?

– Od początku, proszę.

Mężczyzna wymownie westchnął. Róża Burza rzeczywiście musiała go maglować.

– Jestem terapeutą. Od lat prowadzę prywatną praktykę i wie pani, mam swoich pacjentów. Przychodzą do mnie z naprawdę różnymi problemami. Właściwie obowiązuje mnie tajemnica, ale...

– Tak, wiem, nie w wypadku, kiedy zagrożone jest życie lub zdrowie. Opuśćmy to.

– W porządku. W takim razie po kolei...

Z każdym kolejnym słowem mężczyzny puls Langer przyspieszał.

## 24.

Czterdzieści minut po zakończeniu rozmowy z Frydrychem komisarz kluczyła uliczkami gdańskiej Oliwy. Ostatni raz była w tej okolicy, wyszukując dogodny zjazd do zoo. Jedną z pierwszych randek z Michałem i jedno z najwyrazistszych wspomnień. Odganiała je jak natrętną muchę, która po chwili uparcie powraca. Zatrzymała się obok kiosku, kupiła tic taki i na piechotę ruszyła w stronę wskazanego przez nawigację domu. Był to wielorodzinny budynek z początku poprzedniego wieku. Stromy, pruski dach był pokryty czerwoną dachówką, a nieodświeżone ściany sprawiały wrażenie wręcz nasączonych kłębamii spalin. Mimo

znacznych gabarytów gmachu na domofonie znajdowały się tylko cztery numery. Langer przycisnęła jeden z klawiszy. Ledwie zdążyła opuścić dłoń, już zabrzączał otwierany zamek.

Weszła na starą, lecz wyjątkowo zadbaną klatkę schodową. Pachniało na niej drewnem i pastą polerską. W środku panował półmrok, rozjaśniany krztyną światła wpadającego przez niewielkie, okrągłe okno. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi, a naprzeciw niego zakręcały szerokie schody. Zgodnie z wszelkimi prawidłami mieszkanie o numerze drugim powinno znajdować się na parterze. Langer nie mogła nigdzie dostrzec numerka i miała już zadzwonić do drzwi po lewej, kiedy usłyszała skrzypnięcie za swoimi plecami.

– Pani komisarz?

Mężczyzna w czerwonym swetrze i ciemnych spodniach stał w progu. Większość jego sylwetki pozostała w półcieniu.

– Tak.

Langer ruszyła w jego stronę. Terapeuta cofnął się i gestem zaprosił ją do mieszkania. Kiedy weszła, energicznie uścisnął jej dłoń. W przestronnym przedpokoju mogła przyjrzeć się mu wyraźniej. Miał najwyżej czterdzieści lat, ciemne, niemal czarne włosy, a jego kwadratowa szczęka bardziej pasowała do boksera niż psychologa.



Nie proponując zdjęcia kurtki ani nie spoglądając wymownie na buty, poprowadził ją za sobą długim korytarzem. Mieszkanie urządzone w staroświeckim stylu, jakby od czasów jego pierwszych lokatorów niewiele się tu zmieniło. Wszystkie pomieszczenia były wysokie i widne. Niektóre pozostawały prawie puste, inne natomiast wypełniało mnóstwo sprzętów.

Wreszcie Frydrych skręcił do rozległego pokoju, który najwyraźniej odgrywał rolę salonu. Langer zauważyła, że był on bardziej uporządkowany i staranniej urządzone niż poprzednie. Znajdowało się w nim również kilka nowoczesnych przedmiotów. Jednak uwagę przyciągał przede wszystkim lśniący zestaw perkusyjny.

Psycholog odsunął krzesło od okrągłego stołu i dał znać, by Langer na nim usiadła. Sam zajął miejsce naprzeciwko. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest roztrzęsiony. Drżały mu dłonie, a jego przystojna twarz pozostawała napięta i czujna. Nic dziwnego, skoro przypuszczał, że jeden z jego pacjentów w ciągu ostatnich dni zamordował dwie osoby.

– Jeszcze chwila, a miałabym jutro zakwasy – powiedziała, starając się usadowić na rozchwianych sprężynach. – Mogłam pana ściągnąć na komisariat.

– Doceniam, że pani tego nie zrobiła.

Frydrych podciągnął rękawy swetra i oparł łokcie na stole. Langer ostentacyjnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Przez chwilę siedzieli bez słowa.

– Dużo tu zdjęć – odezwała się wreszcie komisarz. – Mimo tego mam silne wrażenie, że mieszka pan sam.

– Spodziewa się pani krętacza, który chce zwrócić na siebie uwagę? – Psycholog uśmiechnął się wymownie. – Zdesperowanego rozwodnika z syndromem opuszczenia?

– Tak pan uważa?

– Gdyby mnie pani zlekceważyła, nie siedzielibyśmy tutaj.

– Policja nie może lekceważyć żadnego śladu.

– Jeśli to panią interesuje, rozwiodłem się. Żona z córką opuściły mnie kilka miesięcy temu.

– Mhm.

– Czy to sprawia, że jestem niewiarygodny?

Langer zmieniła pozycję, aż jęknęły sprężyny krzesła. Od tego, czy zaufa Frydrychowi, zależał los być może niewinnego człowieka. Nie było czasu na badanie gruntu, na rozpytywanie i weryfikowanie śladów. Podejrzenia musiały prowadzić do stanowczych działań. Zanim zdążyła odpowiedzieć na pytanie terapeuty, ten podniósł się z krzesła i podszedł do niskiej biblioteczki. Nie musiał szukać. Wziął uprzednio przygotowaną gazetę i podał ją komisarz.

– Pozwoli pani, że coś jej pokażę. – Wskazał palcem na tytuł artykułu. – To tekst, który ukazał się niespełna miesiąc temu. Oczywiście, nie ujawniłem w nim żadnych danych swojego pacjenta, ale opisałem jego przypadek.

Langer przewróciła kartki. Artykuł ciągnął się przez kilkanaście stron. Wymownie spojrzała na terapeutę i odłożyła gazetę na stół.

– Niech mi pan to streszczy. Tylko w języku zrozumiałym dla ekskrawężnika.

Rozpięła kurtkę i wyciągnęła notes oraz długopis. Czuła się jak studentka przygotowująca się do prywatnych konsultacji. Jej profesor usiadł naprzeciwko. Zmarszczył brwi, potarł podbródek, a wreszcie przyciągnął do siebie gazetę.

– Słucham pilnie – ponagliła go Langer. – Naprawdę przyjemnie się gawędzi, ale mam mnóstwo roboty.

– To będzie szybki wykład. – Frydrych odezwał się takim tonem, jakby podjął przełomową decyzję. Nie pozwolił komisarz na żaden komentarz. – Sensoryzmy są zaburzeniami procesu odbioru i przetwarzania bodźców dostarczanych przez któryś ze zmysłów. W przypadku mojego pacjenta dotyczy to niedowrażliwości zmysłu wzroku. Osoby cierpiące na to zaburzenie przejawiają tendencje do pewnych, lekko mówiąc, nietypowych zachowań. Najczęściej są to – kolokwialnie rzecz ujmując – gapienie się na unoszące się w powietrzu drobinki pyłu, fascynacja refleksami światła, lustrami, szybami i tak dalej.

– Nie brzmi jak rysopis potencjalnego zabójcy...

– Bo to tylko jedna strona medalu. W przypadku mojego pacjenta dochodzi jeszcze bardzo zaawansowana

okulofilia.

– Okulofilia? Pedofilia, tylko że z okularami?

– Z oczami.

– Dlatego uznał pan, że jest niebezpieczny?

Frydrych podniósł wzrok znad gazety. Przez chwilę obserwował Langer, jakby zastanawiał się nad wystawieniem ostatecznej oceny.

– Proszę mnie posłuchać – powiedział oschle. – Osoby dotknięte okulofilią mają różne zaburzenia. Uwielbiają patrzeć w oczy podczas stosunków seksualnych, lubią lizanie oczu i ich okolic...

– Starczy! Już zrozumiałam, że to zboczenie.

– Musi pani wiedzieć, że nie ma ono jednego konkretnego przebiegu. Objawia się na wiele sposobów. Mój pacjent na przykład uwielbia kontakt wzrokowy. Prowokuje go i potrafi zapamiętać z najdrobniejszymi szczegółami. Jego opisy źrenic są tak plastyczne, że...

Langer zaczynała się coraz bardziej niecierpliwić. Zamknęła notes i wpięła za okładkę długopis.

– No dobrze, ale dlaczego łączy pan tę dewiację z zabójstwami? Obstawiam, że pański pacjent nie jest jedynym chorym na terenie Gdańska.

– Zapewne nie.

– No więc?

Frydrych odchrząknął, podkreślając niechęć, z jaką zdradza tajemnice pacjenta.

– W ostatnich tygodniach jego stan systematycznie się pogarszał. Zaczął doświadczać krótkotrwałych amnezji wstecznych. Nie wiedział, co wtedy robił, a w zaufaniu wyznał mi, że któregoś razu wrócił ze śladami krwi na ubraniu. Sam nie był ranny.

– I nie zareagował pan na to?

– Szczerze mówiąc, rozważałem skierowanie go do psychiatry w celu wdrożenia leczenia zamkniętego.

– Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Liczyłem, że moja terapia przyniesie efekty. Dałem sobie czas do końca kwietnia lub, w zależności od szybkości postępu zaburzeń...

– Słowem, nie chciał pan stracić pacjenta. – Langer weszła terapeutycznie w słowo. – I paru stówek za każdą z jego wizyt.

Frydrych westchnął.

– Szybko wyrobiła sobie pani o mnie zdanie.

– Nieważne. Moje zdanie jest w tym momencie zupełnie nieistotne. Kiedy odbyliście ostatnią sesję?

– Miał stawić się wczoraj na siedemnastą, ale nie przyszedł.

– Dzwonił pan do niego?

– Nie mam takiego zwyczaju.

– Opuszczał wcześniej jakieś wizyty?

– Sprawdzałem to w kalendarzu. Nie. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

– Czy ta oko... okal...

– Okulofilia.

– Niech będzie okulofilia. Czy znane są przypadki, aby osoby na nią cierpiące dokonywały zabójstw?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A jak pan ocenia swojego pacjenta? Uważa pan, że byłby zdolny zabić człowieka, zmasakrować go i wydłubać zwłokom gałkę oczną?

Frydrych odchylił głowę i nabrał głęboko powietrza. Przez chwilę siedział nieruchomo, ruszając ustami.

– Z okresami tak zwanej fugi nigdy nic nie wiadomo – odezwał się po kilku sekundach. – To jak z lunatykami. Niektórzy potrafią w nocy pochłonąć całą zawartość lodówki razem z zapasem surowego mięsa, a normalnie są wegetarianami. Zaniepokoiła mnie zbieżność czasowa relacji mojego pacjenta i konferencji prasowej policji...

Frydrych zamilkł. Komisarz powoli podniosła się od stołu, schowała notes i zapięła kurtkę. Mimo tego przeszył ją zimny dreszcz.

## 25.

– Kolekcjoner oczu – zaczął Rembert. – Już widzę te nagłówki...

Siedzieli na tylnym siedzeniu radiowozu, a Langer zdawała mu relację ze spotkania z terapeutą. Pochwaliła się w myślach za sporządzanie notatek. Dzięki temu mogła posługiwać się precyzyjnymi sformułowaniami zaczerpniętymi wprost od Frydrycha. To pozwalało uniknąć niedomówień.

– W takim razie widzimy sprawę zupełnie inaczej. Ja mam przed oczami nagłówek: „Policyjny profiler dał dupy”.

– Znowu zaczynasz?

– Fakty, Oreście, fakty.

– Fakty są takie, że nic o tym człowieku nie wiemy.

– O ile pamiętam, ostatnio skłaniałeś się ku tezie, że to nie jest psychopata.

– Okulofil czy inny -fil wcale nie musi być psychopata.

– Serio? – Langer wyjrzała zza siedzenia, patrząc na drogę. – Ktoś, kto liże wydłubane gałki oczne, nie jest psychopata? No tak, to równie normalne jak przytulanie się po seksie albo stosowanie antykoncepcji.

Nim Rembert zdążył zaprotestować, szczeknęła radiostacja.

Pięć dwa zero, za trzy minuty będziemy na miejscu.

Prowadzący auto Wojtiuk sięgnął po nadajnik. Zerknął w lusterko, starając się uchwycić spojrzenie Langer.

– Przekaż, że mają się nie ruszać.

Komisarz przeciągnęła dłonią po skórzanym obiciu kanapy. Znowu przygnębiła ją myśl, że wszystko może się wkrótce skończyć. Dalsza wymiana zdań z zespołem antyterrorystycznym toczyła się poza jej świadomością. Ona sama zaś stała się jedynie maleńkim, nic nieznaczącym punkcikiem we wszechświecie. Bezwiednie patrzyła za okno. Dzieci wysypały się z autobusu i z zaciekawieniem odwróciły w stronę pędzących radiowozów. Miały przed sobą całe życie. Nie były świadome, że ich podekscytowane oddechy ulatują z przypisanej im odgórnie puli. Deszczowy pies biegał wśród nich i merdał ogonem. Nagle się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy komisarz. Chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym rozpląnął się w powietrzu. Langer zdała sobie sprawę, że Rembert coś do niej powiedział. Nie zarejestrowała ani jednego słowa.

– Co mówiłeś? – zapytała, ocierając palcami oczy.

– Ziemia do Lizy! – Psycholog był wyraźnie podekscytowany. – AT chcą wiedzieć, czy mają zajechać z pełną pompą.

– Nie.

– Nie?

– Mają się zatrzymać tam, gdzie się umówiliśmy. – Langer zwróciła się w stronę Wojtiuka. – Czekamy na postanowienie prokuratora.

– Ale...

– Przekaż to, co powiedziałam.



Sierżant połączył się z oczekującym zespołem i rzucił kilka krótkich zdań. Jechali prostą ulicą, wzdłuż której ciągnął się park. Na niektórych drzewach pojawiły się pierwsze, nieśmiałe plamki szczypiorkowej zieleni. Rembert co chwilę zerkał na zegarek. Kiedy auto zwolniło, a Wojtiuk wyłączył koguty, ekscytacja psychologa sięgnęła zenitu.

– Nie sądzę, żeby ten człowiek był uzbrojony – odezwał się z nosem przytkniętym do szyby. – Użyłby broni już wcześniej, jako narzędzia zbrodni. Jednocześnie musimy mieć na uwadze, że młotek był jedynie jego gadżetem, wyrazem ekspresji albo próbą zmylenia tropów. Mógł przecież trzymać w zanadrzu pistolet. Zmusić nim swoje ofiary do uległości. Chociaż...

– Ciii...! – Langer syknęła. – Daj mi zebrać myśli.

– Mówię tylko, że trzeba być gotowym na wszystko.

– To nie twoje cholerne zmartwienie. Zapomniałeś, czym masz się zająć? Nagle zebrało ci się na zgrywanie żołnierzyka?

– Skoro masz gdzieś moje zdanie, to po co mnie wzięłaś?

– W przypiływie dobroduszości uznałam, że poczujesz się lepiej. Ale, do diabła, nie włącz mi na głowę!

Samochód zatrzymał się i komisarz szarpnęła za klamkę. Wysiadając, odwróciła się do Remberta.

– Nie waż się na razie wyściubić stąd nosa.

Wybiegła i rzuciła się w stronę stojącego na poboczu pojazdu zespołu antyterrorystycznego. Była to pomalowana na srebro forma pośrednia pomiędzy wielką furgonetką a ciężarówką. Poza specjalistycznym sprzętem w środku zmieścić się mogła nawet kilkunastoosobowa grupa uderzeniowa. Nim Liza podeszła do kabiny, jej drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł postawny mężczyzna w czarnym bojowym mundurze.

– Wszystko gotowe – powiedział bez przywitania. – Stąd mamy niespełna sto pięćdziesiąt metrów.

Langer schowała dłonie w kieszenie kurtki. Nie chciała zdradzić, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Najpierw pukamy – powiedziała z naciskiem. – Wszystko ma być zabezpieczone, ale nie zaczynamy od szturmu.

– To bardziej ryzykowna opcja.

– Ale konieczna. Mamy tak słabe tropy, że wolę uniknąć rozwalenia domu komuś niewinnemu.

– A prokuratura?

– Ciągłe czekamy. Dlatego prosiłam was o obserwację.

– Nie musiała komisarz prosić. To robimy w pakiecie.

– I?

– Cisza i spokój. W oknach są firanki, więc z tej odległości nie możemy zbyt wiele powiedzieć. Detektory hałasu na razie milczą, ale dopiero zaczęliśmy nasłuch.

– Róbcie swoje. Dam znać, gdy tylko dostanę pieczętkę.

Mężczyzna skinął głową i wrócił do kabiny. Langer, wyciągając papierosa, również ruszyła do auta. Za radiowozem, którym przyjechała, zaparkowały dwa kolejne. Wszystkie pojazdy były nieoznakowane, ale od razu przykuwały wzrok. Okolica domów jednorodzinnych wyglądała jednak na bezludną. Wydawało się, że całe życie zamarło w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Dom podejrzanego znajdował się w głębi osiedla, za pierwszą linią niewielkich willi i bliźniaków. Okolica bardziej przypominała wieś niż dzielnicę wielkiego miasta. Były tu przydomowe ogródki, małe szklarnie, były też strachy na wróble i ujadające psy, które stanowiły jedyny przejaw życia. Brakowało tylko pól i warkotu sunących po nich traktorów.

Langer odpaliła papierosa. Pomyślała o antyterrorystach kłębiących się w ciężarówce i opracowujących plan szturmu. Byli od brudnej roboty. Sama, razem z kryminalnymi, pozostawała w odwodzie. Przynajmniej jej działaniu nikt nie będzie mógł zarzucić braku przezorności. Dzięki temu nie interesowały jej też szczegóły akcji. Miała dostać swoją przesyłkę i przysługiwało jej prawo reklamacji.

Wypuściła obłoczek dymu.

Do zawodzenia okolicznych kundli dołączył skowyt deszczowego psa, znudzonego oczekiwaniem. Poniósł się

załośnie po trzewiach Lizy. Oplótł je i plasnął o żołądek, cofając żółć do jej gardła.

Szyba radiowozu opuściła się bezgłośnie. Wojtiuk wychylił się ponad siedzeniami.

– Prokurator wydał postanowienie – obwieścił z uśmiechem. – Chłopaki mogą wchodzić.

Langer pstryknęła papierosem w stronę ulicy. Przed ostatnim rozkazem musiała zabezpieczyć się w jeszcze jeden sposób. Wyciągnęła komórkę i roztrzęsioną dłonią wybrała numer z książki kontaktów. Siwecki odebrał praktycznie od razu. Był najwyraźniej na bieżąco, bo bezzwłocznie przeszedł do meritum.

– Jesteś pewna? – przeciągnął ostatnią sylabę, dodając pytaniu dramaturgii. – Jeśli się okaże, że to tylko durne pomówienie...

– Muszę mieć formalnie pańską zgodę. Mamy już podkładkę z prokuratury.

– Jeżeli go nie znajdziecie, będziemy spaleni.

– Wcale nie. Wtedy dowiemy się, czy szukamy właściwego człowieka. Zatrzymanie będzie tylko kwestią czasu.

– A w przeciwnym razie?

Na łączu zapadła ciężka cisza. Langer wymieniła spojrzenia z Wojtiukiem. Wciąż wychylony, patrzył na nią przez opuszczoną szybę. Twarz Remberta była równie napięta, ale ten spoglądał gdzieś w dal. Policjanci w radiowozie z tyłu rozmawiali, żywiołowo gestykulując.

– AT są gotowi – wycedziła, przytykając telefon do ucha. – Proszę o zgodę na wejście.

– Z prokuratorem nie będę polemizował. Przełączam się do wozu operacyjnego.

Langer schowała telefon i ruszyła w stronę srebrnej ciężarówki. Zapukała w boczne drzwi, które natychmiast się rozsunęły. W środku tłoczyło się mniej ludzi, niż się spodziewała. Sześciu uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy czekało na rozkazy, a kolejnych dwóch operowało przy sprzęcie elektronicznym. Na jej widok wszyscy rzucili rutynowe powitania.

Stalowa przesłona podniosła się i do środka wkroczył mężczyzna, z którym już rozmawiała.

– Zaczynamy – obwieściła Langer. – Jeszcze raz przypominam o pukaniu.

Policjant ze zrozumieniem machnął ręką.

– Wiecie, co robić – zwrócił się do swoich podwładnych. – Najpierw dżentelmeńska wizyta, dopiero potem jazda.

Liza poczuła, że pojazd ruszył powoli z miejsca. Był wart fortunę, a mimo tego bujał się na nierównej nawierzchni.

– Niech pani komisarz zajmie miejsce. – Policjant wskazał na fotel przy operujących elektroniką funkcjonariuszach.

– Dziękuję.

Kiedy zrobiła krok do przodu, ktoś szarpnął drzwi, a grupa antyterrorystów wypadła z pojazdu. W ułamku sekundy kabina niemal opustoszała, drzwi zasunęły się z powrotem, a z radia dobiegł krótki komunikat.

*Alfa, zbliżamy się na pozycję dwa, trzy. Cisza.*

Mężczyzna dowodzący akcją mruknął coś do krótkofalówki i skupił wzrok na monitorach. Na największym z nich wyświetlał się podzielony obraz z kamer szturmowców. Pędzili z dwóch stron, osłonięci betonowymi murami sąsiednich posiadłości. Przeskoczyli je jak na zawołanie i skierowali się prosto ku domowi podejrzanego. Jedna z ekip nadchodziła od strony niewielkiego garażu, a druga bezpośrednio od frontu.

*Alfa, pozycje zajęte.*

– Nasłuch albo ruch? – Dowódca pochylił się nad jednym z policjantów. – Cokolwiek?

– Cisza.

– Niech Toni idzie z opłatkami – rzucił do nadajnika.

Pięć kamer pozostało nieruchomych, a jedna zaczęła sunąć przed siebie. Niczym na filmowym zbliżeniu dom robił się coraz większy i większy. Drzwi nie wyglądały na solidną, antywłamaniową konstrukcję. Wykonano je z drewna i osadzono w wąskich, kruchych futrynach.

Policjant dopadł do wejścia i zatrzymał się za żalozem przedsiionka. Następnie ze zręcznością dzikiego zwierzęcia przesunął się wzdłuż muru. Z najbliższej możliwej odległości spojrział przez okno do środka. Na

ekranie pokazała się jedynie smuga światła oraz zarys funkcjonariusza odbijającego się w szybie. Antyterrorysta gwałtownie się cofnął. W tym samym momencie zaszumiała radiostacja.

– Na podłodze widziałem kilka sylwetek. Nie ruszają się!

## 26.

Rembert kucnął przy ułożonych obok stołu lalkach. Były to trzy manekiny rzeczywistych rozmiarów, ubrane we współczesne stroje. Dwa przedstawiały kobiety, jeden – kilkuletnią dziewczynkę. Zostały wykonane z ogromną dbałością o szczegóły i nic dziwnego, że antyterrorysta wziął je za prawdziwych ludzi.

Wokół panował porządek, lecz to właśnie między innymi przez to dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Wszystkie meble pokrywała warstwa kurzu, powietrze było gęste i duszne, a lodówka – całkowicie opróżniona. Zgodnie z relacjami sąsiadów właściciela, Jaromira Gawlika, nie widziano od wielu dni. Jednak, jak każdego odludka, mało kto w ogóle go zauważał. Pewne było, że mężczyzna przed dwoma tygodniami odebrał awizo z pobliskiej poczty, dzień później był u Frydrycha i mniej

więcej w tym samym czasie chciał pomóc sąsiadce przy myciu okien. Ta, przestraszona natarczywością propozycji, kazała mu iść w diabły. Resztę stanowiły głównie domysły. Renta Gawlika była przelewana na jego konto, lecz bank nie udzielił jeszcze dostępu do operacji, które mężczyzna wykonywał. Langer stanęła za plecami psychologa. Po raz kolejny w ciągu ostatniej godziny przyglądała się manekinom. Zapamiętała niemal każdy szczegół ich ubioru, rysów twarzy i położenia.

– Myślisz, że to lalki do seksu? – zapytała, łykając tictaca. – Zabawiał się z nimi?

– Jeżeli tak, to bardzo dziwne.

– Co w nich dziwnego?

Rembert poprawił lateksowe rękawiczki i pociągnął za skraj sukienki manekina o sylwetce dojrzałej kobiety.

– Widzisz?

– Co widzę? To sukienka.

– No właśnie. Przyszyta na stałe do korpusu.

– Wspaniale. Nigdy ci nie mówiłam, ale mnie też fascynują detale lalkarstwa.

– Tyle że tu właśnie brak tych detali. Skoro sukienka jest przytwierdzona na stałe... – Psycholog pociągnął także za górny fałd, okrywający wypukłość piersi. – ...nie można odsłonić miejsc intymnych. A jak nie ma dziurki, to co w nich seksualnego?

Langer nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.



– Oczy – parsknęła. – Ten psychol ma przecież zboczenie na punkcie oczu, a nie cipek. A oczy zrobiono naprawdę nieźle.

– Ale nie są to zwykłe lalki z sex shopu. Raczej dekoracja teatralna albo coś podobnego...

– I o czym to świadczy, Sherlocku?

Rembert podniósł się i stanął przy komisarz.

– Po pierwsze, o tym, że nie kupi się ich w pierwszym lepszym sklepie za rogiem. Po drugie, nie widzę na nich żadnych śladów. Są wymuskane, bez najdrobniejszej rysy, zabrudzeń na ciuchach i tak dalej... Czyli ten człowiek nie czerpie satysfakcji z agresji. A to jest kluczowa wiadomość.

– Obstawiam, że wobec lalek nie musi być agresywny. Dają się lizać po oczach, kiedy tylko zapragnie.

– Jasne. W takim razie: czego mu brakuje? – Rembert wyciągnął telefon i przez chwilę wygrywał melodię na dotykowym ekranie. – Patrz. – Wyciągnął aparat w stronę Langer. – Przyjrzyj się jego oczom.

Liza przesunęła jego dłoń, aby lepiej widzieć wyświetlacz. Całą jego powierzchnię zajmowało zdjęcie Aleksandra Nowackiego, które widziała już w AFIS-ie.

– Jeśli chodzi ci o to, czy mnie podniecają, to się mylisz.

– Twoimi podnietami zajmiemy się później. – Rembert, chichocząc jak chłopiec, schował telefon. – Jego oczy są ciemne, przekrwione, otoczone zmarszczkami.

A lalki? Wszystkie mają niebieskie lub zielone tęczęwki, a do tego ich gałki zostały idealnie osadzone. Poza tym wszystkie są kobietami. To na ich punkcie jest zboczony ten człowiek.

Langer musiała zapalić. Wyciągnęła paczkę i pospiesznie ruszyła w stronę werandy. Przeszła przez niewielki hol, a następnie pchnęła dwie pary drzwi. Po długim czasie spędzonym w zaduchu świeże powietrze wydało się jej ostre i orzeźwiające. Nim odpaliła papierosa, kilkakrotnie wzięła głęboki oddech. Na posesji wciąż kręcili się ekipa kryminalistyczna oraz kilku policjantów. Sierżant Wojtiuk zagadywał stojącą przy bramie blondynkę. Na ulicy zebrało się grono sąsiadów, a dziennikarze wymierzyli w stronę domu obiektywy kamer. Mieli pożywkę w sam raz do popołudniowych serwisów.

Liza drgnęła, kiedy usłyszała tuż za sobą głos Remberta.

– Zastanawia mnie, dlaczego te lalki leżały na podłodze. – Psycholog stanął obok niej. – Nie ustawił ich wokół stołu, tylko je rozrzucił. Jak dziecko zostawiające zabawki na środku pokoju.

– Może się znudził i uznał, że czas zająć się czymś cieplejszym od szkiełek.

– Wtedy powinniśmy trafić na jakiegokolwiek ślady w domu. A wszystko wskazuje na to, że wyniósł się, nim doszło do pierwszego zabójstwa.

Langer strzepnęła popiół. Wymownie cmoknęła i odwróciła się do psychologa.

– Nie pomagasz, Oreście. – Powoli pokręciła głową. – Cały czas tylko mówisz o tym, czego nie mamy. Nic by nie zmieniło, gdybym traktowała cię jak te pieprzone zdjęcia na paczkach fajek: widziała i jednocześnie miała w dupie, żebyś nie obrzydził mi życia.

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Była ostra i wulgarna, lecz wcale nie chciała taka być. Wściekłość skierowała ją w złą stronę. Kiedy tylko urwała, chciała coś dodać. Obrócić swoje słowa w niewinny żart, ale nic nie przyszło jej do głowy. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że polubiła Remberta. Może właśnie dlatego zareagowała w ten sposób.

A może to deszczowy pies tak jej kazał... Kręcił się tuż obok z wygiętym grzbietem, ocierając się o nogi psychologa. Znaczył teren, podobnie jak zaznaczył go kiedyś warkotem śmierci.

Orest wydał żałośnie policzki, ale się nie odezwał. Langer błagała go w myślach, aby odpłacił jej pięknym za nadobne i zrugął ją za to grubiaństwo. Powinien wreszcie powiedzieć, co o niej myśli, a nawet złożyć na nią formalną skargę. Tymczasem wypuścił powietrze i ruszył w stronę bramy posiadłości.

*Miałabym cię w dupie, żebyś nie obrzydził mi życia.*  
Pięknie powiedziane.

Być może krzyknęłyby za nim, lecz wrzask dzwonka przywrócił ją do przytomności. Bezwiednie nacisnęła przycisk i przyłożyła telefon do ucha. Po chwili wylał się na nią potok słów Walemby. Sierżant, jak zwykle przez telefon, mówił ledwie zrozumiałym głosem. Dwa razy kazała mu powtórzyć wypowiedziane bełkotliwie zdanie.

– Pokazaliśmy temu psychologowi nagranie ze sklepu.  
– Tym razem powiedział to dużo wolniej i wyraźniej. – Frydrych twierdzi, że to rzeczywiście mógł być jego pacjent.

– Ale? – Langer wciąż nie wyzbyła się irytacji. – Wyczuwam to cholerne „ale”.

– Nie jest pewny i nie może być. Wszyscy wiemy, że do tej sylwetki bez problemu dopasuje się co drugiego mężczyznę.

– Może chociaż skojarzył ubrania?

– Stwierdził tylko, że jego pacjent, ten Gawlik, nie przepada za kratą. Ma spaczenie na punkcie ostrych kształtów i linii prostych.

– A na nagraniu widać, że mężczyzna ma podszewkę w szkockie wzory. O to chodzi?

– Tak.

– Obstawiam, że nawet nie zwrócił na to uwagi. Poza tym mógł się przebrać, a w przebraniu chodzi o to, żeby...

Langer umilkła, widząc wychodzącego zza domu technika. Zbliżał się do niej szybkim krokiem, przeskakując między kępkami nierównej trawy.

Rozłączyła się i podeszła w jego stronę. Od razu dostrzegła foliowy worek, którym potrząsał.

– Znaleźliśmy to w ogrodzie na tyłach... – Technik zatrzymał się o krok od Lizy i uniósł zawiniątko. – Nieźle, co?

Langer od razu się domyśliła, co jest w środku. Po jej plecach przeszły ciarki.

## 27.

Langer miała serdecznie dość. Swojej roboty, ludzi, a przede wszystkim telefonów. Róża Burza przekierowała na jej służbowy numer kilka kolejnych osób, które – oczywiście – miały informacje o przełomowym znaczeniu dla sprawy. Po wymianie nie więcej niż pięciu zdań okazywały się jednak nadgorliwymi społecznikami, odczuwającymi na sobie zbyt ciężki wzrok sąsiadów, bojącymi się swojego cienia lub marzącymi o zemsczeniu się na kimś, kto ostentacyjnie wrzucił na kościelną tacę o kilka złotych więcej.

Szlag by to.

W kilka godzin wypaliła zbyt wiele papierosów i wypijała zbyt dużo kawy. Pusty żołądek upominał się o porcję kalorii, ale zadowolili go kolejnymi tic tacami

oraz snickersem. Myślała. W skupieniu siedziała w swoim gabinecie, analizując każdy szczegół. Czy to naprawdę mógł być już koniec?

Odnaleziony przez techników młotek został skierowany do laboratorium w celu dokonania szczegółowych oględzin. Sztab ludzi pracował nad ustaleniem miejsca pobytu Jaromira Gawlika. Oczekiwano na informacje bankowe, sprawdzano zapisy kamer najbliższej stacji benzynowej, rozpytywano sąsiadów, udostępniono też wizerunek podejrzanego mediom. Zdawało się, że mężczyzna rozpląnął się bez śladu, tak jak istniał.

Z informacji, które zdołali zdobyć, wyłaniał się obraz dziwaka i odszczepieńca, ale do tej pory zupełnie niegroźnego. Klasyka. Seryjni mordercy wtapiają się w tłum, a nawet wzbudzają litość do chwili, kiedy nie mogą już opanować zabójczych skłonności. Wtedy zaskakują całe otoczenie, które dotychczas było przekonane, że morderca prędzej sam się potknie i połamie, niż zrobi komuś krzywdę.

A ten robi wszystkim makabrycznego psikusa.

Liza nie miała się z kim podzielić tymi przemyśleniami. Rembert nie pojawił się już na komendzie, a zadzwonienie do niego, przynajmniej na razie, nie wchodziło w grę.

Na przekór żołądkowi wypijała kolejną kawę. Była zmęczona, lecz mimo tego czuła nieodpartą potrzebę

działania. Może bezsensownego, ale sprawiającego pozory niezachwianego dążenia do celu. Zastępującego kij, którym przeganiała deszczowego psa.

Poszukiwania podejrzanego opierały się na szczęściu i wysiłku całej rzeszy ludzi, jednak Langer chciała mieć w nich swój udział. I to większy niż podpis na paru raportach.

Jeszcze raz przejrzała wszystkie zapiski. Nie znalazła w nich niczego ciekawego, więc z uporem maniaka zaczęła przeszukiwać odmęty Internetu. Strony o niedowrażliwości wzrokowej, okulofilii, a nawet te dotyczące zboczeń związanych z lalkami. Wreszcie próbowała wyszukać profil Gawlika na portalach społecznościowych, ale nigdzie na niego nie natrafiła. Zamknęła laptopa i rozmasowała skronie. Kiedy w końcu zdecydowała, że czas wrócić do domu, zadzwonił telefon. Zniechęcona podniosła słuchawkę. Dyżurny poinformował ją, że na komendzie zjawił się Konstanty Frydrych i chce się z nią koniecznie spotkać.

– Przecież go nie wzywałam... – mruknęła zdziwiona. Mimo to kazała przyprowadzić psychologa do gabinetu.

Kilka minut później Frydrych siedział naprzeciw niej. Przyglądał się kołysce Newtona niczym dziecko oglądające cudze zabawki: wstydzące się ich dotknąć, lecz wręcz rozpalone wizją zabawy. Drobnny gadżet zapewne doskonale pasowałby do jego sesji terapeutycznych. Langer przeszło przez myśl, aby mu go sprezentować

i tym samym nakłonić go wreszcie do mówienia. Cel z całą pewnością był szczytny, ale forma wydawała się plugawa. Szczególnie mając na uwadze to, jak potraktowała Remberta.

– Ma pan zdolności telepatyczne? – zapytała, przerywając w końcu milczenie. – Skąd pan wiedział, że o tej porze będę jeszcze w firmie?

Frydrych przeniósł wzrok z metalowych kulek na komisarz. Miał zaczerwienione, podkrążone oczy. Na czole i pod nosem perliły mu się kropelki potu. Nie czuła od niego alkoholu, ale wyglądał, jakby wypił, i to więcej niż symboliczne piwo. Spod czerwonego swetra wystawał zmierzwiony kołnierz koszuli, której rękawy co rusz obciągał dłońmi.

– Włóczyłem się po mieście, zaszedłem tu właściwie po drodze – odezwał się posępnym głosem.

– Niewielu zachodzi tu ot tak sobie.

– Myślałem o Gawliku...

– I co pan wymyślił?

– Nigdy nie wiedziałem, jak żył. – Frydrych założył dłonie na głowę i wydał usta w posępnym uśmiechu. – Mówił mi, oczywiście, o tym, że jest samotny, wspominał o pewnych kobietach, ale nie miałem pojęcia, do czego jest zdolny. Zastanawiałem się nad tym, czym się otaczał. Czy lubił porządek, czy – zgodnie ze swoimi fobiami – niszczył każdy kąt prosty, wyrywał zawiasy, wyszczerbiał



płytki... Na co trafiliście w jego domu? Po adresie wnioskuję, że to jest dom, a nie mieszkanie?

Wywód terapeuty zdziwił Langer. Po chwili konsternacji postanowiła jednak być z mężczyzną szczerą. Tajemnica śledztwa, położona na szali z możliwością zdobycia informacji, ważyła zaskakująco niewiele. A poza tym równoważyła się z tajemnicą zawodową Frydrycha.

– Lalki – powiedziała, pochylając się nad biurkiem. – Trafiliśmy na pięć lalek o wymiarach prawdziwych ludzi. Trzy leżały na podłodze w salonie, dwie w sypialni.

Mężczyzna nie wyglądał na zdziwionego.

– Kogo przedstawiały?

– Trzy kobiety i dwie dziewczynki.

– Zrobione na wzór jakichś celebrytek? Madonny, Dody czy coś takiego?

– Nie śledzę gwiazdeczek, ale, o ile mi wiadomo, nikt nie dostrzegł takiego podobieństwa.

– A jakieś ślady osób trzecich? W domu samotnika byłoby to dość, hm... osobliwe.

Ta uwaga rozdrażniła Langer. Brzmiała jak pouczenie. Frydrych mentorskim tonem przypominał jej, na co powinna zwracać uwagę. Psycholog przez cały czas starał się skupić na rozmowie, a pot coraz obficiej skraplał jego czoło. Liza wstała i zamknęła okno. Uznała, że im bardziej będzie chciał wyjść, tym szybciej przejdzie do rzeczy. Być może dodatkowym ponagleniem byłoby

odpalenie papierosa, ale na samą myśl o tym jej żołądek niebezpiecznie zbulgotał.

– Wszystkie ślady bada laboratorium – odparła zgodnie z prawdą. – Na wyniki musimy poczekać.

– Więc na coś trafiliście?

– Sprawdzamy kilka tropów.

– Gdybym coś o nich wiedział, może mógłbym pomóc...

– Mamy swoich ludzi, którzy wszystko analizują. – Langer uśmiechnęła się wymownie. – Muszę serdecznie podziękować.

– Spędziłem z nim dość czasu.

– I?

– I trochę go poznałem. Właściwie powinienem wszystko przewidzieć...

– Czy wszyscy psychologowie płaczą nad rozlanym mlekiem?

Frydrych zmarszczył brwi. Dopiero po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Nie było w nim jednak cienia radości. Pokiwał głową, jakby przysłuchiwał się fantastycznej tyradzie dziecka.

– Słyszałem, że nad sprawą pracuje profiler – powiedział oschle. – Coś niecoś wiem o jego metodach.

– Rzeczywiście, prowadzimy pewne konsultacje.

– Rozumiem, że teraz nie będą już potrzebne? Skoro ustalono sprawcę...

Langer nie wytrzymała. Przysunęła się do samego biurka i stuknęła dłonią w blat.

– Płaci panu Pudelek czy jakiś inny brukowiec?

Ta nagła reakcja zmieszała Frydrycha. Gwałtownie się wyprostował i spuścił wzrok.

– Nie rozumiem...

– Wypytuje mnie pan o szczegóły śledztwa, rzuca uwagami. Może zaraz poleci pan sprzedać ploteczki wszystkim pieprzonym stacjom? A może już pan je sprzedał?

– Nie... O czym pani mówi? – Psycholog poczerwieniał. – Po prostu... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Powinienem był wcześniej wysłać go do psychiatry. Gdyby został osadzony w zakładzie, nie doszłoby do tego wszystkiego...

– Czuje się pan winny czy wie, że są na to paragrafy?

– Nigdy nie unikam odpowiedzialności.

– Serio? I nigdy nie przechodzi pan na czerwonym?

Langer była już pewna, że Frydrych nie ma żadnych istotnych informacji. Przyszedł do niej wybadać swoją sytuację. Obawa o własny tyłek potrafi zdziałać cuda.

– Proszę pamiętać, że od razu zgłosiłem się na policję... – jęknął błagalnie. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

– Z całą pewnością będzie to okoliczność łagodząca.

– Słucham?

– Gdyby sprawa trafiła do sądu.

Nie mogła się powstrzymać od droczenia. Z obrzydzeniem pomyślała, że psycholog zdecydował się

powiadomić policję nie na skutek trzeźwego osądu, a w przyływie paniki.

– Gdyby? – zapytał piskliwie. – Ja naprawdę nie mogłem tego przewidzieć. Jeżeli traktowałbym podejrzliwie każdego pacjenta, psychiatrzy nie zajmowałyby się niczym innym, jak tylko weryfikowaniem moich skierowań.

– To troska o dobro psychiatrów?

– Ironizuje pani? A w ogóle zastanowiła się pani kiedykolwiek, jak funkcjonuje ten system? Ile odpowiedzialności spoczywa na terapeutach? Ile mają problemów?

– Każdy ma swoją brochę.

– Co proszę?

– Każdy ma swoją brochę – powtórzyła Langer. – Ja też mam sporo na głowie i nie robię z tego aj-waj jak dziewczynka, która dostała pierwszego okresu.

– Pani... – Frydrych powstrzymał się od komentarza i głośno wypuścił powietrze. – Widziała pani, jak on wygląda?

– Okres?

Psycholog nie wytrzymał, poderwał się z miejsca i przetarł dłońmi twarz.

– Przyszedłem tu w dobrej wierze – sapnął. – Potraktowała mnie pani jak przestępcę, a tylko dzięki mnie...

– Tak, wiem. I wiem, co chciał pan przed chwilą powiedzieć. To, że pański pacjent ma około sześćdziesięciu kilogramów wagi, metr sześćdziesiąt wzrostu, słowem – z filmowym seryjnym zabójcą ma tyle wspólnego, co zawodnik sumo z baletem.

– Dlatego: kto by się spodziewał...

Langer miała dość tego jęczenia. Poglądziła mechanicznie stosik kartek przed sobą i zabębniła o nie palcami.

– Proszę stąd wyjść. Jeżeli nie ma pan nic do powiedzenia, szkoda marnować czas.

– Tyle że...

– Niech pan da spokój tym tłumaczeniom. – Podniosła się z fotela i ściągnęła z oparcia kurtkę. – Na razie nie rozważam postawienia panu jakichkolwiek zarzutów. Ale jeżeli nie zejdzie mi pan z oczu, do zaniedbania dorzucę jeszcze nękanie funkcjonariusza.

Frydrych przecesał włosy i – wyraźnie rozluźniony – ruszył do drzwi.

– On nie przestanie – stwierdził, zaciskając dłoń na klamce. – Jeżeli coś sprawia mu przyjemność, nie potrafi się powstrzymać i robi wszystko, aby się zadowolić. Jeżeli go nie ubiegniecie, znowu zabije. O ile właśnie tego nie robi.

Słowa te przypomniały Langer wyświechtany slogan filmowy.

– Szlag by go – syknęła.

## 28.

– Wiem, że pani nie jest rodziną, ale figuruje pani w naszym rejestrze... Kobieta przybrała błagalny ton bezdomnego zbierającego na taniego winiacza.

– Dalej nie rozumiem, co się stało.

– Pani Kasprzycka ciągle o panią dopytuje. Biorąc pod uwagę jej stan i to, jak rzadko się to zdarza, pomyśleliśmy, że może pani...

– Tak. Przyjadę.

Langer gwałtownie zmieniła pas. Jakiś ćwok z tyłu spazmatycznie zabuczał klaksonem. Zrobiło się już naprawdę późno, była zmęczona i piekielnie głodna. Nie miała wątpliwości, że jej żołądek skurczył się do rozmiarów niewielkiego orzecha włoskiego. Mózg czerpał energię z ostatnich zapasów glukozy i pewnie niedługo zacznie zjadać sam siebie.

Jakim cudem matka Michała mogła o nią pytać? Pewnie dopiero dotarła do niej ostatnia wizyta. Może właśnie odpowiadała na pytania, które jej wtedy zadała. Dobry wynik. Ponaddobowy zapłon. Nie zamierzała być złośliwa, ale gdyby spotkało ją coś takiego, chciałaby zostać zutylizowana. Mimo tego miała głębokie poczucie

obowiązku. Stała na honorowej warcie wiecznej pamięci Michała. Ta myśl ją zawstydziła. W tej jednej sprawie nie potrafiła być ze sobą szczerą. Czy gnała teraz do domu opieki z sympatii dla starej kobiety, czy była posłuszna wewnętrznemu przymusowi? Zaspokajała próżność i chroniła się przed poczuciem winy?

Bała się odpowiedzi na te pytania.

Zostawiła samochód pod blokiem, w którego płytowe ściany Kasprzycka uparcie wpatrywała się poprzedniego wieczoru. Przebiegła tę samą trasę korytarzami domu opieki, machnęła do dyżurnej, która odpowiedziała jej wdzięcznym uśmiechem, i zapukała do drzwi mamy, która nigdy nie była jej mamą. Policzyła do pięciu, po czym weszła do środka.

Barbara Kasprzycka swoim zwyczajem siedziała po turecku na łóżku i delikatnie kiwała się na boki. Patrzyła w dół, w zwoje kołdry.

– Liza, Lizunia... – szepnęła łamiącym się głosem.

Langer zamurowało. Przez chwilę była przekonana, że staruszka zwraca się bezpośrednio do niej. Że powróciła jej świadomość i kobieta właśnie ją wita.

– Mówiłam ci, Michaś. To dobra dziewczyna.

Dopiero te słowa pozbawiły ją złudzeń. Kasprzycka mówiła sama do siebie, a raczej: do wyimaginowanej postaci swojego syna. A może do jego ducha? Langer rozejrzała się po pokoju, jakby spodziewała się dostrzec jakiś nieokreślony cień, jakiś znak bytności istoty

nadprzyrodzonej. Podskoczyła zaskoczona, gdy w tej samej chwili w uszach zaświdrował jej piskliwy świst gwizdka. Gwałtownie odwróciła się w stronę korytarza. Pielęgniarka o gabarytach krągłego walenia wyciągnęła w jej stronę rękę. Pchała przed sobą wózek z niewiele chudszy pacjentem, który zapalczywie przytykał do ust żółty sportowy gwizdek.

– Za pięć minut cisza nocna – powiedziała zmieszana.  
– Pan Andrzej gwizdnie kilka razy i później od razu zasypia, prawda? – Teraz zwróciła się do swojego podopiecznego. – Jak za dawnych czasów na hali?

Pchnęła wózek i zniknęła w głębi korytarza. Langer wypuściła powietrze i parsknęła nerwowym śmiechem. Kasprzycka pozostała niewzruszona w swoim świecie widziadeł. Nedorzeczność sytuacji przynajmniej chwilowo przegnała deszczowego psa w siną dal.

– Dzień dobry, mamó. – Podeszła do starowiny. – Słyszałam, że mówiła dziś mama o mnie.

– Nigdy nie patrz w oczy – syknęła Kasprzycka. – Oczy cię widzą. Michaś, pamiętam, kiedy tam byłeś...

Nieskładne słowa rozwiały dobry humor komisarz. Nagle ogarnął ją niepokój. Oczy?

Niech to będzie cholerny przypadek. Życie składa się ze zbiegów okoliczności, które sprawiają wrażenie, jakby los nieustannie drwił sobie z człowieka. Alkoholicy wszędzie dostrzegają butelki trunków, seksoholicy nie mogą się uwolnić od podniet, a ona?



Chwilę później zdała sobie sprawę, że wiara w przypadek to szczyt naiwności. Odebrało jej dech.

\* \* \*

Orest Rembert dopił piwo i zamknął zeszyt pełen nagryzmołonych notatek. Wena znowu go opuściła. Naprzemienne sięganie do telefonu, na którym zapisał zdjęcia istotnych dokumentów, i po długopis przypominało zachowanie szaleńca, niemogącego się zdecydować, czy odebrać sobie życie, skacząc z wysokości czy strzelając sobie w łeb. Teraz rezygnował z całego planu.

Wnioski, do których doszedł, wydawały się jednoznaczne. Tyle że jednoznaczność ostatnim razem skazała go na ośmieszenie. Być może powinien wszystko przemyśleć od nowa, zwrócić się o pomoc do grona kolegów, a dopiero później szafować teoriami.

Choć wcale nie. To nie były teorie. Jeżeli mógł być czegoś pewny, to właśnie ostatnich ustaleń. Nie zdarzały się rysy osobowości aż tak dychotomicznej. Nawet schizofrenicy wykazują punkty zbieżne swoich kolejnych wcieleń. Poza tym istniały inne przesłanki wskazujące, że...

– Zaraz zamykamy. – Młoda, może nawet niepełnoletnia, kelnerka stanęła obok stolika. – Proszę się powoli zbierać.

– Jasne. Za minutę mnie nie ma.

Rembert odprowadził ją nieprzytomnym wzrokiem, wyciągnął banknot i wsunął go do przyniesionego już kwadrans wcześniej rachunku. Chętnie wypiłby jeszcze jedno piwo. Zdecydował, że kupi je po drodze do domu. Nie miał daleko, a czynny całą dobę monopolowy zachęcał szerokim wyborem. Podchmieli się odkrytą ostatnio estrellą dam daurą. Może po tym hiszpańskim wynalazku spłynie na niego błogosławieństwo oświecenia. Wciągnął płaszcz, niedbale obwiązał szyję szalikiem i skierował się do wyjścia. Noc wydawała się cieplejsza niż ostatnie. Przyjemnie było iść, nie dygocąc z zimna i nie musząc wkładać skostniałych rąk do kieszeni. Mógł zająć do jednego z barów otwartych dłużej niż kawiarnia, w której spędził ostatnie godziny. Wstępny plan zakładał wypicie herbaty, może dwóch, i przemyślenie wszystkiego od początku. Na szczęście okazało się, że w tym eleganckim przybytku serwowano również piwo. Co prawda, gdy je sączył, ściągał na siebie nieufne spojrzenia pozostałych gości. Wychodząc po godzinie zamknięcia, sprowokował również nieprzyjazne spojrzenia kelnerek.

Maszerował szybkim krokiem, obserwując przejeżdżające autobusy. Jako dziecko zapamiętywał ich numery i trasy. Stał się żywą tablicą informacyjną gdańskiej komunikacji miejskiej, gotową recytować nawet nazwy przystanków. Z biegiem lat nie tylko zmieniły się ich lokalizacje, lecz także zmodernizowana

sieć autobusowa nie przypominała tej zapisanej na tablicy z jego wspomnień. Nie było też jego matki, która targając go za blond czuprynę, pytała: „No, to którym jedziemy, panie konduktorze?”. Z perspektywy lat nie wiedział tylko, dlaczego został panem konduktorem.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Jedno wypowiedziane przez Langer zdanie wydało mu się szczególnie istotne. Gdyby spojrzeć na całą sprawę z perspektywy innej niż ta, którą sobie narzucili? Może byli cholernymi ślepcami, którzy poruszali się po omacku w świecie opisanym przez kłamców? Ta myśl wydała mu się całkiem plastyczna. Pospiesznie wyjął telefon i wybrał właściwy kontakt. Musiał coś sprawdzić. Błogosławieństwo oświecenia spłynęło na niego bez wypijania kolejnego piwa, a dzięki życzliwej pomocy dawnego znajomego. Jeżeli jego tok rozumowania był prawidłowy, wszystko stałoby się jasne.

Otworzył w komórce przeglądarkę i wpisał kilka haseł. Niemal od razu trafił na to, czego szukał. Prosta teoria znalazła potwierdzenie. Sprawca być może nie był na wyciągnięcie ręki, ale Rembert właśnie dokonał cholernego przełomu. Roześmiał się na głos. Ich założenia od samego początku były oparte na błędnych przesłankach. Musiał natychmiast zadzwonić do Langer.

Nieważne, czy szanowała jego robotę i czy w ogóle była mu w stanie zaufać. Popelniali właśnie ogromny błąd.

Gdy zamknął wyszukiwarę, usłyszał za sobą kroki. Szybkie i miarowe. Ktoś biegł, a pozostały po zimie piasek trzeszczał pod podszwami jego butów. Rembert zszedł na skraj chodnika, aby zrobić więcej miejsca nocnemu sprinterowi. Coś się nie zgadzało. Po chwili zrozumiał, że biegnący również zmienił tor, ustawiając się prosto za nim. Mechanizm obronny Remberta podkreślił rytm serca, a mięśnie mimowolnie się naprężyły.

Nim zdążył się odwrócić, ciężki przedmiot z ogromną siłą uderzył go w potylicę. Ugięły się pod nim nogi i bezwładnie upadł na chodnik. Ktoś natychmiast przewrócił go na brzuch. Kolejne wydarzenia Rembert rejestrował tak, jakby ciało wcale nie należało do niego. Znajdował się gdzieś obok. Był biernym obserwatorem swojej własnej męczeńskiej śmierci. Nie czuł bólu, a ciemność nocy stawała się coraz bardziej przytłaczająca. Światło pojedynczych latarni przygasało.

Czyjeś dłonie chwyciły go pod ramiona i zaciągnęły do bramy pobliskiej kamienicy. Słyszał szuranie swoich stóp, objających się o nierówności bruku i warstwę piasku. Kopnięcie wymierzone prosto w brzuch odebrało mu dech. Jednak nie chwycił łąpczywie powietrza. Bezwarunkowe odruchy stały się zbędne i obojętne. Organizm został pozbawiony woli działania. Kolejne uderzenie ciężkiego przedmiotu osunęło go na skraj

świadomości. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł otworzyć ust.

Nadchodził koniec.

Poddał się, nie protestując.

Żałował jedynie, że jego praca poszła na marne. Bazgrołów spisanych w kawiarni nikt nie rozczyta. Zostając trzecią ofiarą, jedynie przysparzał śledczym dodatkowej roboty. Zaciemniał obraz i tak już niejasnej sytuacji. A przecież błędzili. Tak bardzo błędzili...

To była jego ostatnia myśl.

Langer nachyliła się nad Kasprzycką i zauważyła, że pomiędzy jej bosymi stopami leży koperta. To w nią przez cały czas wpatrywała się kobieta. To ona wywołała jej nieskładną paplaninę i podniecenie.

– Twoje listy, Michasiu. Nikt ich nie czyta. Listy, listy, Liza i Michaś. Liza i ty!

Zignorowała słowotok staruszki. Sięgnęła po kopertę i wyciągnęła ją pod światło. Nigdzie nie wskazano nadawcy, a jako adresatka figurowała Barbara Kasprzycka, z wszelkimi danymi domu opieki. Kiedy Langer ją obróciła, ze środka wypadła niewielka, sztywna karteczka. Komisarz ostrożnie podniosła ją z podłogi i skupiła wzrok na dwuwiersowej, napisanej drukowanymi literami informacji.

*Cudze oczy patrzą na was.*

*Zawsze.*

Dłoń Langer nagle zadrżała. Kobieta uświadomiła sobie, że to, co trzyma, wcale nie jest zwykłym świstkiem papieru. Pamiętała datę wydrukowaną w dolnym rogu kartonika i wzór dostrzegalny dopiero po chwili skupienia. Kiedy odwróciła kartkę, po jej ciele rozplynęła się fala gorąca. Tysiące szpilek wbiło się w najbardziej wrażliwe zakończenia nerwów, a serce gwałtownie załomotało.

Trzymała w dłoni fotografię przedstawiającą ją i Michała na samym końcu sopockiego molo. Jej jedyna odbitka powinna znajdować się zupełnie gdzie indziej. W albumie ukrytym pod stosem rupieci upchniętych do starego kartonu. Pod łóżkiem. W jej przyczepie.

## 29.

Drzwi do przyczepy były otwarte. Poza tym od jej wyjścia nic się nie zmieniło. W środku panował porządek, powietrze było nieruchome i przesiąknięte zapachem wypalonych papierosów, a karton znajdował się w niewielkiej wnęce pod łóżkiem. Liza pospiesznie go wysunęła, zdjęła tekturowe wieko i zajrzała do środka.

Album leżał na swoim miejscu.

Delikatnie, jakby miał się rozsypać, dotknęła jego skórzanej oprawy. Z zamkniętymi oczami mogła wodzić palcem po tłoczonych w niej ornamentach. Znała na pamięć ich każde zagięcie i krawędź.

Nim zdecydowała się na kolejny krok, znów wynurzył się deszczowy pies. Stał na środku pomieszczenia i utkwiał wzrok w kartonie. Nastroszył się, jakby wyczuł obecność kogoś obcego. Warczał.

Langer wzdrygnęła się i odwróciła wzrok. Zacisnęła zęby niczym atleta szykujący się do podniesienia sztangi. Okładka albumu była jednak znacznie cięższa. Chroniła wszystkie wspomnienia, które nie tak dawno się na nią zwały i sparaliżowały ją na wiele dni.

Teraz była nieco silniejsza. Nawet jeżeli deszczowy pies wciąż nie odpuszczał, nie mógł jej znów tak dotkliwie pokąsać. Znała jego sztuczki. Nadszedł czas, by go wytresować.

Policzyła do trzech, podniosła skórzaną kartę i...

Kurwa! – krzyknęła. – Szlag by to!

Zdjęcia zniknęły. Przerzuciła kolejne strony, lecz na żadnej z nich nie znalazła choćby jednej fotografii. Pchnęła z całej siły karton tak, że przekoziółkował i uderzył o ścianę przyczepy.

Langer ciężko dyszała. Była wściekła, że nie zamontowała solidniejszego zamka. Ktoś musiał ją śledzić. Dotarł do jej azylu i odarł go z aury intymności.

Podniosła się, niemal uderzając o wysunięty blat. Wciąż zdarzało się jej zapomnieć, na jak małej powierzchni zamknęła swoje życie. Przeszła do drzwi i jeszcze raz obejrzała zamek. Od zewnętrznej strony dostrzegła niewielkie rozgięcie. Do uwolnienia bolca prawdopodobnie użyto dwuelementowego wytrychu, jednego z najpopularniejszych gadżetów na rynku włamywaczy.

Rozejrzała się po okolicy, nad którą rozpościerała się mgła. Wokół panowała cisza. Latarnia świeciła, uwydatniając czające się w zakamarkach cienie. Wszystkie jednak uparcie pozostawały nieruchome.

Zatrzasnęła drzwi i wróciła do części salonowej. Włączyła radio. Na chybił trafił wybrała stację – tylko po to, aby przegonić przytłaczającą samotność. Audycja sportowa. Świetnie. Nie obchodziło jej, czego dotyczy relacja. Ważne, że komentator ryczał w ekstazie do odbiornika. Przekręciła gałkę głośności do oporu. Nie musiała się martwić, że upierdliwi sąsiedzi przyjdą na skargę albo będą walić szczotkami w sufit.

Musiała wreszcie coś zjeść. Zaciśnięty żołądek nie upominał się o porcję posiłku, ale gdy adrenalina opadała, Langer czuła, że traci niezbędną energię. Przemyślała twarz zimną wodą i z maleńkiej lodówki wygrzebała resztkę zapasów. Miała nadzieję, że miszmasz składników nie skończy się niestrawnością. Prawdę powiedziawszy, pomyślała o tym dopiero wtedy,



gdy wrzuciła w siebie pół puszki niezbyt świeżej kukurydzy i koreczki śledziowe, po czym zagryzła to wyjadany wprost z opakowania pasztetem. Jej posiłek przypominał ucztę dzikiego zwierzęcia. Jedząc, rozszarpywała stres, złość i poczucie bezsilności.

Potrzebowała jeszcze czegoś ciepłego. Tym, co mogła zaproponować organizmowi, była herbata lub kawa. Postawiła na żółtego liptona. W tym momencie kawa wpędziłaby ją w delirium.

Pchnęła blat szafki, odsłaniając zlew. Mechanicznie wyciągnęła wężyk kranu i przeciągnęła go do czajnika elektrycznego. Kiedy mocowała się z jego zassaną pokrywką, przez spazmatyczne krzyki komentatora sportowego przedarł się inny, jeszcze żałośniejszy wrzask. Znacznie bliżej. Idiotyczny dzwonek zaczynał ją drażnić. Kiedyś chyba miał być śmieszny. Podobno przykuwał uwagę. Wyrwała telefon ze zbyt ciasnej kieszeni i natychmiast odebrała.

Nawet gdyby nie zobaczyła, kto dzwoni, po pierwszym sapnięciu nie miałyby już żadnych wątpliwości. Siwecki, oczekując na połączenie, zawsze ze zniecierpliwienia parsknął i mlaskał.

– Liza, cholera, co ty robisz? Nic nie słyszę! Halo?

Langer nieśpiesznie odstawiła czajnik i wyłączyła radio. Cisza świdrowała jej w uszach.

– Mhm? – mruknęła do słuchawki, bo żadne słowo nie przeszło jej przez gardło.

– Właśnie dostałem telefon z komendy... – Inspektor zachrypiał i zawiesił głos.

– Mhm.

– Dzwonili ze szpitala, żeby poinformować... To znaczy, znaleźli legitymację, bo sprawa była już zgłoszona. Rozumiesz?

– Niczego nie rozumiem – odezwała się wreszcie. – Jaką legitymację? O czym pan mówi?

– Z danymi kontaktowymi, a jaką, do cholery? Mówię jasno.

– Co takiego?

Langer miała ochotę się rozłączyć. Siwecki albo pił, albo od wielu godzin żył w świecie liczenia baranów.

– Ktoś go skojarzył. Chodzi o doktora...

Myśli zawirowały w jej głowie. Niespodziewany telefon, sprawa, świadkowie, zbędni świadkowie, pozbycie się świadków...

– Liptę? Co się stało?

– Żadnego tam Liptę. Remberta. Na razie gówno wiem. Dostał porządny wpierdół i zaliczył totalny blackout czy jak to się profesjonalnie nazywa... Odcięcie. Po polsku: stracił przytomność.

Langer oparła się o wysuwany blat stolika. Karuzela myśli zawirowała jeszcze szybciej.

– Jesteś tam? – Pytanie inspektora zadziało jak brutalny hamulec. – Myślałem, że będziesz chciała wiedzieć pierwsza.

– W jakim jest stanie?

– Nie wiem, zaraz jadę do szpitala. Czekam na taksówkę, bo przed chwilą wypilem pieprzonego drinka. – Siwecki zawiesił głos i głośno mlasnął. – Przecież jak ma się pierdolić, to wszystko naraz. Media nie mogą się o tym dowiedzieć. Z góry ostrzeż swoich ludzi, że ich wywalę na zbity pysk, jeśli... – Mlasnął po raz kolejny. – W każdym razie wszyscy mają szukać tego gnoja, niech wozy jeżdżą po mieście i wypatrują każdego kretyńskiego cienia. To się nie miało prawa wydarzyć!

Langer cierpliwie czekała, aż inspektor skończy przemowę. Była pewna, że wypił znacznie więcej niż jednego drinka.

– Który to szpital? – spytała wreszcie.

Wyrzuty sumienia odezwały się z podwójną siłą. Deszczowy pies jeszcze je wzmagął.

### 30.

Ślepiec rozwarł palcami powieki i zapuścił trzy krople zaleconego przez okulistę środka. Stosował go czterokrotnie w ciągu doby, każdego dnia, od ośmiu i pół roku. Produkcująca specyfik firma kilka miesięcy temu znalazła się na skraju upadłości, więc wykupił spory

zapas białych dozowników z niezbyt udanym przedstawieniem gałki ocznej na etykiecie. Starał się dowiedzieć o dalszym stanie przedsiębiorstwa, ale farmaceuci nabrali wody w usta. Zwodzili go, twierdząc, że mają dość towaru na stanie, a gdyby, nie daj Boże, okazało się, że koncern naprawdę splajtował, to gwarantowali stałą dostępność zamienników. W myślach od razu nazwał zamienniki gównianymi podróbkami i dokupił jeszcze kilka opakowań oryginału. Błagał o wybranie tych z najdłuższą datą ważności. Dzięki wrodzonej umiejętności perswazji uzyskał spokój na kolejne trzy lata.

Oko zaczęło intensywnie piec, więc puścił powieki i zamrugał. To był moment jego prywatnej ekstazy. Uczucie, jakiego heroinista doznaje po wkłuciu igły, a alkoholik po wlaniu w siebie kieliszka wódki. Obraz na chwilę stracił ostrość, jednocześnie nasycając się ostrymi barwami.

Ślepiec zamrugał raz jeszcze.

Ponowił zabieg z drugim okiem i głęboko odetchnął.

Przez dwie godziny dzielące go od pory snu jego wzrok będzie doskonały. Mimo tego sięgnął po odłożone na blat stołu okulary i nasunął je na nos. Teraz czuł się uzbrojony. Dzięki nim przestał być nagi.

Przeszedł do salonu i zerknął w stronę okien. Robił to odruchowo, napawając się rozległą panoramą. O tej porze jednak odbijało się w nich jedynie światło żyrandola. Nie

zasuwał rolet. Nigdy tego nie robił. Nie wstydził się tego, że inni mogliby go podglądać, a odcięcie się od choćby pozornej perspektywy w jego moralności równałoby się najcięższym grzechom. Nawet zabójstwu.

Położył dłoń na ramieniu ciemnowłosej lalki i pogładził jej włosy. Powoli przesunął kosmyk między palcami. Wreszcie obszedł krzesło, na którym siedziała, aby spojrzeć w jej wiecznie smutną twarz. Właśnie dlatego tak bardzo ją kochał. Sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że nie może dostrzec piękna świata. Jej oczy były nieruchome i puste. Co prawda, odbijały blask żarówek, lecz nawet te wesołe iskierki nie mogły tchnąć w nie życia.

Ślepiec tym razem przeczesał swoje włosy. Były tłuste i rzadkie. W tym na pewno ustępował nawet wypacykowanym do trumien nieboszczykom. Lecz zawsze miał świadomość, że rekompensują to jego oczy. Zdrowe, żywe i radosne. Niespotykane.

Odszedł od manekina i usiadł na starej, powycieranej kanapie, która jęknęła pod naciskiem jego szczupłego ciała. Włączył telewizor. Przez kilka minut wpatrywał się w kadry filmu przyrodniczego. Ławica ryb we wszystkich możliwych kolorach rozpraszała się i scalała, tworząc fantastyczne kształty na tle lazurowego oceanu. Wyciszył dźwięk i delektował się samym obrazem. To było coś nadzwyczajnego.

Kiedy program się skończył, sięgnął po pilot i bezmyślnie przełączał kanały. W szybkich mignięciach kolejnych stacji też było coś magicznego. Tym bardziej gdy...

Stacja lokalna. Jego palec zastygł na guziku pilota, a opuszka zaczęła palić, jakby trzymał ją nad palnikiem.

Skąd, do licha, mieli jego zdjęcie? A może to tylko doskonały portret pamięciowy, przygotowany przez stado programistów? Nie lubił zdjęć. Ani siebie, ani swojego otoczenia. Fotografowanie zabierało światło.

Poderwał się z kanapy i podgłośnił.

*Podejrzany o zabicie...*

Głos prezenterki był ciepły i przyjemny dla ucha. Tylko o czym ona mówiła? Zatrzymał się tuż przed odbiornikiem, jakby z tej odległości mógł zrozumieć więcej. Stał w rozkroku. Przypominał filmowego kowboja szykującego się do pojedynku ze swoim drugim ja, umieszczonym w magicznej skrzynce. Spodziewał się najgorszego, ale nie aż tak szybko!

*Policja prosi wszystkich mających jakiegokolwiek informacje o tym mężczyźnie o kontakt pod numerami telefonów, które wyświetlane są teraz na państwa ekranach. Wszystkim osobom zapewnia się anonimowość.*

Najgorsze nadeszło, i to już teraz. Był jeszcze sobą czy już ten drugi szczelniej wypełniał to niepozorne ciało?

Wyczytał tę obawę na twarzy pana Kostka. Zrozumiał wszystkie jego sugestie. O tym, że stacza się w otchłań

szaleństwa, że żywcem umiera, a przede wszystkim, że może być niebezpieczny. Nie tylko dla siebie. Chwile, w których tracił świadomość, pozostawały czarnymi dziurami pamięci. Drugie ja fascynowało go, ale jeszcze bardziej napawało obrzydzeniem. I strachem.

Spojrzał na swoje drobne dłonie. Nie było na nich rdzawych śladów krwi, odcisków po zębach broniącej się ofiary lub po użytym narzędziu zbrodni. Czyli jego mroczna strona działała szybko i sprawnie. Nie popełniała błędów. Jakim cudem potrafiła niepostrzeżenie zniknąć?

Zdawał sobie sprawę, że nie został jeszcze aresztowany tylko dlatego, że przed kilkoma tygodniami wyniósł się z tego cholernego domu na przedmieściach. Nie była to kwestia instynktu, ale konieczności. Niski budynek wpuszczał niewiele światła. Ślepcowi brakowało rozległego widoku. Potrzebował przestrzeni.

Umowę zawarł bez spotkania ze swoim gospodarzem. Zapłata za cztery miesiące z góry, a do tego kaucja skłoniły go do listownej wymiany dokumentów. Ta przezorność mogła być zbawienna. Wtedy po prostu czuł potrzebę anonimowości. Był Ślepcem. Imię i nazwisko, które znajdowały się w jego akcie urodzenia, nie miały znaczenia. Numer i serię dowodu osobistego zmyślił, a właściciel nigdy nie zażądał skanu. Tak wyglądało szczęście.

Wychodził tylko raz dziennie, aby przyjrzeć się spacerowiczom na alei przy plaży Brzeźno. Dochodziły do tego eskapady jego drugiego ja. Ilu ludzi go wtedy widywało? Sąsiedzi, pasażerowie autobusów, przechodnie?

Myśl o tym, że zostanie aresztowany, sparaliżowała go. Odebrano by mu wszystkie ukochane widoki, otaczałyby go te same pary oczu, nie mógłby przez całą noc siedzieć przy zapalonym świetle, a być może straciłby też swój kropelkowy narkotyk.

Nie pozwoli się złapać. Za murami więzienia runąłby cały jego świat.

Obiecał sobie, że prędzej się zabije, niż odda w ręce policji.

Musiał uciekać. Zabrać ze sobą kilka najważniejszych rzeczy i ukryć się jak najdalej stąd. Zaszyć się gdzieś, przykuć do kaloryfera i nie pozwolić drugiemu ja wtrącić się za kraty.

Wyłączył telewizor i nerwowym krokiem obszedł salon dookoła. Z potoku myśli wyłonił się klarowny obraz sytuacji. Miał jednego wroga. Terapeutę. Tylko on mógł go zdradzić i zadenuncjować policji. Ale przecież on także nie znał jego nowego adresu.

To go nieco uspokoiło. Mimo to postanowił się jak najprędzej wyprowadzić.

Szkoda mu było jedynie widoku. Z trzynastego piętra rozciągała się naprawdę wspaniała panorama. Swojego



drugiego ja najbardziej nienawidził za konieczność jej pożegnania. Ze łzami w oczach spojrział w stronę okien. Uniósł dłoń i pomachał nią własnemu odbiciu.

– Pa, pa – szepnął. – Pa, pa!

### 31.

To nie był przypadek. Nietrudno było sobie wyobrazić Remberta mrugającego zalotnie do mijanej na ulicy kobiety, ale z całą pewnością nie zrobiliby tego, gdyby towarzyszył jej osiłek w szeleszczących dresach i bejsbolówce przyklejonej do łysiny. Możliwy był również motyw rabunkowy. Jednak i ten wydał się Langer mało prawdopodobny. Orest sprawiał wrażenie człowieka, który bez słowa skargi wyzbędzie się wszystkich kosztowności, byle nie pokieroszowano mu bużki. Oczywiście, wcześniej mógł stosować swoje psychologiczne sztuczki. Tak, w jego przypadku pobicie mogło być efektem wkurwienia rabusiów zbyt wieloma pytaniami.

Komisarz miała jednak pewność, że Rembert oberwał za swój występ podczas konferencji. Deszczowy pies często ochlapował ją bryzgami samooskarżenia, ale tym razem nie była to jego sprawka. Sama wrobiła psychologa

w przedstawienie na komendzie. Ujawniła jego dane, polectała ego, podkreślając jego wielkie doświadczenie, i rzuciła na żer oprawcy. Świat psychopatów był zbyt mały, by nosić dwóch bohaterów.

W takim razie – jakim cudem przeżył?

Jeszcze kilka lat temu nikt nie wiedział, czym się zajmują profilerzy. Teraz okazywało się, że pomagają w rozwiązaniu dawno zapomnianych zbrodni, których sprawcy już zacierali ręce na myśl o rychłym przedawnieniu. Stawali się postaciami medialnymi i choć czasem traktowano ich na równi z jasnowidzami, okazywali się o wiele bardziej skuteczni. Przestępcy mieli podstawy, by obawiać się sięgnięcia do wynaturzeń swojej psychiki. To były fakty.

Jednakże czego mógł się obawiać zabójca, którego dane już znano? Tego, że określą miejsce jego pobytu albo wytypują kolejne ofiary, nim sam zdąży to zrobić? A może bał się, że poznają jego motywację? Ponoć właśnie rozszyfrowanie motywacji pomyłców obdzierało ich z poczucia niezwykłości i czyniło wstydliwie nagimi. Zdarzało się, że psychopaci, którzy przeczytali w gazecie o tym, że kieruje nimi chęć dominacji lub upokarzania ofiary, zawieszali na kołku swój zbrodniczy fach. Na przekór sobie i ku uldze całego świata udowodniali, że nic nimi nie kieruje. Stres trawił ich wypaczone umysły. Po okresie wycofania, gdy nie mogli już sterować sami sobą, ale jeszcze bardziej nie chcieli pozwolić dać się sterować

innym, ostatni raz sięgali po przemoc. Upokarzali się. Zdychali jako samobójcy, we własnych odchodach. Langer zacisnęła pięści. Robiła, co mogła, aby stało się tak i w tym przypadku.

Maszerowała szpitalnym korytarzem, starając się iść zgodnie z instrukcjami portiera. Nie zdążyła wypić herbaty, a wieczorny posiłek trawił się z oporami. Jej kiszki co chwilę wygrywały upiornego kontredansa.

Gdy po serii błędnych decyzji wreszcie odnalazła właściwy korytarz, przeszła przez właściwe drzwi i trafiła na właściwy oddział, pewnie dochodziła już północ. Z daleka dostrzegła Siweckiego. Jego łysina odbijała światło jarzeniówek, tworząc wokół głowy niemalże aureolę blasku. Lekarz, z którym rozmawiał, jakby chcąc zrobić mu na złość, co chwilę przeczesywał burzę włosów.

W głębi korytarza siedział posterunkowy, którego kojarzyła tylko z widzenia. Jego skwaszona mina zdradzała, jak bardzo fascynuje go wizja nocnego dyżuru spędzonego przed szpitalnymi drzwiami. Ożywił się jedynie na moment, odprowadzając wzrokiem cycatą pielęgniarkę.

Langer zatrzymała się w pół drogi, aby nie przerywać lekarzowi. Siwecki intensywnie mu potakiwał. Wyrwany poza mury swojego gabinetu, nie był już tak władczy i pewny siebie. Nie słyszała, o czym mówią, a wyrazy ich twarzy zdradzały jedynie zmęczenie. U inspektora widoczny był również duży wpływ wypitego drinka.

Gdyby przyjąć skalę od zera do dziesięciu, Siwecki był napruty na mocną siódmkę. Zamiast zaróżwień nadciśnieniowca na policzkach miał ciemnopurpurowe plamy. Kiedy wreszcie uścisnął dłoń lekarza i podszedł do Langer, wyprzedzała go intensywna woń perfum.

– Uznałem, że trzeba tu kogoś do pilnowania. – Machnął w stronę posterunkowego. Żuł przy tym kilka miętowych gum naraz. – Po tym, co się wydarzyło, musimy stać, kurwa, na baczność.

– Jak on się czuje? – Komisarz miała teraz gdzieś stanie na baczność. Tym bardziej że inspektor wyraźnie się zataczał. – Co mówią lekarze?

Siwecki uśmiechnął się, rozchylając wargi.

– Jest lepiej, niż wszyscy myśleli. Dostał kilka razy w łepetynę, jednak na szczęście najmocniejszy cios został zamortyzowany prawdopodobnie przez ten jego kretyński szaliczek i kołnierz. Uwierzysz, że dzięki tym cholernym kawałkom materiału został tylko ogłuszony? To jakiś cud. Czaszka jest cała. Ma pęknięty obojczyk i coś tam jeszcze, ale nie jest warzywem...

– Odzyskał przytomność?

– Jeszcze nie. Ale ponoć to kwestia czasu. Badał go lekarz neef..., cholera, ten od mózgu, wiesz...

– Neurolog.

– Niech to szlag, neurolog. Tomograf też wyszedł całkowicie czysty. Jest ryzyko, że coś tam jeszcze

pozostaje niewidoczne, ale ogólnie trzeba myśleć pozytywnie jak John Lennon. Albo ten... nieważne.

Inspektor nieoczekiwanie poklepał Langer po ramieniu. Stres i zgryzota, które trzeźwiły go przez ostatnie minuty, powoli się ulatniały. Pozostawiały pijanego, zdezorientowanego sześćdziesięcioletka samemu sobie. Gdyby Rembert nie leżał parę metrów dalej w znacznie gorszym stanie, Langer po raz pierwszy w życiu zrobiłoby się szkoda szefa.

– *Imagine all the people!* – Siwecki zanucił ponuro. – Chcesz go zobaczyć bez makijażu?

Oderwał dłoń od ramienia Lizy i ruszył w stronę drzwi, przy których siedział najbardziej smutny policjant świata. Langer, chcąc nie chcąc, powlokła się za inspektorem. Była już nieco spokojniejsza i nie miała za grosz ochoty oglądać poobijanego Remberta. Ich żalosne spojrzenia w niczym nie mogły mu pomóc. Gdyby nieprzytomni pacjenci potrafili rejestrować miny pochylonych nad ich łózkami bliskich, byłiby przekonani, że właśnie umarli.

W pierwszej chwili Langer pomyślała, że pomylili sale. Zapalona była jedynie boczna niebieska żarówka, więc w pomieszczeniu panował półmrok rozprasany wskazaniem aparatury. Spośród trójki śpiących lub nieprzytomnych pacjentów żaden nie przypominał Oresta. Wszyscy wydawali się tak samo pokiereszowani. Dopiero kiedy Siwecki podszedł do łóżka pod oknem,

w człowieku z obandażowaną głową, podłączonymi kroplówkami i gazą na przedramieniu rozpoznała Remberta.

Zatrzymała się przy inspektorze. W ciemności psycholog sprawiał wrażenie mumii okrytej po szyję całunem. Spod prześcieradła wystawała jego wygięta dłoń. Odruchowo jej dotknęła i drgnęła, gdy palce Remberta delikatnie zacisnęły się na jej przegubie. Musiał być to tylko odruch bezwarunkowy, bo wskaźniki aparatury pozostały na swoich pozycjach. A może tylko na filmach w takich chwilach przyspieszał puls?

Delikatnie przesunęła bezwładną dłoń i okryła ją pościelą. Wśród rytmicznego pikania aparatury świszczący oddech psychologa brzmiał niepokojąco ostro. Pacjent leżący po drugiej stronie sali zakaszłał.

– Nic tu po nas – szepnął inspektor. – Chodźmy. Niech odpoczywa.

Puścił metalową ramę łóżka i dał znać, aby Langer szła przed nim. Kiedy znaleźli się na korytarzu, zmierzył ją ponurym spojrzeniem. Wypluł na dłoń przeżute gumy i zrobił z nich kulkę, którą wyrzucił do stojącego obok kosza.

– Co myślisz? – zapytał, przerywając ciszę.

– Myślę, że musimy zdać się na konowałów. Oby poza terapią panującym na sali smrodem robili coś jeszcze.

Siwecki westchnął. Wyjął z kieszeni płaszcz portfel i przebrał w jednej z przegródek.

– Kawy? Widziałem tu gdzieś automat.

– Lepiej nie. Chcę jeszcze zasnąć.

Zgodnie ruszyli w głąb korytarza, rozglądając się za nocnym wodopojem.

– Oby lekarze mieli rację. – Inspektor włożył w to krótkie zdanie całą teatralność osoby pijanej. – Niech Bóg da, żeby mieli rację... Niech Orest zaraz się ocknie.

Langer nie cierpiała poalkoholowego patetyzmu.

– Jak to się w ogóle stało? – zapytała, kiedy wyszli na główny korytarz.

– Mówiłem ci, że dostał w łeb, a potem...

– Tak, wiem. Ale co za skurwiel to zrobił? Nikt nic nie widział, nikt nie zgłosił bójki?

Łudziła się, że inspektor dzięki jakiejś nieznannej jej rewelacji wykluczy powiązanie spraw wyłupywacza oczu z pobiciem Remberta. Siwecki jednak tylko przyspieszył kroku. Broniąc się przed zataczaniem, przenosił ciężar z jednej stopy na drugą. Poruszał się jak Robocop, niemal na całkowicie sztywnych nogach i z nader drętwym korpusem.

– Jacyś gówniarze spłoszyli sprawcę – mruknął. – Obstawiam, że zeszli do ciemnej bramy, żeby się odlać, i trafili na moment, gdy ktoś katował doktora...

– Zostali już przesłuchani?

– Niestety nie. Ulotnili się, jeszcze zanim przyjechał radiowóz.

– A numer telefonu?

– To mamy. Paniusia twierdzi, że zadzwoniła, kiedy widziała już całe zbiegowisko. Nic więcej nie wie. Dosłownie chwilę przed tym, jak złapał mnie lekarz, rozmawiałem z Chojeckim. Prosiłem go, żeby osobiście dopilnował sprawy... O, patrz! Jest automat.

Siwecki rozpromienił się, jakby po tułaczce po pustyni na horyzoncie zobaczył zarys oazy. Rzucił się do maszyny i usiłował wcisnąć do niej drobne. Monety dwukrotnie wypadały, a Langer musiała mu uświadomić, że wkłada je do dziurki na klucz serwisowy.

– Takie gówno robią, żadnych oznaczeń.

Nie skomentowała, że tuż obok była wielka naklejka z narysowanym bilonem. Po chwili podała inspektorowi kubek gorącej kawy. Ten od razu upił spory łyk.

– Myśli pan, że to ten gnój od oczu? – zapytała Langer.

Musiała zadać komuś to pytanie. W przeciwnym razie całą noc spędziłaby na rozpatrywaniu różnych scenariuszy. Ziarno niepokoju, raz zasiane, kiełkowało w błyskawicznym tempie, wypuszczając dziesiątki trujących liści. Jednak inspektor, wbrew pokładanej w nim nadziei, nie wyplewił z niej tego chwastu.

– Jeżeli tak, to szybko pieprzy nam statystyki – sapnął, potrząsając plastikowym kubeczkiem. – O mało nie załapaliśmy się na trzecie zabójstwo w ciągu trzech dni. Mało fartowny hat trick, no nie?



## DZIEŃ CZWARTY

### 32.

Zasnęła na jakieś półtorej godziny. W sam raz, aby zaliczyć wszystkie fazy snu. Sukces był połowiczny, biorąc pod uwagę, że ludzki organizm zaczyna się regenerować dopiero po dwóch lub trzech takich cyklach. Langer regenerację oparła na kawie i red bullu kupionym jako dodatek do papierosów. Zastanawiała się jeszcze nad batonem energetycznym, ale wolała nie ryzykować z nieznanym towarem. Poza tym sprawiał wrażenie, jakby przeleżał na kioskowej witrynie co najmniej od zeszłego lata, kiedy pobliską ulicą biegł maraton pamięci ofiar dopalaczy. Albo czegoś równie dramatycznego. Nie mogła sobie przypomnieć. Jej mózg zaczynał nawalać.

Po drodze na komendę zadzwoniła do szpitala, by zapytać, czy Rembert już się obudził. Po drobnych perturbacjach przełączono ją wreszcie na właściwy

oddział. Słodkogłosa dyżurna okazała się jednak prawdziwym bulterierem. Warowała na straży tajemnicy pacjenta z zawziętością bohaterów broniących nieodległego Westerplatte. Zasłaniała się niemożnością udzielenia jakichkolwiek informacji przez telefon, bo przecież nijak nie jest w stanie zweryfikować, czy dzwoni do niej policjant, dziennikarz, czy wreszcie drań, który zafundował temu biedakowi pobyt w szpitalu. Skapitulowała dopiero wtedy, gdy komisarz zażądała przekazania telefonu posterunkowemu krzywa-mina.

– Nad ranem odzyskał na chwilę świadomość – oznajmiła słodko, jakby dotychczasowe przekomarzenie wcale nie miało miejsca. – Ale potem znów nam odpłynął. Doktor zarządził dodatkowe konsultacje...

– Mówił coś?

– Jeszcze nie, czekamy na wyniki badań...

– Chodzi mi o doktora Remberta. Czy mówił coś, kiedy odzyskał świadomość?

– Ach, przepraszam. – Pielęgniarka się zakłopotowała. – Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Nacisnął dzwonek przywołujący personel, ale kiedy dobiegłam, z powrotem zapadł w śpiączkę.

– Może ten dzwonek nacisnął inny pacjent?

– To wykluczone. Nikt na tym oddziale nie jest w stanie robić psikusów i zabawiać się w ciuciubabkę. Wszyscy są jak kłody.

Słodkogłosa zaśmiała się ze swojego żartu. Była styrana po dyżurze, a Langer stanowiła kolejną osobę, która zawraca jej głowę. Komisarz podziękowała za jej bohaterskie poświęcenie i się rozłączyła.

Kilka minut później opadła na krzesło w swoim gabinecie. Zrezygnowała z rytualnego papierosa i natychmiast uruchomiła komputer. Musiała wziąć się do roboty jak najszybciej, dopóki miała jeszcze poranną energię.

Kiedy na ekranie wciąż pulsowała ikona Windowsa, ona rozejrzała się po biurku, nachyliła nad nim i wprawiała w ruch kołyskę Newtona. Kulki uderzyły o siebie. Ten gest wydał się jej żałośnie sentymentalny, a brzdękanie – wręcz torturujące, więc po chwili zatrzymała zabawkę.

Wpisała hasło i włączyła skrzyknę pocztową. Nim maile zdążyły spłynąć, rozległo się głośne pukanie. Zakłęła pod nosem. Po siódmej rano miała nadzieję na odrobinę spokoju, ale komenda coraz bardziej upodabniała się do najplugawszych korporacji.

– Proszę! – wrzasnęła rozdrażniona. – Wejść!

Do gabinetu wślizgnął się sierżant Wojtiuk. Jego smagła cera w porannym świetle wydawała się niemal brązowa. Langer zawsze się zastanawiała, jak wielki wpływ na jej odcień miały wizyty w solarium. Sądząc po pokaźnej kłacie i bicepsach, Wojtiuk musiał sporo nad sobą pracować.

– Po cholereę tak walisz w te drzwi? Można zapukać delikatnie. – Zastukała kłykiem o blat biurka. – O tak. A nie z siłą robotnika przybijającego gwoździe.

– Przepraszam, to przez pośpiech.

– Gdy się człowiek spieszy, to... – W porę ugryzła się w język. Walenie w drzwi nie było dobrym tematem na poranne dyskusje. – Nieważne. Co tam międlisz?

Skonsternowany Wojtiuk podszedł do biurka.

– Aspirant Walemba prosił o przekazanie pani tych dokumentów...

Wzięła plik kartek i co chwilę śliniąc opuszkę palca, szybko je przejrzała. W kilku kolumnach umieszczono cyfry oraz nazwy ulic. Wyciąg bankowy z karty kredytowej Jaromira Gawlika był dość imponujący. Większość operacji miała miejsce w dzielnicy, z której się wyniósł, tylko pojedynczych dokonano w innych częściach miasta. Ostatnia pozycja wskazywała na użycie karty przed ośmioma dniami. Nie ułatwiało to zadania. Umieszczona na końcu kartka różniła się od pozostałych. Widniał na niej skan wycinka z książki telefonicznej. Sądząc po jakości papieru, nie była to nowa pozycja. Ba, Langer nie miała pojęcia, czy takie książki w ogóle jeszcze się drukuje. Przed wielu laty wrzucano je do skrzynek pocztowych, ale odkąd Internet stał się powszechnym źródłem informacji, poczta zaniechała rozdawania podobnych prezentów. A może chodziło jedynie o cięcia budżetowe?

Przebiegła wzrokiem kolejne linijki. Wreszcie trafiła na rubrykę, którą zapewne zainteresował się Walemba.

*Ślepiec.*

*Warsztat lalkarski.*

*Tel. ...*

– Wiesz coś na ten temat? – Pomachała Wojtiukowi kartką. – Czy mam wam wszystkim czytać w myślach?

– A, tak, tak! – Policjant wyraźnie się ożywił. – Aspirant dzwonił do kogoś w urzędzie. Wie pani komisarz, do kogoś zajmującego się działalnościami gospodarczymi, rejestrami i takimi tam. To firma tego Gawlika...

– Ślepiec? Dlaczego ktoś z niedowrażliwością wzrokową i innymi filiami nazywa się ślepcem?

Gdyby Rembert nie leżał w szpitalu, właśnie podkreślałby, że niedowrażliwość wzrokowa nie jest żadną filią. Perorowałby na ten temat, nadymając się i przeczesując pociesznie swoją blond grzywkę. Walemba jedynie wygiął usta w podkówkę. Zastanawianie się nad tym nie należało do jego obowiązków, więc nie zamierzał nadwyręzać mózgowicy.

– Wiemy, czy istnieje do tej pory? – zapytała Langer.

– Tak. Firma jest zarejestrowana na adres domowy...

– Domyślam się, że tego domu, który już odwiedziliśmy?

– Niestety tak.

– A coś więcej?

– Nie ma strony internetowej, komentarzy ani żadnych śladów w sieci. Aspirant twierdzi, że spędził nad tym pół nocy. Daję słowo, że jest totalnie wkurwiony.

– Obstawiam, że lalkarze to zawód, który wymarł razem z dinozaurami. – Liza zauważyła, że w jej skrzynce odbiorczej wyświetliły się nieodebrane wiadomości. – Wtedy nie było sieci. Ten Gawlik to pieprzona skamienielina.

Wojtiuk był zbyt spięty, aby podłapać dowcip. Langer natomiast przyszło na myśl, że skamienieliny zahaczają już o PRL i sprawę Skorpiona. Zgodność czasowa mogła być, co prawda, jedynie przypadkowa, lecz...

– Aspirant Walemba stara się teraz zorientować w środowisku – wyjaśnił aspirant, cofając się do drzwi. – Ma już listę pytań.

Langer postanowiła nie wnikać. Wojtiuk nie miał najwyraźniej pojęcia, że to pytania, które sam będzie musiał zadawać. W nawiązanie przez Walembę kontaktu z obcymi ludźmi nie była w stanie uwierzyć. Jego obecność przy ostatnim przesłuchaniu stanowiła cudowne odstępstwo od normy. Liza była pewna, że trafił tam z łapanki i został zaciągnięty siłą.

Wojtiuk zatrzymał się tuż przy drzwiach.

– Pani komisarz... – Urwał w pół zdania, czekając na przyzwolenie na kontynuowanie wywodu.

– Tak?

– Dopiero wczoraj wieczorem widziałem fragment konferencji i nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale w telewizorze to się jeszcze uwydatniło, a tak jak mówię, teraz rzeczywiście to słyszę...

– Jezus Maria, dostajesz dniówkę od wypowiedzianego słowa?

Wojtiuk poczerwieniał, co przy jego smagłej cerze przypominało zielen przejrzałej oliwki, choć mogło to być jedynie złudzenie wywołane zmianą oświetlenia.

– Ma pani wprost radiowy głos – wypalił zalotnie. – Mógłbym go słuchać godzinami.

Nim Langer zyskała pewność, że dobrze go zrozumiała, wymknął się z gabinetu. Drzwi zamknął bezgłośnie.

Liza jeszcze przez chwilę się nie poruszyła, nie wiedząc tylko, czy dostała właśnie zawołany komplement, czy kpiący prztyczek. Wojtiuk szastał raczej tymi pierwszymi.

Odłożyła kartki na skraj biurka i otworzyła pierwszy mail. W raporcie sporządzonym jeszcze wczoraj wieczorem komórka śledcza chwaliła się ustaleniem tożsamości zamordowanej kobiety.

*Katarzyna Hebner. Lat trzydzieści jeden, niefigurująca w rejestrach karnych, współwłaścicielka jednej z najnowocześniejszych gdańskich siłowni. Rodzina poinformowana. Ustalono kontakty celem rozpytania.*

Hebner... Skądś kojarzyła to nazwisko. Bez wątpienia nie było popularne, a jednak kołatało się jej w podświadomości. Starła się przypomnieć sobie coś więcej, ale nadaremno. Być może było to tylko złudne wrażenie. Dała temu na razie spokój i otworzyła kolejny mail.

Laboratorium przesłało dwa załączniki. W jednym znajdowało się opracowanie dowodów z parku Brzeźnieńskiego, w drugim – analiza materiału znalezionego w posiadłości Jaromira Gawlika. Skoro wiadomość nie nosiła priorytetu „pilne”, Liza uznała, że technicy po raz kolejny nie mają się czym pochwalić. Otworzyła drugi załącznik. Liczył trzy strony, lecz można go było podsumować jednym zdaniem: „Gówna znaleźliśmy”. Oczywiście, nie w sensie dosłownym, ale śladów zbrodniczej działalności znajdowało się w nim tyle, ile życia na księżycu. Mimo wszystkich pobożnych życzeń i pokładanych nadziei. Znalezione w kuchni ślady krwi były pochodzenia zwierzęcego. Prawdopodobnie lalkarz nachlapał nią, przygotowując steki wołowe lub inne danie. Na młotku nie znaleziono żadnych śladów biologicznych, co samo w sobie było dziwne, bo nie natrafiono również na odciski palców. Nie udało się jeszcze ocenić, czy było to to samo narzędzie, którym zaatakowano ofiary.

Langer nie znalazła również żadnej wzmianki o formalinie. Żadnych kanistrów, słoików z oczami ani



innych tropów, które mogłyby budzić jakiegokolwiek podejrzenia. Albo Gawlik był perfekcjonistą, albo był niewinny. Wciąż w głowie kołatała jej myśl o naśladowcy Skorpiona lub nawet zabójcy, który powrócił do gry po latach uśpienia.

Potok myśli został przerwany przez dzwonek telefonu. Przyciągnęła go do siebie i podniosła słuchawkę.

– To ja – usłyszała głos Siweckiego, nim sama zdążyła się odezwać. – Proszę wybaczyć mój wczorajszy stan.

– O niczym nie pamiętam – zapewniła solennie. – Coś się stało?

Inspektor zaśmiał się nerwowo. Langer zastanowiła się, czy w ogóle pamięta cokolwiek z wizyty w szpitalu.

– Stało się – obwieścił już całkowicie służbowym tonem. – Rembert przed chwilą odzyskał przytomność. Chce z tobą rozmawiać.

### 33.

Od nocy Rembert przeszedł znaczną transformację. Z okrytej całunem mumii przepoczwarzył się w kapryśnego berbecia z bandażowym toczkiem na głowie. Kiedy Langer weszła na salę, żarliwie wyjaśniał pielęgniarce, że za wszelką cenę musi opuścić szpital, a ta

przypominająca rzeźnika kobieta tłumaczyła mu, że to całkowicie wykluczone.

– Uratuj mnie! – krzyknął w stronę wchodzącej komisarz. – Chcą mnie tu uwięzić.

Dwaj pozostali pacjenci okopali się na swoich pozycjach i przysłuchiwali się rozmowie. Przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Langer podeszła do łóżka i pojednawczo skinęła ręką do pielęgniarki.

– Zaraz go uspokoję – zapewniła.

– A pani z rodziny? – spytała podejrzliwie siostra.

– Z wielkiej psiej sfory. Podobnie jak ten smutny pan przed salą.

Policjant na warcie, co prawda, się zmienił, ale był równie zblazowany, co posterunkowy z nocnej zmiany.

– Doktor nakazał jak najwięcej odpoczynku. Żadnych emocji ani wspominek. Dlatego, bardzo proszę, niedługo.

– Oczywiście.

Rembert bezsilnie opadł na łóżko. Nie sprawiał wrażenia otępiałego.

– Proszę przekazać doktorowi, że za kilka godzin zwolni mu się łóżko! – krzyknął żałośnie. – Tak czy siak, bo ta pani ma broń.

Pielęgniarka bąknęła coś pod nosem, sprawdziła tabliczkę przy łóżku następnego pacjenta i skierowała się do wyjścia. Kiedy jej wielka pupa znikła za drzwiami, Langer pochyliła się nad psychologiem.

– Już cię przesłuchano? – zapytała, wyciągając stołek.

– Nie. Niby po co? Mam w głowie cholerną czarną dziurę. Nie zainteresowałaś się nawet, jak się czuję, a już bierzesz się do roboty.

– Całkiem dobrze widać, jak się czujesz.

– W takim razie dlaczego mnie tutaj trzymają? Lekko boli mnie głowa, ale to przez ten cholerny turban.

– Niczego nie pamiętasz?

– A ty tylko o jednym... – Rembert był wyraźnie pobudzony. – Podasz mi kaczkę?

– Będziesz teraz sikał?

– Nie, skąd. Chcę tylko sprawdzić szerokość otworu.

Zachowywał się dziwnie. Zastanawiające, czy była to sprawa leków, czy ciosów, które przyjęła jego głowa. Niby nic nie zostało uszkodzone, ale kto to mógł wiedzieć z całą pewnością? Ponoć są obrażenia, które umykają najnowocześniejszej aparaturze medycznej.

– Chciałeś ze mną rozmawiać. – Langer podała mu kaczkę i się odwróciła.

– Momentami boli mnie głowa.

– Właśnie to tak bardzo chciałeś mi powiedzieć? Ciesz się, że nie masz w jej miejsce łupiny z mlekiem zamiast mózgu.

– Wtedy musiałybyś się martwić organizowaniem pogrzebu.

Komisarz zdębiała. Czy właśnie w ten sposób Rembert sygnalizował, jak bardzo jest samotny? Że nie ma nikogo bliskiego? A może zdobywał się na bardziej

wysublimowane zaloty niż Wojtiuk? Każda z tych możliwości wydała się jej równie żalosna. A mimo to sama, odkąd zobaczyła go przytomnego, poczuła się tak dobrze, jak nie czuła się od wielu dni. Deszczowy pies z podkulonym ogonem został na zewnątrz.

– Cholera, nie mogę się odpryskać. Zabierz to dziadostwo.

Z powrotem odwróciła się w stronę łóżka i podniosła dłonie.

– A co to ja, służba? Podobno jesteś w świetnej formie!

Rembert, powstrzymując grymas bólu, obrócił się na bok. Kiedy się pochylił, aby opuścić kaczkę na ziemię, jego twarz gwałtownie poczerwieniała. Plastikowe naczynie wypadło mu z ręki. Langer natychmiast chwyciła go za ramię i podciągnęła.

– Co ty odwalasz?!

– Zakręciło mi się w głowie... Nic takiego.

Psycholog zaczerpnął powietrza i przyłożył dłoń do obandażowanego czoła. Całkowicie zrzędała mu mina. Nie był już tak pobudzony jak przed chwilą.

– Czegoś się dowiedziałem – odezwał się, wypuszczając jednocześnie powietrze.

– Że jesteś upartym idiotą?

– Liza, ja mówię poważnie.

– Oreście, nie wątpię. – Langer sparodiowała go, przykładając dłoń do głowy.

Odwróciła się w stronę okna, aby nie zobaczył, że do oczu napłynęły jej łzy. Nie wiedziała dlaczego. Był praktycznie obcym facetem, do którego powinna mieć całkowicie obojętny stosunek. Jedną z setek osób napotkanych na drodze życia, po wspomnieniu o których sięga się tylko przypadkiem.

Łzy nie były też winą deszczowego psa, bo zamiast przygnębienia czuła ulgę i radość. Ich nagły przyptyk stanowił dla niej całkowite zaskoczenie. Wiele razy powtarzano jej, że depresja to tylko stan organizmu, który na chwilę stracił równowagę. Teraz szala przechyliła się na drugą stronę. Zamiast apatii pojawiła się huśtawka nastrojów. Miała skończyć jak wariatka z humorami bardziej zmiennymi niż pogoda w Tatrach?

– Pamiętam, że byłem na piwie i starałem się złożyć wszystko do kupy. Dałaś mi do myślenia...

– O tym akurat mógłbyś zapomnieć – powiedziała, wciąż patrząc przez okno.

– A to nieprawda?

– Nie chciałam być niemiła, okej? Przyznaję, że przeholowałam.

– Prawda czasem nie jest miła.

– Och! Filozof się znalazł!

Upewniła się, że ma suche oczy, i odwróciła się do Remberta. Psycholog uśmiechał się sarkastycznie.

– Strasznie tu suche powietrze – stwierdził niewinnym tonem, po czym gwałtownie spowaźniał. –

Lekarz powiedział, że prawdopodobnie przypomnę sobie więcej, ale mam wrażenie, że to tylko puste gadanie.

– Może to nie kwestia rąbnienia w głowę, ale wypitych piwek? No dobra, nie rób już takich oczu. Mów...

– Pamiętam, że coś zapisywałem. Na pewno miałem...

– Rembert zerknął na szafkę nocną. – Zaraz, właśnie, gdzie jest mój notes?

Przekręcił się na bok i zabębnił dłonią po dolnej półce. Nie ryzykował pochylania głowy. Stracił rolkę papieru, ale przebierał palcami dalej.

– Leż, człowieku! – Langer podniosła się z taboretu i wysunęła metalową szufladę. – Niczego tu nie ma. W torbie leżą ubrania i nic poza tym.

– Nigdzie nie ma notesu?

– Nie ma nawet telefonu...

Rembert jęknął.

– Musiał mi gdzieś wypaść albo mi go ukradli... Ustaliliście cokolwiek?

– Nagle jesteśmy „my”? Nie, o ile mi wiadomo, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Nie ma podejrzanych, świadków, nagrań?

– Jezu, Orest, nie ja dostałam tę sprawę i naprawdę nie mam pojęcia. Ogólnie rzecz biorąc, mogłabym być informowana, ale o nic nie dopytywałam. Nie chciałam w nic wnikać. A przede wszystkim nie miałam na to cholernego czasu. Kapiszi?

Psycholog pokiwał głową. Końcówka bandaża odwinęła się i opadła mu na kark.

– To prawda, że przed drzwiami jest policjant? – zapytał, starając się poprawić opatrunek.

– Siwecki chciał cię chronić.

– Przed czym?

Dalsze unikanie odpowiedzi mijało się z celem. Rembert musiał się domyślać powodu napaści.

– Dopuszczamy możliwość, że chciał cię dopaść Ślepiec...

– Ślepiec?

Langer zdała sobie sprawę, że psycholog nie wie o rubryce w książce telefonicznej. Zdała mu krótką relację, powtarzając kilkakrotnie, że w życiu nie słyszała o żadnym innym lalkarzu i że właśnie przez to rozważa możliwość rozbudzenia morderczych instynktów sprzed wielu lat u Skorpiona albo pojawienie się jego naśladowcy. Kiedy skończyła, Rembert przygryzł wargę i utkwiał wzrok w suficie.

– Naprawdę myślicie, że chciał mnie załatwić?

– Siwecki po prostu woli dmuchać na zimne.

– A ty?

Langer westchnęła. Znała odpowiedź, była jej niemal pewna, ale wymówienie jej na głos nie było łatwe. Odwróciła się, słysząc wymowne chrząknięcie. Pielęgniarka o fizjonomii rzeźnika stała w drzwiach

i wymownie kręciła głową. Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie przychodzi jej z odsieczą.

– Zagadaliśmy się na śmierć – usprawiedliwiła się Langer. – Już uciekam.

Wstała i kumpelsko poklepała Remberta po ramieniu. Psycholog uśmiechnął się niewyraźnie. Już nie był tak skory wychodzić do domu.

– Byłaś tu w nocy? – zapytał nieoczekiwanie. – Jak przez mgłę przypomina mi się, że poprawiałaś mi kołdrę.

Langer szarpnęła suwak kurtki. Przez chwilę zachowywała się tak, jakby zapięcie zamka było czynnością wymagającą bezgranicznego skupienia.

– Przyśniło ci się – mruknęła, kierując się do wyjścia. – Nie zawracałabym sobie głowy przyjeżdżaniem do nieprzytomnego pajaca. – Kiedy przekroczyła próg, odwróciła się. – Jeśli coś sobie przypomnisz, poproś siostrę, żeby do mnie zadzwoniła.

Nie wiedziała, że jej wyciszony telefon od kilku minut bombardują nowe połączenia.

### 34.

Poradził mu, aby nigdy nie uciekał. Ucieczka przed samym sobą była najgorszym, co mógłby zrobić. Straciłby



wtedy kontrolę nad rzeczywistością. Poddałby się drugiemu ja.

Tak mówił.

A on mu bezgranicznie ufał. Strach przed przyszłością to przede wszystkim strach przed mrokiem. Emanacja pierwotnego lęku przed ciemnością nocy. Tymczasem światło noszone we własnym wnętrzu nie mogło przecież zgasnąć.

Może nigdy nie przyjdą? A może zjawią się już za chwilę?

Starannie przycinał jej włosy. Od trzymania nożyczek bolały go palce, lecz za wszelką cenę chciał dzisiaj skończyć. Już, teraz, za chwilę...

Zmęczone wytężoną pracą oczy domagały się kropli. Musiał się przyzwycząić do życia bez nich. Takie dostał zadanie i wykona je tak, jak wykonał wszystkie inne. Drugie ja uzyskiwało nad nim kontrolę.

Zamrugnął nerwowo. Opadły ostatnie niesforne strzępki rudych kędziorów. Pofarbowanych na rudo – poprawił się. Pragnął oryginału. Zamaskowanie prawdziwego odcienia było takim samym oszustwem, jak noszenie soczewek zmieniających kolor oczu. Oszustwo powodowało rozczarowanie.

Rozczarowanie wywoływało gniew.

Wyraźnie pamiętał, jak przed wieloma miesiącami dał się oszukać. Młody lekarz na szpitalnym oddziale ratunkowym wydawał się doskonały. Biały anioł pośród

pożogi chorób i wypadków. Już z daleka dostrzegł jego tęczy w intensywnym kolorze lapis-lazuli. Doktor obrzucał gardzącym spojrzeniem kłębowisko emerytów cierpiących na samotność i chcących wyrzucić z siebie żółć milczenia. Na niego zerknął jedynie raz, przelotnie.

Ślepcowi dopisało szczęście i po segregacji pacjentów ponownie mógł zanurzyć się w lapis-lazuli. Wtedy przeżył największy zawód w swoim niekrótkim już życiu. Na gałce ocznej lekarza delikatną niteczką odcinał się kontur soczewki. Ślepiec zbyt dobrze znał się na mieszanii kolorów, by nie odgadnąć prawdziwej barwy jego oczu. Banalny odcień gołębi był jak policzek wymierzony jego miłości.

Z odrazą strzepnął z kolana fałszywie rude włosy. Kolejne cięcia były szybsze i bardziej gniewne. Na podłogę opadały całe pukle. Jeżeli zechce, zrobi ją łysą. Musi mieć tylko doskonałe oczy. Nic innego się przecież nie liczyło.

### 35.

Langer sięgnęła po telefon dopiero wtedy, gdy wróciła na komendę. Spodziewała się, że Siweckiego interesowały kondycja Remberta i to, co psycholog jej powiedział. A nie

powiedział jej właściwie nic. Bardziej zastanawiające było pięć połączeń z numeru przypisanego do pokoju Walemba. Jeżeli aspirant osobiście podniósł słuchawkę, znaczyło to, że gdzieś solidnie zatrzęsała się ziemia. Aby nie marnować czasu, od razu skierowała się do jego nory. Kiedy weszła, Walemba skrzywił się na widok jej ubłoconych butów. Nawet nie zauważyła, że oba trampki pokrywała warstwa gęstej, mokrej ziemi.

– Nie mogłem się dodzwonić! – zaczął z wyrzutem. – Rozdałem wszystkim zadania, mam nadzieję, że...

– Miałam wyciszony telefon. Byłam u naszego profilera-srela.

Aspirant natychmiast zmienił ton.

– Jak on się ma?

– Zupełnie mu odwaliło, ale pewnie przeżyje. – Langer perfidnie strzepała stopy, rozrzucając wokół grudki błota. – No dobra, mów, co przyprawiło cię o taką telefoniczną sraczkę?

– Namierzyliśmy Ślepca. – Walemba dramatycznie zawiesił głos. Podjął wątek dopiero wtedy, gdy komisarz zaczęła ocierać butem o framugę. – Użył karty w aptece przy Pomorskiej. Farmaceutka wyśpiewała, że mieli problemy z kasą i przez godzinę przyjmowali tylko transakcje bezgotówkowe...

– Kiedy?

– Wczoraj, tuż po dwudziestej pierwszej. Nie mamy monitoringu, ale to z całą pewnością był Gawlik.

Zapamiętały go.

– Wiadomo, skąd przyszedł, dokąd poszedł, cokolwiek?

– Jeszcze nie. Ale w pobliżu jest kilka kamer. Jeżeli nie rozpląnął się w powietrzu, namierzemy go. Autobusy na tych trasach też są w większości monitorowane. Popatrz...

Walemba wyświetlił coś na monitorze i się przesunął. Langer podeszła do niego. Przyjrzała się wycinkowi planu miasta, obramowanego czworokątem czerwonych linii.

– Tu, tu i tu. – Aspirant przejechał bezprzewodową myszką po dłoni. – Musiał przejść przy tych punktach. Jeżeli do nich nie dotarł, ograniczymy teren do paru bloków.

Liza splotła ręce na piersi. Prawą dłoń odruchowo zacisnęła na lewym łokciu i przycisnęła nerw. Krótkotrwały ból przywracał jej ostrość myślenia. Nieświadomie od dawna zmuszała się w ten sposób do wzmożonego wysiłku. Dopiero terapeuta zwrócił jej uwagę, że regularnie serwuje sobie mikrotortury. Chciał, żeby była tego świadoma, ale nie zająknął się na temat tego, że ma tego unikać. Może właśnie w ten sposób, podświadomie dając kopa świadomości, powstrzymała się od skończenia z całym tym gównem?

– Jego cholerne zdjęcie wyświetlają w kółko we wszystkich mediach i nikt go nie rozpoznał? – warknęła, rozluźniając uścisk. – I kto tu jest, kurwa, ślepy?

Walemba rozłożył dłonie.

– Miał na sobie bluzę z kapturem i był omotany szalikiem – wyjaśnił. – Poluzował go tylko na chwilę, kiedy rozmawiał z farmaceutką. Dlatego...

Langer cmoknęła z irytacją

– Słowem, brakowało mu tylko piórka w dupie.

– Raczej kastetu i tatuażu Lechii. Jeśli, oczywiście, chciał się wtopić w tłum.

– Nie róbmy z niego degenerata. – Opuściła wreszcie ręce i założyła je za plecy. – Ale i tak image nieco odmienny od eleganckiego płaszcza z kraciatą podbitką.

– Doskonale wie, że musi się ukrywać.

– A mimo tego nie zwiął z Gdańska. Nie dziwi cię to?

– Nie wiem. – Walemba zminimalizował mapę i powrócił do nagrania. – W piątkę przeglądamy zapisy kamer. Gdy coś znajdziemy, wszystko się wyjaśni...

Langer zabębniła palcami o oparcie krzesła. Chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie odezwał się dzwonek telefonu. Aspirant z niechęcią podniósł bezprzewodową słuchawkę, o jakieś półtorej dekady nowocześniejszą niż szyfrujący antyk zamontowany w jej gabinecie.

– O wilku mowa! – krzyknął podekscytowany. – Właśnie...

Zamilkł i przez kilka sekund uważnie słuchał. Niewiele brakowało, żeby jego błona bębnekowa wypełzła i łąpczywie przylgnęła do mikrofonu. Po początkowej ekscytacji z sekundy na sekundę rzedła mu mina.

Wreszcie bez słowa wbił telefon w podłączoną do prądu bazę.

– Gównno... – wymamrotał pod nosem. – Sukinsyn zrobił sobie spacer! Kamery go złapały, jak kierował się w stronę Żabianki, a do tego szedł w takim tempie, że pewnie doszedł już do Sopotu.

– A dalszy monitoring?

– Marne szanse. – Walemba nerwowo trącił myszkę. – Mamy tam białe plamy wielkości Antarktydy. Zero kamer, zero nagrań. Przeglądanie zapisów prywatnych, o ile je wydębimy, zajmie tygodnie, a rezultat może być żaden...

– To brać śniegowce i zasuwać po tej Antarktydzie. – Langer fuknęła wściekła. Kolejny raz los ją połechtał tylko po to, by dać jej kosza. Wychodząc z pokoju, rozgniotła przysychające gródki naniesionego wcześniej błota. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Gdy zdawało się, że mają Gawlika na wyciągnięcie dłoni, ten się rozplywał. Do tego mieli go cały czas pod nosem. Pieprzony pech. Do jej duszy znowu wlał się niepokój. Pośpiesznie naprawiony zamek przyczepy można było sforsować z jeszcze większą łatwością niż wcześniej. Jej życie prywatne zostało wystawione na sprzedaż. Gawlik albo ktokolwiek inny czerpał sadystyczną satysfakcję z podjudzania deszczowego psa. Doskonale wiedział, jak to robić. Uderzył w najczulszy punkt, dotknął igłą samego

zakończenia nerwu i je rozbebeszał. Czy wiadomość z fotografii była w rzeczywistości skierowana do niej?

*Cudze oczy patrzą na was. Zawsze.*

Pomyślała o lalkach rozrzuconych na podłodze salonu Gawlika. A potem o tym, że nazwał się Ślepcem. Myśl zazębiała się o kolejną, wszystkie zataczały szerokie kręgi, aż wreszcie komisarz zdawało się, że ma jakiś pomysł...

Marzyła o papierosie. Upewniła się, że nie opróżniła jeszcze paczki, i popędziła do gabinetu. Już w połowie korytarza wyciągnęła klucze. Zsynchronizowała ruchy, aby stały się doskonale wydajne. Żadnych zbędnych kroków. Celem były papieros, przepastne zasoby Internetu i...

– Słyszałaś o odkryciu na Zaspie?

Jak spod ziemi wyrósł obok niej Chojecki. Dogonił ją i poufale złapał pod ramię. Langer obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Przyprószone kępkami siwizny włosy nadkomisarza sprawiały wrażenie, jakby nasrał na niego wielki ptak, który wcześniej nazarił się sadzy.

– Nie – odparła oschle.

– Właśnie lecę po raport. – Chojecki szczebiotał jak skowronek. – W kilku sklepach wprowadzono banknoty ze skoku na bank. Dajesz wiarę? Coś się ruszyło po pierdolonych miesiącach marazmu. Wisiało nad nami umorzenie, a tu bum! Fart!

Cieszyła się jego szczęściem. Naprawdę. Byleby tylko dał jej święty spokój i nie kopał leżącego. Miała wrażenie, że nadkomisarz podkreślał swoją euforię, bo wiedział, że sama ugrzęzła. Skok na bank obrósł już legendą. Media nazwały tak brawurową kradzież furgonetki wypchanej furą pieniędzy, która była przeznaczona do załadowania bankomatów. Jakimś cudem udało się utrzymać w tajemnicy przed nimi to, że trasę przejazdu konwoju oraz wysokość przewożonej kwoty znała tylko policja. Nawet firma ochroniarska nie była o tym poinformowana. Bank chciał mieć wszystko na tip-top, a wyszła wtopa stulecia.

Przez prawie rok nie trafiono na najmniejszy ślad ukradzonej gotówki. Spaloną, a wcześniej zdezynfekowaną furgonetkę odnaleziono dwadzieścia kilometrów od miasta, pośród odludnych bezdroży. Gdyby nie zakochana parka, która zapuściła się tam wiedziona miłosną ekstazą, pewnie trafiono by na nią znacznie później. A tak przypadkowi odkrywcy zauważyli, że obok pojazdu leżały spalone ubrania, kilka kart kredytowych i nadwęglony mundur. Mimo tytanicznych wysiłków zebrane ślady nie wystarczyły do wytypowania sprawców. Potwierdzono tylko, że tożsamość jednego z pracowników firmy ochroniarskiej była wyszana z palca.

Niech wreszcie to pchną. – Langer mruknęła, potrząsając kluczami. – Czas najwyższy.



Chojecki nie zamierzał przestać się delektować sukcesem. Wciąż trzymając ją pod ramię, zwolnił kroku.

– Stary szaleje. Może uda nam się odwrócić uwagę od twojego zwyrodnialca? Dostaniesz od mediów taryfę ulgową...

Tego było za wiele. Langer wyszarpnęła się z nieprzyjemnego uścisku i skręciła w stronę gabinetu.

– Nie potrzebuję żadnych taryf ulgowych – zachnęła się. – Możecie je sobie wsadzić w dupy i wysrać. I nie interesuje mnie twoje pieprzone śledztwo.

– Marzyłaś, żeby być w tamtym zespole...

– Ale nie byłam, okej? – Przekreśliła klucz. – Teraz mam na głowie coś innego niż wspominki, więc bądź łaskaw napawać się sukcesem gdzie indziej. Po roku może odzyskacie jakieś drobniaki.

Wparowała do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Była pewna, że Chojecki poskarży się inspektorowi. Pewnie zasugeruje, że znowu straciła nad sobą panowanie. Ostatnim razem z satysfakcją wykorzystał jej chwile słabości, aby przejąć sprawę skoku na bank. Ta gnida obawiała się, że w razie sukcesu i awansu to Langer wespnie się po służbowej drabinie i będzie wyżej niż on.

W czasie, gdy laptop się uruchamiał, Liza zdążyła wypalić papierosa. Nie znaczyło to, że procesor działał zbyt wolno. Kilka głębokich zaciągnięć obróciło tytoń w słup żaru. Zgasła go w doniczce, zagryzła garścią tic

tałów i zanurzyła się w zaśmieconym oceanie Internetu. Była gotowa na wielogodzinne poruszanie się po meliznach, lecz tym razem rzeczywistość okazała się łaskawsza.

Przedsiębiorstw zaopatrujących profesjonalnych lalkarzy nie było wiele. Już przy trzecim telefonie i po trzecim odbębnieniu formułki, kim jest i w jakiej sprawie dzwoni, w głosie rozmówczynie usłyszała zainteresowanie. Kobieta o sposobie wysławiania się przedwojennej damy dała do zrozumienia, że dostarcza towar odbiorcom w Gdańsku i okolicach. Pomoc policji najwyraźniej dawała jej możliwość pochwalenia się nie tylko własnym biznesem, lecz także prospołeczną postawą. Dla kogoś o nazwisku Zimmermann musiała to być po prostu doskonała okazja.

– Proszę zaczekać, już sprawdzam w naszych księgach – zaświergotała, jakby firma nie miała elektronicznej bazy klientów. – Chwileczkę, chwileczkę... Niech będzie pani uprzejma i powtórzy jeszcze nazwisko.

– Gawlik. Jaromir Gawlik.

– Jaromir Gawlik... Jaromir Gawlik. Tak, mam go. Zaopatruje się u nas dość regularnie.

Langer ścisnęła mocniej słuchawkę.

– Na jaki adres składa zamówienia?

– Wszystkie produkty dostarczamy pod... Chwileczkę, zaraz sprawdzę, mam to w drugiej rubryce...

– Czekam.

– Wszystkie z wyjątkiem ostatniej dostawy trafiwały do...

Langer weszła jej w słowo.

– Kiedy złożono ostatnie zamówienie?

– Cztery dni temu.

– Na inny adres niż wcześniejsze?

– Już drogiej pani mówiłam, że Jaromir Gawlik zmienił miejsce odbioru towaru. Po raz pierwszy, odkąd u nas zamawia.

Właścicielka sklepu podała nazwę ulicy i wyraziła najszczerzą nadzieję, że udało jej się w czymś pomóc. Langer nie odpowiedziała. W tej samej chwili wybierała na telefonie komórkowym numer dowódcy antyterrorystów.

### 36.

W mieszkaniu Ślepeca zapaliło się światło. Niechybny znak, że ktoś jest w środku. Jednak wrodzona przezorność nakazała Langer czekać. Zabezpieczone zostały wszystkie wyjścia z budynku oraz piwnice. Obserwowano szyby wind i klatki schodowe. Pytanie brzmiało: czy światło zapalił Gawlik.

Najlepsze policyjne lornetki lustrowały mieszkanie. Przez niezasłonięte okna wszystko było widoczne jak na dłoni. Jednak cień, który przemykał pomiędzy pomieszczeniami, nie dawał się zidentyfikować. Nie było jasne, czy i tym razem się zbyt nie pośpieszą.

Wyostrowana i obrobiona fotografia dawała dziewięćdziesięcioprocentową pewność. Langer chciała stu procent.

Po sześciu godzinach obserwacji światło zgasło. Antyterrorysta znajdujący się w wieżowcu poinformował, że obiekt wyszedł z mieszkania i przywołał windę.

Dwadzieścia sześć sekund później metalowa kabina, zawieszona na trzydziestoletnim dźwigu, ruszyła w dół. Specjalistyczny sprzęt dźwiękowy nie wykazywał żadnych odgłosów płynących z mieszkania. Pozostało puste, co mogło być zarówno dobrym, jak i złym znakiem.

Na wysokości trzeciego piętra winda wyhamowała. Nieumundurowany funkcjonariusz wszedł do środka. Skinął uprzejmie głową do współpasażera i odczekał, aż konstrukcja znowu się zatelepie. Jej huk doskonale odciągnął uwagę od dwukrotnego chrząknięcia mężczyzny.

Słyszając ten umówiony znak, grupa sześciu kolejnych antyterrorystów przybrała pełną gotowość bojową. Znajdowali się w pojeździe zaparkowanym sto trzydzieści metrów od wieżowca. Od pierwszych dwóch wejść dzieliło

ich dwadzieścia sekund biegu. Od następnego: niespełna pół minuty.

Policjant jadący w windzie umyślnie upuścił chusteczkę. Schylił się po nią. Ułamek sekundy wystarczył, aby się zorientował, że potencjalny Jaromir Gawlik najprawdopodobniej nie ma przy sobie broni palnej. Zagięcie w kieszeni kurtki było zbyt małe. Mogło co najwyżej mieścić kieszonkowy rewolwer o dziewiętnastowiecznym rodowodzie.

Problemem pozostawał szalik oplatający twarz mężczyzny. Policjant widział jego okulary, ale podobne mógł nosić właściwie każdy. Musiał improwizować.

– Nie za gorąco panu? – zapytał, siląc się na zupełnie obojętny ton. Mężczyzna jedynie bąknął coś pod nosem.

Należało rozważyć inne opcje. Dziewięćdziesiąt procent pewności to wciąż było za mało. Nie mogli spalić tej akcji i nie mogli popełnić żadnego błędu. Igranie z podejrzanym o zamordowanie dwóch osób nie było rozsądne, lecz w tym wypadku na pewno chwalebne.

Umieśniony antyterrorysta przeciwko cherlakowatemu okularnikowi. To równanie wyglądało całkiem dobrze.

– Co to w ogóle jest? – zagaił głosem osiedlowego kibola. – Niebieska chorzowska ruchawica?

Pociągnął za szalik, odsłaniając nieco twarzy nieznanego. Teraz był pewny. Gawlik zrobił krok do tyłu, ale się nie odezwał. Był o co najmniej trzydzieści

kilogramów drobniejszy i kilkanaście centymetrów niższy od świeżo nawróconego fana Lechii.

– Tu tylko biało-zieloni! – Policjant poruszył głową jak bodący nosorożec. – Lepiej stąd wypierdalaj.

Winda szarpnęła, Ślepiec wbił się w sam róg kabiny, a lechita pogardliwie splunął. Pchnął drzwi i wyszedł na korytarz. Tym razem radośnie zagwizdał.

Sto trzydzieści metrów dalej gotowość bojowa przerodziła się w alarm. Dowódca trzymał dłoń na mechanizmie rozsuwającym bok pojazdu, a siedzący obok technik po raz setny sprawdzał jakość nagrań. Przekaz z wozu obserwacyjnego nie pozostawiał wątpliwości.

Antyterrorysta w cywilu opuścił jedną z dwóch głównych klatek zaczepnym kibolskim krokiem. Kilka metrów za nim szła postać, którą zidentyfikował i której tożsamość potwierdził radosnym gwizdnięciem.

Pięć sekund później Ślepiec wyszedł na dwór, otulił się szczelniej szalikiem i poprawił kurtkę. Odczekał kilka chwil, aż jego współtowarzysz windowej podróży odejdzie, po czym skierował się w tę samą stronę. Odwrócony plecami do ulicy nie był świadomy, ile par oczu się w niego wpatruje.

Dowódca operacji jeszcze raz zerknął na podgląd okolicy. Cudownym zbiegiem okoliczności w pobliżu nie było nikogo. Kobieta w sportowym stroju, jakby podświadomie wyczuwając zagrożenie, oddalała się truchtem w stronę alejki.

– Jazda!

Sygnal był krótki i klarowny.

W ciągu kolejnej pół minuty wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Drzwi auta rozsunęły się z hukiem, grupa AT wypadła ze środka, eksplodował granat ogłuszający, okolicę spowił kłęb dymu, a jednostka obserwacyjna swoim pojazdem zablokowała jedyną drogę ucieczki. Nie popełniono żadnego błędu.

Ślepiec od razu padł na kolana. Nie walczył. W kłębie dymu spokojnie założył dłonie za głowę i przymknął oczy. Rzadko kiedy zwracał uwagę, jak doskonale kolory są pobudzane przez złączone powieki. Świat wirował. Tego nikt nie mógł mu odebrać, choćby trafił do pozbawionego okien i światła lochu. Jego prywatne sanktuarium koloru tkwiło w nim samym. Musiał tylko o tym pamiętać.

Langer obserwowała akcję z nieoznakowanego radiowozu wciśniętego pomiędzy inne auta na zamkniętym parkingu. Kiedy dostała potwierdzenie, że obiekt jest Jaromirem Gawlikiem, uderzyła zaciśniętą dłonią o deskę rozdzielczą. Ten gest poczciarki symbolicznie przypieczętował jej sukces. Jednak się nie uśmiechała. Wiedziała, że oto zaczynał się następny, równie wyboisty odcinek sprawy. Właśnie poznali kod do zamka szafy. A w niej mogło gnić wiele trupów.

Rembert czuł się fatalnie. Plany opuszczenia szpitala na własne żądanie zmieniły się w plany wykorzystania pozostałych mu dni życia. Gdyby diagnoza brzmiała, że pozostały mu dwa tygodnie lub miesiąc, to co powinien zrobić? Gdyby miał jakiegoś cholernego śmiertelnego guza mózgu, czy w ogóle można byłoby zrobić cokolwiek? Na razie lekarze nic nie mówili. Pewnie nie chcieli go straszyć, bo to również groziłoby mikroeksplozją. Nie znajdował innego uzasadnienia dla swojego samopoczucia. Światło go raziło, jakby świecono mu po oczach latarką, głowa ciążyła, a myśli plątały się bezładnie. Do tego wyniesiona ze studiów wiedza kazała szukać dziury w całym.

– Która godzina? – zapytał, gdy pielęgniarka mierzyła do niego z elektronicznego termometru.

– Minęła dziewiętnasta – odparła rzeźniczka.

Ale zaraz, zaraz... Rzeźniczki już nie powinno tu być. Nikt nie ma ponaddobowych dyżurów. W jednym świecie mrugnął oczami, a w drugim się obudził.

– Nie chcecie panowie telewizji?

Szczupła salowa, całkowicie odmienna od swojej sennej odpowiedniczki, zebrała puste talerze po posiłkach.

– Nie chcemy go budzić.



Kątem oka zobaczył, że pacjent z przepaską na oku i gazikiem przytkniętym do skroni skinął w jego stronę.

„Ale ja nie śpię!”

Chciał to powiedzieć, lecz jego usta się nie otworzyły. Nie miał nad nimi kontroli. Utknął w niemym koszmarze, sam na sam z kłębiącymi się myślami.

Czy był warzywem, które wciąż wypełniała dusza?

Bezwolnie obserwował, jak seksowna pielęgniarka poprawia na nim kołdrę. Następnie odwinęła przewód kroplówki, poprowadziła go ponad jego ramieniem i sprawdziła poziom płynu. Mógł się do woli gapić na jej nader obfity biust, odsłonięty przez opadający dekolt bluzeczki. Leżące jak kłoda ciało nie wywoływało skrępowania. Budziło politowanie. Pielęgniareczka pogładziła mu włosy, jakby był dzieckiem w kołysce. Brakowało, żeby poklepała go jeszcze po tyłku i połaskotała pod pachami.

Chciał krzyczeć.

Zamiast tego osunął się w otchłań ciemności.

\* \* \*

– Pan Rembert śpi – poinformował ją pilnujący go policjant. – Mocno.

– Nie można go obudzić?

– Wolałabym nie. Doktor zalecił bezwzględne...

– Są nowe wyniki badań?

– O tym proszę z lekarzem.

I to by było tyle. Langer rozłączyła się i skręciła do pokoju przesłuchań. Jego, doskonały, według badań FBI, wymiar ją przytłoczył. Znacznie lepiej poczułaby się na wolnym powietrzu lub w hali sportowej. Dlaczego Rosjanie prowadzili przesłuchania w pomieszczeniach wielkich jak boiska piłkarskie? Może to ich metody, a nie amerykańskie filozofie okazałyby się skuteczniejsze?

Siwecki dał jej pole do popisu. Na wieść o zatrzymaniu Ślepca niby starał się brzmieć pogodnie, niby jej gratulował, ale wydawał się przy tym niezwykle nerwowy. Langer postanowiła zlekceważyć podszepty o spisku i skupiła się na przesłuchaniu. Zaraz po tym, jak Gawlik trafił na pakę policyjnej suki, komisarz powiadomiła o wszystkim prokuratora nadzorującego śledztwo. Ten słynny lew sal sądowych był ślamazarnym cielęciem postępowania przygotowawczego. Nie miał zamiaru tracić nocy na kuksańcach słownych z zatrzymanym i jego adwokatem. Zawierzył, jak sam to określił, Langer, a nadto obiecał sprawne załatwienie wniosku o areszt tymczasowy. Bez względu na rezultat przesłuchania.

Komisarz usiadła naprzeciw Ślepca. Protokołowania podjął się Wojtiuk, który od czasu swoich zalotów dotąd skrzętnie jej unikał. Czwartą osobą w pokoju był krępy adwokat, z gatunku tych, których łatwiej przeskoczyć niż obejść. Zjawił się z wypchaną dokumentami torbą, zbiorem ustaw karnych pod pachą i wielkim tupetem.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił po tym, gdy pouczył swego klienta o wszystkim, co i tak było napisane w protokole. – Pan Gawlik będzie odpowiadał na pytania.

Musiała to być indywidualna decyzja Ślepcy, bo mecenas był z tego powodu wyraźnie niezadowolony. W ciągu kolejnego kwadransa piłeczka odbijała się wielokrotnie, a pytania, zgodnie z metodami FBI, zaciskały coraz ciaśniejszą pętlę. Rozgrywka byłaby prostsza, gdyby Ślepiec, zagadnięty o to, czy się przyznaje do zabójstwa dwóch osób, odpowiedział jakkolwiek inaczej niż, że nie ma pojęcia. To w istotny sposób komplikowało postępowanie.

Wystarczył rzut oka na mieszkanie Gawlika, żeby mieć wiele argumentów za aresztowaniem. Mężczyzna był doskonale przygotowany do życia w ukryciu. Odebranie przesyłki z materiałami perukarskimi było jednym z niewielu błędów, które popełnił. Przygotował gotówkę, pokaźny zapas jedzenia oraz zestaw do preparowania sztucznego zarostu. Ten ostatni, ponoć przez przypadek, dostarczył mu właśnie sklep lalkarski.

– Sklep lalkarski podrzucił też do pańskiego ogrodu młotek?

Ślepiec zerknął na adwokata, opuścił wzrok i przyjrzał się swoim dłoniom, jakby widział je po raz pierwszy.

– To chyba nie było pytanie? – Mecenas nastroszył się jak kogut strzegący stadka perliczek. – Grajmy czysto, pani komisarz.

Langer zignorowała tę uwagę.

– Panie Gawlik, czym pan oczyścił młotek?

– Nie pamiętam, żebym używał jakiegokolwiek młotka.

– Ale miał go pan?

Na stole wylądowały zdjęcia. Ślepiec przyjrzał się im, delikatnie wodząc palcem po papierze. Delektował się rozbłyskiem, jaki dawał efekt wysokiego połysku.

– Nigdy go nie widziałem.

– Więc ma pan jakiś inny? Młotek się pewnie przydaje do prac lalkarskich?

– Raczej nie.

– Nie? Nie miał pan nigdy młotka?

– Chyba nie.

– Nie jest pan pewny, czy zabił dwie osoby, czy zaatakował trzecią, a nawet czy kiedykolwiek miał pan młotek?

Adwokat oderwał dłonie od brzuszyska, ale w rozpoczęciu tyrady przeszkodziło mu pukanie. Zgodnie z zaleceniami kolegów zza oceanu Langer przeprosiła przesłuchiwanego i podniosła się z krzesła. Rozprostowanie nóg powinno dobrze jej zrobić.

Otworzyła drzwi na tyle, aby dostrzec dwie ponure twarze. Siwecki i Chojecki przypominali facetów w czerni niosących wiadomość o ataku Marsjan. Obecność na komendzie nadkomisarza jej nie zdziwiła, ale skoro

ponownie w przesłuchaniu przeszkadzał jej naczelnik, nie spodziewała się dobrych wieści.

– Przepraszam na chwilę – rzuciła w głąb pokoju wystudiowanym tonem.

– To zakrawa na...

Wyszła na korytarz, nim adwokat wydusił na co. Starła się być dobrej myśli. Wystarczyło, że wykona swój plan, a nikt nie będzie protestował. Chyba że Chojecki zdążył już zrobić z niej wariatkę, którą należy jak najszybciej umieścić w tym samym pokoju bez klamek co Ślepca.

Deszczowy pies otarł się o jej nogi. Otrzepał się i ziewnął.

– Musimy jeszcze raz przesłuchać Liptę, tę damulkę z góry, a przede wszystkim – kobitkę ze sklepu – wypaliła. – On będzie strugał wariata, to pewne, ale zanim zrozumie, że lepiej nabrać wody w usta...

– Liza, Liza... – Siwecki delikatnie ścisnął ją za ramiona. – Posłuchaj mnie!

Langer zaczerpnęła powietrza. Włożyła dłonie do kieszeni i popatrzyła na mężczyzn. Inspektor potarł palcem płatek nosa, ale nie spuścił wzroku.

– Nie myśl, że włożę ci w śledztwo... – Jego palec wędrował po podbródku.

Zaczynało się wspaniale.

– Ale?

– Komisarz wrócił do swojej dawnej sprawy... Skok na bank, pamiętasz?

Chojecki wyprężył się, jakby wygłaszano na jego temat laudację. Założył dłonie za plecy i z kamienną miną kiwał głową. Langer z chęcią wbiłaby szpilkę w ten balonik.

– Zdążył mi się tym pochwalić.

– Świetnie. W takim razie nie muszę powtarzać, jakie wytyczne mają nasi specjaliści.

– Nie wiem, o jakich specjalistach mowa.

Siwecki ciężko wypuścił powietrze.

– Mają zaszczepiony schemat działania. – Nie zamierzał wyjaśniać, o kim mówi. – To bardzo dobrze, bo od razu dostaliśmy od nich informację.

Langer przygryzła od środka policzek tak, że poleciała jej krew. Inspektor odchrząknął, dając znać Chojeckiemu, aby przejął od niego pałeczkę. Nadkomisarz nie zamierzał jednak przerywać dramatycznej ciszy, podczas której cała uwaga skupiła się na nim.

– Gotówka w mieszkaniu tego... Gawlika czy jak mu tam... – Siwecki skinął głową w stronę pokoju przesłuchań. – Praktycznie w całości pochodzi...

Nie musiał kończyć. Nim dotarł do sedna, Langer dopowiedziała sobie w myślach.

„Ze skoku na bank”.

Sprawa się popieprzyła.

### 38.

– I niby skąd ma pan te pieniądze?

– Znalazłem paczkę.

– Ot tak leżała na chodniku? Dziesięć kawałków?

– Tak.

– I zamiast zgłosić się z tym na policję, schował ją pan do kieszeni?

– Nie wiedziałem, co z nią zrobić...

– Doskonale pan wiedział. – Langer zaśmiała się ironicznie. – Opłacił pan nimi ostatnie zamówienie ze sklepu z materiałami lalkarskimi. To była peruka, tak? Czy gałki oczne?

Adwokat zamachał krótkimi rączkami. Jego palce przypominały pączkowe szaszłyki.

– Mój klient nic więcej nie powie – obwieścił, przecinając dłonią powietrze. – Dość tego, muszę się zapoznać z dalszym materiałem dowodowym.

Ślepiec energicznie przytaknął.

– Zgadza się, nic więcej nie powiem.

– Ma pan, oczywiście, do tego prawo.

– I z niego korzystam.

Langer wytrzymała jego ostre spojrzenie. Zrobił to po raz pierwszy, ale po jej ciele przebiegł dreszcz. Każdym

porem, każdym mieszkiem włosowym czuła, że interesują go tylko jej oczy. Nie patrzył tak, jak czasem robią to osoby skupione na rozmówcy. Przez te kilkadziesiąt, a może tylko kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, wręcz chłonał widok jej oczu. Lustrował je niczym jubiler oceniający jakość brylantów. Delikatnie poruszał głową, jakby szukał odpowiedniego kąta, najdoskonalszej perspektywy i oświetlenia.

Wreszcie, kiedy zamrugął, otrząsnęła się z odrętwienia.

– Jeszcze raz pytam: skąd ma pan te pieniądze?

Adwokat w geście protestu poderwał się z krzesła. Miał w końcu pole do popisu. Niewiele brakowało, by rozdarł na piersi koszulę i zasłonił Gawlika własnym ciałem.

– Mój klient odmówił odpowiedzi na to pytanie.

– Tak? – Teatralne zdziwienie na twarzy Langer zasługiwało na Złotą Malinę. – A ja słyszałam coś o tym, że znalazł je na chodniku.

– To była ironia.

– Ironia? Panie mecenasie, naprawdę mamy zaprotokołować, że to była ironia?

Adwokat wymienił spojrzenia z Gawlikiem, ale na podjęcie decyzji potrzebował więcej czasu. Langer podniosła się i skierowała do wyjścia.

– Panowie, ustalcie wspólne stanowisko – powiedziała zjadliwie. – A potem, gdy się znowu spotkamy, lepiej



zagrajmy w otwarte karty. Prokurator nie będzie już tak ironiczny.

Właściwie nie interesowało jej ich stanowisko. Sama również potrzebowała czasu na zebranie myśli. Cały sztab ludzi pracował nad tym, aby odpowiedzieć na pytanie, które zadała Ślepcowi. Weryfikowano numery banknotów, sprawdzano, czy nie trafiły wcześniej do obiegu, a przede wszystkim – jeszcze raz przekopywano posiadłość Gawlika. Dla szukających młotka paczka wypchana forszą mogła wydać się nieciekawa. Gdy tylko wsiadła do auta, ponownie zadzwoniła do szpitala. Zanim zdołała się czegokolwiek dowiedzieć, wypaliła trzy papierosy. Kłęb dymu był tak gęsty, jakby nad miasto opadła londyńska mgła. Albo krakowski smog.

Opuściła szybę o kilka centymetrów. Rembert nadal odpoczywał albo był poddawany kolejnym badaniom, a brak informacji o jego upierdliwości i planach powrotu do domu ją zaniepokoił. Rozważała wizytę w szpitalu, lecz uznała ją za bezsensowną. Nie mogła mu pomóc. Stojąc nad łóżkiem i mocząc bukiet kwiatów w plastikowym kubeczku, odegrałaby farsę.

Po takim dniu zasługiwała na butelkę wina i porządną kolację. Myśl o jedzeniu wzmogła uśpiony głód. Przebił się przez niechęć zatrzymywania się gdziekolwiek. Skoro żyła jak ascetka, mogła sobie pozwolić na udogodnienia i zrobić zakupy na stacji benzynowej. Trzy paczki fajek, sikaczowate wino, które

wszędzie indziej kupiłaby za połowę ceny, a do tego zestaw ociekających tłuszczem burgerów z frytkami. Pachniały na tyle intensywnie, że większość zjadła jeszcze po drodze. Wychodząc z samochodu, strząsnęła z siebie okruchy, modląc się, aby kurtka nie była poplamiona. Po skorzystaniu z kempingowej pralni wyjęłaby pewnie kupkę materiału i zbrylonego w rękawach puchu.

Rzuciła się na łóżko i otworzyła scyzorykiem wino. Czując jego cierpki aromat, pożałowała, że na stacji nie dostała calvadosa. Wstrzymała oddech, po czym napiła się prosto z butelki, obserwując miotaną przeciągiem roletę. Po kilku porządnym łykach przyszło rozluźnienie. Nie było jednak constans względem pochłoniętych procentów, a wkrótce zaczęło się ulatniać. Po kolejnych pociągnięciach nie został po nim nawet ślad. Zamiast niego do przyczepy wkradł się deszczowy pies. Zakpił z jej samotności, opróżnionej w dwóch trzecich butelki, a przede wszystkim – żałosnego odbicia, które dostrzegła na ekranie wygaszonego telefonu. Nie wiedziała, do kogo miałaby zadzwonić. Trzymała telefon i gapiała się na swoją bardziej już starą niż młodą twarz, na jej odbicie wygięte w matowym szkle.

Poczuła nieprzyjemne łaskotanie na prawym policzku. Nagle obraz na telefonie zadrżał, zaszedł mgłą, a na ustach znalazł się słony smak. Płakała, choć nie czuła właściwie niczego. Ani smutku, ani złości, ani rozpacz.

Płakała, bo tak kazał jej deszczowy pies, który otrząsał się tuż obok.

Zeszła z łóżka i wyciągnęła tekturowy karton. Obróciła w dłoni pusty album. Łzy zaczęły cieć jeszcze obficie.

Michał. Mieli te zdjęcia oglądać razem jako para zgrzybiałych staruszków. Wspomnienia, o których wymazanie jeszcze niedawno błagałaby każdego znachora.

Została jej tylko jedna rzecz, która nie trafiła do pudła zapomnienia.

Podniosła się z podłogi i rozsunęła drzwi wąskiej szafki. Mechanizm suwny doskonale sprawdzał się na ograniczonej przestrzeni, ale coraz częściej się zacinał. Na ostatnich centymetrach prowadnica jęknęła żałośnie. Langer nie zwróciła na to uwagi. Odgarnęła kilka ubrań, strąciła zapomniany flakonik perfum, wreszcie wyciągnęła to, czego szukała. Ich wspólny notesik adresowy.

Niewielki zeszyt wypełniały kontakty do znajomych, a pomiędzy stronami były poupychane wizytówki, ulotki i broszurki. Gdy zaczęli razem pomieszkiwać, uznali, że taka forma przechowywania potrzebnych numerów jest bezpieczniejsza od kart SIM czy pamięci telefonów. Poza tym stało się to ich niewinną obsesją. Zamiast magnesików przyklejanych do lodówki kolekcjonowali rozmaite wizytówki. Na wszelki wypadek. Mieli

znajomego detektywa, agentów ubezpieczeniowych, adwokatów, ale też behawiorystę zwierzęcego, aktuarusza, a nawet iluzjonistę. Na liście z całą pewnością nie było jednak żadnego lalkarza.

Po śmierci Michała wszystkie kontakty stały się równie zbędne, jak dotyczące ich wspomnienia. Liza dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ich znajomości kończyły się na otrzymanych wizytówkach. Unikali spotkań z ludźmi, niechętnie wychodzili na imprezy. Cieszyli się własną radosną enklawą. Numery telefonów tworzyły iluzję przynależności do świata. Gdyby nie praca Langer i przyjemność ze wspólnych spacerów, wkrótce zabarykadowaliby się w czterech ścianach. Pod tym względem dopasowali się jak dwie połówki jabłka. Michał, spec od programowania, godzinami wegetował przed laptopem, ale zajmował się również domem. Internetowe zakupy, internetowe porady, wreszcie internetowe przepisy, wykonane w zamówionym przez internet robocie kuchennym. Wszystko układało się tak pięknie...

Liza bezmyślnie przewracała strony notesu. Zamiast białych karteczek przed jej oczami przewijały się niewyraźne, ledwie poznane twarze. Część z nich całkowicie zakrył całun niepamięci. Nagle przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Nie mogła uchwycić jego przyczyny. Przez chwilę zastanowiła się, czy nie dobiegł

jej jakiś odgłos z zewnątrz, ale nie to było źródłem niepokoju. Chodziło o coś zupełnie innego.

Jeszcze raz przyjrzała się ostatnio przeglądanej stronie notesu. Kilka nabazgranych kontaktów, numery telefonów, wizytówka hydraulika... Nabazgrane hieroglificznym pismem Michała nazwisko początkowo nie zwróciło jej uwagi. Dopiero przy próbie jego rozczytania Langer zrozumiała, że podświadomość była pierwsza. Rozszyfrowała te kilka znaków i dała sygnał alarmowy.

– Szlag by to...

Zacisnęła dłoń na notesie i zamrugła. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

### 39.

Ślepiec szedł między dwoma policjantami. Skuto mu dłonie, był przygarbiony i chwiał się, jakby zaraz miał upaść. Zaczepiał podszwami o nierówności posadzki, przystawał, co chwila uginały się pod nim nogi. Prowadzący go funkcjonariusze zaczynali się denerwować. Po przesłuchaniu mieli jak najszybciej odtransportować go do aresztu, wypełnić papierki i skończyć służbę. Każde cholerne potknięcie Gawlika

opóźniało moment, w którym dopadną do żon. Każde jego spowolnienie kroku odsuwało chwilę, gdy wbiją nóż w wyczekiwaną od rana sztukę mięsa podaną na obiad.

– Nie zrobiłem tego – mruknął Ślepiec ni to do świata, ni to do siebie.

Policjant po prawej pociągnął go za łokieć. Robiło się naprawdę późno.

– Opowiesz o swojej niewinności sądowi.

– I bez tego już mnie skazano. Widzę wasze spojrzenia. Widziałem spojrzenia wszystkich wokół, a umiem z nich wyczytać znacznie więcej niż inni.

– Więc się po prostu zamknij.

– Jestem lalkarzem. – Gawlik pociągnął nosem. – Nie zrobiłem nikomu krzywdy. To mógł zrobić ten drugi ja, chociaż...

– Mogłeś dmuchać te lalki, gównu mnie to obchodzi. A ciebie, Dejna?

Drugi policjant tylko się uśmiechnął. Skręcili ku szybom wind i minęli klatkę schodową. Ślepiec nagle się rozpogodził.

Kolory. Odbite od szyby światło latarni mieniło się na ścianie. Przypomniawszy sobie, jak niegdyś całymi godzinami, obracając płytę CD, kreślił w mieszkaniu własną tęczę. Był to jeden z najpiękniejszych widoków. Gama barw na zawołanie.

Zamknął na chwilę oczy. W słabo oświetlonym korytarzu przez powieki przebijał pulsujący róż. Żółte

puncyki były obramowane przez zielone mroczki. Pomyślał o jaskrawym tunelu widzianym przez ludzi doświadczających śmierci klinicznej. Większość z nich tęskniła za tym widokiem. Musiał być piękny. I nieważne, że naukowcy pozbawili go mistycyzmu bramy do drugiego wymiaru. Powodował go odpływ krwi i tlenu z gałki ocznej, został wywołany w warunkach laboratoryjnych.

Dlaczego on nie miałby go zobaczyć już teraz? Tyle razy słyszał o tym najpiękniejszym z widoków. Drugie ja co chwilę powtarzało, że przecież to tylko jego decyzja.

Nie wiedział, którym ja jest w tej chwili. Może zawsze był nimi oboma?

Otworzył oczy i zamrugął. Odzyskał na chwilę energię, a mięśnie jego nóg naprężyły się, dając sygnał, że to właściwy moment. Być może ostatnia szansa. Policjant po jego lewej wyciągnął dłoń, aby nacisnąć guzik przywołujący windę.

Ślepiec rzucił się pędem w głąb korytarza. Brakowało tak niewiele... Krzyki i tupot kroków zostały zagłuszone przez dudnienie pulsującej krwi. Miał wrażenie, że jej strumień zaraz wytryśnie mu z uszu.

Skute ręce nie przeszkadzały w pokonaniu kolejnych metrów. Złożył się do skoku i szeroko otworzył oczy. Strach nie mógł odebrać mu tego widoku.

Szyba rozpadła się na setki cząsteczek. Czuł, że szkło harata mu dłonie i wbija się w twarz. Ostry kawałek

naderwał ucho, a inny wbił się głęboko w udo. Szklane drobinki połaskotały powieki, lecz nie pozwolił im opaść.

Adrenalina całkowicie przyćmiła ból.

Ucieszyło go światło rozbłyskujące wśród opadających opiłków. Ostatnie spojrzenie na świat nie wydawało się ponure. Spadał, ciesząc się widokiem, który nie był dany nikomu innemu. Naprawdę fascynowało go to, co się stanie za ułamek sekundy. Z łoskotem uderzył o bruk.

Nigdy nie dostrzegł tunelu światła.



## DZIEŃ PIĄTY

40.

Tej nocy Langer nie przespała nawet minuty. Przytępiony alkoholem umysł w jednej chwili odzyskał bolesną sprawność. Przez kilka godzin szukała w notatniku i odmętach pamięci wspomnienia o Katarzynie Hebner. Rezultat był rozpaczliwie zerowy. Równie dobrze mogłaby starać się przypomnieć sobie chwilę urodzenia.

A jednak dane Hebner figurowały w jej notesie.

Wiadomość, że Ślepiec wyskoczył przez okno, wprawiła ją w nerwowe pobudzenie. Na zmianę siadała na łóżku, obchodziła wewnątrz przyczepy i paliła przy oknie papierosa.

„Mogli mu pomóc, mogli mu pomóc, mogli mu pomóc”  
– powtórzyła kilka razy w myślach.

Kto i po co?

Rozłożyła szeroko ręce i bezładnie je opuściła. Dłonie plasnęły o uda.

Za dużo wypadków i przypadków. Czy Ślepiec naprawdę był mordercą? A jeśli tak, to czy dobierał ofiary według jakiegoś klucza, czy całkowicie przypadkowo?

*Cudze oczy patrzą na was.*

Kiedy tylko zjawiała się na komisariacie, Róża Burza obwieściła, że inspektor czeka na nią w gabinecie. Od samego rana w robocie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że media w ciągu nocy podsyciły płomień afery. Informacje, których wysłuchiwała w aucie, można było już z powodzeniem nazwać pożarem. A po zlekceważonych pożarach pozostają tylko zgliszcza.

Niedopilnowane procedury. Kolejny zgon na komendzie. Uchybienia. Uchybienia. I jeszcze raz uchybienia. A za uchybieniami, jak zwykle, pojawiły się też niejasności.

Polecą głowy. – Siwecki powiedział to z całkowitą pewnością, jakby stwierdzał, że wkrótce przyjdzie wiosna. Ledwie komisarz wściubiła nos do jego gabinetu, a już ją owiała jego żalobna atmosfera.

– Pretekst jest – skwitowała równie stanowczo. – Ci durnie podręcznikowo dali dupy. Podstawili się, jakby im ktoś za to zapłacił.

– Kto by się spodziewał?

– To chyba nie jest najlepsze wytłumaczenie.

– Tak... Masz rację.

Siwecki podrapał się po łysinie.

– W sumie może wyjdzie nam to na dobre – mruknął.

– Sama wiesz.

Langer jednak nie wiedziała. Obserwowała go bez słowa, więc inspektor kontynuował.

– Rozmawiałem z prokuraturą. Chcą powodów do umorzenia. Nie ma potrzeby rozczulać się nad szczegółami, tylko zebrać, co trzeba, i wpieprzyć trupa do szafy.

Inspektor najwyraźniej chciał umyć ręce od tej sprawy.

– A jeżeli nie będzie takich powodów? – zapytała butnie. – Wtedy zażądają umorzenia czy dalszego grzebania?

– Nie zaczynaj...

– Słucham?

Siwecki rąbnął otwartą dłonią w biurko. Porcelanowa filiżanka, stojąca za laptopem, zadźwięczała o spodeczek.

– Od początku coś insynuujesz! – wrzasnął, ściągając brwi. – Chojecki broni cię, mówi, że jesteś przepracowana, że czujesz presję, pieprzoną odpowiedzialność... Wal wprost. O co ci chodzi? Naprawdę uważasz, że chcę wszystko zamieść pod dywan?

Langer przestąpiła z nogi na nogę. Właściwie była zbyt kołowana, by się przy czymkolwiek upierać. Tego

ranka nie miała specjalnej ochoty walczyć o przegraną sprawę. A mimo to nie zdołała ugryźć się w język.

– Śledztwo jest za bardzo popieprzone, by w ogóle myśleć o wrzuceniu trupa do szafy.

– To tylko uproszczenie... Nie łap mnie za słówka.

– Bo to naprawdę wygląda jak kiczowaty pejzażyk. Sarenka, lasek, pole, wszystko razem namalowane sztuczniej niż...

Zacięła się, dysząc i szukając porównania. Nieprzespana noc wbiła się bolcem w tryby jej mózgu. Inspektor przetarł twarz. Również wyglądał na zmęczonego, a oczy miał ledwie otwarte. Jak oczy czuwającego psa.

– A bez metafor? – zapytał spokojniejszym tonem. – Nie wiem, czy nadażam.

Langer tym razem wypaliła zupełnie bez zastanowienia.

– Mamy psychopatę, trupy, kasę z napadu. Brakuje tylko zeznań konwojenta, że tak naprawdę to dał się obrobić na wnuczka...

– Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś fałszuje dowody? Że zrobiliśmy ci cholerny Truman Show?

– Chojecki powiedział mi o postępie w sprawie skoku na bank...

– I co z tego?

No właśnie. Sama nie mogła zrozumieć, co wzbudzało jej wątpliwości. Ton, jakim mówił? Moment, w którym

odnalazł ją na korytarzu? Nie odpowiedziała, więc Siwecki zrobił to za nią.

– Nic. Szukasz spisku, którego nie ma. Przy dużych sprawach łatwo o nadinterpretację, sami staramy się...

Langer weszła mu w słowo.

– Ukryta w mieszkaniu gotówka to nie nadinterpretacja.

Siwecki przeciągnął się, odwracając jednocześnie od niej wzrok.

– A właśnie – odezwał się, jakby przed chwilą coś sobie przypomniał. – Gotówka. To też jest pewien problem.

– Bez wątpienia.

– Ale nie kwestia żadnych pieprzonych teorii spiskowych. Po prostu czysta logistyka.

– Logistyka? Mamy dziś dzień rozmawiania szyframi czy co?

– Przez tę forszę... Zastanawiam się, czy nie powinniśmy połączyć sprawy zabójstw i skoku na bank.

– Co takiego? – Myśli Langer błyskawicznie wskakiwały na nowe tory. – Przecież to odrębne komórki, zanim zapoznałabym się z materiałem rabunku, zanim...

Wtedy dostrzegła drgnięcie kącików ust Siweckiego. Fala gorąca spłynęła jej po przelyku.

– O nie, nie! – Pokręciła szybko głową. – Niech mi pan tego nie mówi! Chyba nie przekaże pan sprawy Chojeckiemu, przecież to...

Inspektor był wyraźnie rozdrażniony. Przez lata udzielał jej niemal ojcowskiego wsparcia, a teraz bez żadnego powodu traktował ją jak zbędnego członka stada. Opędzał się od niej niczym od natrętnej muchy, która zwyczajnie działa na nerwy. Może ktoś kazał mu sprawiać takie wrażenie? A może robił to dla jej dobra?

Przysunął się do biurka tak blisko, że jego brzuch dotykał skraju blatu. Siwiecki był nieogolony, przez co wyglądał na znacznie starszego i surowszego niż zwykle. Czerwień policzków pozostawała w górnych granicach normy. Płatki nosa nie zostały rozchylone przez gniew. Mógł odgrywać wyreżyserowaną scenkę, w której obsadzono go w roli złego gliniarza.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wiesz, na kogo spadnie całe to gówno? – Wymierzył w nią palec. – Na ciebie. Nieważne, że to nie ty konwojowałeś tego gnoja. Nieważne, że właściwie dzięki tobie dorwaliśmy go tak szybko. Istotne będzie tylko jedno. To, że nie wydusiłaś z niego żadnych konkretów na pierdolonym przesłuchaniu. A to, niestety, prowadzi do porażająco smutnej konkluzji, że ten kutas wykitował jako człowiek niewinny. Rozumiesz? Ludzi mało obchodzi, że dopiero będzie sądzony przez najwyższą instancję. Dagmara ma wygłosić dziś tylko krótki komunikat, ale to będzie zwykła gra na czas.

– Przecież skoro nie mamy dowodów...

– Ty nie masz dowodów. Nie ma w tej sprawie żadnych nas. Ja chcę mieć trupa upchniętego do szafy pancерnej. I obawiam się, że Chojecki, siedząc w skoku na bank, może to zrobić lepiej niż ty.

Langer zadrżała. Miała ochotę wybiec z gabinetu i zdemolować komendę. Zacisnęła pięści i wbiła paznokcie w dłonie, ale po chwili je rozluźniła. Nie chciała dać niczego po sobie poznać. Nie teraz. Niech myślą, że ma tę sprawę w takim samym poważaniu, jak problemy albinosów w Afryce. Niech jej obojętność ich wścieka.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – ciągnął Siwecki. – Mam nadzieję, że zanim podejmę decyzję, zdołasz mnie czymś zaskoczyć. Rozumiesz, w czym rzecz?

– Chyba chciałabym to usłyszeć wprost.

Inspektor strzepnął z biurka niewidzialny paproch.

– Po całej aferze niech pozostanie tylko stłuczona szyba. Dwa cholerne cyklopy w kostnicy to aż nadto.

Langer przygryzła policzek. Z niezagojonej rany natychmiast pociekła krew. Nadal żadna myśl nie została wyrażona wprost, a półsłówka kreowały niezrozumiałą wizję, jakby Liza słuchała wykładu z różniczkowania. Wiedziała, że coś się dzieje, lecz najwyraźniej nie wyłapywała subtelności. Zadawanie pytań nie miało sensu. Być może inspektor, sygnalizując połączenie spraw, mobilizował ją tylko do intensywniejszej pracy? Chciała, żeby tak było. Tyle że w jego słowach był

wyraźny podtekst, a ona robiła wszystko, aby go nie usłyszeć.

– Coś jeszcze?

Pytanie Siweckiego przywołało ją do rzeczywistości. Od kilku sekund stała jak słup soli, skubiąc zębami policzki.

– Aż nadto – powtórzyła jego słowa i ruszyła do drzwi.

– Aż, kurwa, nadto.

Kiedy już miała wyjść na korytarz, inspektor głośno odchrząknął.

– Swoją drogą, wiesz, co u doktora Remberta?

## 41.

Przed rokiem Chojecki zrobił wszystko, żeby trzymać ją z dala od śledztwa dotyczącego skoku na bank. Zazwyczaj leniwy, odsuwający od siebie większe sprawy, nagle zmienił się w uosobienie psa gończego. Albo raczej wściekłego berneńczyka, obawiającego się, że ktoś obcy dobierze się do jego zmarzniętej trzódki. Formalnie był jej przełożonym. To zamykało sprawę. W tamtym okresie piekielnie potrzebowała czegoś, co wyrwałoby ją z łóżka i łapsk deszczowego psa, który trzymał ją mocno za gardło i co rusz wbijał głębiej kły. Wiedzieli o tym i on,



i Siwecki, a jednak zarzucili ją nic nieznaczącymi odpryskami. Wówczas potraktowała to jako taryfę ulgową, ale teraz jej wątpliwości narastały. To równie dobrze mogła być zasłona dymna, przysłaniająca właściwe postrzeżenie sprawy: chodziło o to, by trzymać ją na dystans, w ponurym świecie cierpienia i żałoby.

Stała w progu pokoju Walemby i starała się zebrać myśli. Papieros, kawa, sen...

– Gramy w króla ciszy? – zagadnął wreszcie aspirant.  
– Czy w chowanego?

Nie miała ochoty silić się na żartobliwy ton.

– Jeszcze raz sprawdź swoje źródła – odezwała się, przykładając dłonie do skroni. – Dowiedz się wszystkiego o tej Hebner... Komentarze na Facebooku, konto na Instagramie, wszystkie kurwiportale. Chcę najdrobniejszych szczegółów. Z kim spała, czy wolała leżeć pod misjonarzem, czy może była dziką kowbojką.

– Takie rzeczy to raczej na portalach randkowych. Na Facebooku może być trudno, żeby...

Spojrzała na niego z ukosa.

– Dobra, dobra. – Aspirant odwrócił się w stronę monitora. – Wiem, o co chodzi. Właściwie już to zrobiłem.  
– Uśmiechnął się dumnie.

– I?

Papieros, kawa, sen mogły zaczekać. Zamknęła drzwi i usiadła na krześle przy ścianie. Jego oparcie było obluzowane, ale na szczęście nie odpadło. Chociaż tyle.

– Niewiele. – Walemba poruszył myszką, rozświetlając ekran. – Nie należała do osób, które robią sobie zdjęcie z gazetą na kiblu albo wypisują, że zjadły właśnie kanapkę z salcesonem i musztardą, co oznaczają hasztagiem...

– Mów do rzeczy i po polsku. – Langer ucięła rozkręcający się wywód komputerowca. – Niewiele to więcej niż nic, zgadza się?

– Tak. Tylko sam nie wiem... Może sugeruję się całym tym szumem wokół innych spraw.

– Jezus Maria, człowieku, wyduś to z siebie! Przyjm mocno i wydal tego bękarta świata.

Walemba zakręcił się na fotelu.

– No dobra, powiem tak: zastanawiające jest tylko jedno.

– Mam dokończyć za ciebie?

– Ta kobieta pracowała jako makijażystka.

– I to jest takie niezwykle? Baba makijażystka?

Papieros, kawa, sen znowu zaczęły się domagać uwagi.

– Tak. – Aspirant zatrzymał się. – Bo nie dostała ani spadku, ani wielkiej darowizny, ani nawet nie miała specjalnej zdolności kredytowej. A nagle wywaliła wielkie centrum sportu.

– Podobno była w nim tylko współnikiem, mogła wnieść coś innego. Zdaje się, że nawet pracę własną można zamienić na udziały.

– Sprawdziłem to. Połowa środków pochodziła z jej prywatnych funduszy. Zgromadzonych krótko po tym, jak doszło do skoku na bank.

\* \* \*

W tym samym czasie, dwa pokoje i łazienkę dalej, sierżant Wojtiuk przeglądał nagranie z oględzin mieszkania Ślepca. Żałował, że nie było go na miejscu. Tym bardziej że w chwili, gdy technicy ganiali z pędzelkami, zjawily się media. Już przy okazji konferencji przyuważył kruchą dziennikareczkę o włosach rudych jak wiewiórka na wiosnę. Z przyjemnością zamieniłby role i sam przeprowadził z nią wywiad, ale wymknęła się z sali konferencyjnej, nim zdążył ją przyszpilić. Zaaresztować, jak to nazywał. Zaaresztowanie polegało na zagadaniu, wymianie uśmiechów i zasugerowaniu pomocy w dostępie do materiałów ze śledztwa. Poleciało na to już kilka reporterek, a on wepchnął im w zamian bezwartościowe bzdury. Aż dziw, że w środowisku nie ciągnęła się za nim fama podstępного sukinsyna. Chociaż przecież zazwyczaj dawał też coś od siebie.

Myśląc o rudej, gapił się w monitor. Walemba kazał mu wypatrywać czegoś nietypowego, lecz niczego takiego nie widział. Mieszkanie przypominało lokum studenckie, w którym oszczędzano na wszystkich sprzętach. Tandetne szafki, kiczowaty stół, łazienka w stylu

nouveau-peereł, z kibelem grożącym eksplozją w razie poważniejszej sprawy.

Do tego te przerażające lalki. Ślepiec musiał je pozapakowywać w wielkie walizki albo urządził halloweenową paradę przez całe miasto. Ciekawe, czy ciągnąc za jakieś sznurki, mógł sterować swoją pokreconą rodziną? Ciach – linka w górę, manekin salutuje, a on jak brzuchomówca skrzeczy: „Dzień dobry, pani Nowak, proszę powiedzieć, że jestem ładna! Mam w sobie jeszcze więcej plastiku niż Pamela!”.

Lalki na chwilę wyparły wspomnienie o rudej. Chociaż nadal wszystko kręciło się wokół włosów. Uwagę Wojtiuka przykuł manekin ułożony na kanapie. Miał kobiece rysy twarzy, ale doskonale łąsą, błyszczącą czaszkę. Wątpił, aby Ślepiec, jakimkolwiek szaleńcem by był, wymarzył sobie rodzinę lalek z siostrzyczką po chemioterapii. Kamera poruszyła się i wtedy dostrzegł leżącą na podłodze perukę. Rudą, rozwichrzoną i naddartą. Włosy miały podobny odcień do włosów jego dziennikareczki. Uczucie rozczarowania z powodu niepochwycenia zwierzyny powróciło.

Na ekranie pojawiła się kuchnia. Skromna, z metalową lodówką, drewnianymi szafkami i żyrandolem przypominającym kwiat słonecznika. Na pierwszej lepszej studenckiej imprezie takie gówny zostałyby zerwane, a żarówki wyjedzone jak ziarenka.

Leżący na biurku telefon zawibrował. Wojtiuk skrzywił się na widok zdjęcia przypisanego do kontaktu. Przez moment się wahał, wreszcie, dzielnie podejmując wyzwanie, odebrał.

– Słucham?

– Cześć, słońce, może spotkamy się dziś wieczorem?

Piskliwy głos przyprawił go o mdłości.

– Moja złociutka! – Jego radość była bardziej sztuczna niż lalki Ślepcy. – Bóg mi świadkiem, że dzisiaj nie mogę... Jakkolwiek bardzo bym chciał, to nie dam rady.

– Zawalony robotą?

– Przy tym, co mnie czeka, ten koleś, który wtaczał wiecznie głąz na górę, miał lajtowo.

– Syzyf, słońce.

Zaraz się porzyga. Jeszcze kilka „słońc” i wyrzuci z siebie kolorową tęczę.

– Właśnie, Syzyf.

– Jak ja ci współczuję! Może chociaż chwilka, na rozluźnienie?

– Nie mów tak, bo zaraz napiszę wypowiedzenie! Poza tym...

Zamilkł, kiedy kamera ukazała blat kuchenny. Zastopował nagranie. Dobrze znał leżący na stercie środków specyfik. Sam go zażywał, kiedy kilka lat temu startował w zawodach kulturystycznych. Reklamowany hasłem Dream big, grow big środek wpływał na przyrost masy mięśniowej, ale został wycofany, bo w tempie

proporcjonalnym do wzrostu bicepsów miał zmniejszać komórki mózgowe. Albo coś w tym stylu. W każdym razie kilku osobom, które go brały, ponoć równo odważyło.

Cokolwiek by mówić, Gawlik nie przypominał osoby wyciskającej siódme poty na siłowni.

– Halo? Słońce, jesteś tam?

– Muszę kończyć! Przepraszam.

– Ale...

Wojtiuk rozłączył się i zmrużył oczy. Dzięki ostatnim środkom z ministerstwa nagranie było w jakości HD. Obok sterydu stało jeszcze jedno opakowanie.

Hexapaz...

Dalsze litery były niewidoczne. Zminimalizował okienko programu i uruchomił przeglądarkę. Bez problemu trafił na stronę zawierającą pełny spis leków i środków leczniczych dopuszczonych do obrotu na terytorium Polski. Wyszukiwarka od razu wypluła wynik.

Hexapazmina była oficjalnie zarejestrowana, miała wszelkie atesty i certyfikaty. Walemba otworzył specyfikację. Tym razem komputer chwilę porzęził, zajęty załadowaniem pliku PDF.

Z ciekawości policjant pobieżnie przebiegł wzrokiem opis leku.

*Nasila hipotensyjne działanie azotanów. Beta-adrenolityki mogą hamować metabolizm haloperydolu. Leki benzodiazepinowe nasilają działanie leku.*

Dobra, czuł się jak na tureckim kazaniu. Już miał wyłączyć okienko, gdy jego uwagę przykuła przedostatnia rubryka.

*Przy zaburzeniach wymienionych poniżej Hexapazmina może powodować średnioterminową utratę pamięci i/lub somnambulizm. Zażycie zwiększonych dawek u dużej grupy badanych spowodowało incydentalne dysocjacyjne zaburzenia tożsamości.*

Nawet po latach stosowania specyfiku zabijającego komórki mózgowe nietrudno było połączyć fakty. Z samego rana po komendzie rozniosła się wieść od policjanta towarzyszącemu Ślepcowi w jego ostatnim ziemskim spacerze. Na przesłuchaniu zapierał się, że Gawlik mówił o swoim drugim ja. Wszyscy myśleli, że tylko chciał zgrywać wariata. Zrobił to zaskakująco dobrze. I najwyraźniej coś mu w tym pomogło.

## 42.

Langer zabarykadowała się w gabinecie. Była sama ze swoimi myślami, paczką papierosów i zapasem kawy. W środku był też deszczowy pies, ale nie zwracała na niego uwagi. Plątał się pomiędzy jej nogami, starając się przymilić. Obłaskawiła go.

Wir myśli i dostępne używki przeniosły ją w zupełnie inny świat i zagłuszały warczenie. Szukała powiązań, rozważała scenariusze, dopasowywała motywy, jakby stanowiły puzzle, które należy wcisnąć na właściwe miejsce.

Co robił kontakt do tej cholernej Hebner w ich notatniku? Został zapisany pismem Michała, ale czy to nie ona go dyktowała? Może dostała od kogoś namiar do jej gabinetu kosmetycznego? Gdyby tylko to sobie przypomniała... Cudowny zbieg okoliczności. Ukradzione zdjęcia, wspominkowe przeglądanie pudła, do którego nie zaglądała od wielu miesięcy, wreszcie natrafienie na ten pieprzony numer telefonu. Czy kartka, na której został zapisany, nie została specjalnie zagięta?

Powoli wypuściła powietrze. Nie mogła znowu dać się porwać fantastycznym wizjom. Doskonale pamiętała proces osuwania się i odrywania od świata, jakby stanowił on jedynie atom niezbyt lepkiego błota. Myśl zatruwająca zakamarki jej umysłu wywołała najpierw nieprzyjemne dreszcze na krzyżu, a po chwili nieświadomy uśmiech. Wyartykułowała ją.

– Duch Michała zjawił się w mojej przyczepie i wskazał mi, co mam robić.

Podczas terapii dowiedziała się, że artykułowanie problemów jest najlepszym sposobem na walkę z nimi. Wyśmiewa je lub sprowadza do właściwych proporcji.



Wariowała. Już raz to przerabiała, więc miała przynajmniej świadomość absurdu myśli o duchach. Powinna się profilaktycznie zgłosić do terapeuty. Powinna uzupełnić zapas środków, które przykują ją do świata ludzi, a nie duchów.

Tylko czy nie wszyscy miewają podobne słabości? Czy religia i wiara w Boga nie są takim samym dawaniem sobie złudnych pocieszeń i nadziei? Poklepywaniem po ramieniu przez wszechwładnego, niewidzialnego kumpla, który głosem dziwnie przypominającym nasz własny obiecuje, że jakoś to będzie?

Wokół kaktusa wyrósł okazały stos petów. Ostatni osunął się i spadł na parapet, rozsypując wokół kropki popiołu. Dwa kubki po kawie stały na blacie biurka jako wspomnienie upływającego czasu.

Właśnie.

Dwunasta czterdzieści dwie.

Od prawie trzech godzin tkwiła w gabinecie. Mogła próbować sobie wmówić, że robi to, aby się skupić. Prawda była zupełnie inna. Zamknęła się w swojej enklawie, bo tylko tu czuła się bezpieczna. Przyplływ paranoi. Ześwirowanie.

Uruchomiła kołyskę Newtona i patrzyła, jak metalowe kulki zadają sobie brutalne ciosy. Przed oczami miała jednak mieszkanie, w którym odnaleźli zwłoki pierwszej ofiary. Flaki, krew, śmierć. I ten doktorek, który zymiotował na ich widok. To nie on przykuł jej uwagę,

choć przecież z perspektywy czasu był niczego sobie. Nie wiedziała, dlaczego jej myśli powędrowały właśnie w tamtą stronę. Położyła się na biurku. Spojrzała na sufit. Podłożyła pod głowę dłonie, układając się tak, jakby wylegiwała się na plaży, a nie w centrum kryminalnego chaosu. Stukot metalowych kulek przypominał wrzaski trenera mobilizującego drużynę do większego wysiłku. Neurony w jej mózgu zderzały się, lecz były to działania całkowicie bezproduktywne.

Już jako dziecko lubiła samotność. Kiedy dzieciaki na podwórku bawiły się w swoim zwartym, szympansim stadzie, wołała trzymać się na uboczu. Potrafiła zająć się sobą i nie zawracać dupy opiekunom. W pracy również miała się za indywidualistkę, umiejacą wziąć na siebie pełną odpowiedzialność. Była to cena wolności, swobody działania i braku zrządzenia siwych łbów zasiadających na najwyższych stołkach. Przynajmniej do dzisiaj. Inspektor po raz pierwszy dostał takiej sraczki w związku z powierzonym jej śledztwem.

Brzęczenie telefonu. Przypominało kwik gęsi uciekających przed zarżnięciem. Za trzy godziny ciszy również powinna odmówić parę zdrowasiek.

Przekręciła się na bok i odebrała. Była niczym sekretarka wijąca się na biurku przed szefem, choć przypuszczała, że seksualność jej póz pozostawia wiele do życzenia.

Walemba po raz kolejny w ciągu kilku dni skorzystał z telefonu. Cuda, cuda ogłaszają...

– Zadzwoił do nas jakiś pokręcony facet – mówił szybko i niewyraźnie. – Twierdził, że widział Gawlika przedwczoraj około dwudziestej pierwszej w jednym z autobusów na Morenie. Wypytałem o ulicę, numer i po nitce do kłębka... – Nabrał tchu.

– No?

– Udało mi się dostać do nagrania z kamer miejskich przy przystanku, na którym wysiadał.

– Do sedna, Walemba, błagam.

– To był on. Gawlik. Miał na sobie te same ubrania co w chwili zatrzymania.

Langer nie widziała w tym żadnej rewelacji. Teraz Ślepiec leżał nagi w szufladzie chłodniczej. Jego wątek był zamknięty niczym właściciel domu pogrzebowego.

– Znalazłeś jakieś inne nagrania? – spytała. – Kierowcę autobusu? Cokolwiek?

– Jasne. Inaczej w ogóle nie zawracałbym ci tym głowy. – Walemba musiał przycisnąć słuchawkę, bo jego głos świszcział w głośniku. – Poszedłem tym tropem i miałem trochę szczęścia. Gawlik wsiadł do autobusu na Strużyńskiej. Znowu cisza. Tym razem miała sprowokować pytanie albo chóralną pochwałę.

– Gdzie to?

– No właśnie, sam musiałem sprawdzić. Tak nazywa się krótki fragment ulicy, właściwie to jakiś

administracyjny oliwski bubel... – Przerwał, słysząc znaczące chrząknięcia Langer. – To tuż obok domu, w którym mieszka Konstanty Frydrych.

### 43.

– I to on miałby przepisać te środki?

– Załatwiał recepty od psychiatrów. Psycholog nie ma uprawnień...

– A ten steryd?

– Proszę cię, nie bądź naiwny. – Langer oderwała dłonie od kierownicy. – Z jego kupieniem jest taki sam problem, jak z dostaniem białoruskich fajek. Idziesz na bazar i masz. Zresztą chyba coś o tym wiesz?

Wojtiuk wyciągnął przed siebie dłonie i strzelił kostkami. Wolał prowadzić, ale komisarz uparła się, że nie usiedzi jako pasażer. Kolumna trzech nieoznakowanych opli pędziła gdańskimi ulicami. Langer za kierownicą pierwszego pojazdu narzucała szaleńcze tempo. Czuła na karku oddech deszczowego psa i chciała się mu ostatecznie wyrwać. Miała wrażenie, że wreszcie jest tego bliska.

Zagrała *va banque* i umówiła się z Frydrychem na pogawędkę w jego mieszkaniu. Podpierała się

formalnościami, tłumaczyła, że zajmie mu tylko chwilę. Tym razem rozmowa miała nie być terapeutycznym seansikiem w cztery oczy. Chociaż towarzystwo nie było zbyt liczne. Akcja odbywała się bez jednostki AT. Liza nie chciała, żeby o czymkolwiek dowiedział się Siwecki. Postawiła wszystko na jedną kartę, licząc na to, że nikt nie blefuje. Poza tym miała nadzieję, że zęby lwa, do którego paszczy wchodzili, są szczerbate i przytępione. Nie jechali zdobywać twierdzy terrorystów, a schwytać potencjalnego świra.

Chociaż to mogło być znacznie gorsze.

Mimo wszystko szansa odniesienia zwycięstwa i dania prztyczka deszczowemu psu przeważała nad wszelkimi argumentami przeciw. Jedna wygrana mogłaby ją wreszcie uwolnić. Konsekwencje nie miały znaczenia. Gdyby nie oddech deszczowego psa, z pewnością bałaby się naruszyć jakiegokolwiek procedury, lecz w tej sytuacji straciły one znaczenie.

Dopuszczała też możliwość, że to właśnie deszczowy pies nakłonił ją do spieprzenia sobie życia. Jeśli się myliła...

– Czyli Ślepiec był całkowicie niewinny? – Wojtiuk przerwał jej rozmyślenia. Dał wreszcie spokój swoim kostkom i zaczął kręcić nadgarstkami. Wyglądał jak szaoliński mnich przygotowujący się do walki. A precyzyjniej: jak Cygan przed skokiem na sklep monopolowy.

Langer o milimetry minęła włączający się do ruchu autobus. Kierowca był albo ślepy, albo cholernie złośliwy. Dwa kolejne radiowozy musiały zjechać na przeciwny pas, wzbudzając chaos i kakofonię klaksonów.

– Nie wiem – odparła, ścinając ostry zakręt. – Mógł mu pomagać, ufać, zacierać ślady... Nie mam pojęcia, na ile wiedział, kim jest w rękach Frydrycha.

– W takim razie dlaczego zakładamy, że to nie on mordował?

– Skoro tuż po dwudziestej pierwszej był w autobusie, musiałyby działać w tempie skośnookich fototurystów, a z pewnością nie wyglądał na sprintera. Poza tym... – Opony zapiszczały na asfalcie, gdy na przejście weszła cichociemna staruszka. – Poza tym, rzeczywiście kręciły go oczy, ale te zaburzenia można sztucznie podsycać. Nawet farmakologicznie. Z samej fascynacji wydlubywałyby raczej oba... Chociaż to Rembert powinien snuć takie wizje.

Gdzieś z tyłu głowy zakołatały jej słowa Frydrycha.

*Jeżeli coś sprawia mu przyjemność, nie potrafi się powstrzymać i zrobi wszystko, aby się zadowolić. Jeśli go nie ubiegniecie, znowu zabije.*

Kiedy je wypowiadał, brzmiał, jakby recytował tekst zapisany na kartce. Miała takie wrażenie, lecz w rzeczywistości z premedytacją pobudzał jej emocje. Naprowadzał na fałszywy trop, podrzucając pod jej policyjny, psi nos zatrute kąski.

Na komisariacie zjawił się tylko po to, by wypytać o szczegóły śledztwa. Sprawdzał, jak bardzo przekonała ich jego wizja. Donosząc na swojego pacjenta, oczyszczał sam siebie.

Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że Frydrychowi udało się nakłonić Ślepca do popełnienia samobójstwa. Chwiejny psychicznie pacjent był doskonałym materiałem na ofiarę. Przy zastosowaniu odpowiednich środków terapeuta mógł z niego zrobić posłusznego niewolnika, który oddał życie za swojego pana.

Zwolniła, wjeżdżając pod prąd jednokierunkowej uliczki. Właściwie nie musiała się spieszyć, ale oddech deszczowego psa wciąż ją pospieszał. Albo on, albo śledztwo.

Dlaczego Frydrych pozbawił się doskonałego alibi? Wszystko wskazywało na to, że cudownym zrządzeniem losu Gawlik doznawał zaników pamięci akurat wtedy, gdy dochodziło do morderstw. Niewiele było trzeba, aby dorobić jego alter ego zabójczą biografię. Wygodna sesja na kozetce, kilka sugestywnych pytań, aluzji, może wzmianka o potencjalnej psychopatycznej naturze i voilà. Morderca został stworzony. Lalkarz sam został lalką.

Nadal pozostawały jednak wątpliwości. Skąd się u niego wzięły pieniądze ze skoku na bank? Czy to Frydrych włamał się do jej przyczepy? Chciał manipulować również nią, grzebiąc w jej wspomnieniach? Chciał wpłynąć na śledztwo czy tylko je zagmatwać?

A może... Może Ślepiec służył mu jako alibi w dwóch sprawach? Mordu i napadu. W takim razie łączyłaby je ze sobą osoba psychologa.

Langer dogasiła papierosa i wjechała na chodnik przed pruskim domem Frydrycha. Sztywne nadwozie jęknęło, gdy pokonywało wysoki krawężnik.

– Wpadamy tam i robimy rozróbę? – Wojtiuka wręcz rozpierała energia. – Od razu go zakuwamy?

– Nie. Wszystko po kolei, żadnych odpałów.

– Naprawdę chce komisarz najpierw z nim pogadać?

Langer wyłączyła silnik i otworzyła drzwi auta. Rzuciła paczkę papierosów na kokpit.

– Nie mam podkładki ani od prokuratury, ani od naczelnika – powiedziała, wysiadając. – Zamienię z nim kilka słów, nabiorę uzasadnionych podejrzeń i wtedy zagramy marsz triumfalny.

– A jeżeli on...

– Nie bądź panikującą panienką. Nadstawiam tylko swój kark.

– Wie komisarz, że przez to można narobić sobie poważnych kłopotów! – Wojtiuk ją dogonił. – Jakby, nie daj Boże, się stawiał, to mamy przesrane.

– Nie my, tylko ja. Reszta potulnie wykonuje moje polecenia, a ja jestem szefem zespołu. No, rusz tych gamoni z tyłu!

Wojtiuk machnął dłonią w stronę radiowozów. Kilku policjantów dołączyło do nich tuż przed wejściem do



kamienicy. Jeden, zgodnie z prowizorycznym planem Langer, zatrzymał się na zewnątrz.

Grupka nastolatków na widok policji przyspieszyła kroku. Robili w gacie na myśl o poupychanych w podeszwach butów dwóch gramach trawki albo podróbki amfetaminy zmieszanej z mąką. Pospiesznie chowali szklane lufki, dotąd szpanersko wystające z kieszeni. Swoją drogą, dowód taki sam, jak każdy inny.

Drzwi na klatkę były zablokowane gumową wycieraczką. Nawet jeżeli Frydrych dostrzegł ich przez okno, nie miał którędy uciec. Tym razem Langer natychmiast skierowała się do właściwego mieszkania i nacisnęła dzwonek. Jej kilkusobowa eskorta była milcząca i stremowana jak żółwie, które nigdy wcześniej nie opuściły terrarium. Jedynie Wojtiuk stanął tuż obok niej, żartobliwie prężąc mięśnie.

Kiedy chciała ponownie zadzwonić, zamek szczęknął i w progu pojawił się Frydrych. Miał na sobie czerwony sweter, ale z innym wycięciem niż ostatnim razem. Pod spodem nosił oliwkową koszulę z mankietami zapinanymi na spinki. Kompletu dopełniały ciemne spodnie i skórzane kapcie. Otworzył szeroko drzwi, lecz na widok stłoczonych policjantów uśmiezek zniknął z jego twarzy. Najwidoczniej niczego się nie spodziewał. Langer miała wrażenie, że przez ułamek sekundy dłoń psychologa zacisnęła się na klamce, jakby chciał im

zatrzasnąć drzwi przed nosem. Opanował się i skinął głową.

– Dzień dobry... państwu – powiedział, zmuszając się do uśmiechu. – To małe przyjęcie?

Langer zrobiła krok do przodu i przekroczyła próg. Właśnie na takie sytuacje stworzono policyjne obuwie, a nie giętkie trampki.

– Tylko mikroobstawa – powiedziała usprawiedliwiająco. – Wie pan, środki bezpieczeństwa...

– Nie byłem gotowy na odwiedzinę całego komisariatu... – Frydrych starał się żartować, lecz jego twarz pozostała nieruchoma jak maska. – No nic, zapraszam do środka, znajdziemy miejsce.

– Chłopaki postoją. Nie musi pan szykować krzesel.

– Gościna nakazuje... Proszę się tylko nie fatygować zdejmowaniem butów.

Sztywny, niemal zdrętwiały, ruszył w głąb mieszkania. Zaglądał do pomieszczeń po obu stronach korytarza, jakby wybierał najlepsze miejsce do rozmowy. Skręcił wreszcie do salonu, w którym ostatnim razem przyjmował Langer. Najważniejszym elementem wyposażenia niezmiennie pozostawała lśniąca perkusja.

– Proszę usiąść – syknął, obchodząc okrągły stolik.

Komisarz sięgnęła po krzesło, reszta policjantów rozeszła się po pomieszczeniu. Frydrych przez chwilę ich obserwował, wreszcie przeczesał dłonią włosy i skupił się

na Langer. Jego twarz z sekundy na sekundę nabierała koloru swetra. Mogliby sobie przybić piątkę z Siweckim.

Liza wyciągnęła długopis i notatnik, położyła je obok siebie, po czym oparła łokcie na blacie stolika. Nie szykowała się na odgrywanie zbyt długiej scenki. Nieważne były metody FBI, zalecenia Stanisławskiego ani ładna dykcja. Rzecz polegała na tym, by Frydrych powiedział o pół słowa za dużo. Dowody to potwierdzą, a ona dokończy historię.

Zaczęła wprost, wbrew wszelkim technikom.

– Co pan robił w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego?

Frydrych złożył dłonie w piramidkę. Starał się regulować oddech i się nie rozglądać.

– Przypuszczam, że spałem. Zależy, o której godzinie.

– Pomiedzy drugą a piątą rano.

– Spałem, z całą pewnością.

– Sam? Jest ktoś, kto może był wtedy u pana?

– Czy interesują panią moje... Zaraz, zaraz. – Piramidka zamieniła się w gest niedbałej modlitwy. – Chyba nie pyta mnie pani, czy mam alibi?

– A ma pan?

– Do licha, jestem sam... Rozwiedziony.

– To nie znaczy, że obowiązuje pana celibat. Zresztą mógł pan chlać z jakimś kumplem albo...

– Nie. Nikogo tu nie było.

– Okej, rozumiem. – Langer otworzyła notatnik. – A przedwczoraj? Pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą?

– Boże... Chwileczkę, muszę pomyśleć.

– Proszę. Nigdzie się nie spieszymy.

– W kalendarzu powinienem mieć zapisane spotkania.

Miałem je do samego wieczora.

– Aż do dziewiętnastej?

– Musiałbym sprawdzić...

Wojtiuk podniósł stertę leżących na regale książek i dwoma palcami coś spod niej wyciągnął. Pomachał, czym zwrócił uwagę Langer. Pomięta torebka z brązowego papieru miała taki sam nadruk jak ta, w której Gawlik przechowywał pieniądze. To jeszcze o niczym nie świadczyło, jednak stanowiło wyborny smaczek. Wisienkę na torcie.

Frydrych, widząc skupiony wzrok komisarz, odwrócił się i sprawiał wrażenie, jakby chciał wstać z krzesła. W ostatniej chwili się jednak powstrzymał.

– Jakiś problem? – zapytał. – Chce pan to wziąć?

– Sierżant się chyba zapomniał. – Langer uśmiechnęła się do Frydrycha. Żałowała, że nie wzięła ze sobą papierosów. Z rozkoszą by teraz zapaliła. Deszczowego psa nie było nigdzie w pobliżu.

– Niech sobie to weźmie – mruknął Frydrych. – Nawet nie wiem, skąd mam tę torbę.

– Logo wskazuje na pewną cukiernię. Zamkniętą od kilku miesięcy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Langer uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wypuściłaby właśnie w jego stronę kłęb dymu. Zamiast tego kliknęła długopisem.

– Na chwilę to zostawmy. O ile się nie mylę, nie ma pan prawa do wypisywania recept?

– Zgadza się.

Jeden z policjantów wypuścił przeglądaną książkę. Kazała im się kręcić i rozpraszać Frydrycha, ale nie robić szkód. Pokręciła z dezaprobatą głową, a funkcjonariusz mruknął coś pod nosem.

– Sądzę jednak, że orientuje się pan w działaniu leków psychiatrycznych?

– Coś niecoś.

– Czy jest panu znany środek o nazwie... chwileczkę...

– Przerzuciła kartki notesu. – Hexapazmina?

– Nie.

– Nie słyszał pan o nim? U pańskiego pacjenta znaleziono kartkę z odręcznie zanotowaną nazwą. Wydaje mi się, że to mogło być pańskie pismo.

Frydrych obficie się pocił. Przeszukał kieszenie, ale nie znalazł chusteczki. Otarł czoło wierzchem dłoni i zebrał krople potu, perlące się nad górną wargą.

– Słyszałem – wydusił głosem skazańca. – Być może coś o nim wspominałem, do konsultacji z psychiatrą

albo...

– W porządku. Jeszcze jedna sprawa...

W tym momencie Liza poczuła wibrację telefonu. Po chwili rozległ się wrzask, który ucięła na oślepie, miętosząc spodnie.

– Przepraszam. – Znowu oparła łokcie na stole. – To jeszcze raz zapytam, co pan robił przedwczoraj wieczorem?

Wibracja, po której nie nastąpił krzyk. SMS. Dosłownie po kilku sekundach komórka zasygnalizowała nadejście następnej wiadomości. Wyrwała ją z kieszeni i przycisnęła klawisz wyłączenia. Przez chwilę rozjaśniony ekran wyświetlił pierwsze znaki SMS-a. Natychmiast puściła palec.

– Cholera – szepnęła do siebie.

Frydrych zaczął się trząść, jakby obawiał się telefonicznie rozsyłanych wyroków śmierci. Nie zwróciła uwagi na to, że jego kolanami wstrząsają dreszcze, a krople potu skapują mu z podbródka na uda, znacząc mokre ślady na spodniach. Jak na psychologa fatalnie znosił stres. Chociaż miała dziwne wrażenie, że w rzeczywistości pozostaje zimny jak lód. Przypuszczała, że jego zachowanie to jedynie przybrana z premedytacją poza.

Odczytała obie wiadomości i schowała komórkę do kieszeni. Przez chwilę milczała. Spojrzała na Frydrycha, uważnie lustrując jego sylwetkę. Patrzyła wzrokiem

szejka zastanawiającego się nad kupnem wyścigowej klaczy. Wreszcie złożyła notatnik i podniosła się z krzesła.

– Dziękuję za poświęcony czas – powiedziała już bez cienia uśmiechu. – Wychodzimy. Tak jak sądziłam, na tych rutynowych pytaniach zapewne skończy się nasza znajomość.

Wojtiuk i pozostali policjanci popatrzyli na nią zdziwieni, jednak bez słowa sprzeciwu ruszyli na korytarz. Frydrych pozostał na swoim miejscu, z lekko rozchylonymi wargami i ciałem tak mokrym, jakby właśnie wyszedł z łaźni parowej.

Podeszwy tenisówek Langer bezgłośnie zanurzały się w perskim dywanie...

#### 44.

– Halo? Kto mówi?

– Liza Langer. Dostałam z tego numeru dwa SMS-y.

– Ach, tak. – Gdyby rozszczebiotany głosik był o dwa tony wyższy, komisarz miałaby pewność, że rozmawia z Różą Burzą. – Pan Rembert poprosił mnie o telefon... Chwileczkę. Zaraz podam mu telefon, jest...

Kobieta nie dokończyła zdania, a w głośniku rozległo się sapnięcie.

– Coś ty, do cholery, wymyślił? – Langer odeszła od radiowozu i przyłożyła dłoń do drugiego ucha, odcinając się od hałasu ulicy. – Jeżeli to tylko fantazje wstrząśniętego mózgu, to...

– Nie. – Rembert przerwał jej cicho, ale stanowczo. – Jestem całkowicie pewny.

– Niby skąd? Właśnie stoję jak kołek pod mieszkaniem Frydrycha. Gdyby nie twoje wymysły, pakowałabym go już do suki.

– Jeżeli mi nie ufasz, zostaw kogoś, kto go popilnuje.

– Oczywiście, że tak zrobię.

– Bardzo rozsądnie. Choć uważam, że to całkowicie zbędne.

– Możesz wreszcie skończyć te podchody? Proszę cię, Oreście, daj mi cień nadziei, że to, co odwalasz, to nie wytwór obróconego w papkę mózgu.

Rembert westchnął.

– Właściwie dlaczego go podejrzewacie? – zapytał po chwili. – Chyba nie wszystko pamiętam.

– Że co?

– No bo...

– Kurwa, przecież ty o niczym nie wiesz. – Langer obróciła się wokół własnej osi. – Wracam tam, zanim...

– Nie, zaczekaj. – Po ciosie w głowę Rembert potrafił być naprawdę stanowczy. Ciepłe kluchy zmieniły się



w ostrą potrawkę. – Domyślam się, że znalazły się na niego jakieś haki? Tak miało być od samego początku.

– Co takiego?

– Tego wieczoru, kiedy oberwałem... Pamiętasz, że zdałaś mi szczegółową relację z wizyty u Frydrycha?

– Tak. Jakie to ma znacznie?

– Zanotowałaś szczegóły, które wydały ci się naturalne. Wszystko miało do siebie pięknie pasować. Sprzedał ci bajeczkę, a ty w nią uwierzyłaś bez zastrzeżeń.

– Zaraz, moment, teraz go oskarżasz?

Rembert wypuścił powoli powietrze.

– Zostaw kogoś, kto będzie miał na niego oko, i przyjeźdź do mnie. Przez telefon za cholerę nie mogę się skupić. Mam wrażenie, że fale lasują mi mózg.

– Módl się, żeby ta paplanina nie była efektem zlasowania.

Langer się rozłączyła. Kazała Wojtiukowi i dwóm policjantom obstawić mieszkanie Frydrycha, a sama posłusznie pognęła do szpitala.

\* \* \*

Niemowlęta płaczą bez łez. To dlatego ich płacz często przypomina krzyk rozpacz. Ich gruczoły łzowe zaczynają prawidłowo działać dopiero w drugim lub trzecim miesiącu życia, czasem nawet później.

Łzy są jedyną ludzką wydzieliną, która kulturowo nie budzi odrazy u pozostałych przedstawicieli Homo sapiens. W przeciwieństwie do otarcia krwi, potu czy ropy otarcie łez nie wywołuje obrzydzenia, a uruchamia całkowicie inne reakcje emocjonalne, przede wszystkim – współodczuwanie.

Płaczymy razem ze smutku i z radości, kobiety często płaczą również po szczytowaniu. Naukowcy do tej pory nie są zgodni co do przyczyn tego zachowania. Sklasyfikowano je jako dysfориę postkoitalną i powiązano między innymi z podświadomym, negatywnym podejściem do partnera, powracającą traumą z dzieciństwa, a także rozczarowaniem stosunkiem i powrotem do rzeczywistości.

Podczas płaczu odpoczywamy. Organizm wydziela wtedy ogromną ilość oksytocyny, która ma działanie znieczulające i uspokajające.

Płacz jest dobry.

Przede wszystkim jednak łzy działają jako naturalny środek bakteriobójczy. Przy okazji, co może przypominać oliwienie drewnianego pajacyka, doskonale konserwują gałkę oczną. A to było bardzo ważne.

Mordowani musieli płakać.

Jak najobficiej.

Przed salą, w której leżał Rembert, nie było już wartownika. Siwecki zapewne odwołał tę maskaradę na wieść o śmierci Ślepcy. Przynajmniej on jeden był przekonany, że sprawa zakończyła się na chodniku przed gmachem komendy. Albo zrobił sobie z tego doskonale plecy. Teraz psycholog pozostawał bez ochrony, wystawiony na zagrożenie ze strony człowieka, który dorwał go w bramie. Człowieka lub grupy osób – Langer po raz pierwszy sprecyzowała to w myślach. Przynajmniej nie musiała tłumaczyć, że Ślepiec nie żyje.

Gnana niepokojem, na ostatnim odcinku przyspieszyła kroku. Kiedy dysząc, wpadła do sali, od razu skupiła na sobie spojrzenia Remberta i mierzącej mu ciśnienie pielęgniarki-rzeźniczki. Poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo. Reszta pacjentów cudownie ozdrowiała lub została przeniesiona na inne oddziały. Trzecim wyjściem było przeniesienie na łono Abrahama, ale raczej nie było im tam śpieszno, a nic nie wskazywało na to, aby sala stanowiła ognisko śmiertelnej zarazy. Langer podeszła do łóżka i minęła pielęgniarkę. Zupełnie zignorowała jej srogą minę.

– Jeżeli usłyszę, że pacjent ma odpoczywać, będę strzelać – ostrzegła, sięgając po taboret. – Ma

odpowiedzieć na moje pytania, a potem może się przekręcić.

Rzeźniczka wzruszyła ramionami.

– Znowu szykuje się do wyjścia – mruknęła, rozpinając ciśnieniomierz. – Chce się wypisać na własne żądanie, więc co mnie to?

Podniosła się i obciągnęła mundurek. Materiał na biodrach musiał być wzmacniany kosmiczną technologią, skoro wytrzymał nagłe naprężenie. Następnie, stukając drewniakami, wyszła na korytarz i zostawiła ich samych.

– Mów. – Langer dopadła do Remberta, jakby miała mu poderżnąć gardło. – Jakim cudem domyśliłeś się, że będę chciała aresztować Frydrycha?

Psycholog oparł jedną dłoń o rant łóżka, a drugą zanurzył w pościeli. Wyglądał dużo lepiej niż ostatnim razem, a zwichrzone słomkowe włosy dodawały mu cherubinkowatego rysu.

– Po kolei – odchrząknął i przełknął ślinę. – Miałem cholernie paskudne sny, wydawało mi się, że jestem warzywkiem albo...

– Niech cię szlag!

– Posłuchaj, to ważne.

– Twoje cholerne sny?

– Tak! Dzięki nim przypominałem sobie, co robiłem przed tym, jak dostałem w łeb. To oczyszcza umysł...

– Więc co, do cholery, robiłeś?

– Poszedłem na piwo. A przede wszystkim przeanalizowałem jeszcze raz caluteńki materiał i byłem praktycznie pewny, że ten Nowacki to pierwsza ofiara zabójcy. Pierwsze zabójstwo, jakiego w ogóle dokonał.

– Przez telefon mówiłeś, że w tej sprawie jesteś całkowicie pewny. – Langer ciężko opadła na stołek. Postawiła wszystko na kartę psychologa, który mógł nie mieć piątej klepki. – Nie niemal albo praktycznie, ale w stu pieprzonych procentach!

Rembert pojednawczo podniósł dłonie i się wyprostował.

– Dobra, przepraszam, jestem pewny na sto procent. Daję głowę.

– Zabawmy się w pytanie–odpowiedź. – Langer nerwowo zatarła dłonie. Mówiła powoli, z bezgraniczną rezygnacją w głosie. – Dlaczego twierdzisz, Oreście, że to jego pierwsza ofiara w ogóle? I jakie to ma, do jasnej cholery, znaczenie?

– Nie przerywaj mi, to powiem wszystko składnie. Inaczej wyduszę z siebie chaotyczną historyjkę z mętym morałem.

Langer zacisnęła usta i skinęła głową.

– Trzeba zwrócić uwagę na kilka wątków. – Rembert poprawił się na łóżku, szykując się do długiej przemowy. – Przy pierwszym trupie doszło do ogólnej masakry. Zastanawiało mnie, dlaczego ciało zostało tak bardzo sponiewierane. Zazwyczaj sprawcy działają według

określonego schematu i stają się bardziej brutalni przy każdej kolejnej ofierze. Tu było na odwrót. Pierwsze zwłoki mogły trafić do puszki jako mielonka, a następne właściwie zostały tylko lekko oszpecone.

– Może dlatego, że w parku zabójca nie miał czasu na zbyt szczegółowe zabawianie się z trupem.

Rembert spojrzął na komisarz z ukosa. Ta przeciągnęła palcem wzdłuż ust.

– Myślałem nad tym. To wydawało się możliwe, ale w takim razie dlaczego w ogóle go okaleczył? Albo inaczej. Dlaczego w pierwszym wypadku zmasakrował zwłoki, a w drugim wydłubał tylko oko?

– Spodziewam się, że mi powiesz...

– Ciii! Nietrudno się domyśleć, że w obu przypadkach chodziło o oko. To znaczy, że to zmasakrowanie jego okolic było dla sprawcy najistotniejsze. Zająłem się protokołami sekcji, fotografiami zwłok i wtedy nasunęły mi się kolejne uwagi.

– Zaraz zasnę...

– Już dochodzę do sedna. – Rembert przecesał włosy, pozostawiając na czubku głowy blond koguta. – Twarzoczaszka Nowackiego była tak zmiądzona, że pokruszono kości oczodołu, jarzmową i tak dalej. Sprawca chciał zrobić miejsce na wyciągnięcie gałki ocznej. Sprawdzał to. Nie wiedział, jak ją usunąć bez większej ingerencji. Natomiast w drugim przypadku był już

znacznie lepiej wyedukowany. Działał na podstawie własnych doświadczeń.

– Umiał wyciągnąć oko bez rozwalania całej głowy?

– Mniej więcej.

– W takim razie po co okaleczył pierwszego trupa? Po co wyciąganie flaków i cała ta szopka?

– Dobrze to ujęłaś. – Rembert klasnął jak dziecko, które ma wyrazić radość z otrzymanego od ciotki prezentu. – Szopka! Właśnie dzięki niej jestem pewny, że Frydrych został wrobiony.

\* \* \*

Walemba nie do końca rozumiał, o co chodziło Rembertowi. Psycholog zadzwonił do niego z pożyczonego telefonu, plątał się, aż w końcu, zamiast wyznaczyć mu klarowne zadania, zarzucił go pytaniami. Jak można wykryć aparaturę podsłuchową? Czy jest to możliwe bez wiedzy nasłuchującego? Wreszcie wskazał mu konkretny cel – namierzenie podejrzanych sprzętów w domu Frydrycha.

Zadanie jak zadanie. Obejmowało to, czym Walemba się od dawna zajmował. Najpierw należało sprawdzić obciążenia sieci elektrycznych, kradzieże przesyłu, ewentualne straty energii. Lepszy sprzęt mógł ich niemalże nie generować, ale w tym przypadku policjant miał szczęście. Dokładne dane, uzyskane od operatora, wskazywały na istotne wahania. Po godzinie był już

w stanie stworzyć dość szczegółowy obraz sprawy, a po kolejnych dwudziestu minutach był pewny jednego. Coś było nie tak.

Specjalna ekipa musiała pracować bez wiedzy i dyspozycji Langer. Komisarz najpierw znajdowała się poza zasięgiem, a potem miała niezmiennie wyłączony telefon. Siwecki zezwolił Walembie na działanie na własną rękę. Kłął na burdel, który zapanował w śledztwie, lecz wciąż bezgranicznie ufał osądom Remberta. A ten, tak samo jak Langer, pozostawał nieosiągalny. W dyżurce pielęgniarek na przemian nikt nie odbierał telefonu albo utrzymywano, że psycholog śpi jak zabity.

Operacja wymagała przygotowań, ale udało się je przeprowadzić wyjątkowo gładko. Róża Burza doskonale poradziła sobie ze wszystkimi telefonami. O umówionej godzinie w kamienicy Frydrycha wysiadł prąd, a dwadzieścia siedem minut później podjechał pod nią wóz pogotowia energetycznego. Oczywiście, z pogotowiem energetycznym miał wspólnego tylko kierowcę. Poza nim była tam dwuosobowa ekipa techników – najlepszych policyjnych specjalistów od sprzętów elektronicznych.

Policjanci, którzy z rozkazu Langer obstawiali okolicę, dostali zadanie asekurowania energetyków-przebierańców. Ich wyobrażenie o tym, co się dzieje, było mętne jak Zalew Wiślany, przez co zaczęły się tworzyć fantastyczne historie. Myśleli, że uczestniczą w finalnej



oblawie na polskiego Charlesa Mansona, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo najwyraźniej nadal tkwiło w ukryciu. Pseudoenergetycy musieli działać błyskawicznie. Usuwanie lokalnej awarii prądu nie wzbudza podejrzeń, jeżeli trwa kilka minut. Po kilkunastu firma energetyczna mogłaby się domagać od państwa odszkodowania za szarganie reputacji jej samej i jej pracowników. Nikt nie chce zatrudniać idiotów. Tylko dlatego nie uruchomiono rządowego programu wsparcia idiotów na rynku pracy.

A może jednak już taki był?

Policyjni specjaliści nie byli jednak idiotami. Zakończyli swoją robotę dokładnie po ośmiu minutach od przyjazdu.

Kiedy wrócili do żółtej furgonetki z chmurą burzową i błyskawicą na boku, starszy z nich natychmiast połączył się z komendą.

– W środku są co najmniej cztery nadajniki, z czego jeden jest ruchomy.

– Ruchomy?

– Podejrzewam, że ktoś go nosi na sobie.

„Chyba niezbyt dobrowolnie” – pomyślał Walemba.

\* \* \*

– Dzwoni jakiś inspektor... Telefon w sekretariacie nie jest przenośny, czy mógłby pan...

– Nie. Nie teraz. Proszę powiedzieć, że śpię.

– Kiedy dopiero mówiłam, że się pan obudził!

– To niech pani coś wymyśli! Powie, że właśnie ładujecie mi w dupę zastrzyki czy cokolwiek! Proszę dać mi się, do cholery, skupić!

Nagły wybuch Remberta zaskoczył Langer. Gdyby nie to, że niecierpliwie czekała na jego dalsze rewelacje, sama pociągnęłaby temat. Wzburzony cherubinek krzyczący o ładowaniu zastrzyków w dupę. Tymczasem jedynie przewróciła oczami, przywracając psychologa na właściwe tory.

Rembert dopił resztkę wody i rzucił butelkę na łóżko.

– Pierwszą inspiracją był Skorpion – odezwał się, gdy pielęgniarka wyszła z sali. – Masakra młotkiem doskonale mieszała w śledztwie. Upozorowanie sprawy tak, żeby pojawiły się oczywiste odniesienia do dawnego seryjnego zabójcy, było świetnym pomysłem. Tym bardziej że do dzisiaj pozostawały wątpliwości co do winy człowieka skazanego wtedy na śmierć. Jednak sprawcy przypadkowo trafiła się jeszcze lepsza okazja. – Rembert wyprostował dłonie, jakby chciał sprawdzić, czy nie drżą. – Nie wściekaj się za chaos, ale pewne wątki się splatają i nie da się ich opowiedzieć inaczej. Albo ja nie jestem dziś w stanie...

– Na razie jeszcze nadażam. Do rzeczy, Oreście.

– Pamiętasz, że wspominałaś o ustawionych w salonie zdjęciach rodziny Frydrycha?

– Tak.

– Mówił, że jest rozwodnikiem.

– Do cholery, tak, tak, tak.

– Jaki rozwodnik obstawia się zdjęciami żony? Rozumiem zdjęcia dziecka, ale kobiety, która go zostawiła lub którą sam wydymał? Zwróciłem na to uwagę dopiero wtedy, gdy zacząłem przeglądać notatki. Zapaliła mi się czerwona lampka. Zadzwoiłem do znajomego, który ma dostęp do rejestrów cywilnych. Wiem to nieoficjalnie, oczywiście, zachowuję pełną tajemnicę, ale Frydrych z całą pewnością nie jest rozwodnikiem. Co więcej... Uruchomiłem kolejne kontakty...

Rembert sięgnął do metalowej szafki, wziął kolejną butelkę wody i upił z niej spory łyk. Otarł usta wierzchem dłoni. Langer zabębniła palcami o metalową ramę łóżka. Elementy wreszcie wskakiwały na swoje miejsce i spodziewała się, że zaraz pojawi się kompletny obrazek.

– Z racji zawodu znam paru psychologów, psychiatrów i terapeutów – podjął monotonna Rembert. – W tym jednego, który zna z kolei praktycznie całe środowisko. Jest na każdej imprezie, na każdym sympozjum i tak dalej. Okazało się, że kojarzył Frydrycha, był przekonany, że jego małżeństwo kwitnie jak nigdy. Ponoć szykował się do zmaistrowania kolejnego dzieciaka.

– Nie zmierzasz chyba do tego, że coś mu odwaliło i zaszlachtował też swoją rodzinę?

– Nie. Wręcz przeciwnie. Sprawdziłem go w Internecie. Miesiąc temu w „Przeglądzie

Psychologiczno-Psychiatrycznym” ukazał się jego artykuł. Pisał w nim o okulofilii.

– Ożeż szlag... – Langer założyła dłonie za głowę. Jeżeli zaczynała łapać sedno historii, siedzieli w szambie. I to naprawdę zawałonym gównem. – Chyba wiem, dokąd zmierzasz.

Rembert wzniósł ku niebu dziękczynne spojrzenie.

– Dzień po zabójstwie Nowackiego obszerne fragmenty tego tekstu ukazały się na Onecie – wyjaśniał dalej. – Wiesz, w tych rubrykach z ciekawostkami. Niezwykły zbieg okoliczności, do tego autor mieszkający w tym samym mieście, w którym dochodzi do zbrodni, pacjent, którego leczenie opisuje... Wręcz boska interwencja, rozumiesz?

Rozumiała. Szambo stało się faktem.

– Sugerujesz, że ktoś zaszantażował Frydrycha, uprowadził jego rodzinę i zmusił do wyprania mózgu i tak szurniętego pacjenta?

– A czy widzisz w tym coś nieprawdopodobnego? A może masz sensowniejszą teorię? Ktoś pociąga za sznurki i zainwestował w to sporo wysiłku. Teraz robi wszystko, by dorwać Frydrycha. A wcześniej pewnie sprzątnie jego rodzinę.

Rembert miał jeszcze coś dodać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Mlasnął i wbił wzrok w podłogę.

– O ile już tego nie zrobił – dokończyła za niego Langer.

## 46.

Wisłónô Sztremłëzna. Tak Kaszubi nazywają Martwą Wisłę. Obie nazwy brzmią podobnie upiornie, bo upiorny jest też los dawnego koryta rzeki. Fabryki, bezdroża, stocznie czynne i nieczynne, zakłady przemysłowe, żurawie, kominy, niedziałające latarnie, miliony roztrwonione na nigdy niepodjętą ochronę przyrody i symboliczną rewitalizację, a do tego gigantyczne, brzęczące słupy elektryczne i ciągnący od wody chłód. To było wszystko.

Trasa Kolarza ulegała modyfikacjom, lecz ze względu na sentymenty jej końcowy odcinek zawsze przebiegał przy Centrum Solidarności, przez przypominający Śląsk Ostrów, a następnie uliczką Wiślną. Tak, tak, Wiślną, a nie Wiślaną.

Wiślna, podobnie do wszystkiego wokół, urywała się całkiem nieoczekiwanie. Tak jak literkę w nazwie, gubiła też samą siebie. Ot, należało zakręcić w lewo, aby nie wbić się w metalową kratę strzegącą dostępu do fabryk, w których ponoć od lat nikt nie pracował. Zresztą przerdzewiałe kraty też były symbolem okolicy, podobnie jak pewien niezbyt odległy płot był symbolem całej epoki.

Pędząc uliczką imienia Wyzwolenia (Kolarz nie miał pojęcia, która władza nadała tę nazwę, a więc – z jakimi siłami winno się ją utożsamiać, ale wyzwolenie to w końcu zawsze coś pozytywnego), po prawej stronie mijał nieużytki, a po lewej – przysadziste gmaszysko. Było zdewastowane i zionęło pustką. Od lat wisiał na nim baner informujący o ogromnej powierzchni do wynajęcia. Gdyby w Gdańsku odżyła spuścizna komunizmu, budynek nadawałby się doskonale na siedzibę partii oraz jej wszystkich komitetów. Brakowało tylko, aby z głośników puszczano radzieckie marsze wojskowe, a na proporcach zawisły flagi z sierpem i młotem.

Kilkadziesiąt metrów dalej, dla podtrzymania nastroju, rozciągał się bodaj najmniejszy z gdańskich cmentarzy. Swego czasu większość jego lokatorów stanowili dzielni Prusacy, lecz z czasem i stąd zostali wyparci przez ludność polską migrującą do ojczyzny przodków.

Dalsza droga miała dwojaki przebieg. Trasa łatwiejsza i mniej ciekawa wiodła ulicą Władysława IV (wszak król snuł wobec miasta dalekosiężne plany i, co należało uczcić tym bardziej, dał swym poddanym kurort Władysławowo). Jadąc nią, mijało się kilka starych (ale nie aż tak starych) bloczków, zajezdnię tramwajową, a z każdym oddechem – czuło się industrialny klimat ciężkiej pracy. Ciężką pracą dla rowerzysty było jednak pokonanie Starowiślanej. Błotnisto-żwirowa ścieżyna

stanowiła drugi wariant trasy. Przejazd przez jej środkowy odcinek był ponoć wzbroniony, lecz nastąpiły takie czasy, że zakazy można już było lekceważyć. W razie czego nikt ani nie krzyczał, ani nie strzelał. Wszyscy mieli tę okolicę po prostu w dupie, tak jak i ona w dupie miała rzekę.

Ale widok bywał też piękny.

Po drugiej stronie koryta rozsiadły się przysadziste zabudowania Twierdzy Wisłoujście (bo choć nie ma po tym śladu, niegdyś właśnie tędy Wisła uchodziła do zatoki). Żal ścisnął serce, żeby nie powiedzieć dosadniej, że warownia, zwana dawniej Latarnią, nie została staranniej oświetlona. Wczesnym wieczorem wyglądała tyleż poważnie, ileż sennie. Przyciągała ku sobie nie statki morskie, ale kolejne kolonie nietoperzy, chcących zaznać jedynie świętego spokoju. Ale i tym z okolicą było nie po drodze. Milionowe nakłady miasta na turystykę kolidowały z ich idylliczną wizją, wyrwały z hibernetycznego snu i niosły ich rzewne piski ponad lekko wzburzonym lustrem wody.

Tego dnia Kolarz wybrał drugi wariant swej trasy. Niegdyś odprowadzał córkę do uroczego przedszkola znajdującego się kilkadziesiąt metrów dalej, za linią poskręcanych drzew i krzaków. Za sprawą porywu serca porzucił panoramę Wisły, twierdzę i stalowe żurawie i odbił w ścieżynę ledwie wydeptaną i ledwie widoczną.

Lubił takie wspominki i lubił w wycieczkach rowerowych wolność, którą mu dawały. Co prawda, jeździł zawsze sam, ale była to piękna samotność. Słuchał rytmu swojego oddechu, słuchał bicia serca i tego, jak zlewały się one z wszystkimi dźwiękami świata.

Słuchawki zakładał jedynie wtedy, gdy jechał obok najbardziej ruchliwych ulic. Od rżenia aut wołał rżenie muzyki. Poza tym każdy dźwięk był mu przyjemniejszy.

Na przykład przypominający przewracanie kart książki szum powietrza w szprychach koła.

Skupił się na nim w momencie, gdy coś ostrego rozszarpało oponę i wyzwoliło głośne syknięcie. Kierownica odbiła, ale zdołałby ją utrzymać, gdyby nie kolejna przeszkoda. Gnijący konar spoczywał w gnijących zaroślach. Zima przynosiła wszechstronną zgniliznę.

Jednak twarz z wyłupionym oczodołem, przy której upadł, wyglądała na całkiem świeżą.

## 47.

Wbrew ponurym wizjom Langer i Remberta trzecią ofiarą nie była ani żona, ani córka Frydrycha. Przy zwłokach znaleziono dokumenty, co oszczędziło wiele



zachodu. Gdyby mieć jeszcze tyle wyobraźni, aby zobrazować sobie całokształt twarzy, mając przed sobą człowieka o dwóch różnych obliczach. Jednym nieskazitelnym, gładko ogolonym, z wysokim czołem i przylizanymi włosami, a drugim krwistym, poznaczonym białymi odłamkami kości, sklejonymi włosami i wiszącą skórą policzka. O dziwo, to zmiażdżona część twarzy zdawała się uśmiechać, ironicznie odsłaniając pokruszone zęby. Jej druga połówka zastygła w śmiertelnej powadze, ściągnięta stężeniem pośmiertnym i ochlapana drobinkami błota. Obdarzeni wyobraźnią nie mieli wątpliwości, że denatem jest Maciej Słonimski, urodzony w siedemdziesiątym ósmym, zamieszkały w Gdańsku, choć dość daleko od miejsca, w którym najprawdopodobniej dokonał żywota. Langer nie poskładała jeszcze wszystkich faktów. W drodze do trupa ponownie uruchomiła komórkę, skazując się na kilkuminutowy koncert wibracji. Spływały informacje o nieodebranych połączeniach, SMS-y i wiadomości z poczty głosowej. Tych ostatnich nigdy nie odsłuchiwała, wątpiąc, by ktokolwiek świadomie się na nią nagrywał. Ludzie natykali się na komunikat, automatyczny głos sekretarki albo tandetną muzyczkę i przerywali połączenie. Powinna zrezygnować z tej usługi, tak samo jak z idiotycznego dzwonka.

Gdy oddzwoniła do Siweckiego, spodziewała się gradobicia, lecz skończyło się ledwie na mżawce. Chyba

ze postawiła przed sobą barierę niwelującą wrzask inspektora. W końcu nagle i bez powodu schwytał ją deszczowy pies, spłycając jej oddech i przyprawiając o łomotanie serca.

Była pusta.

Pompujący krew mięsień dudnił w kruchej skorupie, niosąc ponure echo. Trzeci trup. Nie, żeby to właśnie przez niego znalazła się w tak paskudnym stanie, ale już z góry nienawidziła zarówno mordercy, jak i ofiary. Nienawidziła, ale jeszcze bardziej nie czuła do nich niczego. Żalu, współczucia, złości czy gniewu. Świat stał się jej obojętny.

Pielęgniarka, która wcisnęła jej własną komórkę, była młoda i niedoświadczona. Najpierw pozwoliła Siweckiemu się zrugać, potem podała mu prywatny numer, wreszcie, gnana strachem przed człowiekiem po drugiej stronie linii, przełamała opory i rzuciła telefon na łóżko Remberta. Wybiegła z sali, zanim zdążyli jakkolwiek zareagować.

Na wieść o kolejnym zabójstwie Orest całkowicie ozdrowiał. Momentalnie spakował rzeczy, zarzucił podartą kurtkę i wybiegł z oddziału, ścigając Langer. Po kwadransie siedział obok niej w aucie, pogrążony w głębokiej zadumie. Rewelacje Siweckiego na temat podsłuchów w domu Frydrycha wiele wyjaśniały. Właściwie w całości potwierdzały teorię Remberta.

– Co, do kurwy... – Langer przyhamowała, widząc kłębiący się tłum ludzi. – Każdy chce wrzucić na Facebooka zdjęcie ze zwłokami?

Zatrzymała samochód na zwirowej ścieżce, schowała do kieszeni paczkę papierosów i wysiadła. Natychmiast skierowało się w jej stronę kilka obiektywów kamer oraz gąszcz pik zwieńczonych kostkami rozgłośni radiowych.

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, czerwona kula słońca rozświetlała jedynie horyzont. Wśród drzew rozstawiono policyjne reflektory, wokół migały flesze aparatów i ekrany telefonów. Dwóch policjantów starało się odgrodzić teren, wdając się w bezsensowną pyskówkę z żądnymi sensacji fotografiami.

Chaos.

Tym słowem najlepiej można było opisać tę sytuację. Langer bez pardonowo przecisnęła się przez kłębiący się tłum, skinęła na jednego z funkcjonariuszy i weszła pomiędzy krzaki. Technicy zdążyli już rozłożyć namiot, co przyprawiło ją o ponure *déjà vu*. Spośród cizby policjantów wynurzył się Chojecki. Ruszył w jej stronę, przywdziewając maskę serdeczności.

– Inspektor nigdzie nie mógł cię złapać, więc mnie przypadła przyjemność nadzorowania czynności...

Choć wypowiedział to z teatralnym niesmakiem, nie sprawiał wrażenia przytłoczonego. Bryłował w tłumie, zadowolony z obecności mediów i uzbrojonych w aparaty gapiów. Langer założyła dłonie za plecy. Powinna już być

bezgranicznie wkurwiona, ale fala złości ledwie ją musnęła. Z dudnieniem rozlała się gdzieś poza nią.

– Jestem zobowiązana – odparła, kierując się w stronę namiotu. – Nie musisz się dłużej fatygować.

– Widzę, że uzdrowiłaś doktorka?

Nadkomisarz wskazał w stronę brnącego przez tłum Remberta.

– Chciał tu przyjechać, więc go podwiozłam.

– Nie powinien jeszcze posiedzieć w szpitalu? Z tym bandażem przynajmniej nie musi się martwić o odmrożenia bańki. Ale mimo to wygląda dość słabo.

– Nie jestem jego niańką. Zrób nam miejsce.

Langer obeszła Chojeckiego i zatrzymała się, czekając na psychologa. Nadkomisarz nic nie powiedział, choć przez jego twarz przemknął sarkastyczny uśmiešek. Trwający sekundę, może nawet krótszy, lecz wyraźnie skierowany do niej. Zignorowała go i zajrzała do namiotu.

– Damy radę wejść? – rzuciła w stronę technika.

Błysnął flesz aparatu. Dopiero po chwili mężczyzna opuścił go i odwrócił się w stronę Lizy. Chciał otrzeć pot z czoła, ale się powstrzymał. Rozciągnął rękawiczkę i nią strzelił.

– Wszyscy nie. Zapraszam pojedynczo. Od tej strony.

Wskazał kciukiem za siebie. Langer odsunęła się, niemal wpadając na Chojeckiego. Nawet na niego nie zerknęła.

– Idź ty. – Skinęła na Remberta. – Może podtrzymasz swoją niewiarygodną passę konkretów.

Psycholog bez słowa ruszył w stronę zwłok. Zatrzymał się kilka kroków od nich i kucnął, głośno wciągając powietrze. Lekko kręciło mu się w głowie, ale poza tym czuł się całkiem nieźle. Przynajmniej minęły mdłości i nawet żaloszny widok nieboszczyka nie mógł tego zmienić. Przez kilka minut pozostawał w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w sylwetce zamordowanego. Chłonał jej szczegóły, jakby za zadanie miał odtworzyć z pamięci każdy detal. Nie miał ze sobą ani notesu, ani telefonu, żeby móc cokolwiek zapisać. Mimo to był dobrej myśli. Wszystko pasowało jak ulał.

Podniósł się i rozejrzał po okolicy. Skupił uwagę na ścieżce, wzdłuż której zebrali się reporterzy, a następnie – na odległych światłach latarni. Detale miały znacznie. Nigdy nie lekceważył drobnostek.

W zadumie wykonał nieskładny ruch w kierunku technika i wyszedł z namiotu. Tak jak się spodziewał, odnalazł Langer przy samochodzie. Oparta o maskę, paliła papierosa. Na jego widok strzepnęła popiół i się wyprostowała. W półmroku wyglądała na starszą, niż była, ale mimo to w jej rysach tkwiła młodzieńcza zadziorność. Związane w kucyk włosy, wysportowana sylwetka, wypięta do przodu pierś. Do tego zaciśnięte zęby oraz przenikliwe spojrzenie. Wyglądała na

biegaczkę, która zaraz zdejmie okrycie i rzuci się do startu.

– Tym razem działał inaczej – odezwał się Rembert, stając obok. – Rozwalił koleśowi łeb, ale najpierw doszło do szarpaniny. Marynarka zdechlaka jest w kilku miejscach rozerwana i ma wyrwane guziki. Koszula też.

– Coś poszło nie tak? – Langer przydeptała niedopałek.

– Cios w głowę został zadany z boku, a nie od tyłu. Przydałoby się jeszcze ustalić kąt, ale wydaje mi się, że sekcja jest do tego niepotrzebna. Sprawca wcale nie przyszedł zabić. Obstawiam spotkanie, może nawet zupełnie kumpelskie, które – nie wiedzieć czemu – przerodziło się w awanturę.

– A awantura w zabójstwo i wydłubanie ze zwłok oka?

– Wydaje mi się, że jest pewna różnica. Choć nie można zaprzeczyć, że nasz sprawca jest zawsze przygotowany. Wybrał miejsce, przyszedł z nożem i być może z młotkiem, czyli dopuszczał możliwość takiego obrotu sprawy.

– Desperat?

– Raczej wyrachowany, zimnokrwisty sukinsyn, który wszystko planuje z wyprzedzeniem. Langer wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów, lecz zaraz ją schowała. Drżały jej dłonie.

– Gałka oczna została usunięta, podobnie jak ostatnim razem, choć sprawca działał w jeszcze większym

pośpiechu – ciągnął Rembert. – Może coś go spłoszyło, może czuł się mniej bezpiecznie niż w parku, nie wiem. W każdym razie te oczy...

Zawiesił głos, patrząc w bezgwiezdne niebo. Zbierał myśli.

– No? – Liza szturchnęła go w ramię. – Zaraz zostaniesz filozofem.

– Te oczy nie muszą być martwe – dokończył psycholog. – Tyle że zupełnie nie wiem, co to znaczy.

Langer zaśmiała się nerwowo. Wróżbiarstwo. Od początku powinna to wszystko traktować jako wróżbiarstwo. Obojętność nagle przerodziła się w złość. Komisarz obserwowała policjanta, który wdał się w kolejną utarczkę słowną z nacierającymi dziennikarzami. Szybkim krokiem ruszyła w jego stronę.

– Zabierzcie stąd tych ludzi. – Machnęła ręką, jakby chciała jednym ruchem przesunąć tłum. – Cholerne gnidy! Trafiliście na żyłę złota, co? Może rozłożymy tu czerwony dywan, żebyście nie pobrudzili wyglansowanych bucików?

Wyłączone kamery w jednej chwili rozbłysły światłkami. Zmieszany policjant pokręcił głową, dając znać, że ma wszystko pod kontrolą, ale Langer nie zwróciła na niego uwagi. Lampa błyskowa rozświetliła na moment jedną z twarzy w tłumie. Od razu rozpoznała te rysy. Żołądek przewrócił się jej do góry nogami, a wessany dym papierosowy zakłębił się w całym ciele.

Mięśnie nóg ugięły się pod nią, jakby tkanka zamieniła się w żelki.

To było niemożliwe, ale widziała Michała.

Swojego zmarłego Michała.

## 48.

Już. Dość. Nigdy się do tego nie przyzwyczai. Mimo fascynacji i spływającej ekstatycznie adrenaliny nigdy nie będzie mu się to podobało. Tego był pewny.

Przy pierwszych zwłokach kilkakrotnie mdliło go tak, że musiał odejść na bok i zebrać się do kupy. Spazmatyczne przełykanie śliny spłukiwało żółć. Dawało ulgę jak łyżka miodu na kaca. Przynajmniej u niego to się sprawdzało. Wrócił do rozbebeszonego trupa i dokończył robotę. Tak było trzeba.

Tak musiał.

Kiedy trafił na artykuł tego mąjącego ludziom w głowach pajaca, wszystko zrobiło się łatwiejsze. W tym przypadku to nauka czyniła mistrza. Teraz wiedział, że gałkę oczną można wydłubać nawet łyżką do opon. Potrzeba było trochę siły i punkt oparcia. Archimedes chciał się zabierać do dźwigania Ziemi, ale, delikatnie



mówiąc, przerosły go kwestie techniczne. W przypadku oka wystarczyło zaprzeć się o kość jarzmową, nacisnąć i to wszystko. Banał.

Rozległo się delikatne młaśnięcie, kość pękła z chrzęstem, a lśniąca, zakrwawiona kulka znalazła się na wierzchu. Cholernie istotne było wyrwanie nerwu w taki sposób, by nie uszkodzić całości. Operacja niewiele trudniejsza niż wydobycie żółtka z jajka. Choć znacznie bardziej ryzykowna.

Za każdym kolejnym razem mdłości były mniejsze. Wiedział jednak, że nigdy nie pozbędzie się ich całkowicie. Zapach krwi był jak zapach benzyny. Niektórych fascynował, a innych przyprawiał o torsje. On był w tej drugiej, pokrzywdzonej przez los grupie. Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jakby pracował na stacji benzynowej, a szef kazał mu tankować auta klientów. Nie mógł się od tego wymówić.

Wkrótce sam będzie panem swojego losu. Otaczali go pierdoleni nieudacznicy.

Odkroił kawałek krwistego steku. Duża ilość soku cytrynowego i wielogodzinne namaczanie minimalizowały przykry aromat. Liczył się smak. Powoli przeżuwał kęs, rozgniatając zębami pas ścięgna, wreszcie wypluł go na widelec i otarł o talerz. Złe obrobienie mięsa potrafiło odebrać mnóstwo przyjemności. Jedna żyłka marnotrawiła cały kawałek.

Wstał od stołu i nalał do szklanki wody z kranu. Przetarł flanelową szmatką marmurowy blat, napił się i wrócił do jedzenia. Nic nie smakowało tak dobrze jak stek z jeleniny. Krojone w poprzek włókien mięśniowych czerwone mięso zachowywało rozkoszną soczystość. Cały świat podniecał się stekami z ubitych krów, które smakowały jak przemielony papier toaletowy. Ogłuszone zwierzęta wieszano głową do góry, podrzynano im gardło, a pracujące do końca zdrowe serce wypompowywało z nich krew. To czyniło obróbkę łatwiejszą, ale też zabierało smak. Najdoskonalsze mięso pochodzi ze zwierzyny łownej, którą obrobiono na chwilę przed tym, jak zaczęła pośmiertnie tężeć. Tyle wiedział z doświadczenia. To go nie przerażało.

Mierziło go jednak, że nigdy się nie przyzwyczaił do widoku rozłupanych czaszek. Ale do zabijania już tak. Jak najbardziej.

Zdecydowanie.

\* \* \*

– Czyś ty całkowicie zwariowała? Najpierw mieszasz z błotem dziennikarzy, a potem tłuczesz jednego z gapiów?

– Był podobny do osoby, którą ścigałam.

– Niby do kogo? Kogo takiego, na Boga, wypatrzyłaś w tym tłumie?

Gdyby zgodnie z prawdą powiedziała, że swojego zmarłego narzeczonego, miałyby załatwiony transport do czubków. I to na sygnale. Tyle że sama nie była już tego pewna. Nadal jednak trzęsła się jak galareta. Choć deszczowy pies tym razem poharatał ją tak mocno, że niewiele pamiętała z całego zajścia.

Twarz Michała otoczoną ciemnym kapturem, przepychanie się przez tłum i sprint za kimś, kogo już pochowała. Zagubiła się wśród nienawistnych spojrzeń. Przez chwilę jej ja zawisło gdzieś poza ciałem, które pozostało pustą, bezduszną powłoką. Mogłaby z satysfakcją patrzeć na swoją śmierć, licząc, że zaraz wszystko zgaśnie i rozplynie się w wiecznym niebycie.

Deszczowy pies pędził za nią i kąsał jej łydki, a jednak nie czuła już bólu.

Chęć życia wróciła dopiero wtedy, gdy pochyłona zdierała kaptur z twarzy obcego mężczyzny. Nie był nawet podobny do Michała. Zapadnięte oczy, chudy sępi nos, cienkie wargi, cedzące przekleństwa. Albo okropnie się pomyliła, albo jej kontakt z rzeczywistością wisiał na postrzępionej nitce.

– To był błąd – powiedziała, spuszczać wzrok, ale nie w geście pokory, a po to, by zyskać chwilę skupienia. Wzór na terakocie rozpraszał ją w mniejszym stopniu niż purpurowa gęba Siweckiego. – Pomyliłam się, a moje publiczne żale nic już nie zmienią.

– Błąd? – Gdyby inspektor miał włosy, właśnie wrywałby je garściami. – To była katastrofalna wpadka! Nie mam na to słów!

– Więc może weźmy się do roboty, zamiast o tym rozmawiać?

– Co, proszę?

– Mam do przeczytania raporty, muszę jeszcze raz to uporządkować, potem...

– Myślisz, że dotkniesz jeszcze tego śledztwa? Powinienem cię wysłać w worku pokutnym na konferencję, żeby każdy mógł dać ci kopa w dupę. Jeśli rozdmuchają tę sprawę, zrobią z nas ubeków!

– I znowu jesteśmy „my”?

– O czym ty...

Siwecki westchnął z siłą miecha kowalskiego. Przejechał dłonią po klapie laptopa i wskazał na krzesło po drugiej stronie biurka. Langer szykowała się na długą dysputę, polegającą na wzajemnym przeciąganiu liny. Oboje wiedzieli, że jeżeli pęknie, potłuką sobie zadki, więc powinni być ostrożni. Kiedy usiadła, inspektor wyglądał już na spokojniejszego. Pewnie bał się, że Liza nagle zacznie odstawiać cyrki, rzucać się i wrzeszczeć jak opętana. Była jednak od tego cholernie daleka.

– Liza, pieprzyć to, co napiszą o całym zajściu – mruknął, pochylając się nad blatem. – Znamy się tyle lat...

– Jedenaście.

– Jedenaście, piętnaście, nieważne. Raz już widziałem, co się z tobą działo. Wtedy nie zareagowałem w porę i o mało nie skończyło się tragedią.

– Ze wszystkim sobie poradziłam.

– Najpierw nie było cię w firmie kilka tygodni, a potem zaharowywałaś się na śmierć. O mało się nie zabiłaś.

– Poradziłam sobie – powtórzyła, zaciskając dłonie na siedzisku. – Teraz jest lepiej.

– Nie. Nie jest. Dobrze o tym wiesz.

Może i wiedziała. Z całą pewnością jej zdolność działania przypominała sinusoidę. Przed kilkoma godzinami miała gdzieś całe śledztwo, a teraz była gotowa dać się przekląć, byle tylko je nadal prowadzić. Tak bywało. A świadomość, że musi się z tym uporać, utwierdzała ją w przekonaniu, że mimo wszystko było lepiej. Że deszczowy pies na chwilę się oddalił.

– Muszę dokończyć tę sprawę. – Poprawiła kucyk i zdecydowała się grać na litość. To też była jakaś taktyka. – Rozumie pan, że tylko to trzyma mnie w kupie? Zrobiliśmy postępy i skłładamy obraz w całość. Poza tym...

Siwecki pokręcił głową.

– Jak na osobę w depresji rzeczywiście mówisz optymistycznie.

Depresja? Słowo, którego miała definitywnie unikać. Słowo, które przemieniło się w futrzastego deszczowego

psa.

– Trzy trupy to postęp. – Inspektor chrząknął. – Tylko, kurwa, nie nasz.

– Rembert stworzył wiarygodny portret psychologiczny, na jego podstawie poszerzymy krąg podejrzanych i dorwiemy gnoja.

– Krąg podejrzanych? A mamy jakichś? Jeden nie żyje, a z drugim odwaliłaś dzisiaj szopkę. Coś taka zdziwiona? Myślałaś, że się nie dowiem? Nie jesteś przecież aż tak naiwna.

Wreszcie wiedziała, dlaczego Siwecki tak się pieklił. Zruganie dziennikarzy był w stanie jej odpuścić, próbę zatrzymania niewinnego człowieka też. W obu sprawach wystarczyło sprostowanie. Okrągła notka prasowa puszczona przez długorzęsą Łęczyńską. Chodziło mu tylko i wyłącznie o Frydrycha.

– Uznajmy, że ufam tobie i twoim ludziom. – Inspektor wsunął długopis pomiędzy palce. – Nie wiem, co chciałaś osiągnąć akcją u tego psychologa, i mam nadzieję, że nie pojechałaś go zamknąć, bo to by znaczyło, że się na mnie wypięłaś. A ja nie lubię być olewany, dlatego nie wnikam w całe to gówno. Ale niestety ktoś będzie musiał.

– Chojecki?

– Chojecki albo ktokolwiek inny. Tylko nie ty.

Langer zerwała się z krzesła i uderzyła otwartą dłonią w biurko. Siwecki nie miał pojęcia, co może grozić

Frydrychowi. Cały ten syf mogła uporządkować tylko ona lub Rembert.

– Nie zrobi pan tego. Nie jest pan na tyle małostkowy, żeby...

– Owszem, zrobię. Choćbyś uznała to za kolejny spiszek, nie mam wyjścia.

– Planowaliście to od początku.

– Weźmiesz urlop.

– Pieprzę to.

– Do tego zdasz broń i będziesz się trzymała z dala od komendy.

– Teraz to pan mówi jak niepoprawny optymista.

Liza uśmiechnęła się nerwowo. Była na samym szczycie sinusoidy.

## DZIEŃ SZÓSTY

### 49.

O dwudziestej trzeciej siedem Langer była już pewna, że czeka ją kolejna bezsenna noc. Czuła to. Lekarstwem mógł być calvados, lecz wciąż nie uzupełniła zasobów. Wino również wypięła do dna. Tabletki na nią nie działały. Połknięte w regulaminowych dawkach przynosiły jedynie znużenie, natomiast łyknięte w dawce podwójnej, owszem, usypiały, ale następnego dnia czuła się jak wrak człowieka. Albo i gorzej. Już zbyt wiele razy to przerabiała i wołała kaca.

Leżąc na łóżku, biła się z myślami. Chciała działać, chciała się wyspać, chciała krzyczeć... Wbrew logice, zdając broń, poczuła wolność. Wypadała z biurokratycznej maszyny hierarchicznego posłuszeństwa i mogła działać swobodnie. Tylko, o ile



w ogóle mieli rację, rodzinie Frydrycha jej wolność przydawała się jak łyżwy Beduinowi.

Nim ogarnęły ją wyrzuty sumienia, usłyszała cichy dźwięk za ścianą przyczepy. Szuranie? Skupiła na nim całą uwagę, ale odgłos się nie powtórzył. Wstała i ostrożnie podeszła do okna. Starając się, by jej sylwetka nie była widoczna z zewnątrz, przylgnęła do ściany. Delikatnie odchyliła roletę, lecz latarnia znowu zgasła. Na dworze panowała kompletna ciemność.

Szuranie się powtórzyło.

Tym razem bliżej drzwi.

Napięła mięśnie. Bezszelestnie przekradła się przez część sypialnianą, wzięła kuchenny nóż i przemknęła do pseudokorytarzyka. Jeżeli ktoś miał się włamać, wystarczyło, że solidnie kopnie w zamek. Jeżeli planował zrobić to teraz, musiał wiedzieć, że ona jest w środku. Dwa fakty, które nie brzmiały optymistycznie.

Raz kozie śmierć.

Ścisnęła nóż, odsunęła zasuwkę i pchnęła drzwi. W rozproszonym świetle dostrzegła skuloną sylwetkę. Liza była gotowa do natychmiastowego ataku, ale nawet w mroku biały bandaż nie pozostawiał złudzeń.

– Co ty tu robisz?

– Ubogi wędrowiec szuka schronienia – Rembert odezwał się pijackim głosem. – Okaż mu trochę dobroci! Nie każ stać w progu i marznąć w tak głuchą noc.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Kadry, układy, mam swoje sposoby. Właściwie mogłem powiedzieć, że wyczytałem to z twojego charakteru.

– Za późno.

Langer odsunęła się od drzwi i wpuściła psychologa do środka. W niewielkim korytarzu niemal się o siebie ocierali. Aby zrobić miejsce, cofnęła się do wnęki.

– No, no, jakie salony! Tyle że wypilem kilka kolejek wódki, a nie czuję, żeby mi było gorąco.

– Farelki włączam dopiero, gdy jest solidny mróz – wyjaśniła. – *Ergo*, z całą pewnością jest cieplej niż na zewnątrz.

Rembert w uznaniu wygiął usta i cmoknął. Langer schowała za plecami nóż. Wołała nie wyjść przed nim na desperatkę. Albo furiatkę.

– Możesz mi powiedzieć, czego chcesz? O tej porze normalni ludzie już śpią.

– To całkiem nieźle się dobraliśmy, co?

– Daruj sobie...

Rembert zatoczył się, starając nie wpaść na ustawione w rzędzie buty. Oparł się o drzwi do łazienki.

– Rozmawiałem z Siweckim – mruknął, roztaczając wokół woń alkoholu. – Bez komórek świat jest piękną sprawą, więc dopadł mnie w mieszkaniu... Ciągnął mnie za język, wypytując o Frydrycha. Zasłoniłem się tym, że leżałem w szpitalu, ale on już prawie wszystko wiedział.

Obstawiam, że ktoś mu uprzejmie doniósł albo na jego biurko trafił po prostu raport...

To się musiało stać prędzej czy później. Langer precyzyjnie się w głąb przyczepy. Rembert poczłapał za nią.

– Przede wszystkim interesował go powód naszych podejrzeń.

– Powiedziałeś mi?

– A właściwie dlaczego miałbym to ukrywać? Podobno nie prowadzisz już sprawy, więc...

Langer miała ochotę chwycić najbliższą ciężką rzecz i walnąć nią w zabandażowany łeb psychologa. Tyle że właściwie postąpił słusznie. Jeżeli jego przypuszczenia co do rodziny Frydrycha były prawidłowe, sama zmarnowała kilka godzin ich życia. Nie podjęła żadnego działania. Nie opracowała nawet załączka planu. Rzuciła się na łóżko, a Rembertowi wskazała opuszczane siedzisko.

– Przesłucha go? – zapytała, choć znała odpowiedź. – Zaryzykuje życie niewinnych ludzi, byle dopaść tego gnoja?

– Zapewne tak.

– Tyle że Frydrych nie będzie mu do niczego potrzebny. Już teraz sprawca nie ma żadnego powodu, by ich zabijać.

Rembert usiadł i podciągnął kolana, żeby nie uderzać o szafkę naprzeciwko. Przyłożył wierzch dłoni do czoła, po

czym poluzował bandaż. Na skórze miał odcisniętą czerwoną linię.

– O ile zabijanie nie stało się dla niego powodem samym w sobie – skwitował ponuro. – A mam wrażenie, że to całkiem możliwy scenariusz.

– Niby dlaczego?

– Chociażby dlatego, że pierwszą ofiarę dorwał w mieszkaniu, a dwie kolejne w miejscach publicznych.

– I o czym to świadczy, detektywie?

– Na przykład o tym, że nie potrzebuje już osłony i godzi się na pewne ryzyko. – Rembert obrócił się, po czym założył nogę na nogę. Ledwie się mieścił. – Ale zdaje się, że zasmakował w samym zabijaniu, lecz nie w makabrze. To jakiś plus.

– Taki, że jeśli kogoś zabije, to przynajmniej go nie poćwiartuje? – Langer przesunęła drzwiczki szafki. – Napiałabym się. Mam ochotę odciąć się jak po maturze, ale skończyło mi się źródółko. Do tego, gdy patrzę na ciebie, to mam żywą przestrozę przed chlaniem.

Rembert rozłożył ręce niczym kapłan.

– To, co chciałabyś mi powiedzieć po pijaku, powiedz na trzeźwo.

– O czym ty mówisz?

– Dziś kilka razy zbierałaś się, żeby coś powiedzieć. – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Szło ci, jakbyś przerzucała gruzowisko, ale próbowałaś zmieniać temat.

– Masz jakieś pokręcone teorie...

– Sama wiesz najlepiej, jak bardzo.

Langer oparła się plecami o ściankę przyczepy. Była izolowana najnowocześniejszymi materiałami, lecz wydawała się żałośnie krucha. Liza miała wrażenie, że jeśli naprze na nią z nieco większą siłą, to wyleci na drugą stronę. Poprawiła kitkę i przygryzła wargę.

– Miałam narzeczonego – powiedziała, ledwie otwierając usta. – Rok temu zginął w wypadku samochodowym.

– I właśnie o tym chciałaś mi opowiedzieć?

– Czasem odwiedzam jego zdemenciałą matkę. To naprawdę miła kobieta...

Zastanowiła się nad kolejnością wydarzeń, ale po chwili historia popłynęła własnym rytmem. Opowiadała ją szybko i rzeczowo, jakby wydarzenia dotyczyły kogoś całkowicie obcego. Jedynie na wzmiankę o zdjęciach i notatniku jej głos się załamał, lecz zaraz ponownie stał się obojętny i ostry. Mówienie przynosiło jej ulgę. Przeganiało deszczowego psa jak kopniaki.

Kiedy zamilkła, Rembert poruszył się i położył dłoń na jej kolanie. Obrócił się tak, że odległość dzieląca ich twarze przekraczała granicę intymności. Rozbudzała przyjemny dreszcz niedopowiedzenia. Byli od siebie zbyt daleko. Zarazem byli zbyt blisko.

– A dzisiaj wydawało ci się, że widziałaś swojego narzeczonego w tłumie ludzi? – zapytał, delikatnie zaciskając palce na kolanie komisarz.

– To był ułamek sekundy...

– A jednak przypisałaś komuś jego twarz.

– Mój terapeuta mówił, że niewłaściwie przeżywam żalobę. Grzebał mi w mózgu, ale zdobył się tylko na kilka farmazonów.

– Tak jak ja, prawda?

Rembert rozluźnił dłoń i poklepał ją po kolanie.

– Tego nie powiedziałam.

– Zrobiłaś to już tyle razy, że zastanawiałem się nad przyczyną.

– I nic na to nie powiesz? – Langer nagle podciągnęła nogi na łóżko. Zauważyła, że Rembert wodzi po nich wzrokiem. Sprawilo jej to niespodziewaną przyjemność. – Martwi cię to, co mówię, ale nie jesteś w stanie wydusić niczego o tym cholernym liściku albo o tym, po jaką cholere temu sukinsynowi były moje zdjęcia?

Razem z ciszą przyszło opamiętanie. Nabrała powietrza i oparła głowę o ściankę. Materiał głucho zadudnił.

– Przepraszam. To znowu...

Rembert lekceważąco machnął dłonią. Założył ręce na piersi i przymknął oczy.

– Musiał się o tobie wiele dowiedzieć – odezwał się tonem jeszcze pewniejszym niż wcześniej. – To podświadome reakcje, którymi łatwo pogrywać. Napisanie listu, przywołanie przeżyć osobistych, bla, bla,

bla... Ten człowiek żongluje tożsamościami i wie, jak to robić.

– Nie namęczył się zbyttnio.

– I o to chodzi. Ale to broń obusieczna, bo sam stosuje ten mechanizm również wobec siebie. Umyślnie ukrywa swoją osobowość. Za Gawlikiem, za Frydrchem, a nawet za twoim zmarłym narzeczonym... Ukrywa się za kolejnymi tożsamościami, bo dzięki nim jest niewidzialny. Przynajmniej tak mu się zdaje.

Langer zassała w ustach powietrze. Coś przyszło jej do głowy. Musiała tylko pochwycić tę myśl i ustawić na...

– Masz swoje momenty, Oreście! – krzyknęła, rzucając się do postawionego na szafce laptopa. – Rzadko, ale masz.

## 50.

Konstanty Frydrych siedział naprzeciwko inspektora Siweckiego. Nieco bardziej z boku usadowił się Chojecki, który jednak przybrał najbardziej otwartą pozę ze wszystkich obecnych. Jako jedyny był wyprostowany, ręce położył na kolanach, a ramiona ściągnął do tyłu. Nawet się delikatnie uśmiechał. Dwaj pozostali mężczyźni pochylali się, splekli ręce na piersiach

i obrzucali się nieufnymi spojrzeniami. Na razie wymienili jedynie kilka zdawkowych zdań, po których atmosfera stała się jeszcze cięższa niż wcześniej. Taka była metoda Siweckiego.

Przesłuchanie nagrywano, ale nikt go nie protokołował. Właściwie stanowiło luźną pogawędkę, niemającą żadnej proceduralnej podstawy. Jednak nadanie jej choćby pozoru formalności, zdaniem inspektora, zaoszczędzało czasu. A w tej sytuacji, jak mawiał, czas był jak starszy brat. Dawał popalić.

– Chciałbym rozmawiać z komisarz Langer...

Siwecki sapnął. Ten człowiek myślał, że komisariat to koncert życzeń.

– Komisarz Langer została odsunięta od sprawy.

– Dlaczego?

– A dlaczego to pana interesuje?

Frydrych tylko wzruszył ramionami i wbił wzrok gdzieś za plecami inspektora. Miał podkrążone, zapuchnięte oczy. Naciągnięta na kościach policzkowych skóra przybrała szary odcień, a rozszerzone pory nadawały mu piaskowej gradacji.

– Interesuje mnie, dlaczego tu jestem – odezwał się wreszcie. – Myślałem, że wszystko już wyjaśniłem. Nocne przesłuchania to ponoć symbol poprzedniej epoki.

– Za tak późną porę muszę pana przeprosić. Niestety, nie mieliśmy wyjścia.



– Niby dlaczego? Mam nadzieję, że żaden z sąsiadów nie widział, jak w środku nocy przyjeżdża po mnie oświetlony jak choinka radiowóz. W moim zawodzie liczy się przede wszystkim reputacja, a panowie...

Siwecki rozstawił szeroko nogi i pochylił się jeszcze mocniej. Jego przydługi krawat omal nie zamiótł podłogi.

– Niech się pan uspokoi – odezwał się pojednawczo. – Nerwami nic nie zdrałamy.

– Więc, do cholery, proszę mi to wyjaśnić!

– Do tego przecież zmierzam. – Siwecki uśmiechnął się poufale. – Wiemy o pańskiej rodzinie. A przynajmniej chcemy, żeby pan to potwierdził.

Frydrych przygryzł usta. Po chwili otworzył je, jakby brakowało mu tchu. Przypominał pacynkę z teatrzyków dla dzieci, ale nie odezwał się za niego żaden głos. W pomieszczeniu zapanowała cisza, którą wreszcie przerwał inspektor.

– Ma pan na sobie podsłuch? – zapytał łagodnie. – Proszę się niczego nie obawiać. W tym pomieszczeniu nie ma prawa działać.

– Mam... – Frydrych machnął dłonią w okolicy piersi. – Jest pan pewny?

– W stu procentach. Nie myliłem się, podejrzewając, że pańska rodzina została uprowadzona?

– Nie.

– Kiedy?

– Pięć dni temu.

– Widział pan porywacza?

– Nie. Nigdy...

– Jak się z panem kontaktował?

Psycholog przetarł oczy i zacisnął zęby, powstrzymując drżenie podbródka.

– Mailowo – odezwał się po chwili. – Raz kazał mi opuścić na kilka godzin dom, a kiedy wróciłem, znalazłem w kuchni to cholerne urządzenie. Była przy nim kartka, która... – Załamał mu się głos, ale po chwili mówił dalej. – Boże, on dawał słowo, że to się skończy...

– Kiedy? – Siwecki i Chojecki wymienili ukradkowe spojrzenia. – Co miał pan zrobić?

– Nakłonić jednego z pacjentów do przyjęcia pieniędzy. Formy pożyczki... Torbę z nimi również zostawił u mnie w mieszkaniu.

– Tylko tyle?

– Co: tylko tyle?

– Tylko tyle miał pan zrobić?

Frydrych schował twarz w dłoniach. Do ostatniej chwili spodziewał się, że domyślają się tylko części prawdy. Dziwne, że ludzie nawet w takich sytuacjach potrafią się martwić głównie o własną dupę.

– Nie – odezwał się z pięścią tuż przy ustach. – Miałem pobudzić u niego pewne zaburzenia. Z racji plastycznej osobowości było to łatwe i możliwe w krótkim czasie.

– Jak krótkim?

– Właściwie w ciągu dwóch spotkań...

– Bez żadnych środków, leków czy innego gówna?

Frydrych pokręcił głową. Siwecki uznał, że w tej chwili nie ma sensu dociekać szczegółów. Pozostając w temacie gówna: najpierw należało odpompować jedno szambo, a dopiero potem zająć się drugim. Ruszanie dwóch jednocześnie groziło rozwolnieniem tematów.

– Kiedy porywacz kontaktował się z panem po raz ostatni? – Nieoczekiwanie pałeczkę przejął Chojecki. Niezły moment, jeżeli chciał odegrać dobrego glinę, którego przede wszystkim interesuje los porwanej rodziny.

– Wczoraj rano – odparł Frydrych ledwie słyszalnym głosem. – Napisał, że muszę być jeszcze przez chwilę cierpliwy. To źle? Myślą panowie, że...

Sploszony popatrzył po obu policjantach. Siwecki podniósł się z krzesła i obszedł je, zatrzymując się za nim. Zacisnął dłonie na oparciu.

– Niech pan robi wszystko tak, jak do tej pory – powiedział stanowczo. – Od kilku godzin jest pan pod naszą obserwacją, choć nie przypuszczam, żeby porywacz zaatakował. Proszę też nie zdejmować podsłuchu, zrobimy to tak, jakbyśmy się nigdy o nim nie dowiedzieli. A przede wszystkim nasi specjaliści zajmą się pańską skrzynką mailową.

– Namierzają go?

- To fachowcy – odpowiedział mu wykrętnie Chojecki.
- Ale musimy zapytać o jeszcze jedno...

Spojrzał na Siweckiego, lecz inspektor nie odwrócił się w jego stronę.

– Tak?

– Czy dostał pan jakikolwiek dowód na to, że po porwaniu pańska żona i córka nadal żyły?

Frydrych zamknął oczy i i objął się. Nie musiał odpowiadać.

\* \* \*

– Skąd się znasz z Siweckim? – Langer zapytała niby mimochodem.

Istniał kategoryczny zakaz logowania się w policyjnej bazie danych z prywatnych komputerów, ale miała go gdzieś. Czekaając na załadowanie strony, obgryzała skórki wokół paznokci.

Rembert odciągnął bandaż od czoła.

– Potrzebowałem danych do doktoratu. Przez lata pracowałem na sucho, całkowicie teoretycznie, i chciałem się zetknąć z prawdziwym mordercą. W Gdańsku rocznie dochodzi do kilkunastu zabójstw, ale sama wiesz, jaka jest większość.

– Libacje i narkotyki... Nic ciekawego.

– No właśnie. Ale wtedy szukano sprawcy pozorowanego samobójstwa. Przynajmniej sprawiał

wrażenie inteligentniejszego niż menel z papierosowo-alkoholową papką zamiast mózgu.

Langer wiedziała, do czego pije. Fakt, nie zapaliła od dobrych kilku godzin.

– I Siwecki ci pomógł? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Dopuścił cię do sprawy? Proszę cię, znam tego człowieka... Nauka interesuje go tak bardzo, jak mnie górnictwo.

– No dobra, miałem pewne wsparcie. Można powiedzieć, że mój promotor jest jego przyjacielem z piaskownicy.

– Polska, co nie? Ale dzięki za szczerość.

– Myślisz, że gdziekolwiek indziej wygląda to inaczej?

Langer nie odpowiedziała. Wpatrzona w ekran, otwierała kolejne okienka i wpisywała coraz wymyślniejsze hasła. Przydałby się jej Walemba z wrodzoną wirtuozerią komputerowego maestra wygrywający na klawiaturze magiczną melodię. Najgorzej, że musiała korzystać z programów działających on-line. Te zainstalowane na policyjnych serwerach pracowały znacznie szybciej, ale nie miała pojęcia, jak się do nich dostać. W świecie informatycznych rekinów nie była nawet planktonem.

– Powiesz mi wreszcie, czego szukasz? – Rembert nie miał możliwości podejrzeć, co robi Langer. Trzymała laptopa na kolanach. Żeby na niego zerknąć, musiałby

chyba wyjść z przyczepy. – Zaczynam trzeźwieć i znów pęka mi głowa...

– Wspomniałeś o ukrywaniu tożsamości.

– I co z tego?

– Osoby ukrywające tożsamość zazwyczaj tracą wszelkie kontakty, zmieniają sposób życia, urywają znajomości...

– Robią operacje plastyczne, tyją lub chudną – kontynuował Rembert. – To wszystko wiem.

– Do tej pory opieraliśmy się tylko na policyjnych bazach danych i niby tyle wystarczało. Zidentyfikowaliśmy ofiary, moglibyśmy dać im świadectwa chrztu, zgonu... – Langer mówiła coraz mniej składnie. Wpatrywała się w ekran, nawet nie mrugając. – Tyle że tak naprawdę powinniśmy skupić się na jeszcze jednej opcji, która wydaje się całkowicie durna, choć powinna być standardową techniką...

– Halo! Nie odpływaj!

– Czekał. Ładują mi się wyniki...

Cholera, patrz! – Langer jak rażona piorunem odwróciła laptopa w stronę psychologa. – Uwierzyłybyś w to?

Langer nie traciła czasu. Natychmiast wybrała wskazany numer, wzbudziła popłoch rozmówcy i mimo że już minęła północ, oświadczyła, że za kilkadziesiąt minut przyjadą z nią porozmawiać. Dokonała przy tym pewnego nadużycia, określając czynności jako „policyjne rozeznanie”. Formalnie właśnie rozpoczęła przymusowy urlop, a Rembert był jedynie cywilnym asystentem. Z ich perspektywy detale nie miały znaczenia. Jeśli chciała się uwolnić od deszczowego psa, musiała działać. A kiedy kundel zniknie, będą mogli ją dyscyplinarnie wysłać nawet do Afryki.

Dziękowała przezorności, która sprawiła, że nie tknęła alkoholu. No dobra, przezorność nazywała się pustym barkiem, ale przynajmniej nic nie podkusiło jej, by pojechać na stację. To całodobowe stacje benzynowe, a nie sklepy monopolowe, stanowiły prawdziwy napęd polskiego alkoholizmu.

– Już się nie patrz jak ciełę na malowane wrota – mruknęła, wyjeżdżając z zatoczki pola kempingowego. – Rozpraszasz mnie.

– Należy mi się chociaż informacja, gdzie jedziemy.

– Cel to Wielki Kac.

– Masz na myśli gdyński Kack?

Skinęła głową. Wyjechała na główną trasę i przyspieszyła. Uchyliła szybę, wpuszczając do środka zimne nocne powietrze. Potrzebowała nagłego

orzeźwienia. Po nieprzespanej nocy i niemal całej dobie spędzonej na nogach trybiki jej mózgu zaczynały niebezpiecznie jęczeć. Zazębiały się znacznie gorzej, a stary, gęsty olej zlepił wprawdzie neurony do kupy, ale zaczynał trącić spalenizną.

Deszczowy pies, oczywiście, tylko na to czyhał.

Jedną ręką wyciągnęła papierosa, włożyła go do ust i odpaliła.

– Pierwsza ofiara, Nowacki, pamiętasz? – rzuciła, gdy pęd powietrza zawiął kłęb dymu na tył auta.

Rembert również chciał opuścić szybę, ale mechanizm był zablokowany. Nie wiedział, czy to usterka, czy Langer włączyła blokadę dziecięcą. Oparł głowę o zagłówek i przymknął oczy.

– Trudno by było zapomnieć.

– Chodzi mi o to, czym się zajmował, kim był i tym podobne.

– Niewiele się o nim dowiedzieliśmy.

– Właśnie. Wyjechał do Anglii, gdzie oficjalnie pracował jako programista. Przypuszczam, że przez większość czasu zdalnie. Dlatego to nasz *Mr Nobody*.

– Bo siedział w domu i nie wychodził? Jak prawdziwy informatyk popijał colę, zagryzał czipsami i od czasu do czasu robił przerwę na masturbację?

– Nie – odparła cierpko Langer. W jakiś sposób każdy żart z programistów obrażał również pamięć jej Michała. Nie lubiła tych docinków o brudnych bluzach i grach



komputerowych. – Zdaje się, że miał trochę bardziej skomplikowane życie.

– Przerwa na internetową randkę?

– Też nie. Przerwę stanowiło samo bycie Nowackim.

– Hę?

Włączyła radio. Puszczona na full muzyka zagnała neurony do roboty.

– Rejestr karny to tylko jedna strona medalu! – ledwie przekrzykiwała zawodzenie Johnny’ego Casha. – W bazie zaginionych program wyszukał niemal identyczną osobę.

– Niemal?

– To, o czym mówiliśmy. Nieco grubszą, z innym zarostem... A przede wszystkim z innym imieniem. Rok temu zgłoszono zaginięcie Olgierda Starskiego.

– Aleksander Nowacki, Olgierd Starski. Dostrzegam podobieństwo.

– Poszukuje go niedoszła żona, ale fundacja zaginionych nie zdobyła żadnych dodatkowych danych. Jak widać, i ta babka niewiele wiedziała o swoim lowelasie. Właściwie tylko tyle, że był ochroniarzem.

– A to ciekawe...

– No nie?

Jeszcze ciekawiej zrobiło się, gdy kilkanaście minut później weszli do przestronnego mieszkania, przeszli króciutkim korytarzem i zasiedli przy marmurowym kuchennym stole. Gabriela Bogucka była kobietą, na której czas zatarł już niewinność młodości, ale starość nie

zdążyła jeszcze wyryć zbyt wielu rys. Miała na sobie krótki, może nieco za krótki, aksamitny szlafrok, na który pruderyjnie zarzuciła sweterek. Musiała na nich czekać, bo nie wyglądała na wyrwaną ze snu, a na twarzy miała lekki makijaż.

– Czy wy wiecie... wiedzą państwo – odezwała się, kiedy wszyscy pochyli się nad stołem – coś o Olgierdzie?

Langer ze zgrzytnięciem przysunęła krzesło do stołu i wyjęła z kieszeni telefon.

– Proszę wybaczyć nam porę, ale od razu przejdę do sedna.

– Oczywiście! Niech pani mówi. –

Niepokój rozszerzył źrenice Boguckiej.

– Proszę zerknąć. – Liza odblokowała komórkę i wybrała zdjęcie Aleksandra Nowackiego ściągnięte z rejestru karnego. – Czy to pani narzeczony, Olgierd Starski?

Bogucka wzięła aparat, jakby wykonano go z najdelikatniejszej porcelany. Przez chwilę patrzyła w ekran, po czym przeniosła wzrok na Langer i z powrotem na telefon.

– Tak – odparła, czekając na informacje. – Jezu, tak, to on. Znaleźliście go?!

Komisarz szturchnęła pod stołem Remberta. Nie mogli powiedzieć, że jej chłopak nie żyje. Rok temu ją porzucił, a teraz pojawił się znikąd i został zaszlachtowany. Złe początki urywają wszystkie tematy.

– Zbieramy o nim informacje – powiedziała oględnie. – Staramy się ustalić pewne fakty.

– Jakie fakty?

– Czy pan Starski mówił coś pani o pracy w Anglii?

– Słucham? O jakiej pracy w Anglii?

Langer powstrzymała się przed triumfalnym spojrzeniem na Remberta. Układanka spinała się jak zamek błyskawiczny. Kolejne ząbki wskakiwały na swoje pozycje.

– Czy mówi coś pani nazwisko Hebner?

Przez twarz Boguckiej przemknął grymas złości.

– Kaśka Hebner? Oczywiście! Była przyjaciółką Olega. Czy oni, to znaczy, czy ona... Od początku wiedziałam, że...

– Nie, to nie tak. – Rembert włączył się do dyskusji. Łagodzenie rozmowy na pewno nie było domeną Lizy. – Interesuje nas sama znajomość, nie insynuujemy niczego więcej. Ustalamy krąg znajomych zaginionego.

– Ale ta pinda utrzymuje, że nie miała z nim kontaktu, odkąd zniknął!

– Wcale tego nie kwestionujemy, po prostu...

– Wiedziałam, kurwa, wiedziałam! – Bogucka wstała od stołu i podeszła do okna, jakby to pomagało jej lepiej oddychać. – Od początku te dziwne spotkania, dziwne dzielenie czasu, że niby planują biznes, że niby to tylko znajomość! Niech ją cholera!

Rembert wymienił z Langer ukradkowe spojrzenia. Opuścił dłonie na stół i przeciągnął nimi tak, by zwrócić uwagę Boguckiej. Ta jednak się nie odwróciła. Jej ramiona zadrżały, a kark napiął się, uwydatniając kręgosłup.

– Proszę tak nie myśleć, nie mamy żadnych informacji, by...

– Maciej Słonimski – przerwała mu Langer. Cios zadany bezpośrednio po poprzednim bywał najbardziej humanitarny. Jak dobijanie zwierząt rażonych prądem. – To kolejna osoba, która mogła mieć kontakt z pani narzeczonym.

Bogucka pociągnęła nosem i podeszła do zlewu. Opłukała dłonie, po czym zwilżyła twarz.

– Trzymali się razem – powiedziała nieco spokojniej. – Spotkałam się z nimi dosłownie kilka razy, ale Oleg miał z nimi stały kontakt. Widywali się, niby omawiali ten biznes. To miała być niespodzianka, którą poznam w dniu ślubu czy coś. Przynajmniej tak mi obiecywał...

Przyłożyła dłoń do nosa i przymknęła na chwilę oczy. Mimo wszelkich starań po jej policzku pociekła łza. Langer odczekała, aż kobita się uspokoi. Tłumienie ostatniej iskiej nadziei, niestety, nie było humanitarne. Przynajmniej nie teraz.

– Mogłaby mi pani dać ich numery telefonów? – zapytała, kiedy Bogucka wróciła do stołu i usiadła, nieco

zbyt mocno odsłaniając udo. – Hebner, Słonimskiego i pani narzeczonego?

– Nie wiem, czy wszystkie mam...

– Bardzo by to pomogło.

– Proszę zaczekać.

Kobieta ponownie się podniosła i poszła do korytarza. Zawinięty szlafrok odsłonił dolną część jej pośladka. Jednak we wzroku Remberta było współczucie, nie zainteresowanie. Wróciła po kilku minutach z telefonem w jednej dłoni i kartką papieru w drugiej.

– Zapisałam je. Oczywiście, nie wiem, na ile są aktualne. Numer Olega został zdezaktywowany miesiąc po tym, jak zgłosiłam zaginięcie...

Langer podziękowała i schowała karteczkę do kieszeni. Numery często bywały jak nić Ariadny, po której można dojść do jądra sprawy. W każdym razie choć Tezeusz uciekał w drugą stronę, zasada była podobna.

Z trzech strzałów na razie wszystkie były trafne. W punkt. Tak mówią sędziowie na zawodach. W zasadzie należałoby uznać, że przy składaniu się do pozycji strzeleckiej nieco oszukiwała. Korzystała z podpórki w postaci analizy dokonanej przez Remberta i ustalonych wcześniej faktów. Drobne oszustwa. Przy czwartej próbie musiała oderwać się od bezpiecznych schematów i przyłożyć oko niedaleko kominków. Chmurka prochu i rozerwana miedziana blaszka mogły ją zranić.

Ryzykowała, ale pytanie już formowało się w jej ustach.

Odwlekając jego zadanie, przełknęła kilka razy ślinę. Robienie z siebie idiotki niczego nie mogło zmienić.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć – zawiesiła głos, przełamując wewnętrzny opór – czy kojarzy pani, by wśród znajomych Starskiego był Michał Kasprzycki?

Odpowiedź była błyskawiczna.

– Nie. Jego nie kojarzę.

Komisarz zalała fala ulgi. Jednocześnie w jakimś ponurym zakątku umysłu poczuła rozczarowanie. Gnana jego świszczącym batem, ponownie odblokowała komórkę. Nie zważała na zaskoczone spojrzenie Remberta.

– Gdyby mogła pani jeszcze zerknąć na to zdjęcie...

Bogucka była coraz bardziej zniechęcona rozmową. Postawiono jej same pytania, nie odpowiadając na to jedyne, które zadała. Nie była głupia i na pewno przez cały czas zastanawiała się nad prawdziwym powodem wizyty pary policjantów. Nie znając go, traktowała ich coraz mniej uprzejmie. Znudzonym wzrokiem zerknęła na ekran. Po chwili chwyciła dłoń Langer i przysunęła telefon bliżej siebie.

– Kojarzę go – bąknęła, wzruszając ramionami. – To informatyk czy tam elektronik, prawda?

Dłoń Langer zadrżała. Natychmiast ją cofnęła i schowała telefon. To trafienie w punkt zakreśliło

gwałtownie jej zołądkiem, jakby oberwała rykoszetem. Rembert przytknął palce do ust. Szykował się, aby wyręczyć Lizę w dalszych pytaniach, lecz ta szybko zebrała się w sobie.

Deszczowy pies pisnął i podkulił ogon.

– Widziała go pani?

– Tak. Raz lub dwa.

– Był jego przyjacielem? Znajomym?

– Załatwiał jakieś sprawy związane z tym hucznie zapowiadany biznesem. Nie mam pojęcia jakie.

– Niczego pani nie pamięta? Tematu rozmowy? Miejsca?

Bogucka poprawiała koronkowy sweterek, jakby nagle poczuła się skrępowana. Dla zneutralizowania tego wrażenia założyła nogę na nogę.

– Spotkałam go z Olegiem przypadkowo, na spacerze – wyjaśniła nieco ożywiona. – W ogóle rzadko wychodziliśmy razem, dlatego... Zresztą to bez znaczenia. Oleg był wtedy zupełnie rozkojarzony i nie przedstawił nas sobie. Zamienili kilka słów, a potem, kiedy szliśmy dalej, powiedział, że właśnie kończy się tworzyć filtr przeciw kłótniom współników. Brzmiało to tak głupio, że utkwilo mi w pamięci.

– Filtr przeciw kłótniom? – Rembert starał się patrzeć na twarz Boguckiej. Kobieta była dość odsunięta od stołu, by nie tylko oczyma wyobraźni mógł zobaczyć kędzierzawą czerń jej łona. – Wyjaśnił, co to?

– Nie powiedział niczego więcej.

– Nie dopytywała pani?

– Oczywiście, że tak, ale jak zwykle uciął temat.

Dowiem się wreszcie, jaki jest powód tej rozmowy?

Bogucka stała się drażliwa. Oczekiwała konkretnej odpowiedzi i nie zamierzała dać się zbyć.

Umysł Langer pracował tak intensywnie, że jej udział w rozmowie ograniczał się jedynie do wykonywania wymuszonych gestów, niczym nieudolny statysta. W końcu przerwała coraz mniej uprzejmą wymianę zdań i wstała od stołu. Rembert natychmiast zrobił to samo, wylewnie dziękując Boguckiej za wszelką pomoc.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami, Langer jeszcze raz popatrzyła na kobietę w smutnym okresie życia. Jasny sweterek i delikatny makijaż stanowiły tylko maskę nałożoną na pustą fasadę.

– Olgierd Starski nigdy nie istniał. – Ledwie otwierając usta, wyciosała pierwszą deskę jej trumny. – Przypuszczamy, że stała się pani tylko przykrywką dla zupełnie innego życia tego mężczyzny. Przykro mi.

Prawda była bolesna. Ale w tym momencie stanowiła też gest miłosierdzia. Langer nie mogła oprzeć się myśli, że z tą kobietą łączy ją wiele wspólnego.

Zbyt wiele, by dłużej ją okłamywać.



Ryzykowała wszystko. Wskazanie na nowe dowody i nienadmienienie w rozmowie z prokuratorem o przymusowym urlopie groziły katastrofą. Ta katastrofa była jednak pieśnią przyszłości. Szlag mógł trafić sprawę znacznie wcześniej. Poza tym Langer była coraz bardziej pewna, że w ten sposób wyrzuci ze swojego życia deszczowego psa. Może na zawsze.

Nawiedziła ją podskórna obawa, że sprawca mordów bierze właśnie nogi za pas nie tylko z kraju, lecz także z tego inwigilowanego do cna kontynentu. Oczywiście, w przyjemnym towarzystwie kilku milionów złotych. O ile te już wcześniej nie udały się w podróż elektronicznymi kanałami transferów.

Na biurokrację nie było jednak metody. Logowania numerów, które dostała od Boguckiej, mogła poznać najwcześniej za kilkadziesiąt godzin. To było czyste marnotrawstwo czasu.

Zwróciłaby się do Walemby, ale nie chciała, by aspirant wplątał się przez nią w sieć nieprzychylności. Ostracyzm był chorobą roznoszącą się drogą kropelkową, a ona została jej nosicielem. Lepiej, żeby trzymała się na uboczu.

– Skąd on ich znał? – wypowiedziała pytanie, które jak walec przetaczało się po jej głowie. – Filtr przeciw

kłótniom, zabawne, co?

Odwróciła się do Remberta, ale na jej twarzy nie było uśmiechu. Zielonkawe światło deski rozdzielczej jeszcze mocniej wyostrzyło jej rysy. Przypominała sępa skupionego na wypatrywaniu zdobyczy z góry.

– Może to zwykły przypadek? – Rembert w zamyśleniu wodził paznokciem po pasie. – Niby nic nadzwyczajnego...

– W półmilionowym mieście to wykurwisty przypadek.

– Nigdy nie słyszałaś o tych ludziach?

– Nie.

– W takim razie mogła ich łączyć czysto biznesowa relacja. Nie ma się nad czym głowić.

Langer nie była przekonana. Zbiegi okoliczności i zbiegowie z więzienia mieli cechę wspólną – trafiali się cholernie rzadko, a do tego zazwyczaj ktoś im pomagał.

– A jeżeli Michał... – Urwała w pół zdania, hamując przed progiem zwalniającym.

Rembert puścił pas i położył dłonie na udach.

– Myślisz, że też ukrywał swoją tożsamość? – Pokręcił głową. – Przecież poznałaś jego matkę.

– Nie przede mną. Przed nimi.

– To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego ta panienska nigdy nie słyszała jego nazwiska.

– Właśnie. W pieprzony punkt.

– Zarazem: myślisz, że ryzykowałby taką zabawę w jednym mieście?

– Chodzi ci o to, że nie wyleciał do Anglii? Może... – Sapnęła, nabierając powietrza. – Może to przeze mnie tu został.

– Nie. – Rembert był pewny swego. – Jeden Nowacki nam wystarczy, a ty dokonujesz projekcji podejrzeń.

– Srekcji. Przestań mnie analizować.

– To nie analiza, tylko zwykłe spostrzeżenie.

Langer wyciągnęła papierosa, ale zaraz rzuciła go do schowka.

– Nowacki zaginał rok temu – mruknęła. – Był ochroniarzem, do tego w sprawie jego śmierci pojawiają się pieniądze ze skoku na bank. To też jest projekcja?

– Powiedziałbym, że recepta na przesrane życie. Ale to moje zdanie.

– I tylko tyle?

– Niby co ma z tym wspólnego twój narzeczony?

– Ten sam czas, te same okoliczności i jeszcze notesik z kontaktami.

– Gdybyś znalazła w nim numer do banku, pomyślałabyś, że chce się tam włamać? Naginasz fakty bardziej niż rzecznik rządu. To tu.

Langer zjechała na bok i zatrzymała samochód. Nie odezwała się. Wciąż trzymała dłonie na kierownicy i patrzyła przed siebie. Najgorszy psycholog zrozumiałby, że to sygnał do zakończenia jakiegokolwiek interakcji. Rembert odpiął pas, ale zamiast wysiąść, odwrócił się w jej stronę.

- Zdobęde spis tych logowań – powiedział stanowczo.
- Zaraz obudzę kilka ogarów i podrzucę im trop.
- Niby jak?
- Czasem powoływanie się na znajomości w policji jest lepsze od powoływania się na pracę w policji. Mały absurd.

Nachylił się, jakby chciał ją pocałować, ale zmieszał się i tylko uśmiechnął. Wysiadł z auta i chaotycznym krokiem powłóczył w stronę odległego świtu. Langer wciąż miała wzrok utkwiony w przestrzeń. Ogarnął ją pełen podejrzeń niepokój.

\* \* \*

Mimo zakazu Siweckiego Langer nad ranem pojawiła się w komendzie. Myśli szumiały jej w głowie jak wzburzone morze. Fale rozbijały się o czaszkę, rozsadzając ją od wewnątrz. Miała wrażenie, że właśnie to czuł potwór montowany przez doktora Frankensteina, gdy z jego głowy wypadały dwie śruby.

Palilo ją od środka. Żołądek, chociaż był prawie pusty, ścisnęły gwałtowne skurcze. Było jeszcze za wcześnie, by trafiła na Chojeckiego. Drzwi do jego gabinetu zamknięto na klucz. Tajemnice zawsze dziwiły, ale przecież sama nieraz zamykała swój pokój pozbawiony jakichkolwiek sekretów.

Przez kwadrans kluczyła korytarzami, zastanawiając się nad każdym szczegółem. Raz opracowany plan

w ciągu minuty zmieniał się o sto osiemdziesiąt stopni. Podejrzenia zastępowała pewność, pewność rozsypywała się w proch wątpliwości. Brakowało tylko jednego elementu, ale jeśli wpasowywać go na siłę, cała układanka się rozsypywała.

Kiedy wreszcie znalazła się w swoim gabinecie, czara podejrzeń zdążyła się przelać. Wykipiały, rozchlapane wokół przez wystraszzonego deszczowego psa. Spływały po niej i wypełniały ją.

Notes leżał na wierzchu szuflady. Bez problemu odnalazła szukany numer i wybrała go, przecinając ciszę poranka pikaniem klawiszy. Na komendzie komórki używała tylko w najpilniejszych wypadkach.

Sygnal, dwa, trzy. Przy czwartym jej determinacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Przy piątym jej nogi podcięła myśl, że wielu ludzi wycisza na noc dzwonki. Przy szóstym...

– Halo? – usłyszała zaspany, stłumiony szept. – Słucham?

– I bardzo dobrze, że słuchasz.

– Jezus, to ty, Liza?

– Dlaczego nie chciałeś, żebym zobaczyła ciało Michała?! – Zdziwiła ją łatwość, z jaką przeszła do sedna. – Odpowiadaj, do cholery!

Chojecki mlasnął coś niezrozumiale. Język musiał stanąć mu kołkiem w gardle.

– Mowę ci odebrało? Co tam, do diabła, narobiliście?!

– Czekaj, daj mi się obudzić. Nie rozumiem, o co pytasz.

– Doskonale rozumiesz. Zidentyfikowałeś ciało, ale zrobiłeś wszystko, żebym go nie oglądała.

– Twojego narzeczonego?

– Brawo, rozbudziłeś się!

– Hmm... Prosił mnie o to inspektor. Zresztą pewnie nie tylko on.

– Siwecki? A co mu, kurwa, do tego? – Langer zaciskała dłoń na słuchawce z taką siłą, że plastik zatrzeszczał. Najwyższy czas pozbyć się tego złomu.

– Domyślasz się chyba, jak wyglądał... Co ci odbiło w środku nocy? Wstaję dopiero za godzinę.

– Odbiło mi? Jak w ogóle śmiesz!

– Liza... – Głos Chojeckiego brzmiał już całkowicie naturalnie. Wcześniej mówił szeptem, zapewne aby nie obudzić żony. A może dziwki lub kochanki? – Mogę ci jakoś pomóc?

– Odsunąłeś mnie od skoku na bank. Wpieprzyłeś się, nagle zainteresowany czymkolwiek innym niż siedzeniem na dupie. Wydymałeś mnie, żeby samemu mieć dodatkową robotę. Po co?

– Ta sprawa została mi przydzielona. Przecież...

– A ja mam na drugie idiotka.

– Do diabła, Liza! Skok na bank, twój narzeczoney, zaraz oskarżysz mnie o ostatnią sraczkę.

– Daruj sobie.

– Naprawdę?

Chojecki głośno fuknął, ale nim zdążył cokolwiek dodać, Langer wyrzuciła z siebie kolejne pytanie.

– Jaka była bezpośrednia przyczyna zgonu? – Nigdy wcześniej nie interesowała jej odpowiedź na to pytanie, a teraz wypluła je, jakby przez cały ten czas drażniło jej gardło. – Obrażenia wielonarządowe? A może nie dało się jej określić?

– Nie pamiętam. Przecież to było...

– Tak dawno? Rok. Minął ledwie cholerny rok!

Nadkomisarz przez chwilę milczał. Słyszała jego świszczący oddech.

– Zobacz sama – odezwał się tonem chorego podejmującego decyzję o odmowie dalszego leczenia. – W bazie jest dostępny cały materiał.

– Jasne. Przy nim też coś majstrowaliście?

– Proszę cię tylko, daruj sobie dokumentację fotograficzną... Nie powinnaś tego oglądać.

– To będzie pierwsze, co zrobię.

Langer rzuciła słuchawkę na widełki i przysunęła do siebie laptopa. Otarła zroszone potem czoło. Była wściekła, ale zdeterminowana. Wyparła jakikolwiek lęk i żal. Jeżeli będzie trzeba, nie poprzestanie na urzędowych papierach. Tym razem upewni się i nie pozostawi niedopowiedzeń.

Nawet gdyby miała wyciągnąć ciało z grobu.

Nawet gdyby.

## 53.

– Nie obudziłem?

– Byłabym przeszczęśliwa. Jestem całą noc na nogach.

– Mimo urlopu? – Walemba tonem głosu obwieszczał dozgonną wierność komisarz. – Nie chciałem dłużej czekać. Przeszukiwałem odmęty elektronicznych połączeń i trafiłem na coś ciekawego.

– Aż tak, żeby dzwonić przed szóstą?

– Być może...

– Ostrzegam, że teraz jestem jak trędowata. Lepiej trzymać się ode mnie z daleka, a rozmowę zaszyfrować i zachować w tajemnicy.

– Używam tylko szyfrowanych połączeń.

Nie wiedziała, czy Walemba mówi prawdę, czy żartuje. W każdym razie brzmiał śmiertelnie poważnie.

– Sprawdziłeś BTS-y? – strzeliła, zapominając, że aspirant nic nie wie o numerach telefonów.

– BTS-y? Które?

– Nieważne. Mów, o co chodzi.

– Mam spis elektronicznych logowań i ślady numerów IP, które można przypisać osobom powiązanym ze



sprawą. Ofiarom, Frydrychowi, Ślepcowi i tak dalej. Wszystko się zgrało, gdy przypisałem im lokalizację.

– Będę udawała, że cię rozumiem.

– To nie jest skomplikowane, ale dopiero sprawdzam ten system.

– Nowa zabaweczka ze świata FBI?

– Pewnie tak. Opracowuje ślady obecności w sieci, mediach społecznościowych, mailach i tak dalej, a potem nanosi na konkretne miejsca. Większość ludzi daje się śledzić przez cały czas. Powiem więcej – oni sami tego chcą, ściągając kolejne debilne aplikacje, uruchamiając programy i konfigurując komórki.

– Jedno wielkie gówno... – Langer nie chciała urwać tej rozmowy. Na laptopie przed nią czekał otwarty folder, a w nim otwarta sprawa, otwarte zwłoki i otwarta rozpacz. Telefon Walemby był jak spowiedź skazańca. Wymyślając grzechy, odwlekała chwilę nieuchronnej egzekucji.

– To wielkie ułatwienie. – Niełatwo było zniechęcić aspiranta do rozwodzenia się nad doskonałością najnowocześniejszej techniki. – Dawniej to wszystko zajęłoby mi co najmniej tydzień. O ile w ogóle zebrałbym odpowiednie dane, a odniesienia pozycji... – Zakaszła, odsuwając słuchawkę od ust. – W każdym razie Ślepcę rzeczywiście można wykluczyć ze sprawy.

– Na jakiej podstawie?

– Nie miał nic wspólnego z całą resztą. Internet nie zna takich śladów.

– To nie znaczy, że nie istnieją.

Walemba musiał mieć odmienne zdanie, bo tylko mlasnął.

– Zostawmy powiązania – mruknął wreszcie. – Skupmy się na miejscach. Logowania serwerowe i portalowe dość regularnie skupiają się w jednej okolicy. Właściwie udało mi się nawet ustalić konkretny adres.

– Teraz mam cię zmotywować oklaskami?

Walemba nie zwlekał. Powoli i wyraźnie niemalże przeliterował nazwę ulicy i numer domu. Tak jakby wiedział, że Langer znała to zabite dechami miejsce. Michał wynajmował tam garaż.

Garaż, w którym nigdy nie była.

## 54.

Chciała obudzić ich wszystkich. Jednego po drugim, niczym wzywanych przez sygnałową trąbkę żołnierzy. Mieli w swym gronie szkodnika, zdrajcę, kreta, który wykopał labirynt korytarzy pod wątlą nawierzchnią jej umysłu. Każdy krok groził zapaścią. Potrzebowała

świadka. Przy świadku nie będzie już możliwości odwrotu.

Czuła się tak cholernie samotna. Nie miała wokół siebie nikogo. Rodziny, przyjaciół, nawet dobrych znajomych, z którymi wychodziłaby na papierosa, piwo i błąhą pogawędkę.

Samotność nie mogła jej zdopingować. Potrzebowała mężczyzny, który będzie się pieklił i wrzeszczał przy linii boiska, nakręcając ją do działania. Potrzebowała odwagi.

Popatrzyła na nieruchomą kołyskę Newtona, na stosik notatek i na paczkę chusteczek leżącą obok laptopa. Zmumifikowany, zabandażowany szczypior potrafił słuchać. Polubiła go mimo tych wszystkich odchyłów i upierdliwości, a on... Nie było się nad czym zastanawiać.

Jak to cudownie, że ludzie wciąż mają numery domowe zapisane w książkach telefonicznych. Szczególnie ci, którym nie dane korzystać z komórek. Ci, którzy czasem dostają w głowę i je po prostu gubią.

Rembert odebrał już po drugim sygnale. Komisarz odruchowo zerknęła na zegarek. Nic wyjątkowego, w końcu minęła już szósta rano. Nawet gdyby nie cholerna bezsenność, świat musiał się kiedyś obudzić.

– Będę miał te logowania jeszcze przed południem – zapewnił, kiedy rzuciła ponure słowa przywitania. – Kilka godzin...

Langer zapaliła papierosa i obróciła się w stronę okna. Świt przeradzał się w wiosenny dzień.

– Świetnie – powiedziała bez cienia radości. Logowania BTS strąciła do katalogu spraw mało istotnych. – Chciałam, żebyś po prostu był ze mną na linii...

– Coś się stało?

Jaka powinna być odpowiedź? Czuła się jak odrętwiała.

– Nie... Właściwie nie. Przeglądam dokumenty z wypadku Michała. Mam przed sobą nieotworzony folder ze zdjęciami...

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Nie wiem, czy jestem pewna. Muszę.

– Bo?

– Po prostu muszę.

– Jeżeli to zrobisz... – Rembert zawiesił głos, szukając odpowiednich słów. – Wiesz, że nigdy nie zapomnisz tego widoku.

Langer poruszyła myszką, rozjaśniając ekran.

– Próbowałam zapomnieć przez rok. Gównu z tego wyszło.

– Naukowe określenie to intruzja. Jest jak piosenka, która dopada nas rano i każe się nucić. Nie masz nad tym żadnej kontroli.

– Mam. Właśnie w tym rzecz, że mam.

Kliknęła na pierwszą ze zminimalizowanych fotografii. Słowa Remberta ugrzęzły na telefonicznym łączu i nie dotarły do jej świadomości. Całą uwagę

skupiła na obracającej się klepsydrze. Zdawało się jej, że przesyła cały piasek z pustyni, nim na pulpicie wyświetliło się zdjęcie. Ostre, wyraźne i zimne w swym formalnym charakterze. Zwłoki nie mogły pozować. Były jedynie rekwizytem. Martwą naturą.

Zasłoniła dłonią usta. Do poczerniałej, smolistej sylwetki przylegały strzępy nadpalonych ubrań. Była to fotografia podglądowa, jednak doskonale je pamiętała. Ostatni pocałunek w drzwiach, kłamliwe „do zobaczenia” i przelotny uśmiech na odchodne. Skórzana kurtka, ciemne jeansowe spodnie, eleganckie buty, które przypominały teraz płataninę rozpuszczonej skóry i gumy. Stalowa klamerka z ozdobnym wzorem. Podobała mu się. Tylko dlatego uległ jej zręczliwym namowom i wybrał właśnie ten model zamiast tańszych i wygodniejszych adidasów. „Sama wiecznie chodzisz w trampkach”. „Bo szkoda mi pantofli na brodzenie w gównie”. Zawsze gdy była wulgarna, marszczył brwi i z radosną dezaprobatą kręcił głową. Radosna dezaprobata, coś takiego pasowało tylko do niego.

Kolejne zdjęcie.

Zebrane rzeczy. Rozłożony portfel z wodą pomiędzy plastikowymi dokumentami, telefon z żałośnie pękniętą szybką, klucze do mieszkania. Do tego breloczek z pendrive'em, który miał mu przynosić szczęście, a szczęście przyniósł tylko sam sobie, bo ogień nawet nie

trącił jego metalowej obudowy. Ciekawe, co się stało ze szczeniakami...

– Halo? Jesteś tam?

– Jestem – wyszeptała, ledwie rozchylając usta. – Po prostu się nie rozłączaj.

– Jasne, gdybyś chciała...

Obrazy znów stłumiły słowa.

Twarz nie została zdeformowana. Pokryła ją tłusta, popielista powłoka sadzy, lecz rysy pozostały wyraźne. Lekko rozchylone, zapadnięte wargi, cienki nos, przymknięte powieki i kości policzkowe, nazbyt wydatne jak na mężczyznę. Czubek głowy znaczyły brunatnoczarne plamy, nadpalone wybroczyny wyłaniające się spośród strzępków włosów. Włosy. Te kilka kępek przypominało drobniuteńką, pokrytą szronem trawę. Przed snem gładziła je, przeczesywała palcami, czuła ich uspokajającą miękkość i ciepło. A te, szorstkie i kruche – przy dotknięciu rozsypałyby się w proch.

Teraz prawdopodobnie były resztką nierozłożonych szczątek.

Nie powstrzymała rozpacz. Rozpacz oplotła ją i szarpnęła spazmatycznie jej ciałem. Z całej siły pchnęła pokrywę laptopa, uderzając ekranem o klawiaturę. Popiół z wypalonego papierosa spadł, rozsypując się po biurku.

Prawda była jedna. Jak zwykle naga i okrutna.

– Nie ma żadnej zagadki – odezwała się martwym głosem. – Chyba wolałabym myśleć, że jest przestępcą, niż że naprawdę nie żyje.

Rembert przełożył słuchawkę, wzbudzając cichy trzask.

– Tak sądziłem. – Mówiąc to, musiał wyglądać jak zbity pies. – Od początku miałem wrażenie, że...

– Tak sądziłeś?

– Przepraszam, ale chyba trochę cię do tego podpuściłem.

– Orest, kurwa, nie rozumiem, do czego mnie niby podpuściłeś?

Rembert ciężko sapnął.

– Powiem wprost to, co powinnaś dawno usłyszeć – ciągnął potulnym głosem. – Twój problem polega na tym, że nie przeżyłaś właściwie żałoby. Widać to na pierwszy rzut oka i przy każdej wymianie zdań na temat twojej przeszłości. Powie ci to student pierwszego roku psychologii.

– O czym ty, za przeproszeniem, pierdolisz?

– Cały czas miałaś poczucie, że nie pożegnałaś się ze swoim narzeczonym.

– Skąd ci to niby wiadomo?!

– Nie znałem szczegółów, ale udało mi się podpytać.

– Podpytać? Kogo?

– Ludzie gadają. Wiesz o tym.

– Wpieprzałeś się w moje życie? – Musiał się wpieprzać, skoro wiedział tak wiele. Nie pożegnała się. Nie zobaczyła ciała. Nie przyszła nawet na pogrzeb. – Jak mogłeś, gnoju?

– Chciałem ci tylko pomóc. Miałem wybór pomiędzy twoim spokojem a tym, że się na mnie śmiertelnie obrazisz.

Langer parsknęła.

– Mój spokój? A co cię on obchodzi?

– Jako typowy egoista przyznaję, że lepiej mi się pracuje ze spokojnymi osobami. – Rembert starał się zmienić ton, ale nadal brzmiał żałośnie. – Poza tym myślałem, że się zakumplowaliśmy. Choć tyci, tyci.

– Nawet gdyby tak było – wycedziła, oplątując kabel słuchawki wokół palca – gównu ci do moich prywatnych spraw. A już przede wszystkim do tego, czy przeżyłam swoją żałobę, czy nie.

– Proszę cię...

– Jesteś gnojkiem. Wydawało mi się, że mnie od tego odwodziś, a ty manipulowałeś mną jak dzieckiem!

– Wolałabyś się zadrećcać do końca życia? Myśleć o tym, że twój narzeczony przybrał nową tożsamość? Przecież o to ci właśnie chodziło. – Teraz Rembert nie był już delikatny ani ostrożny. – Przez cały czas dokładnie tego się obawiałaś.

– To była moja sprawa.



– Nieważne, że miał kontakty, że ktoś go znał. Ważne, że był tym, kim był, dla ciebie i...

– Orest, zamknij się na chwilę! – Langer uchwyciła myśl, która od wielu godzin kołatała się w jej głowie. Poderwała się, niemal wrywając telefon z kontaktu. – Jak to powiedziała ta babka? Filtr przeciw kłótniom?

– Coś w ten deseń.

– Oczy i filtr przeciw kłótniom... – wyszeptała jak w transie. Wspomnienie nadwęglonych zwłok na chwilę opuściło jej umysł. Deszczowy pies przycupnął gdzieś w kącie i lizał łapy. – To my byliśmy dotąd ślepcami!

Rembert nie dowiedział się niczego więcej. Langer zaraz się rozłączyła.

## 55.

Zrobiła coś, co zawsze napawało ją odrazą. Zbezczeszczyła prywatność Michała. Zalogowała się na jego skrzynce mailowej i przejrzała ostatnie wiadomości. Nie było ich wiele, musiał kasować mniej istotne, lecz dotarła do dwóch plików PDF i elektronicznych instrukcji.

Tak. Bez wątpienia Michał był filtrem przeciw kłótniom. Kiedy szukała śladu, który mógłby ją naprowadzić do owych kłótniowych osób, rozległo się

pukanie. Ktoś nacisnął klawisz, lecz Liza nie oderwała wzroku od monitora.

Kroki. Ciężkie szuranie mogła rozpoznać bez przerywania roboty.

– Jakkolwiek bardzo bym tego nie chciał, to skończy się dyscyplinarką. – Głos Siweckiego przypominał rżenie starego silnika. – Nie masz teraz dostępu do żadnych policyjnych danych.

– Oddaję się do dyspozycji – mruknęła, otwierając kolejną wiadomość. – Niech mnie ktoś wyprowadzi.

– To nie są żarty, Liza.

– Serio?

Podniosła wzrok i dopiero wtedy dostrzegła, że za inspektorem stoją Chojecki i jeszcze jeden funkcjonariusz.

– Musiałem mieć świadków – wyjaśnił Siwecki. – Będę zobowiązany do sporządzenia notatki, a potem...

– Pieprzę to. Wsadźcie sobie w dupy notatki i cały ten nadęty cyrk.

– Liza, do cholery! Nie pogarszaj sytuacji.

Langer wstała od biurka i wyciągnęła z paczki papierosa. Zapaliła go, podchodząc do drzwi. Policjanci stali za plecami inspektora, a na ich twarzach malowało się otępiałe zdziwienie, co najmniej jakby właśnie zdjęła majtki i tańczyła kankana.

– Jeżeli mam wylecieć, to przynajmniej z zakończoną sprawą – powiedziała tak, by słyszeli ją stojący na

korytarzu. – Jeżeli karygodne jest bycie policjantem również po służbie, proszę bardzo.

– Nie rób scen. – Siwecki był wyraźnie zmieszany. Oparł się ramieniem o framugę i założył dłonie, jak ojciec udzielający reprimendy nazbyt jurnemu synowi.

– Przynajmniej wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– To może nas oświecisz?

– Przecież jestem na urlopie.

– To nie jest coś, z czym można pogrywać. – Inspektor rozplótł ręce i walnął dłonią w ścianę. – Do kurwy nędzy, co to za cyrk!

– Jaki cyrk, takie małpy. Pamięta pan naczelnik, kiedy o tym rozmawialiśmy?

– Co ty, u licha...

Langer strzepnęła popiół na podłogę i precisnęła się obok Siweckiego. Obrzuciła Chojeckiego wyzywającym spojrzeniem, ale ten spuścił wzrok. Na korytarzu pojawiło się kilka kolejnych zaciekawionych osób.

– Nie mam dowodów. Ale będę je miała.

– Przecież to zatajenie informacji. – Nadkomisarz ruszył za nią. – Nie jesteśmy cholerną szkółką niedzielną. Tu liczą się ludzie.

– Ludzie? – powtórzyła Liza. Zatrzymała się i zaciągnęła dymem. – Ci martwi czy ci jeszcze żywi? Co?

– Przestań z tymi zagadkami.

– Zrobię, co zechcę.

– Wylecisz ze służby.

– To groźba czy rozmowa mobilizująca?

– Powinnaś odpocząć. Zastanów się nad tym, co wygadujesz. – Siwecki ruszył w jej stronę ostrożnie, jak myśliwy w stronę wciąż niedobitej zwierzyny. – Jeszcze nie jest za późno.

– Na co? – Langer wyrzuciła papierosa na posadzkę i rozgniotła go czubkiem biało-czarnego trampka. – Mam urlop. Ale proszę się nie martwić, naczelniku. Jeśli się dowiem czegoś konkretnego, od razu kogoś powiadomię. Może najpierw prasę.

\* \* \*

Siwecki miał dość godności, by nie rzucić się przed Langer na kolana. Chojecki zmył się w ułamku sekundy, a reszta obserwujących zamarła jak słupy soli. Wszyscy wiedzieli, na czym stoją. Impas był tak dojmujący, że nikt się już nie odezwał. Scysja zakończyła się okupionym stratami remisem. Langer szybkim krokiem ruszyła do wyjścia. Klatkę schodową i kolejne korytarze pokonywała wiedzona automatyzmem. Myśli kotłowały się jej w głowie, miała nadzieję, że właściwie oceniła sytuację. Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, usłyszała za sobą czyjeś wołanie. Po chwili na parkingu dopadł ją Walemba. Był zdyszany i podekscytowany.

– Liczy się miejsce, nie człowiek – zaczął nieskładnie.

– Też doszła pani komisarz do tego wniosku?

– Zdaje się, że tak.

– Pod tym adresem, o którym mówiłem, musi być serwerownia. Ślady elektroniczne nie budzą wątpliwości.

– Serwerownia?

– Zdaje się, że właśnie stamtąd obsługiwano nasłuch w domu Frydrycha.

– W takim razie powinieneś zgłosić to oficjalnie nadkomisarzowi. Ja już chyba nie mam nic do gadania.

Walemba się skrzywił.

– Nie jestem formalnie specjalistą od informatyki – skwitował ponuro. – Działiałem na własną rękę. Potraktuj to jak nadużycie, a w tej całej chorej atmosferze jeszcze mi się oberwie. Parafrazując klasyka, to ryzyka się boję najbardziej.

– A akcja na własną rękę jest mniej ryzykowna? – Langer ruszyła w stronę auta. – Przypomnij mi ten cholerny adres.

Uśmiechnęła się, słysząc za sobą jego kroki.

## 56.

Garaż znajdował się na wschodnim krańcu miasta, w okolicy, gdzie psy czekały dupami, a ludzie wynurzali się z domów tylko po zapas wódki. Nawet drogi były tu bardziej szare i smutniejsze niż gdziekolwiek indziej.

– Jesteś pewny, że to z tego zadupia nasłuchiowano Frydrycha? – Langer w skupieniu omijała wyrwy wielkości lejów po bombie.

– O ile to nie jest kolejna zmyła. Połączenia można przy pewnym wysiłku przekierować, ale tu mój trop się urywa.

– Niezłe miejsce...

– Powinniśmy się zwrócić po logowania BTS, chociaż nie sądzę, żebyśmy mieli na to dość czasu. Wtedy bylibyśmy pewni.

– Już to zrobiłam. Dostaniemy je lada chwila.

– W takim razie może warto poczekać?

Walemba wydał usta i cmoknął z dezaprobatą. Sprawiał wrażenie, jakby nagle opuściła go chęć zgłębiania odkrytych śladów.

– Możesz wysiąść. – Langer zaparkowała samochód przy ciągu opuszczonych ruder, pomalowanych graffiti garaży i bud, w których dawniej sprzedawano zapewne co popadło, od pirackich płyt CD przez ukraińskie papierosy po amerykańską pornografię. – Ja już spaliłam mosty.

– Jakie BTS-y sprawdzamy?

– Wszystkich ofiar. W sumie długo wyjaśniać, ale... – Langer rozpięła pas i odwróciła się do Walemba. – Zaraz, skoro, jak sam stwierdziłeś, liczy się miejsce, a nie człowiek, myślałam, że doszedłeś do tych samych wniosków co ja.

– Tylko się upewniam.

– Że co?

Aspirant wzruszył ramionami. Jego twarz była blada, jakby momentalnie odpłynęła z niej cała krew.

– Że zbyt nadgorliwie poprowadziłaś śledztwo. A lepiej by było, gdybyś wszystko zostawiła temu kretynowi Chojeckiemu. – Nagle opadła zasłona niedopowiedzeń i formalności. Nim zdążyła się poruszyć, Walemba wyciągnął pistolet.

– Czekałem tu na ciebie kilka godzin – westchnął z udawaną dezaprobatą. – Byłem pewny, że przyjedziesz, gdy tylko ci powiedziałem o tym adresie.

Langer odsunęła się, dotykając plecami drzwi. Gdyby nie zajmowała się wtedy rozliczaniem własnej przeszłości, pewnie tak by się stało.

– Mogłam się domyśleć – wycedziła, z trudem panując nad głosem. – Masz pieprzoną nadzieję, że oszukasz ich wszystkich.

– Już oszukałem.

Uliczka była całkowicie pusta. O tej porze jedyną szansę stanowiło spotkanie tu kogoś, kto zasnął po nocnej libacji. W rozsypujących się garażach nie mogło parkować żadne zdadne do użytku auto, ale osłona od wiatru sprzyjała pochłanianiu hektolitrów wódki.

Walemba machnął pistoletem.

– Wsiadka. Albo rozwalę cię tutaj.

Langer przez chwilę mierzyła się z nim wzrokiem, wreszcie posłusznie opuściła auto. Aspirant dopadł do

niej i przytknął jej coś do pleców. Nie musiała być wróżką, żeby się domyśleć, że to lufa służbowego glocka.

– Myślisz, że uwierzą, że ześwirowałaś i mnie zaatakowałaś? – zapytał, popychając ją w stronę drewnianej przybudówki. – Wcześniej mogłem mieć wątpliwości. Ale po tym, co dziś odwaliłaś, jestem pewny, że tak.

– Naprawdę zaryzykujesz?

– Zbyt długo to planowałem, żeby się przejmować.

Otworzył wypaczone drzwi i pchnął Langer do środka ciasnej budy. Szczebelkowa żaluzja była zasunięta, a przez szczeliny wpadało niewiele światła. Ciężko dysząc, poprowadził ją do kolejnego pomieszczenia, które zostało połączone z garażem. Kiedy, badając stopą podłoże, przekroczyła próg, zamknął ciężkie, o wiele za drogie jak na to miejsce drzwi.

Byli odcięci od świata.

Całkowicie sami.

Nagle pomieszczenie rozświetliła żarówka. Langer przymknęła oczy i zamrugała. Betonowe ściany garażu pokrywała pleśń, a główne drzwi zostały wyłożone styropianem. Prawdopodobnie otwarcie ich od zewnątrz nie było możliwe. Wokół roznosiła się woń zgnilizny i wilgoci.

– Idź prosto!

Liza podeszła pod ścianę i powoli się obróciła. Adrenalina zamieniła jej mięśnie w stal, lecz nie miała



dokąd uciec. Zimny pot oblepił jej plecy. Deszczowy pies uciekł z podkulonym ogonem. W jego miejsce pojawił się czysty strach.

– Zaczęło się od dzwonka, który ci ściągnąłem. – Walemba nie spuszczał jej z muszki. – Pamiętasz? Sama chciałaś, żebym ci coś nastawił. Pomyślałem, że to całkiem zabawne, wrzucić krzyk umierającej kobiety. – Uśmiechnął się drapieźnie, a jego usta pozostały martwo blade. – To prawdziwe nagranie znalezione u jakiegoś psychopaty. Drobnny żarcik na początek.

– Ty świrze...

– W tym miejscu zorganizowałem centrum operacyjne twojego Michała. – Skinął w stronę leżących na podłodze laptopów. – Nie było to takie trudne. Frydrych, Ślepiec, miałem cholerny fart.

Langer musiała ciągnąć rozmowę. Na jedynym kursie negocjacji kryminalnej, jaki odbyła, powtarzano, że w sytuacji zagrożenia powinna za wszelką cenę podtrzymywać wątek. Jak na przesłuchaniu. Tyle że stawka była o wiele większa.

– Po tym, jak odnaleźliśmy aparaturę w domu Frydrycha, chciałeś wszystko usunąć – oznajmiła, z trudem panując nad głosem. – Ale ci się nie udało. Zostaniesz szybko namierzony.

– Niewiele mi zabrakło. Chociaż i tak nie nikt nie dojdzie, skąd się logowano. Chyba że ci gnoje będą bardzo nadgorliwi. Pracowałem zupełnie gdzie indziej.

– I przekierowałeś wszystko na ten adres?

– Sprytnie, prawda? Tak samo połączenia i jakiegokolwiek ślady GPS. Zrobiłem z biednego Michała czwartego współnika.

Nagle żal ścisnął jej serce. Był równie silny jak strach. Przy podsycaniu wymiany zdań zalecano wybadanie obaw rozmówcy. Wybadanie. Nie ich wzbudzenie.

– A ślady? Nie zdołasz ich zatrzeć.

– O to się nie martw. – Walemba przesunął nogą jeden z laptopów. – Wszyscy pomyślą o zorganizowanej grupie, ale po mnie nie będzie nawet śladu.

– A kiedy znikniesz, niby nikt się nie domyśli?

– Będę, jak zawsze, cierpliwy. Ze służby odejdę dopiero za jakiś czas.

Zagadywanie nie było takie trudne. Walemba chełpił się swoim planem jak dziecko wygranym fantem. Langer lustrowała każdy szczegół pomieszczenia, lecz nie było w nim niczego, za czym mogłaby się skryć przed strzałem. Nie miała żadnych szans.

## 57.

– Schowałeś forszę w tym baraku? – Langer sądziła, że tym pytaniem zaskoczy Walembę. I miała rację. Aspirant

gwałtownie zacisnął szczękę i zmrużył oczy.

– Jaką forszę?

– Zagrajmy wprost. Jesteś tak dumny z tego planu, a ma on cholerne dziury, dzięki którym w końcu zostaniesz namierzony.

– Bzdura.

– Nie tylko ja na to wpadłam. Dorwą cię szybciej, niż myślisz.

Blef był ryzykowny. Podczas negocjacji nie wspomniano zbyt wiele o jego stosowaniu. Langer zrobiła krok do przodu, sprawdzając reakcję Walemby. Ten się nie poruszył.

– Nie byłbym tak głupi, żeby chować w tej dziurze choćby złotówkę.

– Więc gdzie jest kasa?

– Chciałabyś wiedzieć, co? Osiem baniek. – Gwizdnął przeciągle. – Za to można sobie urządzić piękne życie. Kiedy dowiedziałem się o transporcie tej forsy, byłem, kurwa, wniebowzięty! Zostaliśmy poinformowani wystarczająco wcześnie, żeby wszystko dopracować. Oleg, to znaczy, właściwie Olek... – Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i z uśmiechem wymierzył pistolet w głowę Langer. – ...pracował w tej firmie prawie przez rok. Rozumiesz, ile włożyliśmy w to wysiłku? Prawie rok spędzony na udawaniu kogoś innego...

To wszystko wiedziała. Gra na zwłokę musiała się przenieść na inny grunt, bo kiedy się skończy wątek...

– Zabiłeś ich, bo chciałeś forsy dla siebie – stwierdziła, robiąc kolejny krok.

Tym razem Walemba pokręcił głową.

– Całej forsy.

– Wiem, do czego potrzebowaliście Michała.

– Raczej w to wątpię. Ale śmiało, wykaż się. Mamy czas, choć pewnie właśnie usilnie zastanawiasz się, czym mnie załatwić.

Zrozumiała, dlaczego Walemba tak chętnie kontynuuje rozmowę. Starał się wybadać, ile w rzeczywistości wie Liza. Sprawdzał swoje błędy, aby je wyeliminować lub ukryć. Tylko dlatego uważnie jej słuchał, więc rozbudzając jego wątpliwości, zyskiwała kolejne sekundy.

Zrobiła następny krok w jego stronę. Nie miała pojęcia, co chciała osiągnąć, zbliżając się do zionącej otchłanią lufy.

– Chciałeś po prostu zniknąć? – zapytała, zadowolona z tego, że niemal w pełni panuje nad głosem. – Jak to zaplanowałeś? Gdybyś wyciągnął forszę, już by cię tutaj nie było. Ale umknął ci drobny szczegół. Chciałeś mieć zakonserwowane gałki oczne, stąd świeże ślady formaliny. Jednak nie miałeś pojęcia, że tęczęwka ulega nieodwracalnym zmianom już kilka sekund po zgonie, prawda? Nawet jeżeli z dwoma ostatnimi ofiarami poszło ci sprawnie, to przy Nowackim nie zdołałeś jej zachować w odpowiednim stanie. Potrzebujesz mnie.

– Niby do czego? – Walemba przyjrzał się jej uważniej. Jednak uśmiech nadal nie zniknął z jego twarzy. – Cofnij się, Liza. Nie wykorzystuj ostatnich chwil na idiotyczne podchody.

Langer posłusznie się zatrzymała. Teoria była poparta tylko słabym domysłem, ale komisarz musiała mówić. Musiała udawać, że wie więcej niż w rzeczywistości.

– Układałeś algorytm dla czytnika tęczy, otwierającego skrytkę, w której schowaliście pieniądze. Powstał tak, by uruchamiać mechanizm, kiedy popatrzyście na niego wszyscy po kolei. Ty i twoje ofiary.

– Mów dalej. – Walemba nie tracił humoru. Opuścił broń, trzymając ją przy boku. – Snujesz fantastyczne historie. Powinnaś usypiać dzieci.

– Chcieliście mieć dodatkowe zabezpieczenie. Filtr przeciw kłótniom, tak go nazywaliście? Do tego miał służyć Michał. Wszystko opracował, ale zanim wam go przekazał, zginął w wypadku. A może ktoś mu pomógł?

Walemba pociągnął głośno nosem. Odcharknął i splunął na podłogę.

– Nic o tym nie wiem – mruknął. – Ale dopuszczałem taki scenariusz.

Langer skupiła całą uwagę na jego mimice. Obserwowała najdrobniejsze drżenie mięśni, starając się z niego wyczytać, czy policjant mówi prawdę. Pocieranie oka, dotykanie ucha, poprawianie kołnierzyka, a nawet drapanie się po szyi to klasyczne, podręcznikowe

zachowania kłamcy. Tyle że kłamca z odbezpieczonym pistoletem w dłoni raczej nie podpadał pod typowe kategorie.

– Sądziłeś, że odebrałam jego rzeczy? – zapytała, starając się ukradkiem wyciągnąć komórkę. – I tu popełniłeś pieprzony błąd. Nie interesowały mnie. Wszystko dalej leży na półce w magazynie.

– I co mi po stercie zwęglonych ciuchów?

– Pewnie interesował cię mały pendrive. – Kieszeń była zbyt ciasna, by niezauważenie wyjąć telefon. – Breloczek, który przed śmiercią Michał zawsze nosił przy sobie. Myślisz, że znam ten algorytm albo wiem, gdzie go zapisano.

– Jesteś naiwna. Zawsze srałaś wyżej niż inni.

– Nie możesz mnie zabić.

– Nie? Naprawdę?

Walemba odzyskał rezon. Uśmiechał się szeroko, co pogłębiało zmarszczki na czole i w kącikach oczu. Przypominał rekina, rozchylającego paszczę, by połknąć jak najwięcej ryb. Langer wiedziała, że popełniła jakiś błąd. Nie zainteresowała go? Rozminęła się z tym, co się wydarzyło naprawdę?

– Prawie w punkt. Prawie, kurwa, w punkt. – Walemba przeszedł wzdłuż ściany, obchodząc Lizę jak zwierzę w klatce. – Bo to, że do niczego cię nie potrzebuję, zawdzięczasz tylko swojemu chłopakowi. Smutne, co?

Langer nie odpowiedziała. Stojąc nieruchomo, wodziła za nim spojrzeniem. Gdyby zerwała się teraz do biegu, do drzwi miała pięć, może sześć kroków. W sam raz, by dostać pięć albo sześć kulek.

– Twój chłoptaş był zbyt przezorny, by zapisać wszystko tylko na pendrivie. – Walemba, jakby czytając w jej myślach, cofnął się ku przejściu. – Starannie przeszukałem twoją zawszoną przyczepę, ale niczego nie znalazłem. Zabrałem jedynie zdjęcia, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Tak nas uczyli, pamiętasz? Odciąganie uwagi od tego, co istotne. Ale dzisiaj w nocy wróciłem. Miło, że zrobiłaś mi dość miejsca i wyszłaś z doktorkiem na romantyczną przechadzkę.

Zatrzymał się niedaleko Langer i się roześmiał. Głośno, gulgocząco, jak indyk zalecający się do samiczek. Na jego ustach skrzyła się ślina.

– Niczego tam nie było. – Umysł Lizy pracował w odrzutowym tempie. Analizowała każdy zakątek przyczepy, trzymając się resztek nadziei. Jeżeli Walemba jedynie się nad nią pastwił, obskurny garaż zaraz okaże się jej tandetną trumną. – Nie mogłeś niczego znaleźć – powiedziała stanowczo. – Nie było tam już żadnych nośników, żadnych dysków...

– Myślisz złymi kategoriami. Też się najpierw na tym skupiłem.

– Kłamiesz. Jesteś w tym zupełnie do dupy.

– Ho, ho, żyjemy złudzeniami? – Walemba zrobił dwa kroki i stanął na obudowie laptopa, jakby wskakiwał na podium. Tworzywo zatrzeszczało, ale nie pękło. – Notesik. Kojarzysz go? Ten z kontaktami. – Uśmiech wreszcie znikł z jego twarzy. Pycha wymagała powagi. – To zapis algorytmów potrzebnych do rozkodowania zamka. Kontakty, które wpisałaś, nie mają żadnego znaczenia, ale reszta numerów była ujęta nie po kolei, nierówno, niektóre z dziwnymi numerami kierunkowymi lub prefiksami. A kto, do cholery, w dzisiejszych czasach zapisuje kontakty z prefiksami? Wpadłem na to dopiero po czasie...

Z każdym jego słowem krople potu na plecach Langer tworzyły coraz szersze strumienie. Napięte mięśnie nóg zaczęły drżeć. To nie blef. Tego była pewna.

– Nie, Liza. Nie potrzebuję cię do niczego. – Walemba podniósł broń, celując w jej pierś. – Potrzebowałem tej pogawędki, żeby ułożyć myśli. Uspokoilaś mnie. Przynajmniej wiem, że ci debile nic na mnie nie mają.

Langer była gotowa na strzał. Przymknęła oczy i nabrała tchu, który zepchnął niżej posmak podnoszącej się ku krtani żółci. Deszczowy pies wiernie usiadł przy jej nodze. Będzie jej towarzyszył w drodze na tamten świat. Powrócił, wiedząc, że to już koniec.

– Nie potrzebuję cię do niczego – powtórzył szeptem Walemba. – Żegnaj, droga Lizo. –



Najgorsze są odkrycia, które zabiera się ze sobą do grobu.

Musnął palcem spust.

## 58.

Siwecki ocierał chusteczką błoto z buta. Wreszcie zmiął zawiniątko i wyrzucił je do śmietnika pod biurkiem. Założył nogę na nogę, ale zaraz powrócił do poprzedniej pozycji, upewniając się, że oba buty są czyste.

Od kwadransa nie mógł usiedzieć w miejscu. Wszystko go drażniło, a sekretarka taktownie usunęła się z gabinetu obok i pod wydumanym pretekstem znikła w odmetach komendy. Kawę zrobił sobie sam, ale nie mógł znaleźć mleka, więc ją wylał, przepłukał kubek i zalał wrzątkiem saszetkę z herbatą.

Czas włókł się jak niedzielny kierowca w drodze na cmentarz. Mniej więcej tak to sobie wyobrażał. W zasadzie rzeczywisty obraz był jeszcze mniej optymistyczny i na drodze pojawiały się dodatkowe wyboje. A raczej dziury wielkie jak po nalocie dywanowym.

Herbata okazała się mieszanką zwietrzałych ziółek o smaku zakurzonego błota. Po pierwszym łyku nerwowo

odsunął od siebie kubek i poruszył myszką. Monitor laptopa natychmiast się rozjaśnił, pokazując ostatnio otwarte zdjęcie.

Postanowienie o umorzeniu dochodzenia w sprawie śmierci Michała Kasprzyckiego. Jeszcze raz przeczytał krótkie, kilkuzdaniowe uzasadnienie. Przez chwilę zatrzymał wzrok na nienaturalnie rozwleczonym podpisie Chojeckiego, po czym zatrzaskał klapę laptopa.

Z odrazą zauważył, że pod paznokciem utkwiły mu ziarenka piasku.

## 59.

Langer wstrzymała oddech. Ból nie powinien trwać długo. W chwili, gdy z całej siły zacisnęła oczy, rozległ się trzask. Nie poczuła niczego. To nie wystrzał, a drzwi wejściowe, które rąbnęły o betonową ścianę. Otworzyła oczy.

Walemba odwrócił się, ale był zbyt wolny. W progu stał Rembert, celując do niego z pistoletu. Jego pozycja strzelecka przypominała chaotyczną figurę taneczną, ale broń tym bardziej robiła wrażenie.

– Rzuć to! – wrzasnął tak, że jego głos zadudnił echem. – Rzuć to, do cholery!

Walemba stał bokiem, z glockiem skierowanym w podłogę. Na jego twarz błyskawicznie powróciły kolory. W ułamku sekundy zrobił się purpurowy, a wargi niemalże wciągnął pomiędzy zęby.

– Powtarzam: rzuć pistolet, bo strzelę!

Langer obserwowała tę scenę w zwolnionym tempie. Dopiero po chwili czas zgrał się z rzeczywistością.

– Posłuchaj go – odezwała się stanowczo, ale łagodnie.

– To nie ma sensu.

– Skąd wiedziałeś? – wysyczał Walemba. Wciąż kurczowo zaciskał dłoń na rękojeści. – Jak tu, kurwa, trafiłeś?

Rembert stał w miejscu, tuż za progiem. Jednym ramieniem dotykał ściany, jakby szukał w niej wsparcia.

– Pamiętasz swój nowy system? – W jego głosie czuć było zdenerwowanie. – Też chciałem pobawić się w informatyka. I do danych, które śledziłeś, dodałem numery osób z komendy. Lokalizator GPS, pozycjonowanie, jesteś udupiony.

– Nie macie żadnych dowodów.

– Jeżeli to nie wystarczy, na pewno znajdzie się ich znacznie więcej.

– Już się znalazło. – Langer powolnym, ostentacyjnym ruchem wyciągnęła telefon. – Kiedy tylko wsiedliśmy do twojego wozu, włączyłam dyktafon. Od samego początku chciałam cię sprowokować. Masz ochotę posłuchać?

Walemba stał nieruchomo jak zwierzę szykujące się do skoku. Grunt palił mu się pod nogami, ale nie zamierzał się poddać.

– Forsa jest bezpieczna. – Zdobył się na sztuczny uśmiezek.

– To twoja polisa na przyszłość? – Rembert nie spuszczał go z muszki. – Nawet jeżeli trafisz za kratki?

– Nikogo nie zabiłem.

– Przed chwilą mówiłeś inaczej. Forsa to jedyne, co ci zostało.

– Gównno wiecie.

Rembert nieznacznie się przesunął.

– Dostałem logowania z BTS-ów sprzed roku – obwieścił triumfalnie. – Przy wszystkich numerach przewija się jedna lokalizacja. Dziwne, co? Kilka osób regularnie spotykających się w tym samym miejscu tuż przed skokiem na bank i bezpośrednio po nim. A potem nagle cisza i po roku znowu to samo. Postanowiliście odczekać te dwanaście miesięcy?

Walemba dygotał. Pistolet w jego dłoni poruszał się jak różdżka radiestety. Dzikim wzrokiem spojrzął na Langer, potem z powrotem na Remberta i zrobił krok do tyłu.

Uniósł broń, lecz psycholog nie wystrzelił. Komisarz chciała rzucić się w jego stronę, ale gdy tylko drgnęła, odłamki kości i strzępki mózgu rozbryzły się po pomieszczeniu.

Bezwładne ciało Walemby osunęło się na kolana, a potem plasnęło o podłogę.

– O kurwa... – Rembert stał jak wmurowany.

– Dlaczego, do cholery, nie strzeliłeś?! – wrzasnęła Langer.

– To tylko plastikowa replika – jęknął. – Miałem się nią z tobą podroczyć!

Komisarz najwyraźniej nie przetworzyła tych słów. Jednym susem dopadła do aspiranta i chwyciła pistolet. Ten bez wątpienia był prawdziwy. Tuż obok niego leżała gałka oczna z czerwonym, pokręconym strzępem nerwu.

\* \* \*

Nie mogli widzieć, że po przeciwnej stronie ulicy zaparkował czarny dodge challenger. Nadkomisarz Chojecki nie wyłączył silnika. Potężna V-ósemka gulgotała zagłuszana przez aparaturę nasłuchową. Wnętrze auta wypełniał prowadzony na żywo przekaz odgłosów z garażu.

Chojecki nerwowo zabębnił palcami w kierownicę. Deszczowy pies teraz czał się na niego.

## EPILOG

Rembert przełknął solidny łyk piwa. Oblizął z ust pianę i spojrzał na zegarek. W obecnej sytuacji wczesne popołudnie było doskonałą porą, aby z pełną premedytacją się upić. Powietrze przyczepy kempingowej błyskawicznie przesiąkło zapachem alkoholu i papierosów. Szarlotkowy aromat calvadosa stanowił, niestety, jedynie mało znaczący akcent. Twórcy perfum powiedzieliby, że nuta głębi przesiąknięta jest wonią jabłek z drzewnym aromatem i podbiciem smogu.

– Specjalnie odegrałaś tę scenę na komendzie? – zapytał, odstawiając kufel na wysunięty blat szafki. – Tylko po to, żeby go sprowokować?

Langer obróciła papierosa w dłoni i strzepnęła popiół. Wszystko ułożyło się doskonale. Wiadomość o odnalezieniu żywych żony i córki Frydrycha stanowiła wystarczającą okazją do wzniesienia toastu. Wciąż jednak nie było śladu po forsie ze skoku bankowego.

– Musiałam sprowokować wszystkich – wyjaśniła, nalewając calvadosa do szklanki. – Wiedziałam, że to ktoś od nas. Nie sądziłam tylko, że Walemba...

– Nawet wsiadając z nim do auta?

– Wtedy już tak. Jediną osobą, która mogła udawać, że jest po mojej stronie, była ta, która maczała w tym palce.

– Równie dobrze to ja mogłem z tobą pojechać.

– Akurat ciebie jakiś czas temu wykluczyłam z grona podejrzanych.

– Dlaczego?

Komisarz uśmiechnęła się szeroko. Wzruszyła beztrosko ramionami i zgasila papierosa.

– Po prostu.

– Po prostu?

– Chciałbyś usłyszeć na ten temat pokręcone wywody, Oreście? Lepiej sam dokonaj analizy. Przecież ciągle to robisz.

– Wolę nie. – Rembert otworzył scyzorykiem kolejną butelkę piwa. Kapsel uderzył w sufit i spadł mu prosto na rękę. Psycholog roześmiał się jak dziecko, zadowolony ze swojej sztuczki. – Czasem lepiej nie wnikać.

– Nie psuć sobie niespodzianki?

– Właśnie. Lepiej nie psuć sobie niespodzianki. Langer wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę okna. W kwadratowej szybie odbijała się dziecięca buźka Remberta. Deszczowy pies przemykał gdzieś poza przyczepą. Jego kły były stępione.

# Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Cytat i dedykacja	8
<b>DZIEŃ PIERWSZY</b>	<b>9</b>
1.	9
2.	18
3.	26
4.	32
5.	42
6.	49
7.	60
8.	69
9.	75
10.	81
11.	87
12.	96
<b>DZIEŃ DRUGI</b>	<b>106</b>
13.	106
14.	114
15.	121
16.	127
17.	136
18.	144
19.	153
20.	162
21.	168



DZIEŃ TRZECI	179
22.	179
23.	185
24.	191
25.	198
26.	207
27.	213
28.	222
29.	230
30.	235
31.	241
DZIEŃ CZWARTY	249
32.	249
33.	257
34.	264
35.	266
36.	275
37.	280
38.	287
39.	293
DZIEŃ PIĄTY	297
40.	297
41.	304
42.	311
43.	316
44.	327
45.	331
46.	341
47.	344

48.	352
<b>DZIEŃ SZÓSTY</b>	<b>360</b>
49.	360
50.	367
51.	374
52.	385
53.	392
54.	394
55.	401
56.	405
57.	410
58.	417
59.	418
<b>EPILOG</b>	<b>422</b>